

Mark  
**Billingham**

# PODPALONA

Od koszmarów przeszłości  
nie ma ucieczki...



**Mark Billingham**

# **Podpalona**

Przełożył Robert P. Lipski

Tytuł oryginału: The Burning Girl

*Teraz już wiem, co czuła Joanna d'Arc, Teraz już wiem, co czuła  
Joanna d'Arc, Gdy płomienie sięgnęły jej rzymskiego nosa I jej walkman  
zaczął się topić...*

„Bigmouth Strikes Again” -The Smiths

PONAD POŁOWA WSZYSTKICH NOWYCH PRZEDSIĘWZIĘĆ  
BIZNESOWYCH UPADA W CIĄGU PIERWSZYCH TRZECH LAT  
SWEGO ISTNIENIA!

NIE ZOSTAŃ JEDNYM Z TYCH PECHOWCÓW!

DROGI LOKALNY BIZNESMENIE

Jako że sami jesteśmy ludźmi interesu, aż za dobrze znamy ryzyko, jakie wiąże się z nowymi przedsięwzięciami. Wiemy przy tym, że aby ugruntować swoją pozycję, musisz przede wszystkim odnieść sukces. Możemy sprawić, że tak się stanie.

Jesteśmy firmą specjalizującą się w ochronie drobnych przedsiębiorców. Potrafimy zająć się wszystkim, abyś ty już nigdy nie musiał się o nic martwić. GWARANTUJEMY spokój ducha za rozsądną miesięczną premię.

Nasze stawki zaczynają się od 400 funtów za miesiąc, jeśli jednak z jakichś powodów wystąpiłyby tymczasowe trudności z uiszczeniem tej należności, płatności mogą zostać rozłożone na raty na dogodny procent do uzgodnienia. Możesz porównać nasze warunki z innymi, radzimy jednak, **BYŚ WCZEŚNIEJ POROZMAWIAŁ Z KTÓRYMŚ Z NASZYCH KLIENTÓW**. Bez wątpienia stwierdzisz, że nasze usługi odpowiadają ci najbardziej.

Nasza reputacja da ci pewność, że od chwili zawarcia umowy z nami będziesz mógł prowadzić swój sklepik, restaurację lub firmę spokojnie i bezpiecznie, ze świadomością, że w razie wystąpienia jakichkolwiek problemów, my rozwiążemy je za ciebie. Można się z nami kontaktować przez 24 GODZINY NA DOBĘ, numer komórki poda ci jeszcze dziś jeden

z naszych przedstawicieli. ZADZWOŃ JUŻ TERAZ, BY ZAPEWNIĆ SOBIE SPOKÓJ DUCHA!

Później Carol Chamberlain przekona samą siebie, że tak naprawdę śniła o Jessice Ciarce, kiedy odebrała pierwszy telefon. Dźwięk dzwoniącego aparatu wyrwał ją ze snu, oderwał od towarzyszących koszmarowi obrazów, odgłosów i woni. Rozmazany obraz biegnącej dziewczynki, barwne jęzory wspinające się po jej plecach, eksplodujące i rozwiewające się wokół jej szyi niczym złote i szkarłatne szaliki.

Czy sen był wyimaginowany, czy nie, zaczęła znów go przeżywać, kiedy tylko odłożyła słuchawkę. Siedziała rozdygotana na brzegu łóżka. Jack, który poruszył się przez chwilę, leżał obok niej, martwy dla całego świata.

A ona znów ujrzała to wszystko.

Kolory były tak jaskrawe, dźwięk tak wyrazisty i silny jak tamtego ranka, przed dwudziestoma laty. Choć Carol przy tym nie było, nie widziała tego na własne oczy rozmawiała z naocznymi świadkami owego zdarzenia. Teraz wierzyła, że kiedy powtarzała wszystko w myślach, tak jak to sobie wyobrażała, widziała dokładnie, jak było naprawdę...

Dźwięk - szelest męskich stóp na trawie, kiedy wspinał się po stoku, atonalnie nucąc pod nosem jakąś melodyjkę, którą zagłuszały hałasy dochodzące od strony boiska. Pośród tych krzyków i harmidru słyhać było gwar mieszających się ze sobą głosów, plotkujących, gawędzących i rozmawiających o czymś zawzięcie, kakofonia dźwięków spływała w dół zbocza, w kierunku głównej drogi.

Mężczyzna wsłuchiwał się w nie, podchodząc bliżej, nie mogąc wychwycić nic konkretnego. Próbował zorientować się, kto jest na boisku,

a kogo zabrakło. Słysząc też było inny dźwięk, brzęczenie kosiarki dochodzące od drugiej strony szkoły, gdzie pracował cały zespół ogrodników. Mieli na sobie oliwkowozielone kombinezony, podobnie jak on. Tyle że na jego kombinezonie brakowało naszywki z firmowym logo.

Z rękami w kieszeniach i czapeczką mocno naciągniętą na głowę obszedł cały obwód boiska, dochodząc do miejsca, gdzie była dziewczynka i jej koleżanki.

Kilka z nich opierało się plecami o drucianą siatkę. Kołysały się odprężone, napierając lekko na elastyczne druty. Mężczyzna wyciągnął zza pasa sekator i przykucnął niewiele ponad metr od dziewczynek przy siatce. Jedną ręką zaczął przycinać chwasty rosnące u podstawy betonowego słupka podtrzymującego siatkę. Drugą sięgnął do kieszeni po puszkę z płynem do zapalniczek.

Zawsze najbardziej martwiła go charakterystyczna woń. Puszka była pełna -sam o to zadbał - i nie usłyszał nawet najcichszego syku czy bulgotu, kiedy ją nacisnął, a przez plastikowy dzióbek wytrysnęła strużka łatwopalnej cieczy, przelatując przez jedno z ogniw siatki. Martwił się, czy nikt nie poczuje tej charakterystycznej woni, kiedy łatwopalna substancja zacznie wsiąkać w materiał niebieskiej, sięgającej do kolan spódniczki, gdy wiatr zacznie roznosić ten zapach, i czy nie wzbudzi on podejrzeń dziewczynki lub którejś z jej koleżanek.

Nie musiał się martwić. Zanim odłożył puszkę na trawę i sięgnął po zapalniczkę, zużył co najmniej połowę zawartości pojemnika, a dziewczynki były zbyt zajęte plotkowaniem, by zwrócić na cokolwiek uwagę. Zdziwił się, że spódniczka dziewczynki tliła się przez dobrych piętnaście sekund albo nawet dłużej, nim w końcu zajęła się ogniem.

Zdziwiło go również, że to nie ta dziewczynka zaczęła krzyczeć jako pierwsza...

Jessica tylko jednym uchem słuchała opowieści Ali o imprezie, na której była, i historyjki Mandy o najnowszej sprzeczce z jej chłopakiem. Wciąż myślała o kretyńskiej kłótni z mamą, która ciągnęła się przez cały weekend, i o wykładzie, jaki wygłosił jej ojciec, zanim wyszedł dziś rano do pracy. Kiedy Ali zrobiła minę, a pozostałe wybuchnęły śmiechem, Jessica przyłączyła się do nich, choć właściwie nie wiedziała, co było powodem ich rozbawienia.

W pierwszej chwili poczuła jakby lekkie szarpnięcie, a potem łaskotanie, i schyliła się, by wygładzić tył spódniczki. Wtedy właśnie ujrzała, jak wyraz twarzy Mandy zmienia się, jej usta się rozchylają, ale nie usłyszała dobywającego się z nich dźwięku. Jessica czuła już pierwsze fale dojmującego bólu przeszywające jej nogi, kiedy kołyszącym krokiem odsunęła się od siatki i zaczęła biec...

Wiele lat później Carol Chamberlain wyobrażała sobie panikę i ból dziewczynki. Były równie wstrząsające jak trudne do zniesienia wydarzenia rozgrywające się w jej wyobraźni.

Przeraźliwie szybko. I upiornie wolno...

Godzinę przed świtem w sypialni wciąż było ciemno, ale jej oczy rozjaśnił gorejący nienaturalny blask. Oczyma duszy, uzbrojona w wiedzę o tamtych wydarzeniach, była wszędzie, widząc i słysząc wszystko.

Widziała rozdziawione usta dziewcząt jak usta starych kobiet, oczy wielkie i szkliste, gdy gnały na łeb na szyję, aby jak najdalej od płomieni. Aby jak najdalej od ich koleżanki.

Widziała Jessicę biegnącą zygzakami przez boisko i rozpaczliwie wymachującą rękami. Słyszała krzyki, tupot butów uderzających o asfalt, skwierczenie palących się włosów. Patrzyła, jak coś, co było dzieckiem, a co wyglądało jak ciśnięta na ziemię petarda, wije się po boisku. Coraz wolniej i wolniej. Skwiercząc. Wypalając się...

I wtedy ujrzała twarz tego mężczyzny, twarz Rookera, gdy odwrócił się i zbiegł po stoku. Jego nogi poruszały się coraz szybciej i szybciej. Zbiegając po zboczu do stojącego poniżej samochodu, raz omal się nie przewrócił.

Carol Chamberlain spojrzała na aparat. Pomyślała o anonimowym telefonie, który odebrała przed dwudziestoma minutami. I o krótkiej wiadomości od mężczyzny, który w żadnym razie nie mógł być Gordonem Rookerem.

- To ja ją podpałem. ..

Pociąg zatrzymał się gdzieś pomiędzy Golders Green a Hampstead, kiedy do wagonu weszła kobieta.

Minęła właśnie siódma wieczorem. Był poniedziałek. Pasażerami byli londyńczycy z różnych dzielnic wracający późno do domu lub zamierzający zabawić się trochę w West Endzie. Garnitury i egzemplarze „Evening Standards”. Służbowe dokumenty i thriller w broszurowym wydaniu z oślimi uszami. Cały przekrój społeczności, od sportowych dresów przez szyk oxfamski po Ciro Citterio. Kołyszące się głowy, stukające lekko o szyby, zwieszające się na piersi uśpionych albo kiwające się w rytm muzyki Coldplay, Craiga Davida czy DJ Shadowa.

Bez żadnego wyraźnego powodu poza tym, że pociąg należał do Linii Północnej, cały skład nagle gwałtownie zadygotał i kilka sekund później



znów się zatrzymał. Ludzie wpatrywali się w czubki butów swoich sąsiadów z przeciwka albo czytali ogłoszenia nad ich głowami. Cisza, jeśli nie liczyć dźwięków płynących ze słuchawek, podkreślała brak kontaktu z innymi.

Na jednym końcu wagonu siedziało razem dwóch młodych czarnoskórych. Jeden wyglądał na piętnaście, szesnaście lat, ale zapewne był młodszy. Nosił czerwoną bandanę, przydużą amerykańską bluzę od dresu i workowate džinsy. Był cały obwieszony łańcuchami, na palcach miał pierścienie. Obok niego siedział drugi, drobniejszy chłopak, być może jego młodszy brat, ubrany dokładnie tak samo.

Mężczyźnie siedzącemu naprzeciw nich ten ubiór, ta biżuteria i poza wydawały się śmieszne. Zwłaszcza u dzieciaka, który podeszwami drogich markowych trampek nie sięgał nawet podłogi. Mężczyzna był krępy, po czterdziestce, ubrany w wytartą skórzaną kurtkę. Odwrócił wzrok, kiedy starszy chłopiec pochwycił jego spojrzenie, i powiódł dłonią po włosach, które z jednej strony były bardziej posiwiałe niż z drugiej. Tom Thorne odniósł wrażenie, że ci dwaj chłopcy całe swoje kieszonkowe przepuszczają w sklepie o nazwie „Mały gangsta”.

Po chwili do wagonu weszła kobieta; atmosfera nagle się zmieniła. Obojętność i wyniosłość przerodziły się w kompletne odcięcie się od wszystkiego. Typowa angielska postawa, in extremis...

Thorne patrzył na nią dostatecznie długo, by zauważyć chustkę, grube ciemne brwi i małe dziecko, które trzymała na ręku. Potem odwrócił wzrok. Nie ukrył się za gazetą jak wielu wokół niego, ale ze wstydem musiał przyznać, że tylko dlatego, iż nie miał żadnej.

Wlepił wzrok w swoje buty, ale zdawał sobie sprawę z wyciągniętej w jego stronę ręki, kiedy kobieta przystanęła tuż obok. Widział styropianowy kubek z nadłamanym albo może obgryzionym brzegiem. Słyszał, jak kobieta mówi coś półgłosem w języku, którego nie rozumiał i nie musiał rozumieć.

Potrząsnęła kubkiem przed jego twarzą, a Thorne nie usłyszał brzęku monet.

Potem poszło już rutynowo: wyciągnięcie ręki z kubkiem, rzucone cicho pytanie, zignorowane błaganie i przejście do następnej osoby. Thorne uniósł wzrok, gdy przeszła w głąb wagonu, czując ból wzbierający w trzewiach na widok jej zgiętych pleców okrytych czarnym swetrem i nieruchomego ramienia, na którym trzymała dziecko. Odwrócił się, kiedy ból przerodził się w dojmujące ukłucie smutku i żalu na myśl o niej i o samym sobie.

Odwrócił się w momencie, gdy starszy chłopiec nachylał się do brata i cmokając przez zęby, syczał zjadliwie:

- Nie znoszę całego tego tałatajstwa...

Thorne wciąż był przygnębiony dwadzieścia minut później, kiedy wyszedł z tunelu metra na Kentish Town Road. Bynajmniej nie czuł się lepiej, kopniakiem zamykając za sobą drzwi do mieszkania. Ale jego minorowy nastrój miał wkrótce minąć.

Z salonu dobiegł go podniesiony głos, pełen oburzenia i wyrzutów, zagłuszający dźwięki z telewizora:

- O której to się przychodzi do domu?

Thorne odstawił reklamówkę, przeszedł przez krótki hol i odwrócił się, by ujrzeć rozciągniętego na kanapie Phila Hendricksa. Patolog był wysoki,

chudy jak tyka i miał trzydzieści trzy lata, o dziesięć mniej od Thornea. Jak zawsze był ubrany na czarno, w dżinsy i sweter w serek, a jego twarz zdobiła olśniewająca kolekcja ćwieków i kolczyków różnego kształtu i rozmiarów. Thorne widział tylko te, które Hendricks nosił w widocznych miejscach. Były jeszcze inne, o tamtych jednak wolał wiedzieć jak najmniej.

Hendricks uniósł w dłoni pilota i zgasił telewizor.

- Kolacja nam wystygnie.

Patolog miał szorstki, męski sposób bycia, toteż jego żarcik wypowiedziany zniewieściałym tonem z manchesterskim akcentem natychmiast wywołał na twarzy Thorne'a szeroki uśmiech.

- Jasne - mruknął. - Sęk w tym, że ty nawet nie umiesz ugotować jajka.

- No dobrze, no to kolacja wystygłaby, gdyby była gotowa.

- A co właściwie chcemy dziś zjeść?

Hendricks opuścił stopy na podłogę i przesunął dłoń w przód i w tył po gładko ogolonej czaszce.

- Menu jest przy telefonie. - Machnął ręką w stronę niewielkiego stolika w rogu. - Dla mnie to co zwykle plus dodatkowe grzybowe bhaji.

Thorne zdjął kurtkę i wyniósł ją do holu. Wrócił, przykręcił ogrzewanie i odniósł brudny kubek do kuchni. Następnie sięgnął po stojące przy kanapie motocyklowe buty Hendricksa i także wystawił je do holu.

Następnie podszedł do telefonu i zadzwonił do Bengal Lancera...

Hendricks sypiał na kanapie u Thorne'a a od świąt, a raczej tuż po nich, kiedy ilość grzyba nagromadzonego w jego mieszkaniu osiągnęła niepokojące rozmiary. Budowlańcy i specjaliści od usuwania wywołanych

przez wilgoć grzybów mieli uporać się z tym problemem nie dalej niż w tydzień, ale ich optymistyczne prognozy okazały się mocno przesadzone. Thorne wciąż nie wiedział, dlaczego Hendricks nie wprowadził się do swego obecnego partnera Brendana, bo przecież spędzał u niego kilka nocy w tygodniu. Domyślał się, że w tak burzliwym związku, gdy tamci to rozstawali się, to znowu schodzili, nawet tymczasowa przeprowadzka mogła okazać się nieco ryzykowna.

Jemu i Hendricksowi było trochę ciasno w małym mieszkanku Thorne'a, ale inspektor musiał przyznać, że lubi towarzystwo patologa. Rozmawiali otwarcie i szczerze o potencjalnych zwycięstwach Spurs i Arsenalu. Kłócili się o gusty muzyczne lubującego się w country Thornea. Sprzeczek o nagłe, nietypowe jak na Thorne'a, zamiłowanie do schludności.

Kiedy czekali, aż przyniosą im jedzenie, Thorne włączył album Lucindy Williams. On i Hendricks sprzeczekali się przez chwilę na ten temat, po czym zaczęli rozmawiać o innych sprawach...

- Mickey Clayton zginął wskutek ran postrzałowych głowy - rzekł Hendricks.

Thorne spojrzał na niego ponad krawędzią puszek z piwem.

- Domyślam się, że to nie była dla ciebie żadna rewelacja. Zwłaszcza że kiedy go znaleźliśmy, większość jego czaszki była rozmazana po ścianach.

Hendricks skrzywił się.

- Jutro po południu znajdziesz na biurku szczegółowy raport.

- Dzięki, Phil.

Thorne lubił się z nim napić, ale poza tym, że Hendricks był jego najbliższym przyjacielem, należał także do najlepszych patologów, z jakimi miał okazję pracować. W przeciwieństwie do kontrowersyjnego wyglądu, pomimo sarkastycznego usposobienia i dość marnie opowiadanych dowcipów nikt nie potrafił lepiej od niego zrozumieć nieboszczyków. Hendricks słuchał, gdy szeptali mu swoje sekrety, i przekładał je z tajnego języka prosektorium.

- Znalazłeś kulę? - spytał Thorne.

Zabójca używał broni kalibru 9 mm. To, co pozostało z kul, znaleziono w pobliżu poprzednich ofiar lub wśród tego, co zostało z ich czaszek...

- Nie potrzeba analizy porównawczej, by stwierdzić, że to ten sam zabójca.

- X?

To było oczywiste już poprzedniego ranka, kiedy odnaleziono zwłoki. Nylonowa koszula zadarta pod samą szyję, krew wypływająca z dwóch głębokich, przecinających się ukośnie cięć, od lewego barku do prawego biodra i vice versa.

- Wciąż jednak nie mam pewności co do noża. Sądziłem, że to mógł być nóż Stanleya, ale równie dobrze może być też maczeta. -Thome pokiwał głową. Maczeta była ulubioną bronią wielu zabójców z gangów. - Może to Yardies albo Yakuza...

- Ktokolwiek mu płaci, jest zadowolony z jego usług. Facet dość szybko strzela swoim ofiarom w głowę, ale podejrzewam, że jeżeli chodzi o krojenie, robi im to, kiedy jeszcze żyją.

Człowiek odpowiedzialny za śmierć Mickeya Claytona i wcześniej trzech innych mężczyzn w ciągu ostatnich sześciu tygodni nie

przypominał żadnego płatnego zabójcy, z jakim Thorne miał okazję się zetknąć czy o jakim słyszał. Dla tych ludzi, mężczyzn gotowych zabić za cenę od kilku tysięcy funtów wzwyż, anonimowość była wszystkim. Ten lubił zostawiać swój znak.

- X jak określenie miejsca - rzekł Thorne.

- Albo jak skreślenie kogoś. - Hendricks dopił piwo. - To teraz mów, co u ciebie, Jak tam w biurze, złotko?

Thorne stęknął, wstając. Wziął od Hendricksa pustą puszkę i poszedł do kuchni po nową, pełną. Wpatrując się bez celu w lodówkę, na próżno usiłował przypomnieć sobie ostatni przyjemny dzień w biurze...

Jego zespół, którego Hendricks był cywilnym członkiem, w Grupie do spraw Przepływów Szczególnych (Zachodniej) przydzielono jako wsparcie Jednostce Specjalnej S07 - Grupie do Zwalczania Przepływów Zorganizowanej. Wkrótce okazało się, że grupa ma jedynie huczną nazwę, co do reszty można było mieć pewne wątpliwości. S07 cierpiała na wieczny niedobór funduszy, a przynajmniej wciąż się na to skarżyła. Na południe od rzeki trwała wielka wojna o wpływy i terytorium pomiędzy dwiema starymi rodzinnymi firmami, doszło również do eskalacji sporów w kręgach Triad, co doprowadziło do trzech strzelanin w jednym tygodniu i potężnej bijatyki z użyciem ostrych narzędzi na Gerrard Street. Tak czy owak, Thorne przypuszczał, że wysłano ich tam tylko po to, by osłaniać innym tyłki.

Nic na tym nie zyska. Gdyby nawet kogoś aresztował, zaszczyty z tego tytułu spłynęłyby na innych, a poza tym wcale nie miał ochoty ścigać osoby lub osób odpowiedzialnych za sprzątnięcie szumowin w rodzaju Mickeya Claytona.

Gangsterskie egzekucje, których Clayton był czwartą ofiarą zamordowaną przez tajemniczego X, stanowiły akcję odwetową jednej z największych gangsterskich rodzin z północnego Londynu, ale prawda była taka, że Jednostka Specjalna nie miała pojęcia, kto był ich wykonawcą. Sprawdzone wszystkich potencjalnych rywali i jednego po drugim oczyszczono z zarzutów. Informatorzy, z których usług zwykle korzystano, nie potrafili dać im żadnego cynku mimo nacisków i obietnicy, że mogą sporo na tym zarobić. Wkrótce stało się jasne, że cała ta wielka operacja ma na celu doprowadzenie do konfrontacji. Zadaniem Thorne a i jego zespołu było ustalenie mocodawców. Odkrycie, kto opłacał zabójcę, określonego wkrótce mianem „X-Mana”, aby zniszczyć rodzinę Ryanów.

- Sam utrudnia sobie życie, no nie? - rzucił jeszcze z kuchni Thorne, kontynuując, gdy przyniósł piwo do pokoju. - Ten X, ten jego podpis czy cokolwiek to jest, znacznie go ogranicza, zmniejsza możliwości. Nie może po prostu podjechać na motorze, aby sprzątnąć kolejne ofiary w aucie albo przy wejściu do pubu. Potrzebuje dużo czasu i miejsca.

Hendricks wziął od niego puszkę.

- Najwyraźniej wkłada w swoją pracę wiele wysiłku. Wszystko dokładnie planuje. Założę się, że jest cholernie drogi.

Thorne uznał, że Hendricks najprawdopodobniej ma rację.

- Ale to i tak względnie tani interes, jak się nad tym zastanowić. Mam na myśli zabicie kogoś. Dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć kawałków za sprzątnięcie kogoś. To dużo mniej niż faceci wystawiający kontrakty płacą za swoje dżipy i wypasione mercedesy.

- Ciekawe, na co mógłbym liczyć za parę setek? - spytał Hendricks. - W Westminsterze jest taki jeden pomocnik koronera, który nieźle zalał mi za skórę.

Thorne zamyślił się przez chwilę.

- Chińskie poparzenie? - Nie pamiętał, aby śmiał się równie szczerze od dobrych paru dni.

- Czy to mogą być Yardies? - ciągnął Hendricks, kiedy już przestał się śmiać. - Albo Yakuza? Wiemy, że nasz zabójca nie jest Murzynem ani Japończykiem...

Świadek stwierdził, że widział zabójcę opuszczającego miejsce trzeciej zbrodni, i podał dość ogólny rysopis białego mężczyzny po trzydziestce. Świadek Marcus Moloney był „współpracownikiem” rodziny Ryanów i choć trudno by go określić mianem prawego obywatela, wydawał się dość pewny tego, co mówił.

- To nie takie proste - rzekł Thorne. - Mogło być proste dziesięć lat temu, kiedy każdy trzymał się swoich, ale teraz to się zmieniło i wolni strzelcy przyjmują każde możliwe zlecenie. Triady korzystają z usług Yardies. Yardies pracują dla Rosjan. W zeszłym roku gang Yakuza dostał za swoje, ponieważ rekrutował ludzi spoza własnych kręgów. Równie dobrze mogliby rozdawać formularze zgłoszeniowe: przyjmujemy wszystkich, Greków, Turków, Azjatów, bez różnicy...

Hendricks uśmiechnął się.

- Miło wiedzieć, że są jeszcze pracodawcy dający wszystkim swoim pracownikom równe szanse...

Thorne przytaknął i przez kilka następnych minut obaj nie odezwali się ani słowem. Thorne zamknął oczy i zaczął skubać kozią bródkę, którą



zapuszczał od końca ubiegłego roku. Ta bródka tworzyła złudzenie linii zuchwy i zasłaniała bliznę po ranie od noża.

Wypukła linia ciągnąca się ukośnie od podbródka Thorne a była jedyną widoczną pamiątką nocy sprzed pół roku, kiedy równocześnie błagał o życie i modlił się o szybką śmierć. Były jeszcze inne blizny, łatwiejsze do ukrycia, ale daleko bardziej niepokojące. Thorne w ciemnościach mógł sięgnąć do swego wnętrza i dotykać ich, dopóki rany na dobre się nie pootwierały. Mógł wyobrazić sobie tworzące się strupy, krwistoczarne na tle delikatnego ciała. Kruchą powłokę, która zacznie się rozsypywać i odpadać pod dotykiem jego palców, a towarzyszący temu tępy ból będzie nakłaniać go, aby drażył te rany coraz głębiej...

Lucinda Williams śpiewała cicho o wszechogarniającym pożądaniu, jej głos, słodki i ostry zarazem, unosił się pośród dźwięków gitary akustycznej jak dym.

Thorne i Hendricks drgnęli gwałtownie, gdy zadzwonił telefon.

- Tom? - głos kobiety

Thorne usiadł na fotelu z telefonem w dłoni. I celowo głośno, aby rozmówca go usłyszał, zawołał do Hendricksa:

- Chryste, to znowu ta stara wariatka, co wciąż do mnie wydzwania.

Hendricks uśmiechnął się i odkrzyknął:

- Powiedz jej, że nawet stąd czuję woń karmy dla kotów!

- No, Carol - rzekł Thorne - powiedz mi, co słyhać w bajecznym Worthing. Znów jakiś kot wlaźł na drzewo i nie mógł zejść, a może ktoś ukradł chodziki z pobliskiego domu starców?

Jego rozmówczyni nie miała ochoty na zwyczajowe przekomarzanie się.

- Muszę z tobą pomówić, Tom. Chcę, żebyś mnie wysłuchał...

Thorne zamienił się w słuch. Przyniesione z restauracji curry zdążyło ostygnąć, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi. Gdy tylko zaczęła mówić, zorientował się, że chodziło o coś poważnego.

Bądź co bądź, odkąd znał Carol Chamberlain, Thorne nigdy nie słyszał, żeby płakała.

- Zakładam, że zadzwoniłaś pod 1471...?

Uniosła brwi. Zupełnie jakby pytała, czy ma ją za kompletną idiotkę.

Thorne przepaszająco wzruszył ramionami.

Kiedy po raz pierwszy spotkał Carol Chamberlain, w ubiegłym roku, wziął ją za kłótliwą jędzę w średnim wieku, która ma zbyt wiele wolnego czasu, kłótliwą jędzę, która - jak omyłkowo sądził - była matką jednego z konstabli.

Wciąż mu tego nie wybaczyła.

Była pani nadinspektor Carol Chamberlain zjawiała się w biurze Thorne'a w parny lipcowy poranek, siedem miesięcy temu, i wywróciła do góry nogami śledztwo w sprawie sadystycznego gwałciciela i zabójcy. Była członkiem tak zwanego Wydziału Spraw Zamkniętych, grupy złożonej z dawnych funkcjonariuszy policji, emerytowanych, ale przywróconych do służby w celu rozwiązywania spraw nierozwikłanych. Chamberlain nie trzeba było długo przekonywać do powrotu. Po przepracowaniu trzydziestu lat została zmuszona do przejścia na emeryturę - w jej mniemaniu przedwcześnie - i w wieku pięćdziesięciu pięciu lat wciąż uważała, że ma jeszcze wiele do zaoferowania. Pierwsza sprawa, jaką jej przydzielono, pozwoliła na uzyskanie informacji, które doprowadziły do zmiany biegu śledztwa prowadzonego przez Thorne'a i,

jak się później okazało, jego życia. Tę zamkniętą sprawę - obecnie znowu otwartą - szybko jej odebrano, ale Thorne nie zaprzestał utrzymywania z nią kontaktu i wkrótce on i Chamberlain się zaprzyjaźnili.

Thorne nie był pewien, co właściwie Carol Chamberlain zyskiwała na kontaktach z nim, niemniej był gotów dzielić się tym z nią, czymkolwiek to było, w zamian za jej otwartość, dobre rady i umiejętność wykrywania wszelkiego fałszu, która najwyraźniej wyostrzała się z wiekiem.

Gdy teraz patrzył na nią, siedzącą naprzeciw niego przy stoliku, i wspominał pierwsze wrażenie, jakiego doznał na jej widok, zastanawiał się, jak mógł tak się pomylić...

Chamberlain uniosła w ręku brudną kremową kopertę, aby pokazać ją Thorne owi, po czym odwróciła ją, wysypując popiół na stolik.

- To przyszło wczoraj rano.

Thorne wziął do ręki widelec i przez chwilę rozgarniał nim poczerniałe skrawki materiału. Starał się nie dotknąć żadnego z nich gołymi rękami, choć właściwie nie wiedział czemu. Nie miał pewności, czy cokolwiek z tym zrobi. Kawalki rozsypywały się przy byle dotknięciu zębami widelca, ale jeden czy dwa fragmenty, jak zauważył, wciąż zachowały oryginalny niebieski kolor.

- Te zatrzymam.

Wziął do ręki menu i dolną krawędzią przesypał popioły na powrót do koperty.

Chamberlain pokiwała głową.

- To serża, jak podejrzewam. Albo gruba bawełna. Ten sam materiał, z jakiego zrobiona była spódnica Jessiki Ciarke...

Thorne zastanawiał się nad jej słowami, nad tym, co zaczęła mu mówić ubiegłej nocy przez telefon. Niewiele pamiętał z tamtej sprawy, pomijając ogólne oburzenie, ale większość szczegółów była dla niego nowa. Zapytywał sam siebie, czy kiedykolwiek słyszał równie przerażającą historię. Jeżeli nawet, to nie potrafił sobie przypomnieć kiedy.

- Co za chory pojeb robi coś takiego dziecku? - rzucił. Rozejrzył się dokoła, nie chcąc zaniepokoić osób siedzących przy sąsiednich stolikach.

Chamberlain odczekała, aż znowu się do niej odwróci, i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeden taki, który dostał za to zapłatę.

- Co?

- Sądziliśmy, że to jakiś szajbus. Wszyscy tak uważali. Zarówno my, jak i grona pedagogiczne w szkołach, redakcje gazet, wszyscy się denerwowali i czekali, aż ten świr znowu zaatakuje. I nagle dowiadujemy się, że Jessica Ciarke to była pomyłka.

- Co to znaczy „pomyłka”?

- Tego dnia na boisku obok niej stała niejaka Alison Kelly. Była jedną z przyjaciółek Jessiki. Ten sam wzrost i kolor włosów. Była przy tym córką Kevina Kellyego.

Spojrzała na Thornea, jakby oczekiwała z jego strony jakiejś reakcji. Na próżno. Pokręcił głową.

- Czy powinienem... ?

- Pozwól, że nakreślę pokrótce, jak przedstawiała się sprawa w 1984.

Ty wtedy akurat...

Cofnął się w myślach do tamtego okresu.

- Właśnie miałem zakończyć służbę mundurową - odparł. - I ożenić się. Używałem życia na całego. Hulanki, zabawy w klubach i takie tam...

- Mieszkałeś w północnym Londynie, zgadza się?

Thorne pokiwał głową.

- Całkiem możliwe, że kluby, do których chodziłeś, były własnością jednej z większych firm, a największą z nich kierowała rodzina Kellych. Były jeszcze inne konkurencyjne lokale na południu i we wschodniej części miasta oraz kilka niezależnych, które próbowały się przebić, jednak na północ od rzeki rządzą Kelly...

Kiedy Thorne jej słuchał, zorientował się, że w jej zwykle opanowanym głosie pojawiło się wahanie, a wraz z nim charakterystyczny akcent z rodzinnego Yorkshire. Słyszał go już wcześniej, kiedy była zagniewana albo podekscytowana. Kiedy coś ją wzburzyło. Gdyby już tego nie wiedział, pomyślałby, że coś nią nielecho wstrząsnęło.

- Kelly mieli swoją siedzibę w Camden Town i w okolicach. Były jeszcze inne firmy, inne rodziny w Shepherd s Bush oraz Hackney i niemal stale dochodziło między nimi do utarczek, które wymagały rozjemców. Zdarzały się też strzelaniny - zazwyczaj kilka w roku - ale w sumie nie było nawet o czym wspominać. I nagle w 1983 ktoś próbował sprzątnąć Kevina Kelly ego...

- Wystawiono na niego kontrakt?

- Owszem, ale z jakiegoś powodu nie udało się go załatwić. Tak czy owak, wiadomość, jaką ktoś chciał w ten sposób przekazać, nie została właściwie zrozumiana. Dlatego zajęto się jego córką...

- Ale jej też nie zdołali załatwić. Jezu.

- Tym razem Kelly zrozumiał aluzję. W ciągu trzech tygodni od wypadku Jessiki Clarke zginęło ze dwanaście osób. Trzech braci należących do jednej rodziny zastrzelono jednego wieczoru w pewnym pubie. Kevin Kelly bardziej lub mniej skutecznie wykosił konkurencję.

Thorne opróżnił filiżankę. Kawa wystygła na amen.

- A panu Kelly emu i jego kumplom został do dyspozycji niemal cały północny Londyn...

- Jego kumplom owszem, ale nie Kelly emu. Zupełnie jakby usiłowanie zabójstwa córki kompletnie go zdruzgotało. Gdy tylko pozbył się konkurencji, wycofał się z interesu. Zwinął żagle i już. Zabrał żonę i córkę, parę milionów i po prostu odszedł z interesu.

- To wydawało się całkiem rozsądnym posunięciem.

Chamberlain wzruszyła ramionami.

- Pięć lat później wyciągnął kopyta. Miał zaledwie pięćdziesiąt lat.

- A kto zajął się jego interesami, kiedy Kelly zamienił garnitur i trzewiki na gazetę, szlafrok, fajkę i miękkie kapcie?

- Pozostała branżą rodzinną tylko z nazwy. Kelly nie miał braci ani synów. Prowadzenie wszystkich spraw przekazał jednemu z kumpli, o których już mówiliśmy, wrednemu typowi nazwiskiem William Ryan. Był drugi w hierarchii, zaraz po Kellym i... - Chamberlain zamilkła na widok dziwnego wyrazu twarzy Thorne a. - Co jest?

- Kiedy skończysz tę lekcję historii, postaram się udzielić ci możliwie najświeższych informacji, żebyś była na bieżąco.

- Dobrze. - Chamberlain odłożyła łyżeczkę do herbaty, którą bawiła się przez ostatnich dziesięć minut.

Thorne odsunął krzesło do tyłu.

- Idę po następną kawę. Coś dla ciebie?

Spotkali się w małej greckiej kafejce przy Victoria Station. Chamberlain przyjechała z Worthing pierwszym pociągiem i zamierzała wrócić do domu możliwie jak najszybciej.

Stojąc przy ladzie i czekając na realizację zamówienia, Thorne odwrócił się, by na nią spojrzeć. Uznał, że trochę schudła. Wiedział, że w normalnych okolicznościach ucieszyłaby ją taka uwaga, ale sytuacja nie była normalna. Nie próbowała nawet zatuszować zmarszczek wokół oczu. Widać je było, kiedy uniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego. Wyglądała jak stara... przerażona kobieta.

Thorne przyniósł do stolika tacę z dwiema filiżankami kawy i baklawą. Zabrał się do pałaszowania i pomiędzy kolejnymi kęsami opowiedział Chamberlain o operacji grupy S07. I o współczesnym obliczu północnolondyńskiej przestępczości zorganizowanej. Oraz o niezidentyfikowanym jak dotąd wyzwaniu rzuconym potężnemu bossowi nazwiskiem Billy Ryan...

- Miło słyszeć, że Billy tak dobrze sobie radzi - rzekła Chamberlain.

Thorne a ucieszył ten sarkazm i uśmiech. Właśnie taką Carol Chamberlain znał i lubił.

- Och, radzi sobie doskonale. I z całą pewnością Ryanowie prowadzą firmę rodzinną, na wszystkim trzymają łapę bracia i kuzyni oraz syn i dziedzic rodu, Stephen.

- Stephen. Pamiętam go. Musiał mieć jakieś pięć, sześć lat, kiedy to się stało...

- Teraz jest już dorosły. I skazany na sukces.

Chamberlain znów sięgnęła po łyżeczkę. Zaczęła stukać nią w otwartą dłoń.

- Billy poślubił później Alison Kelly.
- Córkę Kevina Kellyego? Tę, którą...?

Skinęła głową.

- Tę, którą miał podpalić Gordon Rooker. Tę, którą pomylił z Jes-sicą Ciarke. Ona i Billy Ryan pobrali się tuż przed śmiercią Kelly ego, o ile dobrze pamiętam. Stary był szczęśliwy, ale ten związek nie należał do szczęśliwych. Ona była o wiele lat młodsza od męża. Miała zaledwie osiemnaście lat. A on po trzydziestce i miał już dziecko...

- Fakt. Nie wygląda to na idealną parę.

- Ich małżeństwo przetrwało rok czy dwa. Kiedy zaczęło się między nimi psuć, Billy wrócił do wywłoki, z którą miał Stephena. I gdy tylko dostał rozwód z Alison, zaraz znów się ożenił.

Thorne wskazał łyżeczką na ostatni kawałek baklawy.

- Nie masz ochoty...? Bo jak nie, to ja zjem...

Pokręciła głową, a on zaczął zajadać z apetytem.

- Opowiedz mi o Rookerze - powiedział.
- Nie ma wiele do opowiadania. Przyznał się.
- To zawsze pomaga.

Uśmiech już dawno znikł z jej ust.

- Serio, Tom, to była jedna z najprostszych spraw, jakie prowadziłam. Byłam inspektorem. Spisywałam jego zeznania.

- I co ci przyszło na myśl?



- Wszystko pasowało jak ulał. Rooker nie był człowiekiem znikąd. To, co zrobił w szkole tej dziewczynce, mogło wydawać się niezwykle, ale ten facet zrobiłby wszystko i każdemu, za odpowiednią cenę, ma się rozumieć.

Thorne spotkał w swoim życiu zbyt wielu takich ludzi. I stale ich przybywało.

- Powiedział, kto mu za to zapłacił?

- Nie podał nazwiska, ale nie musiał. Wiedzieliśmy, że wcześniej pracował dla paru mniejszych firm. Może nawet maczał palce w sfuszerowanym kontrakcie na Kevina Kellyego. Poza tym wiedzieliśmy, że Rooker lubił podpalać ludzi. Nie udało się tego udowodnić, ale brano go pod uwagę jako podejrzanego w związku z płatnym zabójstwem w 1982. Ktoś, przypuszczalnie Gordon Rooker, przywiązał szefa firmy zajmującej się ochroną do krzesła i wylał mu na włosy zawartość puszek z płynem do zapalniczek.

- Urzekający gość.

- Faktycznie był taki. A przynajmniej za takiego się uważał. Skurwiel flirtował ze mną w pokoju przesłuchań. - Przerwała i przełknęła ślinę, jakby usiłowała pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach. - Jak już wspomniałam, to było proste. Rooker przyznał się do winy. Dostał dożywocie. I jak wczoraj sprawdziłam, wciąż siedzi w zakładzie karnym Park Royal.

Thorne wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

- Wciąż tam był trzy godziny temu, kiedy zadzwoniłem.

Uśmiech powrócił na chwilę, ale wydawał się ciut wymuszony.

- Dzięki, Tom.

- A co z Jessicą?

Chamberlain odwróciła wzrok od twarzy Thorne a i wyjrzała przez witrynę kafejki na zewnątrz.

- Oparzenia były poważne. Minął rok, zanim mogła wrócić do szkoły.

- A teraz? Co się z nią...?

Pokręciła głową, jej głos brzmiał prawie jak szept.

- Chyba nie spodziewałeś się szczęśliwego zakończenia, prawda, Tom?

- Byłoby miło je usłyszeć - odrzekł po chwili. - Tak dla odmiany...

Odwróciła się do niego plecami i jej oblicze złagodniało, jakby mówiła do dziecka proszącego o coś, czego nie mogła mu dać.

- W szesnaste urodziny rzuciła się z dachu naziemnego parkingu...

Muslum Izzigil klął jak szewc od dobrych dziesięciu minut, kiedy do jego sklepiku weszło dwóch chłopaków.

Zajmował się całą stertą taśm, które zwrócono wczoraj wieczorem, a które należało przewinać. Ludzie, którzy zwracali nieprzewinięte kasety, byli zmorą jego życia. Wyjął taśmę z przewijarki, włożył do pudełka i sięgnął po następną.

- Leniwe łajzy...

Zerknął na dwóch chłopaków przetrząsających używane kasety na sprzedaż w skrzynce przy wejściu. Uniósł jedną z kaset i skrzywił się.

- Tak trudno przewinać? Co?

Jeden z chłopaków spojrzał tępo na Izzigila, drugi zaś szepnął coś i wybuchnął śmiechem. Izzigil po raz nie wiadomo który uruchomił przewijarkę i oparł się plecami o ladę. Spojrzał w górę na ekran, by Przez parę chwil pooglądać perypetie Austina Powersa, po czym przeniósł wzrok na chłopaków.

- Nowości są tam - rzekł, wskazując ręką. - Jak czegoś nie ma, następnym razem film za darmo. Tak jak w Blockbuster.

Chłopcy zdejmowali kolejne kasety ze stojaków w dziale z filmami dla dorosłych i szczerzyli się, oglądając zdjęcia na odwrocie pudełek. Jeden z nastolatków potarł pudełkiem o krocze, wystawił język i oblizał wargi.

- Hej... - zaczął Izzigil. - Nie róbcie bałaganu.

Chłopcy zdjęli z półek jeszcze kilka kaset, przynieśli całe naręczce i rzucili na ladę. Jeden z nastolatków był prawie o trzydzieści centymetrów wyższy od swego kumpla, ale obaj mieli krępą budowę. Nosili bejsbolówki i puchowe kurtki, jak czarne dzieciaki kręcące się w sobotnie popołudnia po Shopping City.

- Masz tu coś z Turczynkami? - spytał ten wyższy.

Drugi oparł się o ladę.

- Lubi naprawdę mocno owłosione kobiety...

Izzigil poczuł, że się czerwieni. Bez słowa zaczął zbierać i układać pudełka rozrzucone przez chłopców na kontuarze.

- Cokolwiek tu masz, na pewno jest lepsze niż to. - Niższy sięgnął za pazuchę, wyjął czarne pudełko na kasety i z trzaskiem położył na ladzie. - Wypożyczyłem to wczoraj.

Izzigil spojrzał na pudełko i pokręcił głową.

- Nie stąd. Moje pudełka są inne, posłuchajcie...

- Chcesz mnie wyrolować? - spytał chłopak. - Oddaj nam pieniądze, dziadu...

Właśnie wtedy Izzigil poczuł smród. Mdłości podeszły mu do gardła i opuścił rękę pod ladę.

- Wyjdźcie stąd albo wezwę policję...

Wyższy podniósł pudełko, otworzył i wytrząsnął z niego psie łajno na blat.

Izzigil odskoczył w tył.

- Chryste!

Wyższy wybuchnął śmiechem. Jego kumpel zrobił poważną minę.

- Gówniany ten film, stary...

- Zjeżdżajcie z mojego sklepu!

Izzigil sięgnął pod ladę, ale nim zdążył wyjąć kij bilardowy, niższy nachylił się ku niemu i przystawił mu nóż pod sam nos.

- Dostałeś list...

- Jaki list? O niczym nie wiem...

- Nasi przyjaciele przekazali ci pieprzony list. Dali ci szansę, abyś zachował się jak biznesmen, ale z niej nie skorzystałeś. Dlatego od tej pory nie będą już marnować forsy na papeterię. Rozumiemy się?

Izzigil pokiwał głową.

- Od teraz nie będziemy się już cackać. Następnym razem możemy tu zajrzeć, gdy będziesz na górze obsługiwał swoją włochatą starą, a sklepu będzie doglądał twój synalek...

Izzigil znów skinął głową, patrząc ponad ramieniem chłopaka, gdy jego kumpel wolno przechadzał się po sklepie, przewracając regały i stojaki. Zauważył, jak jakiś klient, który miał właśnie wejść do sklepu, zawahał się i ujrawszy, co dzieje się w środku, natychmiast się oddalił.

Chłopak z nożem powoli cofnął się o krok. Przekrzywił głowę i wsunął nóż do tylnej kieszeni dżinsów.

- Za tydzień czy dwa zjawi się tu ktoś, żeby dogadać sprawę - powiedział.

Dłoń Izzigila zacisnęła się na kiju bilardowym. Wiedział, że już za późno, by go użyć, ale i tak ścisnął go w dłoni, gdy dwaj nastolatki wyszli.

Na ekranie powyżej Austin Powers tańczył do piosenki Madonny, gdy Izzigil powoli wyszedł zza kontuaru i podszedł do frontowego okna. Stał przy szybie i rozejrzał się w jedną i w drugą stronę wzdłuż ulicy

- Muslum...?

Izzigil odwrócił się na dźwięk głosu żony i cofnął o krok. Nagle zauważył, że wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta, a kiedy się odwrócił, zobaczył czarny kształt zmierzający w kierunku okna. W tej samej chwili odniósł wrażenie, jakby cały świat eksplodował hałasem, bólem i przeraźliwą kaskadą odłamków szkła.

\*\*

Szli wolno wzdłuż Buckingham Palace Road w kierunku dworca. Była pora lunchu, z barów i kafejek wychodziły tłumy ludzi. Luty dał wszystkim porządnie w kość i Thorne miał na sobie kurtkę zapiętą pod szyję, a obie dłonie wsunął do kieszeni.

- Co u Jacka?

Chamberlain przystanęła na chwilę, by przepuścić przebiegającą tuż przed nią dziewczynkę.

- Stara bieda. - Ruszyli dalej. - Próbuje mnie wspierać, ale tak naprawdę nie chciał, żebym wracała do pracy. Wiem, że martwi się, że biorę na siebie zbyt wiele, ale w domu byłam jak uwięziona. - Przejrzała się w szybie wystawowej, przeczesła palcami włosy - Uprawa ogródka jakoś mnie nie kręci...

- Miałem na myśli te telefony. Ten list...

- O liście nie wie, a większość rozmów, poza jedną, przespał. Powiedziałam mu, że to była pomyłka. - Mocniej otuliła szyję szalikiem. - Teraz nieomal noc w noc wiszę na tym cholernym telefonie. Gorzej jest chyba wtedy, gdy nie dzwoni.

- W ogóle nie sypiasz. To już trwa prawie dwa tygodnie, Carol...

- Odsypiam za dnia. Zresztą i tak zawsze niewiele sypiałam.

- Jaki on ma głos? - spytał Thorne.

Odpowiedziała krótko i zwięźle. Domyślał się, że spodziewała się takich pytań, bo zapewne sama by je zadała.

- Jest bardzo spokojny. Jakby mówił coś oczywistego. Albo przypominał o tym, o czym zapomniałam...

- Akcent?

Przeczący ruch głową.

- Domyślasz się, w jakim może być wieku?

Znow ten sam ruch głową.

- Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale zastanawia mnie, czemu nie powiedziałaś o tym policji.

Już otwierała usta, ale Thorne wszedł jej w słowo.

- Miałem na myśli miejscowych chłopców, Carol. To jakiś świr, ktoś robi ci głupie kawały. Ten ktoś naczytał się kryminalnych pitawali i ma zbyt dużo wolnego czasu.

- On zna szczegóły, Tom. Takie, których nigdy nie ujawniono. Wie o zapalniczce porzuconej na miejscu przestępstwa, zna markę paliwa do zapalniczek, jakiego użyto...

- Wobec tego to ktoś, kto siedział z Rookerem w pace. Rooker polecił mu, aby dał ci popalić, kiedy wyjdzie na wolność.

Pokręciła głową.

- Nie ma powodu, dla którego Rooker miałby kogoś na mnie nasyłać.

Przecież sam się przyznał. A poza tym zawsze mnie lubił.

- Łączyła go z tobą pewna więź. To ty spisałaś jego zeznania. I dlatego właśnie ciebie obrał sobie za cel, a nie osobę prowadzącą śledztwo w tej sprawie.

- Może to dlatego, że byłam drugą w hierarchii osobą związaną ze śledztwem. Nadinspektor prowadzący dochodzenie odszedł ze służby na długo przede mną. Wyemigrował do Nowej Zelandii dziesięć lat temu. Na pewno trudniej byłoby go wytropić niż mnie.

To brzmiało sensownie, ale Thorne owi przyszło na myśl coś jeszcze.

- A może ten ktoś, kimkolwiek jest, wie, że to, co spotkało Jessicę, tobą... wstrząsnęło.

Spojrzała na niego z powagą.

- Skąd ktoś mógłby to wiedzieć? Skąd ty o tym wiesz...?

Szli w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż w końcu jakieś pięćdziesiąt metrów dalej Thorne znów się odezwał.

- Martwiłaś się, że zamknęłaś niewłaściwego człowieka, Carol? Czy o to w tym chodzi?

- Nie. To Gordon Rooker podpalił Jessicę Ciarkę. Wiem, że to był on.

Milczeli, dopóki nie dotarli do dworca.

W połowie drogi przez hol główny zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Nie musisz ze mną czekać. Do następnego pociągu mam jeszcze kwadrans.

- Nic nie szkodzi. Nie spieszy mi się.

- Wracaj do pracy. Wolę побыć trochę sama. Kupię coś do czytania, uporządkuję myśli. Lubię czasem odrobinę samotności. Takie już ze mnie dziwadło.

- Wcale nie.

Cmoknęła go w policzek.

- Prawdziwy z ciebie dżentelmen.

Thorne westchnął i odsunął się od niej.

- Nie wiem, czego właściwie ode mnie oczekujesz w związku ze sprawą. Oficjalnie nie mogę zrobić więcej niż inni.

- Nie chcę, abyś cokolwiek robił oficjalnie.

Dopiero wtedy, pomimo pogodnego tonu i pozornego spokoju, zrozumiał, jak bardzo była tym wszystkim wstrząśnięta. Ostatniej rzeczy, jakiej pragnęła, to tego, by dostrzegli to również jej przełożeni. Nie sądził, by usunęli ją z Wydziału Spraw Zamkniętych, ale w policji było wielu takich, którzy uważali, że w pewnym wieku nie należy pracować i lepiej stać w kolejce na poczcie.

- Jasne - rzekł w końcu Thorne. - Ale przecież mam sporo wolnego czasu, który mogę wykorzystać, jak tylko zechcę.

Chamberlain założyła torebkę na ramię i obróciła się na pięcie.

- Mniej więcej...

Thorne patrzył, jak wchodzi do saloniku prasowego. Wracając do metra, pomyślał o bliznach, które ukrywamy, i o tych, które są widoczne na co dzień. O bliznach tak potwornych, że mogą skłonić kogoś do rzucenia się z dachu naziemnego wielopoziomowego parkingu.



Te pokoje zawsze miały jedną wspólną cechę. Mogły różnić się wielkością i stylem, w zależności od wieku, wystrój zaś wskazywał na możliwości budżetowe i preferencje właścicieli. Jednak zapach był wszędzie jednakowy. Chrom, przyciemnione szkło albo oblażący płatami pomarańczowy tynk. Niezależnie, czy było gorąco, czy zimno jak w psiarni. Nieważne, czy atmosfera była przytulna, czy przeciwnie. Zapach był charakterystyczny, można było go rozpoznać, nawet mając worek na głowie. Thorne mógł pociągnąć nosem i wymenić elementy składowe tej woni niczym wytrawny koneser: zatęchły dym papierosowy, pot i desperacja.

Rozejrzał się dokoła. Tu było po trosze wszystko - świeży aromat magnolii, opary, podsycane przez żar bijący z grzejników, zdawały się mieć trzydzieści centymetrów grubości. Były tu też nowe kolorowe krzesła. Niebieskie dla gości, czerwone dla osadzonych...

Większość krzeseł była zajęta oprócz kilku czerwonych. Czarnoskóra kobieta dwa miejsca dalej zerknęła na niego z ukosa. Miejsce naprzeciw niej było puste. Uśmiechnęła się nerwowo, mrużąc powieki za grubymi szklami okularów, po czym odwróciła wzrok, zanim Thorne zdążył odpowiedzieć uśmiechem. Zobaczył, że kobieta rozpromieniła się, gdy w jej stronę kołyszącym krokiem zaczął się zbliżać młody mężczyzna - zapewne jej syn. Mężczyzna uśmiechnął się, ale zaraz się opanował i rozejrzał dokoła, by sprawdzić, czy nikt nie zauważył, że na moment stracił czujność.

Thorne spojrział na zegarek: dochodziła dziesiąta. Musiał uporać się z tym możliwie jak najszybciej i wrócić do biura. Wcześniej zadzwonił do

konstabla Dave'a Hollanda, jadąc przez Londyn na zachód w kierunku zakładu karnego Park Royal...

- Musisz mnie kryć - rzekł. - Powiedz Tughanowi, że jadę spotkać się z informatorem albo że chcę sprawdzić jakiś cynk, no wiesz, takie tam gliniarskie ścierny...

- Czy dowiem się, co naprawdę pan robi?

- Wyświadczam komuś przysługę. Do lunchu powinienem wrócić, o ile nie będzie korków, to...

- Jedzie pan gdzieś? Kiedy odzyskał pan wóz?

Thorne wiedział, co zaraz nastąpi. Żałował, że tak się sygnął.

- Wczoraj po południu - odparł.

Wspomniany wóz, BMW w kanarkowym kolorze, miał już trzydzieści lat i Thorne rok wcześniej wyłożył sporo grosza, aby go zdobyć. Uważał, że ten pulsarowo żółty wóz to klasyk. Inni woleli określenie „antyk”. Zwłaszcza Holland nigdy nie przegapił okazji, aby mu dociąć, uznając od pierwszej chwili, kiedy go ujrzał, że ten samochód to pomyłka. Auto na dwa tygodnie trafiło do warsztatu, kiedy nie zyskało odpowiednich zezwoleń z Ministerstwa Transportu.

- Ile? - zapytał z uśmiechem Holland.

Thorne zaklął, gdy trafił na czerwone światło. Zaciągnął ręczny hamulec.

- To stary wóz, jasne? Części są drogie.

Nie dość, że sporo kosztowały, to jeszcze było ich piekielnie dużo. Thorne nie pamiętał wszystkich, przypomniał sobie jednak uczucie narastającej rozpacz, gdy przedstawiono mu całą ich listę. Jeżeli chodziło

o to, co działo się pod maską, mechanik mógł rozmawiać z Thor-ne em po serbsko-chorwacku.

- Pięset? - rzucił Holland. - Więcej?

- Posłuchaj, to stara, ale wciąż świetna bryka. Jak jedna z tych leciwych, ale nadal ponętnych aktorek, wiesz, o czym mówię? - Jako że chodziło o BMW, Thorne próbował wyobrazić sobie którąś z niemieckich aktorek pasujących do tego określenia. Nie udało mu się wymyślić ani jednego nazwiska. - Felicity Kendal - rzekł w końcu, ruszając spod świąteł. Tak, ona pasuje jak ulał.

- Ona? - Holland wydawał się szczerze rozbawiony.

- Ona, moja bryka jest jak Felicity Kendal.

- Ludzie, którzy mówią o samochodzie „ona”, są tylko o krok od włożenia staroświeckich rękawiczek samochodowych na zatrzaski i zapalenia fajki...

Kiedy naprzeciw niego zaszurało przesuwane krzesło, Thorne uniósł wzrok i zobaczył Gordona Rookera osuwającego się na czerwone siedzenie. Thorne nigdy nie widział jego zdjęcia ani rysopisu, ale rozpoznał go od razu.

- Czy to miejsce jest wolne? - spytał Rooker, błyskając w uśmiechu złotym zębem.

Miał około sześćdziesiątki i był wysoki. Twarz pociągła, świeżo ogolona. Skóra zwieszała się fałdami z jego szyi, a siwe włosy nad czołem poźółkły od papierosowego dymu.

Thorne skinął głową w kierunku zielonego kombinezonu, który nosił Rooker, podobnie jak wszyscy więźniowie, nałożony na regulaminowy więzienny dres.

- Bardzo twarzowy - powiedział.

- Teraz wszyscy musimy je nosić - odrzekł Rooker. - W niektórych zakładach są używane od wieków, ale wielu naczelników, tak jak ten tutaj, uważa, że takie kombinezony uwłaczają godności więźnia, i dzięki takim przekonaniom są postrzegani jako nowocześni i postępowi, jednak któregoś razu w Gartree jeden z osadzonych odsiadujący dożywocie zamienił się ze swoim bratem bliźniakiem, kiedy nikt nie patrzył, a potem wyszedł z pudła frontowymi drzwiami. Dlatego od tej pory musi być wyraźnie widać, kto jest więźniem, a kto nie, i kiedy mamy gości, wyglądamy jak bachory ze żłobka. Myśli pan, że to wszystko sobie wymyśliłem? - Głos był wyrazisty i radosny. Brzmiał jak głos filozofa z pubu albo komika, zahartowany przez dekady wypalanych dzień w dzień czterdziestu papierosów. Podczas gdy Rooker mówił, Thorne wyjął swoją legitymację. Przesunął ją po stoliku. Rooker nawet na nią nie spojrział.

- Czego pan chce, panie Thorne? - Uniósł prawą dłoń. - Nie, dobra, nieważne, pogadajmy. Jestem pewien, że prędzej czy później przejdzie pan do sedna.

- Jestem przyjacielem Carol Chamberlain.

Rooker przymrużył powieki.

- Nazywała się Carol Manley, kiedy ją poznałeś...

Znów błysnął złoty ząb.

- Czy awansowano ją na komisarza? Zawsze uważałem, że ma odpowiedni potencjał.

Thorne pokręcił głową.

- Przeszła na emeryturę w stopniu nadinspektora. To było siedem, osiem lat temu.

- Przyzwoita z niej babka, wie pan?

Rooker odwrócił wzrok, przypominając coś sobie. Nagle przeniósł go na Thornea.

- Nie dziwię się, że wyszła za męża, była bardzo atrakcyjna. Nadal trzyma formę, co nie? To babka z klasą, zgadza się? - Nachylił się nad blatem. - Lubi pan starsze laleczki?

Bez względu na to, czy ten sugestywny komentarz miał go zdenerwować, czy może raczej zbliżyć do więźnia, Thorne go zignorował.

- Ona bardzo się martwi. Jakiś świr wysyła listy i wydzwania do niej...

- Przykro mi to słyszeć.

- Ktokolwiek to jest, twierdzi, że odpowiada za usiłowanie zabójstwa Jessiki Ciarke. - Thorne spiorunował Rookera wzrokiem, badając czujnie jego reakcję. - Twierdzi, że to on ją podpalił, Gordonie. - Reakcja faktycznie się pojawiła, ale Thorne nie wiedział, co Rookera tak rozbawiło. - Zabawne? - rzucił.

- Dosyć. Jak już mówiłem, żal mi pani Manley czy jak się teraz nazywa, przykro mi, że ktoś ją nęka, ale to zabawne, gdy ktoś dorabia się własnego, osobistego świra, kimkolwiek on jest, no nie?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, kto to taki?

Rooker zatknął kciuki za szelki kombinezonu.

- Ni cholery nie mam pojęcia.

Gdyby Thorne miał się w tej chwili założyć, czy Rooker mówi prawdę, bez wahania wyłuskałby z kieszeni parę funtów.

- Przez lata otrzymywałem wiele listów - ciągnął z uśmiechem Rooker.

- Wie pan, takie napisane zielonym atramentem, których autorzy pisali tak zawzięcie, że aż rozdzierali kartkę piórem. Ludzie ci chcieli, abym im

zdradzał rozmaite szczegóły tego, co zrobiłem, aby trzepać potem przy tym kapucyna lub coś w tym rodzaju. Zdarzyło mi się kilka wariatek, no wie pan, pisujących listy miłosne i wyznających, że chciałyby mnie poślubić...

Sprawa sprzed roku - kiedy Thorne po raz pierwszy spotkał Carol Chamberlain - rozpoczęła się od takiego właśnie listu. Nie był autentyczny, ale wiele innych tak, a Thorne a nigdy nie przestawały one zdumiewać i mierzić.

- Cóż, Gordonie, widać stanowisz niezłą partię.

- Ale to co innego, prawda? To coś jak prześladowca au rebours. Nie może prześladować mnie, więc wybiera kogoś innego, kto był w to wszystko zamieszany, i udaje, że jest mną. Udaje, że zrobił to, co ja uczyniłem...

Thorne uznał, że dość już tej zabawy w kotka i myszkę.

- A zatem on udaje, tak? Bo właśnie w związku z tym tu przyjechałem. Aby mieć pewność.

Luz i zuchwałość powoli wtopiły się w bruzdy i zmarszczki na twarzy Rookera. Jego ramiona obwisły. Głos miał cichy, opanowany, rzeczowy...

- Może pan być pewien. To ja podpaliłem tę dziewczynkę. I właśnie dlatego tu siedzę.

Przez pół minuty Thorne patrzył, jak Rooker wlepia wzrok w blat stolika. Widać było jego czaszkę, różową i pokrytą łupieżem pod siwymi włosami.

- Otóż to. Ale ten świr dość długo czekał. Czemu tak długo tu siedzisz, Gordonie?

Ożywienie powróciło.

- Spytaj pan cholernego sędziego. Ten żalosny dupek pewnie już dziś nie żyje, o ile jest sprawiedliwość na tym świecie - zaśmiał się smutno z własnego żartu. - Choć o sprawiedliwości wiedział tyle co nic.

- To była bulwersująca sprawa - rzekł Thorne. - Od początku było wiadomo, że czeka cię długa odsiadka.

- Nie spodziewałem się, że zostanę potraktowany ulgowo, no nie? Ale niech pan spojrzysz tylko, ilu gnojom dziś uchodzą płazem rozmaite grzeszki. Faceci, którzy pokroili swoje żony, wychodzą na wolność po dziesięciu latach albo nawet szybciej...

Bez cienia współczucia, wiedząc, że Rooker zasłużył na każdą sekundę spędzoną za kratami, Thorne w pełni rozumiał, co więzień chciał powiedzieć. Dwadzieścia lat - okres niepodlegający obniżeniu przy zasądzeniu odbycia kary - to dwa razy więcej niż co najmniej parę „wyroków dożywocia”, jakie przyznano kilku przestępcom schwytanym przez Thorne'a.

- To nie w porządku - rzekł Rooker. - Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat w skrzydle dla więźniów pod szczególnym nadzorem.

Thorne uśmiechnął się drwiąco, słysząc te słowa.

- Wciąż jesteś pod szczególnym nadzorem, Gordonie?

Rooker zamrugał, ale nic nie powiedział.

- Najwyraźniej wciąż jesteś niebezpieczny. Dwadzieścia lat i nadal kategoria B? Chyba nie należałeś do wzorowych więźniów?

- Było kilka incydentów...

- Ale to nieważne, prawda? Już prawie koniec, zgadza się?

- Do dwudziestu lat brakuje już tylko trzech miesięcy...

Thorne odchylił się do tyłu i spojrział w prawo. Czarnoskóra kobieta wychwyciła jego spojrzenie, wyciągając z torebki pomietą chusteczkę. Odwrócił się do Rookera.

- Cóż za zbieg okoliczności, nie uważasz? Jak dobrze się złożyło, że ten facet zechciał się ujawnić i przyjąć na siebie odpowiedzialność za ten czyn.

Rooker pokręcił głową.

- Wątpię. To najlepszy moment, aby zwrócić na siebie uwagę, czyż nie? Kiedy złożę wniosek o wcześniejsze zwolnienie. O możliwość wcześniejszego zwolnienia. Jeżeli ten ktoś uważa, że dzięki temu mnie zwolnią, to jest głupszy, niż przypuszczam.

- Czeka cię komisja?

Rooker pokiwał głową. Po upływie regulaminowej kary komisja do spraw zwolnień warunkowych mogła zlecić ministrowi spraw wewnętrznych wypuszczenie więźnia. Komisja składała się z sędziego, kryminologa lub kuratora sądowego. W przeciwieństwie do zwyczajowej procedury zwolnień wymagała przesłuchania więźnia, który na tę okoliczność mógł przyprowadzić prawnika lub przyjaciela, aby go reprezentował.

- Nie mam żadnych szans - mruknął Rooker. - W ubiegłych latach miałem parę potknięć.

Spojrzał na Thorne a, jakby oczekiwał z jego strony wyjaśnienia lub uspokojenia. Ale nie doczekał się ani jednego, ani drugiego.

- Co mogę zrobić? Bóg mi świadkiem, nie pamiętam, na ilu już byłem terapiach...



- Istotne jest, abyś żałował za swój czyn, Gordonie. - To słowo niemal strąciło Rookera z krzesła. Thorne wychylił się do przodu. - Nie wiedzieć czemu tym ludziom bardzo zależy na skrusze. Lubią, gdy sprawca poczuwa się do winy i żałuje tego, co zrobił. Empatia to podstawa. Chodzi o to, abyś zdawał sobie sprawę z tego, co uczyniłeś swojej ofierze i jej rodzinie. Może oni uważają, że nie żałujesz dość mocno, Gordonie. Co ty na to? Może chcą usłyszeć odpowiedź właśnie na to pytanie? Co z wyrzutami sumienia?

- Sam się przyznałem, co nie? Złożyłem zeznanie.

- To nie to samo.

Skrzypienie krzesła, kiedy Rooker odsunął się wraz z nim od stołu, sprawiło, że Thorne aż się skrzywił.

- Skończyliśmy? - spytał Rooker.

Thorne także odsunął krzesło do tyłu i ponownie spojrzął w prawo, na czarnoskórą kobietę, która szlochała, przyciskając chusteczkę do ust. Wychwycił wzrok mężczyzny siedzącego naprzeciw niej.

Facet posłał Thorne owi spojrzenie, jakby chciał urwać mu głowę gołymi rękami.

Zgodnie z obietnicą Tom Thorne zadzwonił, kiedy tylko opuścił więzienie. Opowiedział pokrótce Carol o swoim spotkaniu z Rookerem. Usłyszała to, co miała nadzieję usłyszeć, lecz wcale jej dzięki temu nie ulżyło. Siedziała za swoim biurkiem w tymczasowym gabinecie, urządzone rok wcześniej przez nią i Jacka w gościnnym pokoju. Był mniej zagracony niż wtedy, większość rzeczy trafiła na szafę albo pod łóżko, pudła zaś poustawiano na starej toaletce. Z sypialni tej korzystano

obecnie zaledwie raz czy dwa w roku, kiedy córka Jacka z pierwszego małżeństwa decydowała się ich odwiedzić.

Jack zawołał do niej z dołu:

- Robię herbatę, kochanie. Napijesz się?

- Poproszę.

Chamberlain nigdy nie umiała zrozumieć swoich kolegów - tych byłych kolegów, którzy twierdzili, że nie pamiętają niektórych spraw. Do łez rozbawiali ją ci, którzy usilnie starali się przypomnieć sobie nazwiska i twarze pewnych gwałcicieli, zabójców lub ich ofiar. Owszem, zapominało się numer sprawy czy kolor auta, ale ludzie pozostawali z nami na zawsze. A przynajmniej tak było w jej wypadku.

Wiedziała, że tak samo było z Tomem Thorneem. Pamiętała, że kiedyś powiedział jej, iż twarze, o których nigdy nie potrafił zapomnieć, to te, których nigdy nie widział. To były twarze należące do zabójców, których nigdy nie udało się schwytać. Przebiegłe oblicza tych, którym się upiekło.

Może ci, którzy twierdzili, że nie pamiętają, wymyślili jakiś sposób na zapomnienie; własną sztuczkę mającą im w tym dopomóc. Jeżeli tak, to pragnęła być bliżej nich, spędzić więcej czasu w knajpach albo indyjskich restauracjach. Może dzięki temu ona również poznałaby ten sekret.

Z jakichś powodów, których nie chciała do siebie dopuścić, wołała nie powracać oficjalnie do sprawy Jessiki Ciarke, by uniknąć niepotrzebnego rozgłosu. Zamiast tego w ramach długu wdzięczności wykorzystwała kilka przysług, odwiedziła Archiwum Główne w Victorii i trochę się tam rozejrzała, podczas gdy stary przyjaciel nie patrzył jej na ręce. Kilka sekund po tym, jak otworzyła pierwszą, wyświechtaną, brązową teczkę, zorientowała się, że doskonale zapamiętała Gordona Rookera. Twarz na

wyblakłej czarno-białej fotografii wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobraziła tamtej nocy, kiedy odebrała pierwszy telefon...

To ja ją podpałilem...

Wciąż widziała tę twarz, tak ją sobie wyobrażała, pomimo że minęło już dwadzieścia lat. Od czasu rozmowy z Thorneem próbowała ją nieco postarzyć, dołożyć siwe włosy i zmarszczki, o których mówił, lecz bez powodzenia.

Uznała, że tak musiała działać pamięć.

Kolega z Wydziału Spraw Zamkniętych, obecnie mężczyzna po sześćdziesiątce, pracował nad sprawą zabójstw w Moors. Powiedział jej, że kiedy myślał o Hindley i Bradym, wciąż widział ich niechlubne zdjęcia, na których byli uśmiechnięci i pewni siebie. Wciąż widział ich głęboko osadzone oczy. Nigdy zaś nie potrafił wyobrazić sobie zgrzybiałego starca i uśmiechniętej ponętnej brunetki.

To może dziwne, ale Carol Chamberlain musiała zapamiętać twarz Rookera. Zrobiła to z pełnym przeświadczeniem o jego winie. To była nielogiczna, absurdałna mieszanka myśli, ale dla niej jak najbardziej sensowna. Jego twarz, którą znała na pamięć, była twarzą mężczyzny, którego widziała klęczącego przy siatce. Jego uśmiechnięta twarz, ta, którą zapamiętała z pokoju przesłuchań, była obliczem mężczyzny, którego widziała zbiegającego radośnie w dół stoku, oddalającego się od szkoły

Silniej niż kiedykolwiek od czasu rozmowy z Thorne'em trzymała się kurczowo tych wspomnień. Oczywiście pojawiły się wątpliwości, a po rozmowie Thorne'a z Rookerem zorientowała się, że on też zdawał sobie z tego sprawę. Wyczuł to. Wątpliwości narastały coraz bardziej w ciemnościach, podczas gdy ona siedziała cała rozdygotana. Pieniły się jak

chwasty, przeciskając się przez szczeliny w betonie i nie pozwalając jej zasnąć.

To ja ją podpałem...

Na szczęście wątpliwości te dogorywały. Zaczęło się to od chwili, kiedy sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do Thorne'a. A teraz Thorne Pojechał, by spotkać się z Rookerem i usłyszeć potwierdzenie z jego ust. Usłyszeć ponownie jego przyznanie się do winy...

Poczuła ulgę, ale nie dość silną, bo choć wspomnienie twarzy Rookera dziwnie ją uspokajało, musiała też pamiętać o Jessice Ciarce.

Chamberlain widziała zdjęcia uśmiechniętej nastolatki o jasnej skórze i ciemnych włosach sięgających poniżej ramion. Wciąż miała przed oczami drżące dłonie rodziców wyjmujące z kredensu fotografie oprawione w ramki, ale twarz dziewczynki, to gładkie, doskonałe oblicze, jakim było kiedyś, aż nazbyt łatwo było zapomnieć.

Usłyszała, że Jack wchodzi na górę z herbatą. Próbowwała odegnać od siebie natrętną wizję.

Zawsze pamiętała Gordona Rookera takim, jakim był, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. I niestety tak samo rzecz się miała ze wspomnieniem Jessiki Ciarce.

Pod wieczór Thorne wsiadł do BMW z o niebo większym entuzjazmem, niż kiedy sadził się w nim jedenaście godzin wcześniej. Wyprowadził wóz z parkingu przy Peel Centre i przez następnych kilka minut jechał jak na autopilocie. Większość uwagi poświęcał znacznie istotniejszej kwestii - doborowi właściwej muzyki. Samochód miał w bagażniku kompakt na sześć płyt, a Thorne raz w tygodniu wymieniał ich skład, kierując się swoim specyficznym gustem i potrzebą wyważenia

nastroju. Zwykle było wśród nich coś z wczesnego country i coś współczesnego, obecnie płytami pierwszą i ostatnią były albumy Hanka Williamsa i Lyle a Lovetta. Pomiędzy nimi znajdowały się składanki, niekiedy ścieżka dźwiękowa do filmu oraz coś z rejonów muzyki alternatywnej - Lambchop albo Calexico. No i jak zawsze jeden z albumów Johnny ego Casha.

Zastanawiał się nad możliwościami. Istotne było, aby dokonał właściwego wyboru, który pozwoli mu przetrwać trzydziestominutową jazdę i dotrzeć do domu w innym nastroju. Potrzebował oderwania od rzeczywistości, zatracenia się w muzyce i choć częściowego rozluźnienia.

Problemem był Tughan...

Kilometr od Hendon Thorne zdecydował się na Unchained. Zanim Cash zaczął śpiewać Sea of Heartbreak, a Thorne rytmicznie uderzać dłońmi o kierownicę, nastrój inspektora znacznie się poprawił.

Zważywszy na to, co musiał przechodzić każdego dnia. I z kim się stykał...

Jechał przez chwilę na wschód, przeciął North Circular i skierował się ku Golders Green.

Thorne stał się z Nickiem Tughanem podczas sprawy prowadzonej cztery lata temu i dziękował wszystkim bogom, w których nie wierzył, kiedy ich drogi w końcu się rozeszły. Podczas gdy Thorne został włączony do nowego zespołu zwanego Grupą do spraw Przepięknych Szczególnych, Tughan zajął się robieniem kariery w S07. I teraz wrócił w związku ze sprawą zabójstw w rodzinie Ryanów, w którym to dochodzeniu miała wspierać go grupa Thorne a. Wrócił, aby znów zatruwać Thorne owi życie. Co więcej, był teraz nadinspektorem.

Choć nie widzieli się przez cztery lata, ich relacje pozostały takie same jak wówczas. Od razu wykazała to wymiana zdań w sali odpraw Becke House.

- Thorne...

- Tughan...

- Zwracajcie się do mnie „sir” albo „szefie”...

- A może „dupku”?

Gdyby oficer dopuścił się naruszenia nietykalności cielesnej innego funkcjonariusza, równego mu lub niższego rangą, sytuacja mogłaby się zrobić nieciekawa. Gdyby natomiast podwładny uderzył przełożonego, łamiąc mu nos lub kość policzkową, gdyby nawet skończyło się na wymierzeniu siarczystego policzka, wpakowałby się w naprawdę nieliczną kabałę. Thorne myślał właśnie, jakie to nieuczciwe, gdy rozległ się sygnał jego komórki. Wziął głęboki oddech, kiedy zobaczył unię dzwoniącego na wyświetlaczu.

- Tom...? - To była ciocia Eileen, młodsza siostra jego ojca. - Posłuchaj, tylko się nie denerwuj...

Thorne słuchał, zerkając w lusterko wsteczne, aż w końcu zjechał na pas dla autobusów. Słuchał, podczas gdy autobusy i taksówki przesuwały się obok niego; nie zwracał uwagi na inwektywy rozsierdzonych kierowców czy hałaśliwe klaksony. Słuchał i najpierw zrobiło mu się niedobrze, potem zaczął się bać, aż w końcu cholernie się wkurzył.

Zakończył rozmowę, zawrócił i przyspieszając z każdą chwilą, skierował się na północ w stronę, skąd przyjechał.

Osmolony ślad ciągnął się w górę ściany za kuchnią i mniej więcej na i pół metra przez szerokość sufitu. Wzorzysta tapeta pokryła się bąblami i

spęczniała w miejscach, gdzie nagromadzony przez lata tłuszcz | zaczął smażyć zaschnięty klej i znajdujący się pod nim tynk. Okna i w kuchni były otwarte od paru godzin, ale panujący tutaj swąd wciąż Ł dawał się wszystkim we znaki.

- Koniec z pieprzonymi frytkami - rzekł Thorne. - Pozbędziemy się wszystkich pieprzonych rondli do frytek i wywalimy z kuchni ca- I ły olej.

Eileen wyglądała na wstrząśniętą. Thorne sądził, że może to wina wulgaryzmu, ale już po chwili zrozumiał, iż chodziło o coś więcej.

- Powinniśmy odłączyć kuchenkę - rzekła. - Albo jeszcze lepiej, ;  
ściągnąć tu kogoś, aby ją stąd wywiózł.

- Zajmę się tym - rzekł Thorne.

- Czemu nie ja?

- Załatwię to.

Eileen wzruszyła ramionami i westchnęła.

- On wie, że nie powinien tu wchodzić.

- Może tymczasem założylibyśmy zamek w drzwiach. - Thorne zaczął kręcić się po kuchni, zaglądnając do szafek i szuflad. - Pewnie był głodny...

Pokiwała głową.

- Przypuszczalnie nie zjadł lunchu. Wydaje mi się, że psioczył na ekspedientkę z Bufetu na Kólkach.

- Nie ma już Bufetu na Kólkach, Eileen.

- Nazwał ją głupią krową. Powiedział, że może sobie wsadzić to cholerne żarcie w swój tłusty tyłek. - Starła się pohamować śmiech, ale widząc, że Thorne nie ma co do tego oporów, także poddała się emocjom.

Kiedy napięcie prysło, oboje stanęli przy blacie, opierając się o niego plecami. Eileen splotła ramiona na piersiach.

- Kto wezwał strażaków? - spytał Thorne.

- On sam, w końcu. Kiedy tylko włączył się alarm pożarowy, nacisnął guzik automatycznego numeru ratunkowego. Chyba w pewnej chwili nie bardzo wiedział, co oznacza cały ten hałas.

Thorne odchylił głowę, by spojrzeć na sufit. Wokół lampy widać było pajęczynę osmolonych pęknięć. Wiedział doskonale, że bywały dni, kiedy jego ojciec nie pamiętał, do czego służą buty.

- Naprawdę musimy się zastanowić, co z tym wszystkim począć, Tom.

Thorne spojrzał na nią. Przez lata Eileen i jego ojciec nie byli ze sobą blisko, odkąd jednak zdiagnozowano u niego alzheimera, stała się jego opoką. Wszystkim się zajmowała i choć mieszkała w Brighton, częściej bywała u ojca Toma w St Albans niż Thorne mieszkający w północnym Londynie.

Poczuł się zmęczony i nieco oszołomiony, jak zawsze wyczerpany połączeniem trawiącej go w takich sytuacjach wdzięczności i poczucia winy

- Ale jak to się stało, że zadzwonili do ciebie? - spytał.

- Chyba twój ojciec podał mój numer jednemu ze strażaków...

Thorne uniósł ręce i głos w wyrazie zdumienia.

- Mój numer jest na wszystkich połączeniach kontaktowych. - Znów przeniósł wzrok w stronę kredensu. - Zarówno domowy, jak i numer komórki.

- Z jakiegoś powodu on zawsze pamięta mój numer. Pewnie jest Prosty...



- A czemu ty zadzwoniłaś do mnie tak późno? Mogłem tu dotrzeć  
Przed tobą.

Eileen podeszła i położyła dłoń na jego przedramieniu.

- Nie chciał, żebyś się martwił.

- Raczej wiedział, że będę na niego wściekły.

- Nie chciał cię martwić i ja też tego nie chciałam. Zanim do ciebie zadzwonili, pożar już został ugaszony. Pomyślałam, że przyjadę tu wcześniej i trochę ogarnę.

Thorne próbował domknąć drzwi kredensu, ale wypaczyły się; choć bardzo się starał, nie udało mu się ich zatrzasnąć.

- Dzięki - rzekł w końcu.

- Powinniśmy przynajmniej o tym pomówić - rzekła. - Moglibyśmy rozważyć różne możliwości. - Wskazała na kuchenkę. - Mieliliśmy szczęście, ale może już czas pomyśleć o umieszczeniu gdzieś twojego ojca. Moglibyśmy się zastanowić nad wyborem najodpowiedniejszego miejsca...

- Nie.

- Boję się, że on może zacząć wędrować i - no wiesz - zgubi się gdzieś. W radiu mówili, że są sposoby na zapobieganie tego typu przypadkom. Mówiono o specjalnych plakietkach. Moglibyśmy załatwić takie plakietki dla twojego ojca i gdyby się kiedyś zgubił...

- Takie rzeczy zakłada się przestępcom, Eileen. Nieletnim. Głównie oskarżonym o napaści i pobicia.

Minął ją i wszedł do holu. Przejrzał się w wiszącym na ścianie lustrze, po czym otworzył drzwi do pokoju i wszedł do środka.

Jim Thorne siedział wychylony lekko do przodu na wyświechtanym brązowym fotelu. Pochylił się nad niskim stolikiem do kawy zasłanym masą części do radiodbiorników, które rozbierał, lecz których nie potrafił później złożyć z powrotem.

- Miałem ochotę na frytki - powiedział. Mówił z silniejszym akcentem niż Thorne, wyższym i bardziej łamliwym głosem.

- Na końcu ulicy dają wyśmienite frytki, na miłość boską...

- To nie to samo.

- Uwielbiasz frytki z tamtego baru.

- Chciałem sam je zrobić. - Uniósł głowę, wykonując gniewny gest trzymanym w dłoni kawałkiem plastiku. - Chciałem, kurwa, sam zrobić sobie frytki, jasne?

Thorne ugryzł się w język. Podszedł powoli do fotela przy kominku i usiadł.

Zastanawiał się, czy właśnie miał do czynienia z sytuacją, kiedy choroba przeszła z etapu pośredniego do zaawansowanego. Może to nie wymagało żadnej formalnej definicji. Może działo się tak, gdy po raz pierwszy chory omal nie doprowadził do własnej śmierci.

- Bzdura - rzucił z głupia frant jego ojciec.

Do tej pory było ciężko, ale jakoś dawali radę. Trudności z kluczami, pocztą i pieniędzmi, dezorientacja w kwestiach czasu i miejsca, obsesje na punkcie zgadywanek i krzyżówek, kompletny brak świadomości, co i kiedy powinno się wkładać, leki na depresję, na huśtawki nastrojów i pełne wulgaryzmów wybuchy wściekłości. Mimo to jego ojciec nie spadł jeszcze na samo dno. Nie próbował pić wybielacza zamiast lemoniady Nie stanowił zagrożenia dla samego siebie. Jak dotąd...

- Wiesz, że nie powinieneś wchodzić do kuchni - rzekł Thorne.

I wtedy padło słowo, które jego ojciec powtarzał w tych dniach najczęściej. W lepsze dni nazywał je swoją zajawką. Słowo, które wyrzucał z siebie, wypluwał lub szeptał, szlochając albo krzycząc, zazwyczaj jednak mamrotał je pod nosem lub syczał przez zaciśnięte zęby w przyływie frustracji.

- Zapomniałem.

- Wiem. I zapomniałeś wyłączyć kuchenkę. A zasady obowiązują nie bez powodu, zgadza się? Co się stanie, jeżeli zapomnisz, że noże są ostre? Albo że woda i toster nie idą ze sobą w parze?

Ojciec nagle uniósł wzrok, a na jego twarzy pojawił się wyraz radosnej ekscytacji.

- Więcej ludzi umiera w swoich domach niż gdziekolwiek indziej - powiedział. - Blisko pięć tysięcy osób rocznie ginie wskutek wypadków we własnym domu lub ogrodzie. Czytałem o tym. Więcej w pokojach niż w kuchni, choć to może wydawać się zastanawiające.

- Tato... - Thorne ujrzał na twarzy ojca wyraz głębokiej zadumy, gdy stary mężczyzna zaczął nagle wyliczać na palcach.

- O ile dobrze pamiętam, na pierwszym miejscu są nieszczęśliwe wypadki. Potem porażenie prądem. Pożary, ma się rozumieć. Zadławienia, uduszenia, wypadki podczas majsterkowania...

- Czemu nie podałeś im mojego numeru, żeby do mnie zadzwonili?

Jego ojciec kontynuował wyliczankę, ale teraz już bezgłośnie. Jakies pół minuty później przestał i zajął się na powrót grzebaniem w częściach radiowych walających się na stoliku. Thorne obserwował go przez chwilę.

- Zostanę na noc - powiedział.

Staruszek uśmiechnął się i wstał. Sięgnął do kieszeni i wyjął pomięty banknot pięciofuntowy. Pomachał nim Thorne owi pod nosem.

- O, masz. To są, te... no... - Zamknął oczy, szukając właściwego słowa. - Za to kupuje się różne rzeczy.

- Po co ci pieniądze?

- Pieniądze!

- Po co ci one?

- Żebyś poszedł do baru na rogu i kupił frytki dla nas obu. Przecież w dalszym ciągu nie jadłem jeszcze obiadu...

Leżał w ciemnościach, czuwając, i myślał o podpalonej dziewczynce.

Nigdy tak naprawdę nie przestał o niej myśleć z tego czy innego powodu, ostatnio jednak z oczywistych przyczyn coraz częściej zaprzętała jego myśli. Barwy i wonie, które ze zrozumiałych względów wyblakły przez lata, nagle znów zaczęły się stawać żywe i soczyste, wyrazistsze niż kiedykolwiek od czasu tamtego zdarzenia. Choć wtedy miał zaledwie parę sekund, aby ogarnąć to wszystko, kiedy płomienie buchnęły wysoko w górę, musiał się szybko wycofać, zbiegając po zboczu w stronę miejsca, gdzie zostawił auto. Poruszał się niemal tak szybko jak tamta dziewczynka.

Całą resztę - twarz dziewczynki i co tam jeszcze - uzupełnił już później, po wszystkim. Widział ją okutaną w bandażu na pierwszych stronach wszystkich gazet i na ekranach telewizorów. Później widział, jak wyglądała już po zdjęciu bandażu; nie sposób było określić, jak jej twarz prezentowała się wcześniej.

To zabawne, pomyślał. Cóż za ironia. Gdyby zobaczył jej twarz tamtego dnia, na boisku, zorientowałby się, że to nie ta. Później, rzecz jasna, nikt nie mógłby jej już z nikim pomylić.

Zaczął przysypiać. Myśli odpływały, robiąc miejsce bardziej mglistym obrazom i odczuciom...

Przypomniawszy sobie, jak zatrzepotała rękoma na chwilę przed tym, nim zaczęła biec, jakby odganiała atakującą ją osę. Przypomniawszy sobie tupot podeszew jej butów na boisku, kiedy odwrócił się i zaczął schodzić w dół. Pamiętał, że poczuł się jak skończony idiota, kiedy uświadomił sobie, że podpalił nie tę dziewczynkę, którą należało.

Thorne przez większość nocy wił się na nylonowym prześcieradle, zapadając się w przesadnie miękki materac w gościnnej sypialni u swego ojca i podciągając kołdrę, która zsuwała się z niego, bo łóżko było ciut nierówne. Czuł się, jakby przed chwilą zasnął, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że minęło już wpół do dziesiątej. W tej samej chwili, gdy poczuł ogarniającą go panikę, przypomniał sobie, że ubiegłego wieczoru zadzwonił do Brigstocke a, by powiadomić go, co się stało. Nie spodziewali się go dziś w biurze.

Sięgnął po włączoną i dzwoniącą właśnie komórkę leżącą na stercie jego rzeczy przy łóżku. Bolał go kark, a ramiona miał zziębnięte na kość.

Dzwonił Holland.

- Jestem w wypożyczalni kaset wideo w Wood Green - powiedział. - Mamy tu dwa ciała, jeszcze ciepłe. I to nie jest tytuł jednego z filmów, jakie można tu wypożyczyć.

Umundurowany konstabl, który jako pierwszy zjawił się na miejscu, siedział przy małym stoliku na zapleczu, obok nastolatka. Ten, jak uznał

Thorne, musiał być synem Musluma Izzigila. Thorne patrzył na nich od drzwi. Nie potrafił określić, który z tych dwóch wygląda na młodszego albo bardziej wstrząśniętego.

Holland stanął obok Thorne a.

- Chłopak wybiegł na ulicę, kiedy ich znalazł. Konstabl Terry jadł akurat śniadanie w kafejce naprzeciwko. Usłyszał krzyki chłopca.

Thorne pokiwał głową i powoli, cicho zamknął drzwi. Wrócił do sklepiku, gdzie wokół ciał pospiesznie ustawiono parawany. Zespół techników działał szybko i sprawnie, ale Thorne słyszał jedynie towarzyszące tym czynnościom przesycone czarnym humorem komentarze, choć nawet one w tym wypadku wydawały się nieco wymuszone. Ścigał seryjnych zabójców - wiedział, że atmosfera na miejscu zbrodni jest zazwyczaj przesycona szacunkiem, wręcz strachem wywoływanym obecnością kolejnej ofiary. Ale w tym wypadku mieli do czynienia z czymś innym. To niemal na pewno było zabójstwo na zlecenie. Mimo to w pomieszczeniu panowała dziwna aura. Może wynikało to z faktu, że były dwa ciała. Męża i żony.

- Gdzie był chłopak, kiedy to się stało?

- Na górze - odparł Holland. - Szykował się do szkoły. Nic nie słyszał.

Thorne pokiwał głową. Zabójca użył broni z tłumikiem.

- Ten jest mniej szpanerski niż X-Man - dodał.

Muslum Izzigil siedział pod ścianą pomiędzy regałem z filmami dla dzieci a tekturowym standem przedstawiającym naturalnej wielkości Larę Croft. Głowę przechylił w bok, oczy miał wytrzeszczone, wzrok niewidzący Cienka strużka krwi spływała z jego potylicy po świeżo ogolonych obwisłych policzkach, wsączając się w kołnierzyk białej

nylonowej koszuli i barwiąc go na różowo. Ciało żony leżało twarzą do podłogi, w poprzek jego nóg. Krwi było niewiele i tylko mały osmalony otwór za uchem zdradzał, co się tu wydarzyło. A przynajmniej pewną część tej historii...

Które z nich zginęło pierwsze? Czy zabójca zmusił męża, by patrzył na śmierć żony? A może umarła tylko dlatego, że próbowała go ocalić?

Thorne oderwał wzrok od ciała. Dostrzegł niewielką kamerę w kącie sklepienia.

- Jak przypuszczam, nie ma co się łudzić?

- Niestety - przyznał Holland. - Magnetowid nietrudno znaleźć. Jest pod ladą. Zabójca zabrał taśmę.

- Aby mieć co pokazać wnukom...

Holland ukląkł i wskazał ołówkiem na kark martwej kobiety.

- Dwudziestkadwójka, zgadza się?

Dopiero wtedy Thorne zauważył, gdzie zebrała się krew. Otaczała jej szyję niczym najdelikatniejsza kolia, ale utworzyła lepka kałużę pomiędzy jej podbródkiem a szarą firmową wykładziną.

- Na to wygląda - odparł. I skierował się na zaplecze. Tam, gdzie czekała go najtrudniejsza rozmowa...

Konstabl Terry poderwał się na nogi, kiedy Thorne wszedł do środka. Thorne machnięciem ręki nakazał mu usiąść.

- Jak się nazywa chłopak?

Tamten sam odpowiedział.

- Yusuf Izzigil.

Thorne uznał, że chłopak ma z siedemnaście lat. Pewnie świetnie się uczy. Krótkie czarne włosy miał postawione na żel, starał się też chyba

zapaść wąsik. Histeria, o której wspomniał Holland, ustąpiła miejsca wyciszeniu. Yusuf milczał, wydawał się spokojny, ale w kącikach jego oczu wciąż wzbierały łzy, które ocierał raz po raz wierzchem dłoni.

Znów się odezwał, nie czekając na żadne pytanie:

- Szykowałem się na górze. Ojciec zawsze schodził na dół parę minut po ósmej, żeby zająć się taśmami, które zwracano nam w nocy do skrzynki. Matka po przygotowaniu śniadania zawsze mu pomagała -mówił bardzo dobrą angielszczyzną, powoli, bez śladu obcego akcentu.

Thorne zdał sobie nagle sprawę, że brązowy sweter i szare spodnie były rodzajem mundurka, a chłopak uczęszczał do prywatnej szkoły.

- A więc nic nie słyszałeś? - spytał Thorne. - Żadnych podniesionych głosów?

Tamten pokręcił głową.

- Słyszałem dzwonek, kiedy ktoś otworzył drzwi, ale nie było w tym nic niezwykłego.

- Nie było na to trochę za wcześnie?

- Często odwiedzają nas klienci w drodze do pracy, żeby odebrać film zwrócony przez kogoś poprzedniego wieczoru.

- Coś jeszcze?

- Potem poszedłem do łazienki. Puściłem wodę. Gdyby nie to, może coś bym usłyszał. - Uniósł dłoń do twarzy i przetarł ją energicznie. - Mieli broń z tłumikiem, zgadza się?

To, co powiedział, zabrzmiało dziwnie. Thorne zastanowił się, czy chłopak nie wiedział więcej, niż mówił, a może po prostu oglądał za wiele tandetnych brytyjskich filmów gangsterskich, których jego ojciec miał sporo na półkach.



- Skąd przypuszczenie, że było ich kilku, Yusufie?

- Tydzień temu przyszło tu dwóch chłopaków. Ojciec mówił, że byli w moim wieku. Próbowali go zastraszyć.

- Co zrobili?

- Żałosne teksty, pogroźki. I przynieśli psią kupę w pudełku na kasetę wideo. Wrzucili kosz na śmieci przez okno wystawowe. - Wskazał w stronę frontowej części sklepu, gdzie gruba czarna zasłona przesłoniła szybę z grubego szkła i drzwi wejściowe, ukrywając przed widokiem gapiów to, co działo się w wypożyczalni.

- Ale zaczęło się od listu. Ojciec go zignorował.

- Zatrzymał ten list?

- Matka gdzieś go schowała. Ona nigdy niczego nie wyrzuca.

-Chłopak uświadomił sobie, co powiedział, i powoli zamrugał. Dłoń uniesiona do twarzy znieruchomiła przy niej na dłużej niż dotychczas.

Thorne przypomniał sobie tabliczkę przy wejściu. „Obiekt pod nadzorem kamer”.

- Czy twój ojciec nagrał to zdarzenie? Czy nagrał tych dwóch chłopaków?

- Chyba tak. Nagrywał wszystko, ale nagranie raczej się nie zachowało.

Thorne posłał mu pytające spojrzenie.

- Używał na okrągło tych samych taśm - odparł Yusuf. - Wymieniał je sześć razy na dzień i nagrywał na nich cały czas. Wciąż starał się oszczędzać, ale ten numer z taśmami był naprawdę głupi, zwłaszcza że przecież handlowaliśmy kasetami. Ale on wciąż starał się oszczędzać pieniądze...

Chłopak zwiesił głowę. Nie potrafił już ocierać łez płynących z jego oczu, dłonie spoczywały zaciśnięte na blacie.

- Nie jesteś dzieckiem, Yusufie - rzekł Thorne. - Jesteś zbyt bystry, więc nie będę wciskał ci kitu. - Spojrzał w stronę parawanów i tego, co się za nimi znajdowało. - Tu nie chodzi o sprzeczkę, romans czy niezapłacony rachunek. Nie obiecuję ci, że dopadnę tego, kto to zrobił, bo nie wiem, czy to mi się uda. Ale na pewno będę się starał.

Thorne czekał, jednak chłopak nie uniósł wzroku. Skinął lekko głową do Terry'ego, który wstał i objął Yusufa ramieniem. Konstabl powiedział coś, kilka cichych słów pocieszenia, kiedy Thorne zamknął za sobą drzwi.

Wrócił do sklepika, by ujrzeć, jak czarny parawan odsuwa się zamaszyście i niby kiepski aktor wyłania się zza niego nadinspektor Nick Tiighan.

- Świetnie. Co tutaj mamy? - Tughan był chudym jak tyka Irlandczykiem o dość wąskich wargach. Krótkie jasne włosy miał zawsze czyste, a kołnierzyki koszul pod drogimi garniturami śnieżnobiałe. -Kto mnie wprowadzi...?

Thorne uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

„Ja, o ile dasz mi szansę, złamasie”.

Ucieszył się, gdy zobaczył, że Holland podchodzi, by go w tym wyręczyć. I choć było to niewdzięczne zadanie, konstabl wiedział, że zasłużył tym sobie na piwo. Szklaneczka browaru wydawała się kusząca nawet o jedenastej przed południem. Wraz z Izzigilami w małej wypożyczalni było dwanaście osób, a w połączeniu z ciepłem lamp, z których korzystali technicy, w pomieszczeniu szybko zrobiło się jak w saunie. Aby zaczerpnąć świeżego powietrza, Thorne podszedł w stronę

drzwi, gdy zza parawanu wyłonił się ktoś jeszcze. Postać była od stóp do głów ubrana na czarno.

- Co się z tobą stało wczoraj wieczorem? - rzucił Hendricks.

Thorne westchnął. Na śmierć zapomniał, by zadzwonić do Hendricksa i powiedzieć mu, że zostanie na noc u ojca.

- Opowiem ci później...

- Wszystko gra?

- Tak... kłopoty z ojcem... to wszystko.

- Nic mu nie jest?

- Dał mi nieźle popalić...

- Nie zmrużyłem oka. Powinieneś był zadzwonić.

- Och, to doprawdy słodkie - rozległ się głos Tughana. Nadinspektor stał nad zwłokami Musuluma i Hani Izzigilów, uśmiechając się słodko i drwiąco zarazem. - Tak, to naprawdę wzruszające, że się o ciebie martwił...

Jeszcze dziesięć minut później w Thornie gotowała się krew, kiedy Holland wyszedł za nim na ulicę przy wejściu do wypożyczalni.

- Gdyby można było jakoś rozwiązać tę sprawę...

- Można - odparował Thorne. - Trzeba tylko rozwalić tę szuję.

- Ale on miał rację. To było wzruszające...

Thorne odwrócił się gotowy upuścić nieco pary, ale szeroki uśmiech na ustach Hollanda sprawił, że mina nieco mu zrzędła. Zrobił głęboki wydech i oparł się o szybę przy wejściu do sklepu.

- Marnie wyglądasz, Dave.

Thorne przez ostatnie lata widział, jak detektyw konstabl Dave Holland dorasta i dojrzewa do chwili, kiedy przyszła na świat jego córka.

I.J Ostatnio znacznie skrócił gęste, kręcone, jasne włosy, przez co wyglądał nieco poważniej, a zmarszczki wokół oczu jeszcze to wrażenie pogłębiały. Thorne wiedział, że niewielu policjantów miało gładkie, nieskażone złem oblicza. Ci, którym się udało, mieli szczęście albo nie przykładali się do pracy, a Holland nie należał ani do jednych, ani do drugich. W ubiegłym roku ocalił Thorne owi życie w okolicznościach tak mrocznych, intymnych i pokręconych, że rzadko o tym rozmawiali od czasu związanego z tą sprawą procesu.

- Padam z nóg - rzekł Holland.

Thorne zwrócił uwagę na rudawy zarost na bladych, nieco zapadniętych policzkach konstabla. Może te zmiany brały się nie tyle z doświadczenia, ile z odpowiedzialności. Kilka lat wcześniej, a zwłaszcza w okresie ciąży jego dziewczyny, Hollandowi brakowało jednego i drugiego.

- Chodzi o dziecko?

- O Sophie - odparł Holland. - Pewnie to kwestia hormonów czy czegoś w tym rodzaju, ale trzy, a nawet cztery razy w ciągu nocy domaga się, żebym uprawiał z nią seks!

- Co takiego?

- Oczywiście, że chodzi o dziecko! Co z pana poczuciem humoru?

- Sam też kiepsko sypiam. Ostatniej nocy nocowałem u ojca.

- Przepraszam, zapomniałem. Co u niego?

- Chyba prędzej wpędzi mnie do grobu, zanim sam przeniesie się na tamten świat. To znaczy zanim sam się zabije.

Po drugiej stronie ulicy zebrała się gromadka gapiów, którzy obserwowali wchodzących i wychodzących z wypożyczalni. Kafajka, skąd

Przybiegł konstabl Terry zaniepokojony krzykami, stała się obecnie doskonałym punktem obserwacyjnym. Właściciel krzątał się radośnie, Podając kawę i ciastka tym, którzy zechcieli zająć miejsce w ogródku i obserwować bieg wydarzeń.

Od jak dawna palisz? - spytał Thorne. Sam nie palił od dawna, a'e był gotów zabić za papierosa.

- Chyba od narodzin dziecka. Miałem do wyboru, fajki albo heroina...

- No to jesteś we właściwym miejscu...

Na północ od Finsbury Park Green Lanes przechodziło w Harringay Ladder. Przepatrując tę okolicę, właśnie w tym momencie, łatwo było się zorientować, że to miejsce, pełne mniejszych i większych sklepików, było jednym z najbardziej ruchliwych i zróżnicowanych etnicznie obszarów Londynu. Oczywiście, to nie tłumaczyło obecności uzbrojonych policjantów na ulicach. Po zacieklej strzelaninie na jednej z tych ulic pół roku temu na asfalcie pozostały trzy trupy i coś jeszcze. Teraz nie było już wątpliwości co do jednego: Harringay to teren działań gangów obracających się wśród społeczności narodowości tureckiej. Według danych służb wywiadowczych kontrolowały one trzy czwarte z siedemdziesięciu ton heroiny przechodzącej każdego roku przez Londyn. I zawzięcie broniły swoich inwestycji.

- Czy Tughan myśli, że chodzi o prochy?

Holland nie słuchał.

- Przepraszam...?

Thorne wskazał na wypożyczalnię.

- Izzigilowie. Czy nasz ekspert od gangów uważa, że to element walki o wpływy?

- Właściwie sądzi, że to robota Ryanów.

- Co?

- Jego zdaniem, to wiadomość od Billy ego Ryana do kogoś, kto rozwała jego chłopców. Określił to mianem „deklaracji”!

- Ciekawa teoria - mruknął Thorne. - Na jakiej podstawie ją wysnuł?

- Nie mam pojęcia. Ale on wydaje się bardzo pewny siebie. -Thorne zamknął oczy, gdy kłęb dymu z papierosa Hollanda omiół jego twarz. - Choć pod pewnym względem to całkiem sensowne.

- Co?

- Ryanowie zawsze pierwsi, przed nami, wiedzieli, kto na nich czyha.

Thorne patrzył, jak dwóch funkcjonariuszy niosących worki na zwłoki przesuwa się w stronę drzwi. Najwyraźniej Hendricks zakończył wstępne oględziny. Thorne ruszył za tamtymi, aby wrócić do sklepu, a mijając Hollanda, rzucił półgłosem:

- Posłuchaj... co się tyczy tego, że Hendricks mieszka na razie u mnie... Czy chłopaki zaczynają już sobie żartować na ten temat?

Holland zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. A potem wybuchnął śmiechem, tak gwałtownie, że aż zaczął kasłać.

Thorne spędził trzy lata w Peel Centre w Hendon, a to, że zaznajomił się z tym miejscem, zwłaszcza z Becke House, zaowocowało uczuciem głębokiej pogardy. Budynek, trzypiętrowy klocek piaskowego koloru, usytuowany pośród paskudnego krajobrazu, mieścił niegdyś koszary dla rekrutów. Sale z łózkami przerobiono na gabinety i pomieszczenia służbowe, ale wciąż napotkać można tu było kadetów z Metropolitan Police kwaterujących w sąsiednim budynku należącym do tego samego kompleksu.

Thorne a zawsze dziwiło, że Grupa do spraw Przepstw Szczególnych miała bazę akurat tu, o rzut kamieniem od szkoły kadetów. Pamiętał, jak któregoś popołudnia, blisko rok temu, zamknąwszy swój samochód, odwrócił się i wpadł na umundurowanego kadeta. Wcześniej przez kilka godzin próbował tłumaczyć starszej kobiecie, dlaczego jej zięć zarabiał siekierą jej córkę i wnuki. Na widok wyrazu twarzy Thorne a kadet zamarł jak wryty, urywając zwyczajową radosną formułkę Powitania, a z jego gładkich policzków odpłynęła krew...

Spotkanie odbywało się w gabinecie, który Russell Brigstocke niechętnie dzielił z Nickiem Tughanem. Zespół S07 stacjonował w przyczepach kempingowych w Barkingside, gdzie Tughan i jego ludzie spędzali sporo czasu, jednak odkąd połączona operacja została puszczona w ruch, często pojawiali się oni na trzecim piętrze centrali Becke House. Holland i detektyw konstabl Andrew Stone urzędowali obecnie w Jednym gabinecie z dwoma konstablami z Grupy do Spraw Zwalczenia Przepępczości Zorganizowanej, pozostawiając trzeci gabinet dla Thorne'a i inspektor Yvonne Kitson. Ta ostatnia spędzała dużo czasu w sali odpraw, gromadząc informacje przy współpracy sierżanta Samira Karima i ich odpowiedników z S07. Dlatego zazwyczaj Thorne miał cały gabinet tylko dla siebie.

- Jasne - rzekł Tughan. - Gra się zaczęła. Myślę, że mamy wojnę..

Irlandzki akcent Tughana oscylował między ckliwym a skrzekliwym.

Dziś przenikał Thorne'a na wskroś. Przywodził na myśl skrzywienie krzesła przesuwanego przez Gordona Rookera w pokoju odwiedzin w zakładzie karnym.

Tughan oparł się o biurko, na próżno starając się ukazać podwładnemu swoją wyższość. Uniósł w dłoni plastikową torebkę z kawałkiem kartki w środku.

- To znaleziono wśród papierów denata. Zrobiłem dla was odbitki.

Brigstocke i Kitson odebrali już swoje, a Holland, Stone i Thorne podeszli, aby wziąć z biurka po egzemplarzu.

- List nie ma daty - ciągnął Tughan - ale zgodnie z tym, co usłyszeliśmy od syna, został dostarczony do rąk własnych przez posłańca pięć albo sześć tygodni temu.

- Spóźniony prezent gwiazdkowy... - rzekł żartobliwie Stone, jak zawsze nieco zbyt niefrasobliwy.

Tughan zignorował go i mówił dalej:

- Wszystko to już znamy. Ten list jest nieco subtelniejszy niż inne, z jakimi mieliśmy do czynienia, mówi głównie o niebezpieczeństwach czyhających na nowych przedsiębiorców. Ale tak naprawdę opiera się na prostym schemacie ochrony. Jedyne problem polega na tym, że trafił do rąk kogoś, kto już miał zapewnioną ochronę. Oni tego nie przewidzieli.

- Oni - wtrącił Thorne - czyli Billy Ryan.

- O ile mi wiadomo, tak.

- O ile ci wiadomo?

Tughan uśmiechnął się pod nosem i odwrócił od Thorne'a.

- Zakładamy, że ten list został napisany przez kogoś z rodziny Ryanów lub przestępców, którzy są z nią związani.

Thorne nie powiedział tego na głos, ale miał pewne wątpliwości. Listów z pogrózkami nie pisało się zwykle na markowym papierze



listowym. Skąd Tughan mógł mieć pewność, że ten list przysłał ktoś z rodziny Ryanów?

Thorne wychwycił wzrok Brigstockea, ale nadinspektor nie utrzymał długo tego kontaktu. Zgodnie ze swoim nastawieniem wolał trzymać głowę opuszczoną, dopóki cały zespół S07 nie wróci do swego rewiru. Thorne żywił sporo szacunku dla Brigstockea, który był twardy i zdyscyplinowany, tkwiąc jak między młotem a kowadłem pomiędzy tymi, co znajdowali się nad i pod nim, a jednak bywał irytujący, jeżeli chodziło o niewychylanie się i ogólną potulność. Thorne doskonale zdawał sobie sprawę, że przez swój charakter, któremu brakowało powyższych cech, często pakował się w spore kłopoty...

Yvonne Kitson zazwyczaj nie miała oporu przed wyrażaniem szczerze tego, o czym myślała.

- Przysłali list z pogrózkami. Nasłali paru oprychów, aby wrzucili przez okno wystawowe kosz na śmieci. A potem mieliby zabić właścicieli?

Holland uniósł wzrok znad listu.

- Tak, to dość zastanawiająca eskalacja przemocy.

- Nie ma w tym nic skomplikowanego - rzekł Tughan. Jego uśmiech był zdecydowanie protekcyjny. - To typowy przykład kampanii zastraszania. Mogło się zrobić paskudnie, ale na pewno nikt nie posunąłby się do zabójstwa. Nagle jednak Ryanowie odkryli, że wypożyczalnia była pod ochroną tych samych ludzi, którzy byli odpowiedzialni za zabójstwo Mickeya Claytona i innych. Tych samych ludzi, którzy opłacili X-Mana.

- Cóż za zbieg okoliczności, nieprawdaż? - rzucił Holland.

Tughan tylko na to czekał.

- Nie sądzę...

- To przez ten list - rzekł Thorne. - Od niego wszystko się zaczęło.

- Najprawdopodobniej - Tughan nie mógł pohamować irytacji, że odebrano mu koronny argument w tej przemowie. - Choć właściwie nieistotne, od czego się zaczęło...

Thorne poszedł za ciosem, aby wbić Tughanowi kolejną szpilkę.

- Ktokolwiek chronił interesy Izzigilów, potraktował próbę ingerencji Ryanów jako poważną obrazę.

- Poważną obrazę? - wtrącił Holland. - Delikatnie powiedziane. Zabili czterech najlepszych ludzi Billy ego Ryana.

Brickstocke zgodził się z tym.

- A co ze zwykłym łamaniem nóg jak kiedyś?

- Teraz nie chodzi już tylko o terytorium - rzekł Thorne. - Ale o coś więcej. Zapewne zawsze o to chodziło. Zakładamy, że to Turcy, zgadza się? Ci, co zaatakowali Ryanów...

- Niczego nie zakładamy - odrzekł Tughan. - To, że atak nastąpił w tureckiej wypożyczalni wideo, może nic nie znaczyć.

- Może i nie, to fakt. Ale ja uważam, że to istotne.

- NCIS nie przekazało żadnych informacji.

- Oni nie są nieomylni. Przypuszczalnie chodzi o kogoś nowego. Może jakiś odłam istniejącego już gangu.

- Przyznaję, to teren Turków, ale może jakieś inne grupy próbowały szczęścia.

- Byliby głupcami, gdyby się na to zdecydowali.

- Ryanowie się odważyli.

- To fakt - przyznał Thorne. -1 spójrzcie, jak to się dla nich skończyła

Tughan uznał nagle, że fizyczna bariera pomiędzy nim a Thorneem to doskonały pomysł. Przeszedł za biurko i usiadł w fotelu. Spojrzał na komputer, jakby z zamyśleniem, ale Thorne stwierdził, że tamten myślał raczej o rozbiciu ich małej grupki.

- Po jednej stronie mamy w tym wszystkim Ryanów, zgadza się? -ciągnął Thorne, zanim Tughan zdążył wejść mu w słowo. - Jeżeli założyć, że po drugiej jest jakaś bliżej nieokreślona turecka operacja, wszystko zaczyna mieć sens. Młody gang próbujący zakotwiczyć jakoś na nowym terenie nie zadzierałby z wielkimi tureckimi gangami, które od dawna zadomowiły się tu na dobre. O ile komuś życie miłe, ma się rozumieć. Wystarczy, że taki gang zacznie się mieszać w ich hero-inowe interesy i będzie po nim, zgadza się?

Jeżeli ktoś miał w tej kwestii inne zdanie, zatrzymał je dla siebie.

Jeśli chcesz ugruntować mocno swoją pozycję, warto rzucić rękawicę komuś innemu. Komuś niezwiązanemu z lokalnym biznesem czy miejscowym terenem - kontynuował Thorne. Kiedy przy wejściu do wypożyczalni podrzucono ten list, ktoś uznał, że to doskonała okazja, by rozwinąć skrzydła w całkiem innym kierunku, wysłać okolicznym gangom wiadomość, nie zyskując równocześnie w zamian niczyjego wsparcia. Ten ktoś najwyraźniej uznał Ryanów za łatwy cel.

Tughan wpisywał coś. Uniósł wzrok znad ekranu komputera i uśmiechnął się.

- Ktoś powinien powiedzieć to Billyemu Ryanowi.

Na ustach Yvonne Kitson pojawił się cień uśmiechu.

- I Izzigilom...

- Kto to może być? - wtrącił Stone. - Jeżeli chcemy powstrzymać wojnę, musimy wiedzieć, kto z kim walczy

Tughan nacisnął klawisz i odchylił się nieco do tyłu.

- Myślę, że inspektor Thorne ma rację, sugerując, że mamy tu do czynienia z Turkami lub może Kurdami. Mam kontakt z biurem NCIS, a konkretnie z wydziałem do walki z narkotykami...

Thorne pokręcił głową.

- Już mówiłem, że moim zdaniem nie chodzi tu o narkotyki. Tylko o włożenie na chana na czyjeś terytorium.

- Tak się to dziś nazywa? - spytał Brigstocke. - Chyba nie byłem na tym wykładzie.

Thorne uśmiechnął się.

- Widziałem parę filmów Guya Ritchiego.

Tughan nieznacznie uniósł głos i zjeżył się jak zawsze, gdy w sali odpraw zapanował gwar.

- Jestem pewien, że szybko odkryjemy, z jakim gangiem mamy tu do czynienia. Znajdziemy coś, co łączy ich z wypożyczalnią wideo, a może przywódcy tureckiej społeczności w tym rejonie podsuną nam jakiś trop...

- Tylko ci, którym życie nie miłe - powiedział Brigstocke.

- Tak czy inaczej, sytuacja jest o wiele wyrazistsza niż dotychczas. - Tughan wymachiwał trzymanym w dłoni listem z pogrózkami, który mógł okazać się przyczyną co najmniej sześciu zgonów. - Dokonaliśmy dziś prawdziwego przełomu.

Thorne w jednej chwili sposepniał. Przypomniawszy sobie parę ciemnych załzawionych oczu zaczerwienionych od płaczu.

Dokonaliśmy prawdziwego przełomu...

Wątpił, aby Yusuf Izzigil był tego samego zdania.

Wracali z restauracji w kompletnej ciszy.

Jack jak zawsze prowadził z dozwoloną prędkością, a volvo sunęło ulicami, śliskimi jeszcze po niedawnej, wieczornej ulewie. Odbywali tę krótką przejażdżkę co najmniej raz w miesiącu, niekiedy częściej, gdy należało uczcić urodziny lub którąś rocznicę.

Zawsze to Jack siedział za kółkiem, po wypiciu nieodmiennie jednego małego piwa, kiedy czekali na stolik, oraz kieliszka wina do kolacji.

- Jesteś na mnie zły? - spytała w końcu Carol.

- Nie wygłupiaj się. Martwiłem się tylko.

- Zupełnie jakbym zepsuła ci wieczór.

- Nic na to nie mogłaś poradzić. Na to, co się stało, rzecz jasna. Nie zepsułaś mi wieczoru.

Carol odwróciła się od niego i wyjrzała przez szybę. Wciąż czuła w gardle smak wymiocin. Instynktownie przyjrzała się sobie, by upewnić się, że nie ma zabrudzonej bluzki.

- Chyba coś cię bierze - wtrącił Jack. - Zadzwońię po lekarza.

Pokiwała głową, nie odwracając wzroku od rysy na szybie i ciemności przesuwającej się za oknem.

To się stało nagle, kiedy jadła spaghetti, żar pojawił się i owładnął nią niespodziewanie. Był tak silny, że musiała rzucić widelec i pobiec do toalety. Wyszła stamtąd dziesięć minut później blada, uśmiechając się pod nosem, ale ten uśmiech nie zmylił nikogo, ani kierownika, który zaproponował, że wezwie lekarza i zapewnił, iż posiłek był na koszt firmy, ani tym bardziej jej męża.

Jack wzruszył ramionami do kelnerów i czekał. Ujął ją za ramię.

- Daj spokój, kochanie. Jesteś blada jak ściana. Trzeba coś z tym zrobić...

Carol doskonale wiedziała, na czym polegał kłopot. To był pierwszy fizyczny symptom wirusa, który krył się w niej, czekając, aby móc zacząć się mnożyć od dnia, kiedy oddała swoją służbową legitymację. Próbowiała to jakoś ignorować, ale nieznana reakcja na coś zmusiała ją, by zadała sobie pytanie.

Czy przestałam być policjantką wewnątrznie?

Znała odpowiedź. Praca w Wydziale Spraw Zamkniętych to małe miki, zabawa w porównaniu z tym, co robiła dotychczas. Teraz czuła powątpiewanie, niepokój, ból, gniew. I strach. Czuła to wszystko wyraźniej niż przez ostatnie trzydzieści lat, kiedy wypatrywała tego wszystkiego u innych. Czuła się jak cywil. I nienawidziła tego.

Wiedziała, że chodziło przede wszystkim o Gordona Rookera. Pewność, jaką zyskała po wizycie Thorne a w zakładzie karnym, przyniosła jej ulgę zaledwie na parę godzin. Boże, to wszystko było takie głupie. Przecież fakty mówiły same za siebie: Rooker siedział w pudle, był winny, a ten, kto do niej dzwonił czy wysyłał listy, to jakiś świr i zapewne skończył już tę swoją błazenadę.

Ale to nie fakty doprowadziły ją do mdłości. Musiała jakoś uporać się ze swoimi odczuciami. I z paniką.

Musiała znów zacząć się zachowywać jak policjantka.

- To na pewno nie z powodu jedzenia - rzekł Jack, zwalnając, by wejść łagodnie w zakręt. - Ile razy jedliśmy tam kolację w ostatnich latach...?

Hendricks spał już, gdy Thorne wrócił do domu parę minut po jedenastej. Przekradając się obok kanapy w stronę kuchni, Thorne minął Elvis, neurotyczną kotkę, która zeskoczyła z kanapy, gdzie leżała zwinięta u stóp Hendricksa, i podreptała za swoim panem. Czekaając, aż Zagotuje się woda, Thorne nasypał kotce karmy do plastikowej miski i opowiedział o tym, co go spotkało tego dnia w pracy. Wolałby pomówić o tym z przyjacielem, który był nieco rozmowniejszy od zwierzęcia, ale chrapanie dochodzące z pokoju obok dawało pojęcie o tym, jak daleko Hendricks znajdował się obecnie. Thorne nie chciał go budzić. Wiedział, że tamten też miał za sobą ciężki dzień.

Urabiał sobie ręce po łokcie, pracując z ciałami Musluma i Hani Izzigilów.

Pijąc herbatę przy stole w kuchni, Thorne pomyślał o innych, którzy też zapewne mieli przed sobą nieprzespaną noc - tych, którzy martwili się o pieniądze, mieli kłopoty w pracy albo w relacjach z najbliższymi. Dziwne, jak wiele rzeczy mogło przyprawiać ludzi o bezsenność, 'j podczas gdy osoba obcująca na co dzień ze śmiercią potrafiła spać jak niemowlę. Pomyślał o Davie Hollandzie, wyczerpanym o czwartej nad ranem, który zapewne wyśmiałby to porównanie.

Oczywiście nie wiedział, o czym śnił Phil Hendricks... Thorne sypiał marnie od tamtej pamiętnej nocy w zeszłym roku, kiedy omal nie stracił życia. Oczywiście miewał koszmary, ale teraz wydawało się, że jego ciało przywykło do nowej sytuacji i potrzebowało mniej snu. Zwykle sypiał po cztery, pięć godzin, a potem, kiedy miał wolny dzień, zwał się na łóżko i zapadał w stan zbliżony do śpiączki.

Zdjąwszy buty, Thorne zabrał je i resztę herbaty do sypialni. Przechodząc przez tonący w ciemnościach pokój, wziął jeszcze discmana i płytę George a Jonesa. Otworzył drzwi do sypialni i patrzył, jak Elvis wraca na kanapę, by znów ułożyć się w nogach Hendricksa.

- Chrzań się - mruknął Thorne.

Wszedł do sypialni z herbatą, butami i swoją muzyką, po czym zamknął za sobą drzwi.

To była nagła zmiana natężenia światła, nic więcej.

Carol Chamberlain dostrzegła to, patrząc na swoje odbicie w lustrze toaletki, kiedy zmywała z twarzy makijaż. Większości pozbyła się już wcześniej, obmywając twarz zimną wodą w łazience włoskiej restauracji, starając się pohamować zawroty głowy i odzyskać rumieńce na policzkach.

Jack krzątał się na dole. Zamykał zasuwki, wyłączał światło. Dbał o ich bezpieczeństwo...

Siedziała w koszuli nocnej i wpatrywała się intensywnie w swoje odbicie. Nadszedł czas, aby zrobić coś z włosami i może zrzucić parę kilogramów, co w jej wieku nie było łatwą sprawą. Mogła spróbować tego samego co kiedyś, gdy odebrano jej pracę - walka z nadwagą, tak to nazywał Jack.

Nachylając się w stronę lustra i rozsmarowując krem na palcach, dostrzegła zmianę w oświetleniu. Poświata, zrazu różowa, a następnie pomarańczowa zaczęła wsączać się przez szczelinę między zasłonami, rozjaśniając pomieszczenie za nią. Otworzyła usta, by zawołać Jacka, po czym zaraz je zamknęła i odsunęła krzesło. Kiedy podeszła do okna, zauważyła, że poświata narasta, rozjaśniając nagie gałęzie czerwonego



buku na końcu podjazdu. Domyślała się, co zobaczy, kiedy dotarła na drugi koniec pokoju i wyjrzała na zewnątrz. Zastanawiała się, czy on też tam będzie, miała nadzieję, że tak...

Patrzył w górę, kiedy rozsunęła zasłony, stał w bezruchu obok auta, trzymając w dłoni schowanej w rękawiczce białą puszkę z paliwem do zapalniczek.

Czekał na nią.

Przez kilka długich, ciągnących się w nieskończoność sekund patrzyli na siebie nawzajem. Płomienie nie były spektakularne, ich tańczący blask sięgał jedynie ciemnego materiału kurtki mężczyzny. Ogień nie rozpraszał cieni ani mroku pod kapturem naciągniętym głęboko na głowę intruza.

Ogień zaczął się rozprzestrzeniać po masce volva. Spływał po karoserii, tak jak spływały po niej strużki benzyny do zapalniczek. Ale słowa napisane łatwopalnym płynem, a teraz rozjaśnione płomieniami były aż nadto widoczne.

To ja ją podpaliłem.

Carol usłyszała na dole trzask otwieranych zamków i w jednej chwili zobaczyła, jak mężczyzna na dole odwraca głowę w kierunku frontowych drzwi. Odstąpił o krok od auta, po czym uniósł wzrok, by jeszcze przez chwilę popatrzeć na Carol, a następnie odwrócił się i zaczął uciekać. Nie zdołała dostrzec jego twarzy, nawet najdrobniejszego jej fragmentu, ale wiedziała, że tamten uśmiechał się do niej.

Kilka sekund później Jack wybiegł przed dom. Otworzył frontowe drzwi i wyskoczył na trawnik, by stanąć na nim z rozdziawionymi ustami i szeroko rozłożonymi rękami. Carol nieomal zobaczyła, jak jej mąż

odwraca się, by spojrzeć w górę, lecz w tej samej chwili odsunęła się od okna, wycofując się chyłkiem na sam środek pokoju.

Thorne nigdy dotąd nie przesłuchiwał wspólnie z Carol Chamberlain i choć nie było to oficjalne, czuł się trochę dziwnie, siedząc obok niej i czekając na przyprowadzenie Rookera. Rozejrzył się po małym kwadratowym pokoju, nie wiedząc czemu przyszło mu do głowy, że jest ojcem siedzącym obok żony. Przypomniawszy sobie czarnoskórą kobietę, którą widział podczas ostatniej wizyty. W wyobraźni przydzielił sobie i Chamberlain role zaniepokojonych rodziców oczekujących na wejście syna.

Drzwi się otworzyły i funkcjonariusz wprowadził do pokoju Rookera. Wydawał się zagniewany, dopóki nie ujrzał Chamberlain, wtedy na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech.

- Witaj, seksowna laluniu - rzucił.

Thorne chciał coś powiedzieć, ale Chamberlain go uprzedziła. W jej głosie pojawiła się nieznana dotąd Thorne owi surowość.

- Jeszcze jedna uwaga nie na miejscu, a wyjdę zza tego stołu i urwę to, co jeszcze ci tam wisi między nogami, choć, jak sądzę, nie zostało tego wiele. Rozumiemy się, Gordonie?

Uśmiech Rookera nieznacznie przygasł, ale zaraz wrócił, kiedy mężczyzna odsunął krzesło i usadowił się za stołem. Funkcjonariusz ruszył w stronę drzwi.

- Proszę zawołać, kiedy skończycie - powiedział.

- Dzięki - rzekł Thorne, unosząc wzrok. - Myślałem, że już jesteś na emeryturze, Bill.

Funkcjonariusz otworzył drzwi i obejrzał się na Thorne a.

- Został mi jeszcze rok czy dwa. - Skinął głową na Rookera. - Mam wrażenie, że siedzę tu tyle samo co ten kutas. - Szybko przeniósł wzrok na Chamberlain i lekko się zaczerwienił. - Przepraszam, nie chciałem...

Chamberlain uniosła rękę.

- Niech pan nie przeprasza. To dla niego odpowiednie określenie...

Rooker zacmokał. Funkcjonariusz wyszedł z pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi.

- Chyba zaczyna to panu wchodzić w nawyk - rzekł Rooker. Wyjął z za pazuchy zielonego kombinezonu pudełeczko na tytoń i uniosł wieczko. - Dwa razy w tygodniu, panie Thorne. Nie mam rodziny, która tak często by mnie odwiedzała. - Wziął trochę tytoniu, rozłożył na bibułce i zrolował ją w skręta. - Nie tak często jak pan...

Prawdę mówiąc, minął już ponad tydzień, odkąd Thorne po raz pierwszy spotkał się z Gordonem Rookerem. I siedem dni, odkąd Carol Chamberlain spojrzała z okna swojej sypialni na mężczyznę uzurpującego sobie prawo do przestępstwa popełnionego jakoby przez Rookera.

Rooker zapalił skręta. Zdjął drobinę tytoniu z języka i spojrzał na Chamberlain.

- Myślałem, że przeszłaś na emeryturę.

- Bo tak było.

- I że mieszkasz w domu pełnym kotów, słuchając The Archers...

- Co wiesz o tym, gdzie mieszkam?

Rooker odwrócił się do Thorne a.

- Skoro ona nie jest już na służbie, to co tu robicie?

Mówiąc „tu”, Rooker miał na myśli pokój wizyt w zakładzie karnym. Przeprowadzano tu poufne przesłuchania, rozmowy z funkcjonariuszami

policji lub adwokatami, oficjalnie i służbowo. Thorne wolał, przynajmniej do teraz, działać w tej sprawie nieoficjalnie. Nie widział powodu, dlaczego miałby pójść do Brigstocke a albo tym bardziej do Tughana. Związki pomiędzy Rookerem a Billym Ryanem sięgały dwudziestu lat wstecz i dla S07 były raczej mało przydatne, a poza tym Thorne obiecał Carol, że zajmie się tą sprawą w wolnym czasie. Dyskretnie pociągnął za kilka sznurków i wykorzystał parę zaległych przysług, aby on, Chamberlain i Gordon Rooker mogli pomówić o tym i owym na osobności.

Sytuacja, o której rozmawialiśmy przed tygodniem - rzekł Thorne - zaczęła się pogarszać.

Rooker wydawał się pełen powagi, a przynajmniej bardzo się starał.

- To przykre.

- Owszem.

- Mówiłem ostatnim razem...

- Przyjmijmy, że zapomniałem o tamtym i zacznijmy jeszcze raz od początku, dobra? To musi być jakiś pojeb, który garował razem z tobą albo do ciebie pisywał. Wspomniałeś, że dostawałeś jakieś listy.

- Owszem.

- Coś ci świta, Gordonie?

Rooker zaciągnął się trzy razy dymem ze skręta, po czym wydmuchnął go powoli, z westchnieniem.

- Muszę mieć zapewnioną ochronę - rzekł. Thorne wybuchnął śmiechem.

- Co takiego?

- Po pańskiej ostatniej wizycie zaczęły się szerzyć pewne plotki...

Thorne wzruszył ramionami. Najwyraźniej zbyt późno zaczął się

domagać zapewnienia im prywatności.

- Nie jesteś tu zbyt lubiany, Gordonie. A rozmowa z gliniarzem nie poprawi twoich notowań.

- Zdziwiłby się pan...

Głos Chamberlain brzmiał ciszej niż dotychczas, ale pojawiła się w nim jakaś ostrość.

- Jeżeli masz coś do powiedzenia, Rooker, to mów. Znów się zaciągnął.

- Chcę dostać to warunkowe. Muszę stąd wreszcie wyjść.

- I? - Thorne spojrzał tępo ponad stołem na Rookera. - Na to akurat niewiele możemy poradzić.

- Bzdura. To leży w gestii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Możecie to załatwić, o ile tylko zechcecie.

- A czemu mielibyśmy chcieć?

- Gwarantuję, że jak stąd wyjdę...

- Nie żądasz wiele, prawda?

- Opłaci się wam.

- Chyba że zdradzisz nam tożsamość Kuby Rozpruwacza albo miejsce, gdzie znajdziemy Lorda Lucana i Shergara, w przeciwnym razie nikt z nas na to nie pójdzie.

Rookera nie rozbawił ten komentarz.

- A co z tymi listami? - spytała Chamberlain. - 1 telefonami. O tym mieliśmy tu porozmawiać.

Rooker wlepił wzrok w popielniczkę.

- Ktokolwiek to robi, musiał być w moim domu...

- Żądam ochrony. - Rooker spojrział na Thorne a. - Po tym, jak stąd wyjdę.

- Ochrony, ale przed kim? - spytała Chamberlain.

- Nowej tożsamości, numeru ubezpieczenia i czego tam jeszcze...

- Przed Billym Ryanem - rzekł Thorne.

- Może...

- Czy Billy Ryan chce cię dopaść?

- Nie z powodów, o których myślicie.

- Czemu więc mielibyśmy się tobą przejmować?

- Mogę go wam wydać.

Thorne zamrugał. To stawało się coraz bardziej interesujące. Uczucie znużenia przysło. Unikał kontaktu wzrokowego z Chamberlain, nie chciał niczego okazać Rookerowi, zachowywał spokojny ton głosu.

- Sypniesz Billyego Ryana?

Rooker pokiwał głową.

- Jak sypniesz Ryanów - wtrąciła Chamberlain - to faktycznie staniesz się celem.

- Dlatego żądam ochrony.

To był najprostszy przykład gangsterskiej logiki i Thorne uważał go za nader sensowny.

- Załatwić Ryana, zanim on załatwi ciebie, o to chodzi?

- Nie mówcie, że nie chcielibyście go zapuszkować. To śmieć i doskonale o tym wiecie.

- A ty to niby taki święty, co, Gordonie?

- Albo on, albo ja, zgadza się? Co byście zrobili na moim miejscu?

- Po tym, co zrobiłeś w szkole z tą dziewczynką... pozwoliłbym Billy emu Ryanowi, aby cię dopadł.

Rooker zwiesił głowę i zdusił niedopałek papierosa w popielniczce, aż nic ze skręta nie zostało. Thorne przez chwilę zastanawiał się, czy tamten ukrył resztę niedopałka w dłoni jak iluzjonista. Kiedy Rooker w końcu uniósł wzrok, jego buńczuczność znikła na dobre. Bruzdy i zmarszczki na twarzy pogłębiły się. Wydawał się dziwnie spięty. Jak stary, przerażony mężczyzna.

- Nie podpaliłem tej dziewczynki - powiedział - To nie byłem ja.

Thorne zauważył, że dłonie Chamberlain leżące na blacie zacisnęły się w pięści; jej kłykcie zbieleły, gdy rzuciła:

- Nie wkurzaj mnie. Nie próbuj mnie wkurzyć...

Rooker oblizał wargi i powtórzył to, co powiedział.

Thorne mu uwierzył. Ot tak, po prostu. Zdziwiło go tylko, że Rooker tak się wahał, jeżeli chodziło o to zaprzeczenie. Wszystko stanęło na głowie. Thorne pamiętał, jak tydzień temu facet siedzący naprzeciw niego przyznał się, że podpalił czternastolatkę. Wydawało się, że było to dla niego równie proste co splunięcie. A teraz to odwoływał, zaprzeczał, jakoby miał z tym coś wspólnego, i wydawało się, że to najtrudniejsza rzecz na świecie.

Zupełnie jakby chciał wyznać, że jest niewinny.

Dave Holland i Andy Stone pracowali razem, ale nie przepadali za sobą nawzajem. Mniej więcej przed rokiem, kiedy zaczęła się ich współpraca, Holland z miejsca znienawidził swobodny urok i czar Stone'a. Jakby poczuł się przez niego zagrożony, choć przecież pozycję miał już wtedy dość ugruntowaną. Od tamtej pory jakoś sobie wspólnie radzili,

niemniej bywały chwile, kiedy łatwość, z jaką jego kolega po fachu opowiadał dowcip albo nosił garnitur, doprowadzała Hollanda do białej gorączki.

- Czuję się jak szmata - rzekł Stone.

Holland uniósł wzrok znad ekranu komputera i uśmiechnął się.

- Znowu wczoraj zalałeś pałę?

- Wciąż pocę się carlsbergiem i sea breeze.

Holland uniósł wzrok.

- Pijasz koktajle?

- Byłem z pewną uroczą damą, kolego...

Holland musiał przyznać przed samym sobą, że teraz, kiedy został ojcem, oburzenie i niechęć do kolegi przerodziły się w nim w zwyczajną staroświecką zazdrość.

- Założę się, że i tak spałem dłużej niż ty - dodał Stone.

- Pewnie tak...

Holland właściwie przywykł już do fizycznego zmęczenia. Potrafił przysnąć praktycznie wszędzie, a po kiepskiej nocy zdarzyło mu się zdrzemnąć nawet w męskiej toalecie. Jednak wciąż trudno mu było mentalnie przyjąć pewne rzeczy. Miał kłopoty z logicznym rozumowaniem, zazwyczaj wybierał najprostsze rozwiązania. Wcześniej, zanim przyszło na świat dziecko, Sophie narzekała, że powinien być niewychylającym się, prostolinijnym gliną jak jego ojciec. Teraz już nawet o tym nie wspominała, bo i nie było takiej potrzeby. Holland nie miał dość sił witalnych, by postarać się o coś więcej.



No i jeszcze doznania, jakich doświadczał dzięki dziecku - ta dziwna mieszanina miłości i zgrozy. Bywało, że patrząc na małą, czuł, jak serce rośnie mu w piersi i równocześnie zaciska mu się zwieracz.

Holland na moment przymknął oczy. Pamiętał doskonale, jak po raz pierwszy wszedł do gabinetu swego szefa. Pamiętał pierwszą sprawę, nad którą pracował z Tomem Thorneem. I to, co miał na sobie, jadąc z Thorneem samochodem czy później, w jego gabinecie, kiedy doszło do nagłego przełomu w sprawie. Ale towarzyszące temu podniecenie, tak głębokie i przejmujące, wydawało mu się nagle odległe i trudne do przywołania...

- A gdzie ten nasz rodzynek z S07? - spytał Stone. - Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny, no nie?

Zajmowali się papierkową robotą i segregowaniem danych z komputera dotyczących nie do końca legalnych interesów prowadzonych wypożyczalni wideo przez Musluma Izzigila. Kiedy jeden czy dwóch członków grupy Brigstockea wyraziło swoje zdziwienie, że piratowanie kaset wideo nadal kwitło w najlepsze, usłyszeli w odpowiedzi cyniczny komentarz Tughana:

- Pięć tysięcy kopii sporządzonych z jednej taśmy matki może przynieść parę patyków zysku na czysto. Rocznie możesz zarobić w ten sposób pół miliona od filmu. To nie to samo, co handel heroiną, ale jest mniej ryzykowne i w razie wpadki czeka cię krótsza odsiadka.

Thorne pozostał sceptyczny w tej kwestii. Ale podchodził sceptycznie do wszystkiego, co wyływało z ust Tughana, a pewne dowody wskazywały na dość wyrafinowaną, prowadzoną po cichu działalność przemytniczą. Nie wiadomo było, kto się tym zajmował i kogo krył

Muslum Izzigil - i kto tak agresywnie zareagował, kiedy Billy Ryan spróbował wejść na ich terytorium.

Tak czy owak, ten ktoś opłacał X-Mana...

S07 przydzieliło im konstabla, który przynajmniej w teorii miał współpracować z Hollandem i Stoneem, ale kiedy w grę wchodziła papierkowa robota, tamtemu zawsze wypadało akurat jakieś pilne spotkanie w Barkingside czy tajemniczy informatorzy, których trzeba było dopaść w innej części Londynu.

- Olewają nas, no nie?

Hollandowi trudno było nie zgodzić się ze Stone'em. Już miał dorzucić swój cięty komentarz, kiedy coś nagle przykuło jego wzrok. Patrzył na to przez chwilę, wrócił myszką, by sprawdzić coś jeszcze, po czym uniósł wzrok, aby przywołać do siebie Stone'a.

- Podejdz no i rzuć na to okiem, Andy.

- Co masz?

- Nazwisko. - Podświetlił dwa słowa na ekranie, aby Stone mógł je zobaczyć, przeszedł na inną stronę i ponownie podświetlił te same słowa.

Stone stanął za nim i spojrzał na ekran ponad jego ramieniem.

- To tylko nazwisko - rzekł Holland. - Na razie nie mamy nic konkretniej szego.

- I nic nie znajdziemy. Te skurwiele są na to za sprytne.

- Może.

- Na pewno. Bądź pewien, że z Windowsem 2000 nie mamy szans ich przygwoździć.

- Cóż, kimkolwiek są, ich nazwiska zaczynają się pojawiać coraz częściej... - mruknął Holland.

- Byłem trupem - rzekł Rooker.

Chamberlain odchyliła się na krześle do tyłu, czekała. Thorne przesunął się w przeciwnym kierunku.

- Nie pogrywaj z nami egzystencjalnie, Rooker. Mów prosto i szczerze. Dobra?

- Miałem przewalone, jasne? Czy to dostatecznie prosta definicja? Ktokolwiek załatwił tę dziewczynkę, zrobił to tak, żeby zwalić winę na mnie. Byłem znany z takich numerów, zgadza się? Wszyscy wiedzieli, że lubię bawić się ogniem...

- Ktokolwiek załatwił tę dziewczynkę. A więc nie powiesz nam, kto to zrobił?

- Mogę powiedzieć, kto za to zapłacił. I kto wpadł na pomysł, żeby załatwić dziewczynkę.

- To akurat wiemy. Wiemy, że chodziło o jedną z konkurencyjnych firm, która...

- Gówno wiecie.

Chamberlain siedziało sztywno, ale Thorne czuł bijące od niej fale napięcia. Zapytał powoli:

- Więc kto to był?

Nadeszła wielka chwila Rookera.

- Billy Ryan. To dlatego chcę wam go wydać. To Billy Ryan wydał zlecenie na małą Kevina Kelly ego.

- Po co?

- Nie ma w tym nic niezwykłego. Był ambitny. Chciał przejmować mniejsze firmy, ale Kelly się nie ugiął. Uważał, że dobrze jest, jak jest. Billy stwierdził, że Kelly się wypalił.

- Więc spróbował przejąć jego interes?

Billy chciał tego, co miał Kevin. A nawet więcej. Już wcześniej próbował wyslizgać go z interesu, ale mu się nie udało.

Thorne przypomniał sobie, co usłyszał od Carol o historii gangsterskiego półświatka, o nieudanym zamachu na życie Kevina Kelly'ego kilka miesięcy przed incydem w szkole.

- Miałeś z tym coś wspólnego. Gordonie?

- Nic z tych rzeczy. Ale rodzina Kelly'ych sądziła inaczej.

- Tak więc Billy obiera za cel córkę swego szefa, ale ten, któremu zapłacił za robotę, pomylił dziewczynki.

- Sfuszerował, ale i tak się udało. Kevin Kelly dostał szału, zaczął wykańczać każdego, kto choćby krzywo na niego spojrzał, po czym przekazał cały interes Billy'emu Ryanowi, a sam usunął się w cień. Nie mogło pójść lepiej.

Thorne zauważył, że Rooker drgnął leciutko, kiedy Chamberlain powiedziała:

- Nie uważam, aby Jessica Ciarkę albo jej rodzina podzielały twoje zdanie.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - zapytał Thorne.

- Ponieważ Billy Ryan chciał, żebym ja to zrobił, jasne? Byłem idealnym kandydatem. Wykonałem już wcześniej parę podobnych zleceń w celu zastraszenia pewnych osób i jak wiecie...

- Chcesz powiedzieć, że Ryan zaproponował ci pieniądze za zabi cie córki Kevina Kelly'ego.

- Grube pieniądze...

- A ty odmówiłeś.

- Kurwa mać, tak. Nie krzywdzę dzieci.

Chamberlain jęknęła.

- Jezu, aż niedobrze mi się od tego robi. Wszystko zawsze sprowadza się do kretyńskich tekstów o „szlachetnych bandziorach”, „krzywdzimy tylko swoich” albo „to był tylko interes” czy „ktokolwiek tknie Palcem dziecko, zarobi kulkę”. Zaraz powie nam, jak bardzo kocha s"woją mamę...

Rooker uśmiechnął do niej

W pokoju nie było za ciepło i aż do tej chwili Thorne miał na sobie skórzaną kurtkę. Teraz wstał i przerzucił ją przez oparcie krzesła. Chamberlain została na swoim miejscu. Thorne uznał, że jej szary elegancki kostium jest nowy. I że ma nową fryzurę. Włosy nieznacznie skróciła i rozjaśniła, ale nie skomentował tego.

- Mam nadzieję, że to nie jest oczywiste pytanie - rzekł Thorne. - Ale dlaczego się przyznałaś?

- Billy Ryan dopilnował, żeby wszystkie psy w Londynie sądziły, że to moja robota. Byłem udupiony. Zapalniczka, którą znaleziono przy siatce, została tam podrzucona celowo. - Spojrzał na Chamberlain. - Widziałaś, co Kevin Kelly zrobił z ludźmi, którzy jego zdaniem byli za to wszystko odpowiedzialni. Wyobraź sobie, co zrobiłby ze mną. Kelly siedział mi na karku za to, co - jak sądził - chciałem zrobić z jego Alison, a Billy, ponieważ byłem jedyną osobą, która wiedziała, kto nadał tę robotę.

Odwrócił się do Thornea.

- Byłem napiętnowany śmiercią.

- I dlatego wybrałaś odsiadkę?

Rooker otworzył pudełko z tytoniem. Zrobił skręta, nie patrząc na bibułkę, i przemówił z taką powagą, jakby wyjaśniał jakąś zawiłą matematyczną tezę:

- Myślałem o tym, żeby zwiać, spłynąć do Hiszpanii albo jeszcze dalej, ale na myśl o tym, że przez kolejne lata musiałbym oglądać się przez ramię i fajdać w gacie na każdy dźwięk dzwonka do drzwi...

Chamberlain pokręciła głową. Spojrzała na Thornea, a potem znów na Rookera.

- Nie kupuję tego. W pace też nie mógłbyś czuć się bezpiecznie. Nadal byłbyś napiętnowany.

Rooker odłożył niezwinionego jeszcze skręta.

- Myślisz, że o tym nie wiedziałem? - Rozgarnął kombinezon i podciągnął więzienną bluzę powyżej owłosionego torsu i obwisłych piersi, by ukazać zygzakowatą bliznę biegnącą w poprzek klatki piersiowej, na wysokości żeber. - Widzicie? Od chwili, kiedy znalazłem się w Gartree, a potem w Belmarsh i tutaj byłem napiętnowany...

Czemu więc nie zaryzykowałeś na zewnątrz?

Tu wszystko odbywa się na moich warunkach. Nie boję się tego. Opuścił bluzę i poprawił kombinezon. - Na zewnątrz praktycznie każdy mógłby chcieć mnie sprzątnąć, rzecz jasna, za odpowiednią cenę. To może być facet, który zapyta o godzinę. Poprosi o ogień czy coś takiego. Tu wiem, kto po mnie przyjdzie. Potrafię rozpoznać gościa i umiem się obronić. Oberwałem tu i tam, ale wciąż żyję. I dlatego wiem, że postąpiłem właściwie.

Thorne patrzył, jak pożółkły język Rookera wysuwa się, by polizać brzeg bibułki. Więzień zrolował skręta, włożył go do ust i zapalił.

- Zdaniem Billyego Ryana też postąpiłeś właściwie. Nie sypnąłeś go.
- Bo nie jestem skończonym idiotą.

Chamberlain zastukała palcami o blat.

- Znów te bzdety o złodziejskim honorze.
- Czemu więc teraz chcesz to zrobić? - ciągnął Thorne.

- Niech pan posłucha, to pan do mnie przyszedł. To przez pana zacząłem się nad tym zastanawiać. I ludzie zaczęli szeptać.

- Dlaczego teraz, Rooker?

Więzień wyjął skręta z ust, trzymając go między pośliskim od nikotyny palcem wskazującym a kciukiem.

- Miałem już dość. Wciąż żyję, ale powietrze tu przesycone jest wonią kwaśnego potu i odchodów innych facetów. Kłócę się z gwałcicielami i zboczeńcami o to, czyja kolej zmienić kanał albo kto ma w kolejności zagrać w pieprzony bilard. Mam wnuka, który za parę tygodni podpisze kontrakt z West Ham. Chcę zobaczyć, jak gra. - Zamrugnął powoli, zaciągnął się dymem i strzepnął popiół. - Już czas.

Chamberlain wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- To bardzo poruszająca historia i jestem pewna, że komisja do sPraw zwolnień warunkowych chętnie by ją usłyszała.

Rooker przeciągnął się.

- Jak dotąd nie wzruszyła ich. Dlatego potrzebuję drobnej pomocy...

- Wciąż nie rozumiem, czemu przyznałeś się do usiłowania zabójstwa fessiki Ciarke. Mogłeś pójść siedzieć, przyznając się do wielu innych przestępstw. Choćby do sprawy tego szefa ochrony, którego przywiązałeś do krzesła i podpaliłeś. Czemu wziąłeś na siebie akurat tę czternastolatkę?

Thorne znał odpowiedź na to pytanie.

- Bo w tym skrzydle więzienia trudno określić cię mianem naznaczonego śmiercią, zgadza się, Gordonie? Trudniej cię tu dopaść.

Rooker tylko patrzył, paląc skręta.

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzał strażnik z propozycją przyniesienia herbaty. Thorne chętnie przystał na to, Chamberlain odmówiła. Strażnik zjeżył się, gdy Rooker też poprosił o herbatę, ale zaraz się oddalił, kiedy Thorne pokiwał głową, zgadzając się na spełnienie tej prośby.

- A więc, kto to był? - spytała Chamberlain.

Thorne wiedział, że chodziło jej o listy, telefony i mężczyznę, który, jak sądziła, uśmiechał się do niej, stojąc w ogrodzie przed domem.

- Skoro nie ty przyjąłeś pieniądze Billy ego Ryana, musisz wiedzieć, kto zdecydował się wykonać to zlecenie.

Rooker pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, kto cię tak dręczy...

- Kto podpalił Jessicę Ciarke? - spytała Chamberlain.

- Nie mam zielonego pojęcia, naprawdę. Nie znam nikogo, kto byłby w stanie to zrobić. Kto zechciałby się tego podjąć. Przez te lata zacząłem się zastanawiać, czy nie zrobił tego sam Billy...

Siedzieli w aucie przez blisko minutę, nie mówiąc ani słowa, a kiedy Thorne wychylił się do przodu, by przekręcić kluczyk w stacyjce, Chamberlain odezwała się nagle:

- I co o tym wszystkim sądzisz?

Thorne spojrział na nią i głośno wypuścił powietrze.

- Od czego mam zacząć?

- Może od tego, że Rooker poszedł za kratki za coś, czego nie zrobił?



Słyszałem podobne historie raz czy dwa - odparł Thorne. -  
Przypuszczam, że jeżeli masz na karku takiego świra, jak Billy Ryan...

Ale dwadzieścia lat...?

- Cóż, nie spodziewał się, że dostanie aż tyle, no nie?

Chamberlain odwróciła głowę, lustrując wzrokiem parking.

- Nie przekonuje cię to? - spytał Thorne.

Mówiła cicho, nie patrząc na niego:

- Sama nie wiem. Mam już swoje lata, ale za cholerę nie wiem, co  
chodzi po głowie typom pokroju Gordona Rookera. Czuję się, jakbym była  
żółtodziobem stawiającym pierwsze kroki w tym zawodzie.

Thorne uruchomił samochód. Gdy wyjeżdżał z parkingu, powrócił  
myślami do zakończenia ich rozmowy z Rookerem. Thorne aż drgnął  
gwałtownie, kiedy przypomniał sobie coś jeszcze z lekcji historii, jakiej  
udzieliła mu Chamberlain.

- Zaczekaj, czy Ryan nie poślubił Alison Kelly parę lat po tym  
zdarzeniu? - Chamberlain pokiwała głową. - Próbuje ją zabić, opłaca  
kogoś, aby ją podpalił, może nawet robi to własnoręcznie... a potem, kiedy  
dziewczyna osiąga wiek dojrzałości, bierze ją za żonę?

- W tym właśnie sęk - rzekł Rooker - To była dobra inwestycja, czyż  
nie? Dziedzic poślubiający córkę szefa to doskonale scementowa-  
nie sojuszy. - Zachichotał na widok Thornea kręcącego z niedowierzaniem  
głową, po czym skinął na Carol Chamberlain. - Ona opowie panu o Billym  
Ryane. Zna go doskonale. Wie, jaki jest.

Chamberlain milczała.

Rooker spojrział na Thorne a przez kłęb siwego dymu.

- Billy Ryan to zimny drań.

W poniedziałkowy rano po wpół do jedenastej Tughan zajrzał do sali odpraw przyjrzał się przebywającym w niej osobom i wycofał się jak niepyszny.

Holland spojrzął na zegarek.

Samir Karim przesunął swój okazały zadek wzdłuż brzegu biurka i nachylił się ku niemu.

- Ktoś ma kłopoty - mruknął.

Holland pokiwał głową. Wiedział, kogo miał na myśli Karim. Przy sąsiednim biurku siedziała inspektor Kitson, przeglądając gruby podręcznik.

- Co tam czytasz, szefowo? - zapytał.

Kitson pokazała mu okładkę Podręcznika dochodzenia w sprawach zabójstw. Gruby wolumin zawierający przykłady strategii, teorii i działań opracowanych przez specjalną ekipę fachowców z dziedziny kryminalistyki. Przynajmniej w teorii wymagano, by treść tego podręcznika znali wszyscy śledczy wyższego szczebla, a zawierała ona przykłady postępowania, od podstawowych, na miejscu zbrodni, poprzez kontakty z mediami i rodzinami ofiar, po określenie profilu psychologicznego przestępców.

Jeżeli istniał „podręcznik”, wedle którego mieli postępować śledczy, to była nim właśnie ta książka.

- Kłopoty ze snem? - spytał Holland.

Kitson uśmiechnęła się.

- Nie jest to łatwa lektura, ale warto być na bieżąco z najnowszymi dyrektywami, Dave.

- Kłopoty z dyrektywami dotyczącymi śledztw w sprawach zabójstw polegają na tym, że sprawdzają się, jeżeli mordercy działają rutynowo.

Wiesz, kogo teraz przypominasz, kiedy cię słucham? - rzuciła Kitson.

Holland wiedział doskonale i uznał, że może mimo wszystko jest jeszcze dla niego nadzieja. Zdziwił się jednak, że ludzie zaczynają mówić o Tomie Thornie, nie używając jego nazwiska...

Jak na zawołanie ten, o którym była mowa, wszedł do sali odpraw i równie wściekłą miną, jaką miał przed chwilą Tughan... który najwyraźniej wciąż był zagniewany, gdy pojawił się tuż za inspektorem.

- Kazał pan czekać wielu osobom, inspektorze Thorne.

Tamten nawet nie spojrzał na Tughana, lecz rzucił w przestrzeń:

- Przepraszam. Auto nie chciało odpalić... - Na obliczu pewnego konstabla pojawił się drwiący uśmieszek. - Daj spokój, Holland. Nie jestem w nastroju.

- Dobra, dość już zmarnowaliśmy czasu - rzekł Tughan. - Odprawa grupy zasadniczej w moim gabinecie. Za pięć minut.

Podczas gdy Tughan mówił, Thorne błędził myślami. Chłonał to, co było mówione, ale myślał zupełnie o czymś innym. Choćby o Yvonne Kitson. Kiedy wszedł do sali odpraw, zauważył w jej dłoni Podręcznik dochodzenia w sprawach zabójstw. To było dla niej typowe - być na bieżąco. Thorne zawsze podziwiał ją za umiejętność łączenia odpowiedzialności w pracy i w domu. Ta odpowiedzialność nieco się rozmyła ubiegłego lata, kiedy mąż dowiedział się o jej romansie z przełożonym i odszedł, zabierając trójkę dzieci. Dzieci już do niej wróciły, ale Yvonne bardzo się zmieniła. Wcześniej bez trudu pięła się coraz wyżej. Teraz tkwiła w miejscu. Thorne dostrzegł tę zmianę na jej twarzy. Zdawała

się spijać słowa z ust Tughana, ale Thorne był pewien, że nie on jeden myślał z o innych sprawach...

Pomyślał o ojcu. Musiał z nim pomówić, dowiedzieć się, jak sobie radzi. Może byłoby łatwiej, gdyby zadzwonił do Eileen.

I nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego wciąż nie powiedział Tughanowi, co usłyszał od Gordona Rookera podczas wizyty w zakładzie karnym Park Royal.

Przez cały weekend podczas kolejnej popijawy z okazji meczu Premiership Hendricks nagabywał go o to, jakby rozmawiał z półgłówkiem,

- Chcesz sam dopaść Billy ego Ryana, zgadza się? - rzekł Hendricks. - Chcesz osobiście dopaść tego, kto podpalił dziewczynkę... Kto w zasadzie ją zabił...

- Heskey to osioł. Spójrz tylko...

- Sam jesteś osioł, Tom.

- Nie chcę go dopaść osobiście.

- Czemu więc nie powiedziałaś nikomu o Rookerze?

Thorne mógł powiedzieć tylko, że chodziło o jego relacje z Chamberlain i poniekąd także z Tughanem. Poza tym przekonał sam siebie, że informacje Rookera, jego oferta, dotyczyły sprawy sprzed dwudziestu lat. Nie były powiązane ze śledztwem w sprawie o zabójstwa Mickeya Claytona, Izzigilów i reszty. Naturalnie z dziką rozkoszą przygwoździłby Billy ego Ryana, ale nie wiedział, jak miałby tego dokonać...

Tughan mówił o Davie Hollandzie i Andym Stonie. Pochwalił ich za trud, który zaowocował odkryciem pewnego istotnego nazwiska, jakie pojawiło się w sprawie. Thorne skupił się na słowach Tughana, ale

zauważył, że Holland jest wściekły, bo musiał ponownie dzielić zasługi ze Stone'em.

- NCIS pracuje nad tym dla nas od czterdziestu ośmiu godzin - rzekł Tughan - i udało nam się dowiedzieć tego i owego na temat rodziny Zarifów.

Tughan oparł się o biurko z przodu. Brigstocke stanął na lewo od niego, zaplatając ręce na piersiach. Naprzeciw nich znajdowało się jeszcze kilka osób stłoczonych w ciasnym gabinecie: starsi rangą funkcjonariusze Zespołu 3 Grupy do spraw Przepływów Szczególnych (Zachodniej) oraz ich partnerzy z S07.

- Członkowie rodziny Zarifów sprawiają wrażenie wzorowych obywateli - rzekł Tughan. - Wszystko, co posiadają lub w czym mają udziały wszystkie interesy, które udało się nam ustalić, od minitaksówek poprzez sieć wypożyczalni wideo, wynajem furgonetek i firmy holownicze są absolutnie legalne. Nie mają nawet mandatu za złe parkowanie.

To się rozumie samo przez się, czyż nie? - rzucił Brigstocke.

Tughan skinął na jednego ze swoich konstabli, krępego, brodatego Walińczyka nazwiskiem Richards. Thorne owi zrobiło się niedobrze, kiedy Richards zaczął swoją przemowę. Miał okazję spędzić z nim w zatłoczonym pubie parę godzin i nie zapalał do tamtego sympatią.

- Pomyślcie o tym jak o trzech koncentrycznych kręgach - zaczął Richards.

Nie przejmując się tym, czy ktoś to zauważy, czy nie, Thorne zamknął oczy. Ten upierdliwy, paskudny typ już w pubie próbował zrobić mu wykład o koncentrycznych kręgach. Zdybawszy go przy automacie z owocami, przez dziesięć minut tłumaczył - choć mógł się zmieścić w

dwóch - podstawowe zasady działania gangsterskiej firmy lub rodziny. Istniały gangi uliczne: rabusie, złodzieje samochodów i ci, którzy byli gotowi przystawić dzieciakowi spluwę do głowy, aby zdobyć najnowszy model komórki czy MP3. Byli też przestępcy zinstytucjonalizowani, kontrolujący lichwiarskie operacje, nielegalny hazard, handel bronią i przekręty z kartami kredytowymi. Na koniec byli również bossowie: osoby prowadzące z pozoru legalne interesy, zarządzające prawdziwymi narkotykowymi imperiami i całymi sieciami pralni brudnych pieniędzy, lecz zachowujące się jak szanowani biznesmeni.

- Pomyśl o tych trzech koncentrycznych kręgach - rzekł Richards, trzymając w dłoni nietknięte piwo - wszystkie się łączą i zlewają ze sobą, ale miejsca, gdzie się stykają, są płynne, nie sposób ich namierzyć. - Uśmiechnął się i nachylił ku niemu. - Lubię myśleć o nich jak o kręgach na tarczy strzelniczej...

Thorne pokiwał głową, jakby to porównanie przypadło mu do gustu. On jednak wolał raczej wyobrazić sobie kręgi na powierzchni mętnej wody. Jak wtedy, gdy do kanału płynie kolejna fala fekaliiów.

Z przepelnionego nudą zamyślenia wyrwał go do jeszcze nudniejszej rzeczywistości głos Richardsa mówiącego o „żołnierzach”. Thorne przetarł oczy i przesłonił dłonią usta, by szepnąć do Samira Karima;

Jezu, on chyba myśli, że to kolejny odcinek Rodziny Soprano...

- Wypożyczalnia wideo należąca do Izzigilów jest idealnym przykładem takiej działalności - rzekł Richards. - Nazwisko Zarif pojawia się na akcie własności i reszcie dokumentów, pojazdy, które teoretycznie rozwożą te w pełni legalne taśmy, są wypożyczane z ich firmy. Ale nie ma w tym nic, do czego można by się przyczepić, nic nielegalnego, a nie

można obwiniać ich za to, co robią ludzie, którzy wynajmują ich auta i furgonetki.

Tughan odchrząknął i podjął przerwany monolog:

- Wszystkim zajmują się trzej bracia. Kiedy tylko zdobędziemy ich zdjęcia, otrzymacie kopie. - Spojrzał w swoje notatki. - A także siostra oraz cała masa kuzynów i innych pociotków. Na tym etapie nawet NCIS niewiele o nich wie. To tureccy Kurdowie, są tu od kilku lat, ale się nie wychylają. - Uniósł wzrok znad notesu na podkładce. - Trzymają karty przy orderach. Ich firmy i domy znajdują się w dzielnicach etnicznych, między Manor House a Turnpike Lane.

Głos z końca sali:

- Pieprzony mały Stambuł...

Tughan uśmiechał się przez moment.

- Teraz, kiedy już się tu zdomowili, chyba próbują rozwinąć skrzydła.

A biedny Billy Ryan stanął im na drodze.

- Przykręćmy im śrubę - wtrącił Brigstocke. - Zobaczymy, ile wytrzymają.

Tughan wyprostował się, wygładził fałdy na spodniach w kant i odłożył notes na biurko.

- Dobra, sierżancie Karim, konstablu Richards, opracujmy plan działania...

Kiedy odprawa dobiegła końca, Thorne zdziwił się, że Tughan podszedł do niego jak gdyby nigdy nic.

- Miałbyś ochotę zobaczyć się z Billym Ryanem? - zapytał.

- A co z Zarifami?

- Odłożymy to o dzień, dwa. Musimy najpierw zebrać dość amunicji.

- Fakt.

Obecnie sytuacja z Ryanami przedstawia się jak cztery do dwóch, pojedźmy tam i przekonajmy się, jak sobie radzą, dostając takie cięgi. Co ty na to?

Thorne pokiwał głową, wciąż nie mogąc się temu wszystkiemu nadziwić. Cztery do dwóch. To było co najmniej niesmaczne, ale usłyszeć żart z ust Tughana przywodziło na myśl raczej scenę z któregoś odcinka Z Archiwum X...

Obaj milczeli, siedząc w roverze Tughana i zmierzając w stronę Camden Town; muzyka ze stereo skutecznie uniemożliwiała prowadzenie rozmowy. Jechali mniej więcej tą samą drogą, którą Thorne zwykle wracał do domu, na południe przez Hampstead i Belsize Park, przez jeden z najdroższych obszarów w mieście w stronę tego, co według niektórych było nadal najmodniejszą dzielnicą, choć zaprawione w bojach brygady z Hoxton czy Shoreditch zapewne miały w tej kwestii odmienne zdanie. Minęli plac budowy w miejscu, gdzie znajdował się Jack Straw's Castle, zajazd przy Hampstead Heath nazwany na cześć jednego z przywódców buntu chłopskiego i niegdyś ulubione miejsce Dickensa oraz Thackeraya. Teraz w niektóre dni tygodnia wieczorami geje spragnieni przygodnego seksu zbierali się tam w ciemnych zakamarkach, by potem zniknąć na Heath w towarzystwie nieznajomych.

- To miejsce jest do dupy i to dosłownie - skomentował Phil Hendricks.

Zaparkowali przed salonem bilardowym za Camden Road Station, 0 kilka ulic od biura Billyego Ryana. Thorne z prawdziwą ulgą ewakuował się z auta Tughana, uznawszy, że choć jego gust muzyczny bywał niegdyś dla niektórych dość przykry, nie życzyłby najgorszemu Wrogowi słuchania



ciągami piosenek Phila Collinsa. Chyba prócz tinga nie było innego faceta takiego jak Collins; na dźwięk jego głosu miało się ochotę w jednej chwili ogłuchnąć. Kiedy szli w kierunku iura Ryana, Thorne zastanawiał się, czy członkowie gangów rozwarli kiedykolwiek możliwość wykorzystania w charakterze narzędzia tortur płyt Phila Collinsa zamiast takich metod, jak wrywanie ofiarom zębów albo przewiercanie im rzepek kolanowych...

Recepcja w firmie Ryana wyglądała jak wszystkie inne oprócz tego, że recepcjonista miał na szyi tatuaże.

- Proszę zaczekać - powiedział. A potem: - Jeszcze chwilę. I w końcu: - Zapraszam.

Thorne był ciekaw, czy tamten ograniczał się do jedno-, góra dwuwyrazowych zwrotów. Kiedy on i Tughan weszli w końcu do gabinetu Billy ego Ryana, Thorne posłał recepcjoniście własną dwuwyrazową formułkę. Patrzył, jak Billy Ryan wstaje i wita się z Tughanem, jakby gościł u siebie szanowanego rywala. Tughan uścisnął dłoń Ryana, co zdaniem Thorne a było zgoła niepotrzebne, i kiedy dano mu tę możliwość, zrezygnował z niej, co skądinąd rozbawiło Ryana.

Thorne rozpoznał ze zdjęć dwóch innych mężczyzn obecnych w gabinecie. Marcus Moloney szybko wspiął się po szczeblach kariery i był uważany za jednego z najbardziej zaufanych współpracowników Ryana. Prócz niego był tu jeszcze syn Ryana, Stephen.

- Może zaczniemy? - zaproponował Ryan.

Kiedy pięciu mężczyzn zajęło miejsca - Tughan i Thorne na niewielkiej sofie, a pozostali na fotelach - i gdy zaproponowano im drinki, za które podziękowali, Thorne rozejrzał się po gabinecie, lustrując twarze obecnych tu mężczyzn. Znajdowali się w jednym z dwóch pomieszczeń

ponad głównym gabinetem decyzyjnym firmy, skąd Ryan rządził swoim multimilionowym imperium. Było dość przestronne, ale urządzone nędznie i bez gustu, co zakrawało na ironię, zważywszy na to, co zobaczyli na dole, a co też, ma się rozumieć, należało do Ryana. Thorne zastanawiał się, czy facet był skąpy, czy może nie dbał o wysokogatunkową skórę i chromowane metale.

W ciągu dwudziestu pięciu lat pracy, mieszkając kilometr czy dwa od miejsca, gdzie się obecnie znajdował, Thorne stykał się z nazwiskiem William John Ryan z przygnębiającą częstotliwością. Do dziś jednak, chyba cudem, uniknął spotkania z nim twarzą w twarz. Gdy tak na niego patrzył ponad blatem biurka usłanym różnymi gazetami i pismami, od „Daily Star” poprzez „House & Garden” i „Racing Post” po „World of Interiors”, Thorne musiał przyznać, że tamten zrobił na nim spore wrażenie.

Ryan miał rumianą cerę, ale małe i zmysłowe usta. Kiedy mówił, nie było widać jego zębów. Rumiane policzki były starannie ogolone i jakby świeżo ugotowane. Otaczał go aromat drogiego płynu po goleniu i czegoś jeszcze, może lakieru do włosów, sądząc po tym, jak jego jasne, miejscami siwe włosy zawijały się przy kołnierzyku blezera. Zdaniem Thornea Ryan wyglądał jak dobrze zakonserwowany Van Morrison.

- Zakładam, że nie poczyniliście postępów mogących doprowadzić do schwytania tego szaleńca - rzekł Ryan.

Jego dubliński akcent przez lata nieco osłabł, ale wciąż był dość wyraźny. Tughan w odpowiedzi także zaczął podkreślać swój. Thorne nie wiedział, czy tamten robił to celowo, czy nie.

- Mamy wiele nowych obiecujących tropów - rzekł Tughan.

- Oby. Chcę widzieć jakieś rezultaty, rozumie pan.

- Będą...

- Ten człowiek pozabijał moich przyjaciół. Muszę liczyć się z tym, że dopóki nie zostanie schwytany, całej mojej rodzinie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Zapewne tak.

Moloney odezwał się po raz pierwszy.

- Więc zróbcie coś z tym. - Mówił cicho, spokojnie, a jego oblicze, okolone rzadziejącymi włosami koloru brudnoblond, było nabrzmiałe i bez wyrazu. - To oburzające, że nie proponujecie rodzinie pana Ryana żadnej ochrony.

Ryan pochwycił spojrzenie Thorne a i wyraz jego twarzy.

Coś pana rozbawiło? - zapytał.

Thorne wzruszył ramionami.

To właściwie wcale nie jest śmieszne. - Spojrzał na Moloneya. -kaczej zakrawa na ironię, bo przecież zwykle to rodzina pana Ryana Pr°ponuje innym ochronę. Choć właściwie słowo „proponuje" jest tu raezej nie na miejscu...

Teraz to Stephen Ryan wtrącił do tej wymiany złośliwości swoje trzy grosze.

- Zafajdany gnój! - warknął.

Wielu uważało, że syn Ryana jest wykonawcą zadań niewymagających większego wysiłku umysłowego. Choć z rysów twarzy był podobny do ojca, brakowało mu pewnej miękkości, a jego głos brzmiał inaczej i nie chodziło wyłącznie o ton. Thorne wiedział, że Stephen został wysłany do ekskluzywnej prywatnej szkoły. Jego akcent to był czysty mockney

Thorne uśmiechnął się do ojca Stephena.

- Miło zobaczyć, że droga edukacja przynosi efekty.

Ryan odpowiedział czymś, co przy słabszym oświetleniu można by przyjąć za uśmiech. Spojrzał na Tughana, skinął głową na Thornea.

- Skąd go pan wytrzasnął?

Tughan łypnął na Thornea, jakby sam też zadawał sobie to pytanie.

- Uporamy się z tym jak najszybciej, panie Ryan - zapewnił.

-Chcieliśmy się upewnić, że od naszej ostatniej rozmowy nie urodziło się nic istotnego.

- Nie urodziło się?

- No wie pan, jakieś nowe przemyślenia. Domysły... kto może stać za atakami na pańskie... interesy.

- Mówiłem już ostatnim razem i wcześniej także...

- Ale może coś przyszło panu do głowy Albo doszły pana jakieś słuchy

Ryan odchylił się w fotelu i rozłożył szeroko ręce, obejmując nimi oparcie za sobą. Thorne zauważył, że pod kaszmirowym blezerem kryły się szerokie bary, ale kiedy spuścił wzrok, stwierdził, że tamten ma wyjątkowo małe stopy Mówiono, że w młodości Ryan uprawiał boks, choć ponoć był również niezłym tancerzem. Thorne wlepił wzrok w małe wypolerowane na błysk trzewiki i dziwnie kobiece jedwabne skarpetki... 1

- Nie mam pojęcia, kto za tym stoi, choć chciałbym wiedzieć...

Thorne musiał przyznać, że Ryan łągał jak z nut. Udało mu się nawet wykrzesać z siebie odrobinę emocji - coś jakby smutek mający ukryć gniew i pragnienie krwawej zemsty. Thorne zerknął na Molo-neya i Stephena Ryana. Obaj pospuszczali głowy.

- Nie mam pojęcia, kto za tym stoi - powtórzył Ryan. - To wy musicie to odkryć.

Tughan poprawił materiał spodni, zakładając nogę na nogę.

- Czy ktoś coś sobie przypomniał? Któryś z pracowników...?

Tym razem to słowo „pracownik” wywołało uśmiech na ustach

Thornea. Nawet jeżeli Ryan go dostrzegł, i tak nie skomentował. Pokręcił głową i przez piętnaście sekund wszyscy siedzieli w kompletnym milczeniu.

- A co z tropami, o których pan wspomniał? - Stephen Ryan spojrzał na Thornea jak na cuchnący ślad pozostawiony przez czyjeś buty na puszystym białym dywanie.

- Dziękuję - rzekł Thorne. - Omal o tym nie zapomnieliśmy. Czy mówi coś panom nazwisko Izzigil?

Przeczący ruch głową i zdawkowe machnięcia rękami. Stephen Ryan przesunął dłonią po krótko przyciętych czarnych włosach.

- Na pewno?

- Czy to formalne przesłuchanie? - spytał Moloney. - Jeśli tak, to powinniśmy zostać wcześniej pouczeni.

Ryan uniósł dłoń.

- Mówił pan, że to tylko zwykła pogawędka, panie Tughan.

- Nic złowrogiego - zapewnił Tughan.

Thorne pokiwał głową i mówił dalej:

- A więc nigdy nie słyszeliście nazwiska Izzigil, tak?

Skinął na Tughana, który sięgnął do aktówki i wyjął kilka zdjęć.

- A może rozpoznajecie kogoś na tych zdjęciach? - rzucił Tughan.

Thorne odgarnął pisma i gazety na bok, wziął od Tughana zdjęcia

i rozłożył na stoliku.

- Czy ktokolwiek rozpoznaje tych dwóch?

Stephen Ryan i Marcus Moloney wychylili się do przodu i westchnęli przeciągle. Billy Ryan wziął do ręki jedną z fotografii z zapisu z kamery przemysłowej przy Green Lanes sprzed trzech tygodni; nieostre, przedstawiające dwóch biegnących nastolatków po tym, jak zapewne to właśnie oni rozbili koszem na śmieci szybę wystawową w wypożyczalni wideo Musluma Izzigila.

- Wyglądają jak para nicponi - mruknął Ryan. - Nic dobrego i basta. Marcusie?

Moloney pokręcił głową.

Stephen Ryan spojrzał na Thornea, wytrzeszczając oczy.

- Czy to Ant i Dec? - Zachichotał rozbawiony własnym żarciem, po czym odwrócił się, by podzielić się tym z Moloneyem.

Tughan zebrał zdjęcia i wstał.

- Wobec tego chyba już się pożegnamy...

Moloney i Stephen Ryan pozostali na miejscach, podczas gdy Billy Ryan wskazał Tughanowi i Thorneowi drogę do wyjścia. Recepcjonista posłał Thorneowi piorunujące spojrzenie, kiedy ten go mijał, a ten mrugnął do niego zawadiacko.

Ryan zatrzymał się przy drzwiach.

- Co robi ten dupek, co ma znaczyć cała ta krwawa wycinanka? To nie jest normalne. Prowadzę interesy od lat, widziałem różne szokujące rzeczy...

- Nie wątpię - wtrącił Thorne.

Ryan nie zrozumiał albo może zignorował aluzję. Pokręcił głową, sprawiając wrażenie przepełnionego głęboką odrazą i oburzeniem.

- Pieprzony X-Man...

Thorne a nie zdziwiło, że Ryan doskonale wiedział, co zabójca robił swoim ofiarom. Wszak dwie z nich odnaleźli jego ludzie. Jednak przydomek zabójcy wymyślono w Becke House. I trzymano go w tajemnicy. Najwyraźniej Ryan miał liczne kontakty. Thorne nie był aż tak naiwny, by uwierzyć, że w policji nie znajdzie się nikt, kto zechciałby dorobić na boku do skromnej gliniarskiej pensji.

Thorne zapytał jakby po namyśle:

- Panie Ryan, czy mówi coś panu nazwisko Gordon Rooker?

Reakcja była natychmiastowa, choć ulotna i trudna do zdefiniowana.

Gniew? Szok? Strach? Zdumienie? To mogła być każda z tych emocji.

Jeszcze jeden dupek - rzekł w końcu Ryan. - Jeden z tych, o których już dawno nie myślałem.

Stali tak we trzech w milczeniu w oparach duszącego aromatu wody po goleniu, aż Ryan odwrócił się i szybkim krokiem wrócił do swego gabinetu.

Zaczęło już zmierzchać, kiedy tu przyjechali. Teraz było całkiem ciemno. Skręcając w nieoświetloną boczną uliczkę, Thorne z przykrością stwierdził, że w aucie Tughana nie wybito przez ten czas ani jednej szyby.

- Kto to jest Gordon Rooker? - spytał Tughan.

- Akurat to nazwisko przeszło mi przez myśl. Słyszałem, że gdzieś dzwonią, ale chyba nie w tym kościele...

Tughan przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Przyciskiem odblokował centralny zamek w samochodzie i podszedł do drzwi od strony kierowcy, aby je otworzyć.

- Posłuchaj, już prawie piąta, a ja i tak poinformowałem, że dziś nie pojawimy się na komendzie. Podrzucę cię do domu.

Thorne zajrzał przez szybę, zobaczył puste pudełko na kasety pomiędzy fotelami. Na myśl o tym, że musiałyby wysłuchiwać łysawego miliardera szansonisty piejącego rzewnym głosem o bezdomnych zrobiło mu się niedobrze.

- Przejdę się - powiedział.

Thorne skręcił w Royal College Street, gdzie na obłazącym z tynku murze wisiała wyblakła tablica informująca, że w tej kamienicy mieszkali kiedyś Verlaine i Rimbaud. Zanim wyszedł na Kentish Town Road, zaczęło mżyć, ale i tak cieszył się, że nie skorzystał z propozycji Tughana.

Mijając ciche szemrane lokaliki, jakich przy tej ulicy było bez liku, powrócił myślami do Billy'ego Ryana. Zastanawiał się, ile spośród osób prowadzących te puby, sauny i kafejki internetowe było w taki czy inny sposób powiązanych z Ryanem. Większości zapewne to nazwisko nic nie mówiło, ale niezależnie, czy byli uczciwymi ludźmi, czy nie, musieli wcześniej czy później zetknąć się z nim.

Pomyślał o tych, którzy przyjęli propozycję Ryana. O tych ludziach z zewnętrznych kręgów, którzy postanowili stopniowo przesuwać się w stronę środka. Czy ci cwaniacy, którzy tak skwapliwie byli gotowi zamienić ciuchy z Timberlandu i od Tommyego Hilfigera na Arma-niego, domyślali się, o co mogą zostać poproszeni w zamian? Czy wiedzieli, do



czego był i może nadal jest zdolny ten mężczyzna o słodkim głosie żigolaka?

Widziałem różne szokujące rzeczy...

Zanim skręcił w Prince of Wales Road, Thorne zajrzał jeszcze do małego supermarketu. Potrzebował mleka, wina i gazety, by sprawdzić, o której na Sky Sports będzie nadawany poniedziałkowy mecz. Stojąc w kolejce przy bramce, zauważył jakieś zamieszanie przy wejściu i podszedł w tę stronę. Umundurowany ochroniarz prowadził mniej więcej czterdziestoletnią kobietę w kierunku drzwi, próbując wyprosić ją ze sklepu. Obyło się bez zbędnych słów, ale w jego głosie mimo to wyczuwało się pewne ciepło.

- Ile razy musimy to robić, złociutka?

- Przykro mi, nic na to nie poradzę - odrzekła kobieta.

Ochroniarz ujrzał podchodzącego Thornea i aż wybałuszył oczy. Głina jak malowanie...

Pomóc? - rzucił Thorne, choć nie był pewien, do kogo właściwie się zwraca.

Choć kobieta trzymała w obu rękach po kilka reklamówek, była dobrze ubrana.

- Po prostu mam taką potrzebę i już - rzekła skądinąd dość elokwentnie.

- Ale o co chodzi? - spytał Thorne.

Ochroniarz wciąż jedną ręką popychał kobietę w stronę drzwi.

- Nęka naszych klientów - odparł.

- Opowiadam im o Jezusie. - Kobieta uśmiechnęła się do Thorne'a. -

Oni nie mają nic przeciw temu. Nikt się o to nie złości.

Thorne powoli ruszył za nimi - zbliżył się do wyjścia.

- Ludzie chcą po prostu zrobić zakupy - ciągnął ochroniarz. -A ty zawracasz im głowę.

- Muszę opowiedzieć im o Nim. Na tym polega moja praca.

- A na tym moja.

- Wiem. Nic nie szkodzi. Przepraszam za kłopot.

- Nie wracaj tu przez jakiś czas, dobra?

Wzruszywszy ramionami, kobieta z uśmiechem poprawiła trzymane w obu dłoniach reklamówki i odwróciła się w stronę drzwi. Thorne podszedł do nich i przez chwilę odprowadzał kobietę wzrokiem. Ochroniarz wychwycił jego spojrzenie.

- Przypuszczam, że są gorsze przestępstwa...

Thorne nie odpowiedział.

Ody wrócił do domu, natknął się na liścik od Hendricksa z informacją, że zostaje na noc u Brendana. Thorne wstawił do piekarnika mrożoną Plzję kupioną w supermarkecie. Przejrzał „Standarda”, a przygotowując Posiłek, obejrzał wiadomości na Channel 4.

Po pięciu minutach od rozpoczęcia drugiej połowy Newcastle United i Southampton chyba postawiły na remis. Przy Tyneside padało i murawa w St James' Park była śliska, toteż niecelnych podań i spudłowanych strzałów z dziesięciu kroków było co niemiara, ale i tak oglądał mecz z przyjemnością. Kiedy zadzwonił telefon, Thorne skwapliwie podniósł słuchawkę.

- Tom...?

- Nie oglądasz meczu, tato?

Kiedyś nawet w przerwie meczu znajdowali chwilę, by przez telefon przedyskutować każdą sporną decyzję i każde kluczowe zagranie. Miał wrażenie, jakby to było w całkiem innym życiu.

- Jestem zbyt zajęty - odparł ojciec. - Jestem skupiony na innej grze. Masz teraz coś na głowie?

- Właściwie nie...

- To pomyśl nad przyczynami wykluczenia zawodnika przy grze w krykieta. Sporządziłem listę. Tych powodów jest dziesięć. Wymień je.

Thorne sięgnął po pilota i nieznacznie ściszył telewizor.

- Nie możesz mi ich przeczytać?

- Nie bądź takim fiutem, ty bucu - ojciec powiedział to nieomal z czułością.

- Tato...

- Wytrącenie z gry, spalenie gracza, trafienie w bramkę to na początek...

Thorne westchnął i zaczął wymieniać kolejne przyczyny:

- Serw, LBW, złapanie piłki, spalony. Jak to się nazywa... dwukrotne uderzenie piłki? Dotknięcie piłki...?

- Nie. Manipulowanie piłką.

- Właśnie. Manipulowanie piłką. I wyobraź sobie, nie pamiętam dwóch ostatnich...

Jego ojciec zaśmiał się. Thorne usłyszał, jak z piersi tamtego wydobywa się przeciągły świst.

- Przerwanie i utrudnianie gry. O tych nikt nigdy nie pamięta. Tak samo jest z Horstem Bucholzem i Bradem Dexterem.

- Co?

- Mam na myśli tych dwóch z Siedmiu wspaniałych, których nikt nigdy nie pamięta. No dalej, wymień ich. Na początek podsunę ci: Yul Brynner...

Southampton na pięć minut przed końcowym gwizdkiem strzeliło zwycięską, zdawałoby się, bramkę i mniej więcej w tym czasie ojcu Thorne a zaczęło brakować inwencji do dalszej rozmowy. Niedługo potem odłożył bezprzewodowy telefon, aby pójść i sprawdzić coś w jakiejś książce. To miało być coś ważnego. Po minucie lub dwóch przedłużającej się ciszy Thorne zdał sobie sprawę, że jego ojciec zapomniał o rozmowie i już nie wróci do telefonu. Może nawet poszedł na górę, aby się położyć.

Thorne zastanawiał się, czy go nie zawołać i nie przypomnieć o telefonie, ale koniec końców tylko przerwał połączenie.

Atrakcyjna młoda kobieta położyła przed nimi na stoliku karty dań.

- Poproszę tylko dwie kawy - rzekł Thorne.

Holland wydawał się odrobinę rozczarowany, chyba liczył na śniadanie z funduszy służbowych. Kiedy kelnerka się oddaliła, Holland przejrzał menu.

- Niektóre z tych dań mają apetyczne nazwy. No wie pan, brzmią tak z turecka.

Thorne rozejrzał się dokoła, wychwytyjąc spojrzenie posępnego ciemnookiego osobnika siedzącego przy stoliku obok wejścia.

- Chyba raczej nie będziemy tu jadać częściej, nie sądzisz?

Kiedy przyniesiono im kawę, Thorne zapytał:

- Zastaliśmy właściciela? - Kelnerka wyglądała na zbitą z tropu. - Jest pan Zarif?

- Który?

- Szef. Chcielibyśmy z nim mówić...

Zabrała karty dań i odwróciła się bez słowa. Thorne widział, jak rzuciła menu na ladę i zniknęła na zapleczu, schodząc po schodach na dół.

- Może się pożegnać z napiwkami - skomentował Holland.

Kafejka znajdowała się przy końcu Green Lanes od strony Manor

House, naprzeciwko Finsbury Park i całkiem niedaleko od miejsca, gdzie Thorne został kiedyś pobity przez dwóch fanów Arsenalu. Była nieduża, może z sześć stolików i kilka łóż, a żaluzje na drzwiach frontowych i w oknach sprawiały, że panował w niej większy półmrok, niż można się było tego spodziewać. Sufit stanowił jedyną dobrze oświetloną część lokalu, bejcowane sosnowe drewno lśniło złościście w blasku wielu ozdobnych latarenek ze szkła, brązu i ceramiki zwieszających się z drewnianych listewek i kołyszących leciutko za każdym razem, gdy drzwi frontowe otwierały się i zamykały.

Holland upił łyk kawy.

- Może ma bzika na punkcie latarni.

Thorne zwrócił uwagę na dość zastanawiający dobór muzyki w tle i skinął głową w stronę zestawu stereo, na półce za ladą.

- I Madonny - dodał.

Obaj unieśli wzrok na odgłos kroków na schodach. Mężczyzna, który wyłonił się zza kontuaru i ruszył w stronę ich łoża, był olbrzymi, tyleż masywny, co tłusty, z mocno zarysowanymi krągłymi barkami. Pasiasty niebiesko-biały fartuch opinał jego brzuch. Wycierał pospiesznie dłonie w wyświechtany ręcznik.

- Słucham panów?

Thorne pokazał mu legitymację i dokonał prezentacji.

- Chcielibyśmy rozmawiać z właścicielem.

Mężczyzna wcisnął się za stół obok Hollanda i usiadł.

- Jestem Arkan Zarif.

Thorne ucieszył się, że to Holland zaczął, wyjaśniając Zarifowi, iż prowadzą śledztwo w sprawie kilku zabójstw, w tym także Musluma Izzigila, i chcą zadać mu kilka pytań dotyczących prowadzonych przez niego interesów. Zarif słuchał z uwagą, nieomal przez cały czas kiwając głową.

Kiedy Holland skończył, Zarif zamyślił się przez chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko i wyciągnął ręce do przodu.

- Potrzeba panom prawdziwej kawy. Po turecku.

Holland już miał podziękować, ale Zarif uprzedził go, wydając po turecku polecenie kelnerce.

- Pan Izzigil został zamordowany niedaleko stąd - zauważył Holland.

Zarif pokręcił głową.

- To straszne. Wiele tu zabójstw. Dużo broni.

Miał silny śródziemnomorski akcent, a kiedy mówił, na jego twarzy pojawiał się wyraz głębokiego skupienia. Miał grube brwi i jasnozielone oczy. Włosy, ciemne od oliwy, aż lśniły, ale zarost na policzkach miał siwy. Thorne po gęstych wąsach i kosmykach wokół uszu domyślił się, że naturalny kolor włosów tamtego był jaśniejszy, rudo-brązowy.

- Musicie pomówić z moim synem - powiedział.

- O zabójstwie pana Izzigila?

- O interesach. Moi synowie są biznesmenami. Dwa lata po naszym przybyciu tutaj kupili dla mnie ten lokal. I jak się panom podoba? - Rozłożył szeroko ręce i znów się uśmiechnął.

- A kto jest właścicielem tego lokalu? - zapytał Holland. - I wszystkich innych waszych biznesów?

Zarif wychylił się do przodu.

- Jest tak. Widzicie, panowie, mam trzech synów. - Uniósł trzy palce, jakby Thorne i Holland mieli równie duży kłopot ze zrozumieniem go, co on ze znalezieniem właściwych słów. - Memet jest najstarszy. Potem są Hassan i Tan. - Skinął na kobietę, która przyglądała się im zza kontuaru, paląc papierosa. - A to moja córka Sema.

Thorne wychwycił jakiś ruch przy drzwiach i odwrócił się, by ujrzeć, że mężczyzna, który wcześniej mu się przyglądał, wychodzi. Nawet nie uregulował rachunku. Zarif pomachał do wychodzącego.

- Memet to prowadzi - rzekł. - Dostawy i w ogóle.

Holland zaczął zapisywać w notesie. Nie stracił tego nawyku.

- Ale ten lokal jest na pana nazwisko?

- Kafejka to prezent od moich synów. - Rozparł się wygodnie w łóżu, podczas gdy jego córka postawiła na stoliku trzy filiżanki gorącej kawy. Powiedziała coś do Zarifa po turecku, a on pokiwał głową. - Uwielbiam gotować, więc spędzam sporo czasu w kuchni. Pomaga mi żona i Sema. Obierają i kroją. Ale gotuję ja. - Stuknął się kciukiem w pierś. - Ja wybieram mięso...

- Zastaliśmy Memeta? - zapytał Thorne.

Zarif pokręcił głową.

- Wyszedł i dziś już go nie będzie. - Sięgnął po swoją filiżankę i wskazał nią w stronę ulicy. - Obok, jeżeli panowie chcecie, jest biuro firmy przewozowej Hassana. Zwykle są tam też moi pozostali dwaj synowie. Założę się, że znów rzną w karty. - Upił łyk kawy i uśmiechnąwszy się, zaprosił Thornea i Hollanda, aby także spróbowali. - Dobra?

- Mocna - odparł Thorne. - Bracia Zarif są właścicielami wielu wypożyczalni wideo, zgadza się?

Kolejny dumny uśmiech.

- Sześciu czy siedmiu, jakoś tak. Może więcej. Załatwiają mi najnowsze filmy, nowego Jamesa Bonda...

- Muslum Izzigil był kierownikiem jednej z tych wypożyczalni, pół kilometra stąd. On i jego żona zginęli od strzałów w głowę.

Zarif wybałuszył oczy i przełknął kawę.

- Synowie wspominali panu o tym, panie Zarif?

Córka zaczęła mówić coś do niego głośno po turecku zza kontuaru. Zarif uniósł ręce, warknął coś do niej, po czym odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi. Wyraz rozdrażnienia natychmiast znikł z jego twarzy.

- Hassan...

Drzwi zamknęły się. Kilka latarenek stuknęło jedna o drugą.

Thorne odwrócił się, by ujrzeć dwóch młodych mężczyzn przechodzących przez salę. Był niemal pewien, że zostali wezwani z sąsiedniego lokalu przez klienta, który właśnie wyszedł. Jeden z mężczyzn przystanął przy ladzie i zaczął mówić coś cicho do Semy. Drugi podszedł do łóża.

- Mój ojciec nie mówi dobrze po angielsku - powiedział.

Thorne spojrzał na niego.



- Uważam, że radzi sobie doskonale.

Kolejna wymiana zdań po turecku między ojcem a synem.

Thorne uniósł dłoń, a drugą położył na masywnym przedramieniu Arkana Zarifa.

- Co on mówi?

Zarif przewrócił oczami i zaczął podnosić się z miejsca.

- Muszę wracać do kuchni - oświadczył.

Holland pochwycił spojrzenie Thorne a zaniepokojonego, że traci kontrolę nad rozmową.

- Chwileczkę...

Zarif odwrócił się do stolika.

- Może jeszcze kawy?

- Wystarczy - Thorne odpowiedział równocześnie Zarifowi i Hollandowi.

Kiedy Arkan zszedł po schodach, Hassan zajął jego miejsce. Machnięciem ręki poprosił siostrę o kawę. A potem uniósł głowę, wysuwając do przodu podbródek.

Rooker leżał na pryczy, wlepiając wzrok w telewizor przykręcony do ściany w kącie i klnąc na Trishę. Przedpołudnia miał uporządkowane. Jeżeli temat był naprawdę ciekawy, mógł obejrzeć Kilroya, ale to wydawało mu się za bardzo poprawne politycznie i nazbyt angielskie. Osoby w Trishy nie były tak bystre i częściej zdarzało im się zakłąć bez powodu.

Dziś rano temat okazał się naprawdę niezły: kłopoty z intymnością...

Jakiś bubek narzekał, że nigdy nie potrafi wyznać swoim dzieciom, że je kocha, a kobieta nienawidząca swojego męża objęła go na środku ulicy.

Rooker uznał, że powinni spróbować załatwić się w towarzystwie pedofila albo wziąć prysznic z gromadą gwałcicieli.

Ponad jedną trzecią swego życia spędził w zamknięciu, nigdy jednak nie przywykł do bliskości niektórych współwięźniów. Pamiętał, jak czytał, że wszystkie zwierzęta potrzebują skrawka własnego terytorium, nawet króliki i szczury - niewielkiej przestrzeni, która należałaby tylko do nich, w przeciwnym razie dostają szału, atakując się wzajemnie. Pieprzone króliki dostawały świra! Wielu z osadzonych też popadało w obłęd, dziwił się jednak, że nie zdarzało się to częściej. I dziwiło go, że każdego roku nie umierało więcej strażników więziennych.

Kiedy o tym myślał - a miał na to sporo czasu - przychodziła mu na myśl szkoła - już wtedy miał opory przed zbliżaniem się do rówieśników. W przebieralni czuł się nieswojo. Po prostu zawsze wracał do domu brudny. Wolał to niż pójść pod prysznic z kolegami. Często zastanawiał się, czy to właśnie ten dystans wyczuwany przez inne dzieciaki nie spowodował, że zajął się tym, czym się zajmował przed odsiadką...

Na ekranie Trisha zapytała kobietę, czy kocha męża, choć przecież nie znosiła, gdy publicznie ją dotykał.

- Owszem, niekiedy go kocham - odparła. - A kiedy indziej mogłabym go zabić.

Rooker zaśmiał się wraz z widzami w studiu. Wiedział, że różnica między nim a większością ludzi mówiących „mogłabym go zabić” polegała na tym, że on naprawdę mógł to zrobić. Pamiętał uczucie towarzyszące przykładaniu komuś pistoletu do głowy, przeciągnięciu nożem po gardle albo podpalaniu włosów jakiegoś nieszczęśnika benzyną...

Program się skończył, a Rooker wyszedł na podest. Schodząc na parter, czuł woń szykowanego obiadu. Zapach jedzenia zawsze się czuło, czy dochodził z tej, czy z innej strony.

- Myślisz, że tym razem dadzą ci warunkowe, Rooker? - Ałun Fisher odsłużył trzy lata z pięcioletniej odsiadki za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Facet był znany ze skłonności do szybkiej jazdy i narkotyków. Miewał też problemy ze zdrowiem psychicznym, jako że odmawiał przyjmowania normalnych posiłków więziennych. - Chyba tym razem ci odpuszczą. Odliczasz każdy dzień, co nie?

Rooker chrząknął, faktycznie, tym razem czuł się pewniej. Musieli pójść na ten układ, zważywszy na to, co im oferował. Pewnie mógłby nawet rozwalić teraz Fisherowi łeb kijem bilardowym, a i tak przysłałiby policyjną limuzynę, aby go stąd zabrać.

- Na zewnątrz będziesz miał jak w puchu - ciągnął Fisher. - Wszyscy tak uważają. Zajmą się tobą jak trzeba, bo nie zostałeś kapusiem.

Rooker spojrzał na niego.

Fisher pokiwał głową i uśmiechnął się, ukazując poczerwiałe pieńki zębów zepsutych przez lata zażywania narkotyków.

- Nie skundliłeś się, żeby zostać pieprzonym kapusiem.

- Firma należała do pana Izzigila. Nasza spółka jest właścicielem budynku, o który dba agencja wynajmu. Osobiście go nie znałem. - Hassan Zarif miał taki sam akcent jak ojciec, ale mówił bezbłędną angielszczyzną. Po zaledwie dwóch latach ich język ojczysty stał się drugim spośród tych, jakimi się posługiwali. Nie ulegało wątpliwości, że bracia Zarif uczyli się bardzo szybko. - Wydaje mi się, że mój brat

zagałdał tam od czasu do czasu i być może raz czy dwa dostał od Izzigila jakiś film w prezencie. Filmy Disneya dla dzieci...

- Jasne - rzekł Thorne.

- Bracia Zarif są właścicielami nieruchomości, ale wypożyczalnia należała do pana Izzigila.

Holland nie zdołał ukryć sarkazmu w swoim głosie.

- Pan to powiedział.

Zarif przekrzywił głowę, przyłożył palec do pustej metalowej popielniczki i powoli zaczął obracać ją na blacie stolika.

Był po dwudziestce - wysoki, z gęstą czupryną czarnych włosów. Wydatny podbródek nadawał jego twarzy zadumany wyraz, a wrażenie to podkreślała jasna koszulka polo i gruba, brązowa, skórzana kurtka z futrzanym kołnierzem.

Westchnął nieznacznie, jakby znów musiał powiedzieć coś zgoła oczywistego.

- Wypożyczał filmy.

- Nie za to opłacił synowi szkołę - rzekł Thorne. - Ani nie stać by go było na piękne nowiutkie audi stojące w garażu.

Zarif przekrzywił głowę i zakręcił popielniczką.

- Miał ponad trzydzieści tysięcy funtów na „funduszu oszczędnościowym” towarzystwa właścicieli nieruchomości - rzekł Holland.

- Niektórzy ludzie nie miewają nałogów...

Thorne nachylił się nad stolikiem, delikatnie przesuając popielniczkę na bok.

- A więc nie wie pan, czemu ktokolwiek mógł chcieć wpakować mu kulę w łeb? I jego żonie także.

Zarif cmoknął, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

Thorne wiedział, że to spotkanie jest równie ważne dla nich, jak i dla młodego mężczyzny siedzącego naprzeciwko. Hassan Zarif czuł, że przynajmniej na razie jest bezpieczny. Chodziło o zrobienie wrażenia. Nie chciał, by uznano, że próbuje wchodzić policji w drogę, ale był z natury przekorny i zuchwały, a w dodatku uważał, że na miejsce, w którym się znajdował, zasłużył ciężką pracą. Utrzymanie tej kruchej równowagi nie było łatwe, póki jednak grał rolę statecznego, zatroskanego miejscowego biznesmena, póty równocześnie dawał wszystkim coś do zrozumienia. Chciał, aby wiedzieli, że ani z nim, ani z pozostałymi lepiej nie zadzierać.

- Może bzykał dziewczynę niewłaściwego faceta - powiedział Zarif.

Za kontuarem siostra Zarifa wybuchnęła śmiechem. Thorne spojrzął na nią, ale stwierdził, że powodem jej rozbawienia było coś, co powiedział przyjaciel jego brata. Odwrócił się do Zarifa.

- Jak już powiedzieliśmy pańskiemu ojcu, prowadzimy śledztwo w sprawie kilku niedawnych zabójstw.

- To niebezpieczne miasto.

- Tylko dla niektórych - rzekł Thorne.

Zarif uśmiechnął się i uniósł ręce.

- Proszę posłuchać, mam dużo pracy, więc...

Thorne zadał już pytanie, które chciał zadać, rozegrał swoją grę. Miał tamtym też coś do zakomunikowania i nie zamierzał bawić się w subtelności.

- Czy ma pan informacje, które mogłyby pomóc nam w rozwikłaniu sprawy śmierci Mickeya Claytona?

Zarif pokręcił głową.

- Albo Seana Andersona?

- Nie.

A może ofiar X-Mana.

Anthonyego Wrighta? Johna Gildea?

- Niestety nie.

Thorne sięgnął za pazuchę i wyjął garść drobniaków. Upuścił na blat stolika kilka funtów w monetach.

- To za kawę.

Gdy wyszli na zewnątrz, padało. Szybkim krokiem ruszyli w stronę, gdzie stało BMW Thorne'a.

- Wydaje mi się - rzekł Holland - że poświęcamy sporo czasu, aby spotykać się z tymi skurwielami, zadawać im pytania i w odpowiedzi wysłuchiwać, że nic nie wiedzą i nie mogą nam pomóc, a my znów zostajemy na lodzie.

Thorne zlustrował wzrokiem park, obok którego przechodzili. Drzewa były błyszczące i nagie.

- Tak jak zwykle...

- Wciskał nam kit - rzekł Holland. - Filmy Disneya dla dzieci? Musieli być zaangażowani w transporty, dostawy i całą resztę. Zgarniali sporą część zysków Izzigila. Prócz tego, co zarabiali na piratowaniu fdmów, pewnie zajmowali się przemytem...

Finsbury nie należał do ulubionych parków Thorne'a. W ciągu paru lat był tu jednak na kilku koncertach - Fleadh, aby zobaczyć Em-mylou

Harris, i na Madstocku z jedną policjantką, która wpadła mu w oko. Kiedy reaktywował się Sex Pistols i kapela miała tu koncert, dawno temu, kiedy wciąż jeszcze był z żoną, słyszał każde słowo, stojąc w ogrodzie za ich dawnym domem w Highbury, o dobry kilometr stąd...

Holland skrzywił się.

- Kawę też mają do bani - mruknął. - Smakowała jak rzygi.

Thorne się zaśmiał.

- To wyrafinowany smak.

- Może wpadlibyśmy później na kufelek? Do Oak albo gdzie indziej, jak pan woli...

- Sophie dała ci wolny wieczór?

- Cieszy się, że ma mnie dziś z głowy. Chyba zaczynam działać jej na nerwy. Cholera, sam mam nerwy w strzępach...

Dotarli do samochodu. Thorne otworzył auto i wsiadł, po czym sięgnął ręką, by odblokować drzwi dla Hollanda.

- Może kiedy indziej? Jestem trochę zajęty.

Holland wsunął się na fotel pasażera. Deszcz pozostawił ciemne strużki na ramionach szarej marynarki i nogawkach spodni. Garnitur zaczął wyglądać na ciut znoszony, a Thorne wiedział, że Holland któregoś dnia odwiedzi Marksa & Spencera, aby kupić drugi, dokładnie taki sam.

- Gorąca randka? - zapytał Holland.

Thorne uśmiechnął się, kiedy silnik zaskoczył już za pierwszym razem.

- Bynajmniej.

Leicester Square po zmierzchu mogło konkurować z M25 w godzinach szczytu albo Millwall, jeżeli chodzi o miejsca, których Thorne starał się unikać.

Uliczni artyści i zdarzające się tu od czasu do czasu uroczyste premiery filmów klasy B niewiele zmieniały. Na każdego uśmiechniętego turystę przypadał bowiem jeden lub więcej szemranych typów przed wejściami do z kin lub w ciemnych zakamarkach, a ich zamiary nie należały do przyjaznych. Na każdą amerykańską rodzinę czy parę objuczonych plecakami nastolatków ze Skandynawii przypadał minimum jeden kieszonkowiec, opryszek lub podpity rozrabiaka szukający okazji do bójki, a do nawet najbardziej tandetnego lunaparku rozmaite sępy zlatywały się całymi stadami.

- Żal mi mundurowych, którzy tu dziś pracują - rzekła Chamberlain.

W mieście było mnóstwo miejsc ożywionych obietnicą czegoś znaczącego. Tu można było napotkać jedynie zagrożenie. Gdyby nie woń moczu i tanich burgerów, zapewne można byłoby je również poczuć.

- Jedynym plusem tego miejsca - rzekł Thorne - jest czynsz, jaki możesz uzyskać za mieszkanie w tej okolicy podczas gry w monopol...

Była za kwadrans siódma, wtorkowy wieczór i wszystko wokół aż tętniło życiem. Pomijając turystów, którzy robili zdjęcia lub których pozbawiono aparatów i kamer, byli też tacy, co przechodzili przez plac, zmierzając w przyjemniejsze miejsca. Na zachód w kierunku Piccadilly i znajdującej się za nią Regent Street. Na południe w kierunku teatrów przy Strandzie. Na wschód ku Covent Garden, gdzie sztuka była bardziej wysublimowana, a przeciętny burger miał mocno zawyżoną cenę.



Thorne i Chamberlain przeszli przez plac, zmierzając w stronę jasno oświetlonego i zatłoczonego salonu gier, pomiędzy Chinatown a Soho. Mijali częściowo przesłonięte i zaparowane szyby, za którymi można było ujrzeć półki z płatkami śniadaniowymi, pieczone kurczaki i gumowe kalmary zwieszające się jak wnętrzności z haków na mięso.

- Jesteś pewien, że tu będzie? - spytała Chamberlain.

Thorne poprowadził ją w lewo, omijając kolejkę przed Capital Club.

- Billy ego mieliśmy na oku, zanim jeszcze zaczęto prowadzić przeciwko niemu śledztwo. Wiemy prawie wszystko o jego machinacjach. Wiemy, w czym maczał palce.

Chamberlain nieznacznie przyspieszyła kroku, by się z nim zrównać.

- Jeżeli Ryan jest choć w połowie taki, jak myślę, nie zdziwiłoby mnie, gdyby wiedział sporo na twój temat.

Thorne wzdrygnął się nieznacznie, ale uśmiechnął się.

- Jak to dobrze, że zawsze umiesz mnie pocieszyć...

Przeszli przez plac i weszli do Starbucksa naprzeciwko salonu gier. Nie czekali długo na pojawienie się Ryana. Nie zdążyli dopić kawy, kiedy jedno ze skrzydeł ciężkich szklanych drzwi zostało przed nim otwarte, a Ryan powoli zszedł po schodkach na ulicę. Towarzyszył mu Marcus Moloney. Kilka kroków za nim szło dwóch silnorękich, którzy sprawiali wrażenie, jakby lubili błyskotki oraz dźwięk gruchotanych kości.

Kiedy Thorne ukazał się po drugiej stronie ulicy, masywny, krępy, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie skórzanej kurtki, Ryan cofnął się o krok i wyciągnął rękę do jednego ze swych goryli. Jednak rozpoznawszy Thorne'a, szybko się zmytygował.

- Czego pan chce?

Thorne wskazał na salon gier za Ryanem. Było tam mnóstwo nastolatków stojących w kolejkach, by móc wrzucić kolejną garść monet do któregoś z automatów.

- Trochę mi się nudziło, a jestem wielkim miłośnikiem strzelanek.

jeden z pańskich lokali, zgadza się?

Moloney powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę.

- Liczy pan na rabat, Thorne?

- Czy w ten sposób próbujecie dziś podkupić gliniarzy? Oferując im parę darmowych gier w Street Fightera?

Ryan rozpoznał Thornea, ale nie kobietę, która mu towarzyszyła.

- Co to ma być, wieczór z babcią? - Otaksował Chamberlain wzrokiem. - Niech mi pan nie mówi, że ona jest w czynnej służbie. Sądziłem, że gliniarze mają dziś wyglądać młodziej...

- Milusi z ciebie skurwiel, Ryan - rzuciła Chamberlain.

Dopiero wtedy ją rozpoznał. Thorne zauważył, że tamten zgrzytnął zębami, gdy przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie.

- Coś pana przed chwilą zdenerwowało - rzekł Thorne. Skinął na dwóch ochroniarzy. - Ci dwaj też są dziwnie podminowani. Martwi się pan, że ten, co załatwił Mickeya Claytona i innych, może zapolować również na pana?

Ryan nie odpowiedział.

Grupka nastolatków wybiegła z salonu gier, odgłosy ze środka przez chwilę było słycać także na ulicy, huk wystrzałów, dźwięki laserów, ryk silników i łomot hipnotycznego techno...

Na pytanie Thorne'a odpowiedział Moloney.

- Niech no tylko, kurwa, spróbuje...

- Ciekawe, co mógłbym znaleźć - rzekł Thorne - gdybym postawił pana pod ścianą i obszukał.

Moloney raczej się tym nie przejął.

- Nic wartego zachodu.

- Nic wartego zachodu?

Moloney westchnął ciężko i minął go. Thorne przez chwilę odprowadzał go wzrokiem. Mężczyzna wyjął komórkę i zaczął wściekle stukać w klawisze. Thorne odwrócił się, by ujrzeć dwóch silnorękich podchodzących do swego pracodawcy, który tępo wpatrywał się w przestrzeń. Ryan usilnie starał się nie patrzeć na Carol Chamberlain.

- Pamięta pan Carol? - rzucił Thorne. - Kiedy widział ją pan po raz ostatni, nazywała się inspektor Manley.

- Zajęło ci to chwilę, no nie? - Chamberlain zrobiła krok w lewo, by znaleźć się w polu widzenia Ryana.

- Chodziło wówczas o sprawę Jessiki Ciarke, prawda, panie Ryan? Chyba nie bardzo pamięta - wtrąciła Chamberlain. - Podpalona dziewczynka? Takie rzeczy wypadają z pamięci, skądinąd to całkiem zrozumiałe.

- Gordon Rooker za to beknął, zgadza się? Chyba rozmawialiśmy 0 nim parę dni temu, prawda, panie Ryan?

W wąskiej uliczce zerwał się wiatr. Jego podmuchy zafalowały kosmykami włosów na kołnierzu płaszcza Ryana, kiedy mężczyzna się odwrócił.

- Powtórzę to samo, co powiedziałem wtedy, na wypadek gdybyście to wy mieli jakieś kłopoty z pamięcią. Nie miałem wątpliwej przyjemności zaprzętać sobie głowy tym śmieciem i to już od bardzo dawna.

- To zabawne - rzekł Thorne. - Bo on o panu myśli. Miałem pana nawet od niego pozdrowić...

Usta Ryana zacisnęły się, powieki przymrużyły nieznacznie. Thorne uznał, że ten efekt został spowodowany czymś więcej niż tylko podmuchami wiatru omiatającymi jego twarz.

- Wobec tego... pozdrawiam - ciągnął Thorne.

Nagle na obliczu Ryana pojawił się wyraz głębokiej ulgi. Mężczyzna minął go szybkim krokiem na dźwięk silnika samochodu. Thorne odwrócił się, by ujrzeć czarną limuzynę podjeżdżającą i z piskiem opon hamującą przy chodniku. Drzwiczki już były otwarte i z auta wyskoczył Stephen Ryan.

Thorne pomachał do syna Ryana, który w odpowiedzi posłał mu lodowate spojrzenie.

Stephen wzruszył ramionami, gdy ojciec przeszedł raptownie obok niego.

- Przepraszam...

- Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?

Billy Ryan wszedł do samochodu, nie oglądając się za siebie. Po chwili to samo zrobił jego syn i dwaj ochroniarze, którzy przeszli obok

1 hornea i Chamberlain, niemal spychając ich z drogi. Kiedy Moloney Podszedł do samochodu, szyba od strony kierowcy została opuszczona.

Thorne rozpoznał recepcjonistę, z którym miał okazję wymienić uprzej. mości w gabinecie Ryana.

- Przepraszam, Marcusie. Na całym West Endzie są cholerne korki.

Moloney zignorował go i podszedł do tylnych drzwiczek. Wstąpiwszy jedną nogą do samochodu, spojrzał na Thorne a.

- Niech pan uważa na strzały...

Thorne już miał coś powiedzieć i zrobił krok w stronę auta. Moloney wskazał ręką na salon gier.

- Miałem na myśli tamto... - Zatrzasnął drzwiczki i samochód natychmiast odjechał.

- O co chodziło z tym „pozdrawieniem”? - spytała Chamberlain.

Thorne patrzył, jak wóz Ryana skręca i znika za rogiem.

- Uprzejmość nic nie kosztuje. O której masz pociąg?

- Ostatni parę minut przed jedenastą...

- Zjedźmy coś...

Marcus Moloney opróżnił niemal pół kufła guinnessa jednym haustem. Odstawił kufel na kontuar i odchylił się lekko do tyłu.

- Ciężki dzień, stary? - spytał siedzący obok niego mężczyzna.

Moloney stęknął i znów sięgnął po kufel. Nie tyle dzień był ciężki, ile ostatnie kilka godzin. Najpierw incydent przed salonem gier, a potem reperkusje przez całą drogę do domu Ryana w Finchley. Szef suszył Moloneyowi głowę. Niezależnie od tego, o co chodziło Thorneowi i tej kobiecie, musiało to bardzo wstrząsnąć jego szefem. Zupełnie jakby sytuacja nie była już dostatecznie napięta, biorąc pod uwagę to, co się działo. Jednak w domu Ryan był bezpieczny i wyładowywał złość na żonie. A ona zrobi wszystko, co on jej każe. Będzie wydawać właściwe dźwięki, podbudowując jego ego i zaspokajając wszystkie jego zachcianki, dziękując Bogu, że małżonek nie dowiedział się o pewnym ogrodniku, który dogadzał jej trzy razy w tygodniu.

Moloney znów napił się guinnessa. Pager miał włączony, jak zawsze, ale przez kilka godzin miał czas tylko dla siebie i chciał się choć trochę rozluźnić.

Znał wielu gliniarzy takich jak Thorne... Z tymi przekupnymi było łatwo. Wiadomo było, co ich nakręca i co wkurza. Zresztą Thorne nie był nieprzekupny, każdy miał swoją cenę. Moloney stykał się z takimi jak on każdego dnia. Oferty były składane i przyjmowane bez szemrania. Sęk w tym, że Thorne należał do gliniarzy, którzy byli gotowi przyjąć łapówkę tylko po to, by później dzięki niej załatwić tego, który chciał go skorumpować. Był gotów zrobić coś głupiego i nieprzewidywalnego, ponieważ nienawidził samego siebie. Nieważne, czy był skorumpowany, czy nie - łatwo było się zorientować. Thorne a trzeba było obserwować. Z całą pewnością napyta im biedy.

Moloney dopił piwo, machnął na barmana i zamówił następne. Mężczyzna na stołku obok niego wstał i zapytał, gdzie tu jest toaleta. Moloney wskazał mu drogę i zapytał tamtego, czy się napije. Mężczyzna skwapliwie przyjął propozycję. Czekał na piwo, Moloney rozejrzał się po zatłoczonym barze; sporo twarzy. Często tu pijał i paru stałych klientów, którzy go znali, już się z nim przywitało, zaproponowało mu drinka albo wznosiło szklaneczkę w dłoni w bezgłośnym toaście, machając do niego z drugiego końca sali.

Sporo ludzi chciało go poznać.

To, że nikt go nie znał, nie znał naprawdę, ostatnio stanowiło dla niego coraz poważniejszy problem. Pił znacznie więcej, częściej wpadał w złość, zarówno w pracy, jak i w domu. Wszystkiemu była winna 'a wojna. Odkąd zaczęły się te zabójstwa, wszystko stanęło na ostrzu n<sup>o</sup>za. To, co zrobili

Zarifowie i co w odwecie zamierzał zrobić Ryan, stanowiło prawdziwą próbę...

Mężczyzna wrócił z toalety i usiadł przy barze. Moloney podał mu Haneczkę jasnego pełnego. Kiedy jego guinness się ustał i pojawiła się piana, uniósł kufelek w dłoni.

Na zdrowie - rzekł Moloney.

Thorne i Chamberlain wypili wspólnie do kolacji półtorej butelki Czerwonego wina i może to lekki szumek w głowie spowodował,

skądinąd dość przesadną, reakcję, kiedy Hendricks wszedł do pokoju. Woń uderzyła go w nozdrza, kiedy tylko otworzył wewnętrzne drzwi

- Kurwa mać, Phil. Nie w moim mieszkaniu...

- To tylko trawka. Nie walę w żyłę. Jezu...

- Rób to u Brendana...

Hendricks z trudem pohamował śmiech i to nie tylko dlatego, że był na haju.

- Weź wyluzuj, dobra? Nie jesteś na służbie...

Thorne pomaszerował w stronę kuchni.

- Bardzo bym chciał...

Czekając, aż zagotuje się woda, Thorne uspokoił się i zaczął zastanawiać, czy powinien przeprosić przyjaciela, czy udawać, że nic się nie stało. Ostatnio dowiedział się, że w granicach miasta Londyn ciężarna kobieta zgodnie z prawem wciąż mogła oddać mocz do kasku policjanta. To, że miękkie narkotyki nadal były zakazane, wydawało się tylko trochę mniej absurdałne.

- Zrób nam tosty, skoro już tam jesteś - zawołał Hendricks.

- Co?

- Żartowałem. - Hendricks nie był w stanie dłużej powstrzymać się od śmiechu.

Prawdę mówiąc, Thorne a irytowało wszystko, co łączyło się z paleniem trawki. Sam też tego próbował kilka razy w szkole, ale nawet wtedy przekazywanie sobie z rąk do rąk wilgotnego od śliny skręta i mówienie na głos, jaki to świetny towar i jakie ekstra są po nim odjazdy wydawało mu się idiotyczne. Narkotyki zażywane w obecnych czasach były o wiele bardziej niebezpieczne, ale o nich już się tyle nie mówiło. Dzieciak po prostu łykał pastylkę i miał jazdę na maksa, bez gadania.

Drażniło go również, że jego eks także lubiła czasem zapalić zioło, które dostarczał jej uczynny wykładowca z kursu twórczego pisania, dla którego rzuciła męża. Thorne czuł jego woń, kiedy szedł po schodach, a potem wywlekał tego chudego palanta z ich małżeńskiego łóżka. Do dziś zastanawiał się, czemu nie zlał tamtego ani nie napuścił niego glin z antynarkotykowego.

Thorne wymamrotał coś, co od biedy można by uznać za prze-!osiny wnosząc do pokoju herbatę. Hendricks uśmiechnął się i pokręcił głową.

Siedzieli, słuchając pierwszego albumu Gram Parsons'a. Thorne czuwał i patrzył, jak Hendricks powoli przysypia, ożywia się i znów odpływa...

To, z czym musimy się borykać, jest ceną naszego człowieczeństwa - oznajmił ni stąd, ni zowąd Hendricks.

Thorne upił łyk herbaty.

- Jasne...

- To coś, co odróżnia nas od delfinów, psów czy czego tam jeszcze.  
-Hendricks zaciągnął się dymem ze skręta. Zachowywał się trochę jak



komik udający człowieka na haju. - Jesteśmy jedynymi istotami, które mają wyobraźnię...

- O ile nam wiadomo... - wtrącił Thorne.

- O ile nam wiadomo... jak dotąd. Tak. I wszystkie te mroczne okropieństwa czynione innym, tortury i zabijanie biorą początek z obrazów powstałych w umysłach jakichś chorych popaprańców. Wszystko to trzeba sobie najpierw wyobrazić.

Thorne zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał od Hendricksa. To brzmiało sensownie, choć nie potrafił pojąć, jak ktoś mógł wyobrazić sobie niektóre koszmary, z jakimi zetknął się w ostatnich latach.

- No i?

- To jak druga strona tego wszystkiego, co piękne. Mamy ludzi, którzy wyobrażają sobie wspaniałe dzieła sztuki, książki, ogrody i muzykę, a'e ta sama wyobraźnia, która stworzyła te cuda, jest odpowiedzialna także za Holokaust, podpalanie dzieci czy inne tego typu okropności.

W porządku, Phil...

Chcesz mieć jedno, musisz także żyć z tym drugim.

Przez chwilę obaj milczeli.

Areszcie Hendricks wychylił się, by zgasić niedopałek skręta, i podsumował:

- Innymi słowy... jak chcesz Szekspira, musisz także przyjąć Shipmana.

Choć ta rozmowa stawała się coraz bardziej mroczna, Thorne'owj to porównanie wydało się nagle dziwnie zabawne.

- Fakt. - Skinął w stronę stereo. - Seryjni zabójcy to cena, jaką płacimy za muzykę country.

Usta Hendricksa wykrzywiły się w szerokim uśmiechu.

- Myślę, że to... bardzo trudny wybór...

Moloney uznał, że na niego już czas. Wyszedł na parking w mroźną noc, tuż przed zamknięciem pubu, podpity i pewny siebie.

- Nie martw się, wiem, gdzie możemy kontynuować tak miło rozpoczęty wieczór. - Moloney zachichotał i objął ramieniem swego nowego najlepszego przyjaciela. - Właściwie znam od cholery takich miejsc.

Jego partner od picia zdziwił się, że Moloney zamierza usiąść za kółko. Zapytał, czy nie martwi się, że mogą zostać zatrzymani przez policję. Moloney odblokował drzwiczki jaguara.

- Już mnie parę razy zatrzymali. - Mruknął porozumiewawczo.

- Zazwyczaj to żaden problem...

- Mimo że piłeś?

- Oni zazwyczaj udają, że tego nie widzą...

- Miło mieć mocne plecy - rzekł jego przyjaciel.

- Jeszcze jak. Wskakuj...

Pojechali na południe przez Islington, przecinając Essex Road i kierując się do City. Ruch był niewielki i Moloney przy każdej okazji dociskał mocno pedał gazu.

- Tam, gdzie się wybieramy, do miejsca za Barbakanem, nie gaf" dzą dodatkową gotówką. Jak dobrze posmarujemy, będziemy tej nocy bawić się na całego. Wchodzisz w to?

Kiedy jaguar z nadmierną prędkością zaczął zmierzać w stron? ronda przy Old Street, mężczyzna na siedzeniu pasażera przyłożył h\*' fę glocka do brzucha Moloneya.

- Skręć w lewo, do Bethnal Green...

Co? Kurwa...

pistolet wpił się w jego ciało tak mocno, że Moloneyowi pękło jedno żebro i uderzył ramieniem o drzwiczki od strony kierowcy Krzyknął głośno, z trudem utrzymując stopy na pedałach.

Moloney prowadził, postępując zgodnie z otrzymywanymi poleceniami, jego ciało przeszywał ból, a w mózgu kłębiły się niezliczone myśli. Wiedział, że nie zdoła sięgnąć po swój pistolet. I nikt nie wiedział, gdzie się obecnie znajdował. Poza tym nie należał do ludzi odważnych, każdy oddech sprawiał mu ból. Za każdym razem, gdy próbował się odsuwać, pistolet wpijał się w jego ciało, zahaczając o złamane żebro.

Ruch uliczny i latarnie pozostały za nimi, kiedy Moloney wjechał w cichą uliczkę, a stamtąd w wąską niewyafaltowaną drogę. Przejechali ponad ciemną wodą wyglądającą jak olej napędowy, po ozdobionym graffiti starym moście.

- Zatrzymaj tutaj.

Kiedy tylko auto stanęło, mężczyzna przyłożył pistolet do skroni Moloneya. Sięgnął ręką do deski rozdzielczej i zgasił światła.

Moloney zamknął oczy.

- Proszę...

Poczuł, że tamten sięga pod jego marynarkę, by po chwili odnaleźć i wyjąć jego broń. Otworzył oczy, gdy usłyszał, jak drzwi się otwierają. i odwrócił głowę, by zobaczyć, jak tamten obchodzi samochód od tyłu.

Mężczyzna z pistoletem postukał lufą glocka o szybę w drzwiach od strony kierowcy. Cofnął się o krok od auta, kiedy Moloney je otworzył.

Przesiądź się na drugie siedzenie - powiedział.

Moloney zrobił, co mu kazano, stękając z bólu, kiedy podźwignął SI? by przepelznąć nad drążkiem zmiany biegów.

Dlaczego?

Mężczyzna wślizgnął się na fotel kierowcy. Zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Bo jestem praworęczny - odparł.

Moloney poczuł, że puszczają mu zwieracze, i potem wszystko j potoczyło się bardzo szybko.

Pistolet znów znalazł się przy jego uchu, a silna dłoń zmusiła go, by skręcił całe ciało, odwracając głowę do oparcia siedzenia. Dłoń sięgnęła w dół, szukając czegoś, a po chwili siedzenie opadło, nieomal do poziomu. Ręka zaczęła zadzierać tył marynarki Moloneya i jego koszulę na plecach.

- Popelniasz cholerny błąd... - rzekł Moloney.

I nagle potworny ból sprawił, że głos uwiązł mu w gardle, kiedy mężczyzna z pistoletem zaczął ciąć.

Thorne obudził się nagle zdezorientowany. Usłyszał muzykę, a Hendricks ubrany tylko w bokserki nachylił się nad nim, mówiąc coś i coś mu podając. Kiedy spróbował usiąść, Thorne zdał sobie sprawę, że zasnął w słuchawkach na głowie. Wyłączył discmana, zamrugał powoli i jęknął:

- Która godzina?

- Po trzeciej. To Holland, do ciebie...

Thorne sięgnął po swoją komórkę, której sygnału nie słyszał, a która najwyraźniej obudziła Hendricksa.

- Dzięki - rzucił Thorne.

Hendricks burknął coś i wyszedł z sypialni.

- Dave?

Holland zaczął mówić, ale Thorne wiedział już, że chodzi o kolejną ofiarę. Holland musiał mu tylko powiedzieć, do której strony należała ofiara.

Thorne o tym nie wiedział, ale jadąc swoim BMW przez opustoszałe ulice w kierunku miejsca zbrodni, podążał niemal dokładnie tą samą drogą, którą przebył kilka godzin wcześniej nieżyjący już mężczyzna Do King's Cross, a stamtąd na wschód. Wzdłuż City Road przez Shoreditch na terytorium, które przed czterdziestu laty należało do Królow. Ulice wschodniego Londynu, o ile wierzyć niektórym, były wówczas znacznie bezpieczniejsze.

Marcus Moloney mógłby zgodzić się z tą opinią.

Wóz parkował na pustej parceli, dobre sto metrów od Roman Road. Grand Union Canal biegł tutaj równolegle do zaniedbanego terenu zielonego zwanego Meath Gardens, a linia kolejowa oddzielała Globe Town od Mile End.

Mężczyzna śpiący na barce cumującej przy kanale usłyszał strzały, pięć minut później zjawił się tu z psem, by sprawdzić, co się stało.

Thorne zatrzymał wóz i ruszył, by samemu się tu trochę rozejrzeć.

Srebrny jaguar był jasno oświetlony przez dwa silne reflektory łukowe, które ustawiono po obu jego stronach. Drzwi auta były otwarte. Thorne nie wiedział, czy tak je właśnie zastano.

- Panie inspektorze...

Thorne skinął głową, gdy minął konstabla z S07 idącego szybkim krokiem w przeciwnym kierunku. Kiedy zbliżył się do samochodu, ujrzał kształt ciała rozłożonego na przednim siedzeniu jak pokrowiec na garnitur. Co kilka sekund przez tylną szybę dostrzegał biały kaptur technika z

laboratorium kryminalistyki. Odstąpiwszy na bok, Thorne zobaczył Hollanda i Stone'a kucających przy przednim kole wozu. Holland uniósł wzrok i posłał mu nieodgadnione spojrzenie, co już samo w sobie nie wróżyło nic dobrego. Kolejni technicy zajmowali się miejscem na nogi a tylnym siedzeniem auta. Wokoło kręcili się też fotografowie i operatorzy kamer wideo. Trzech czy czterech innych funkcjonariuszy, odwróconych do niego tyłem, rozmawiało między sobą na skraju nasypu, nad kanałem.

Światła ujawniały każdą rysę, każdy ślad na szybach wozu, każdą kropelkę krwi i strzępek mózgu przyklejony posoką do szyby...

Thorne odebrał kombinezon od funkcjonariusza, który rozdawał je ,alc upominki. Dave...

Holland już miał do niego podejść, ale zatrzymał się i wskazał na funkcjonariuszy wracających właśnie w stronę samochodu. Było wśród n'ch trzech mężczyzn w garniturach różnej jakości: Brigstocke, Tughan i Ręcznik prasowy policji nazwiskiem Munteen.

Thorne'a przeraził i zdumiał widok kolejnego oficera w mundurze nie spodziewał się go tam spotkać. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz widział nadkomisarza Trevora Jesmonda na miejscu zbrodni.

Jesmond mocniej otulił się granatowym płaszczem.

- Tom.

- Panie nadkomisarzu.

To Thorne przerwał krótką, lecz nieprzyjemną chwilę ciszy, jaka wówczas nastąpiła. Skinął w stronę samochodu.

- Zarifowie mocno podbili stawkę. Marcus Moloney to nie ta sama liga, co Mickey Clayton i pozostali. Od teraz zacznie się robić na prawdę ciekawie...

Przeniósł wzrok na Russella Brigstocke a i otrzymał takie samo spojrzenie jak ze strony Hollanda.

- Stawka faktycznie poszła w górę - rzekł Jesmond - ale nie z powodów, o jakich myślisz...

- Doprawdy? - Thorne zerknął na Tughana, który wpatrywał się w żwir u swoich stóp.

Jesmond nigdy jeszcze nie wydawał się Thorne owi równie przybity i zdruzgotany.

- Marcus Moloney był policjantem. Tajniakiem - powiedział krótko.

Thorne opuścił miejsce zabójstwa Moloneya, kiedy wzeszło słońce i na ulicach, którymi jechał, pojawiły się pierwsze oznaki życia. Spędził parę godzin w domu - wziął prysznic, przebrał się i zjadł śniadanie, ale wciąż nie mógł się uporać z brakiem snu wywołanym przez nagły telefon.

Jadąc w kierunku Hendon, nie potrafił określić, czy to, że czuł się ciężko, było spowodowane niewyspaniem, winem wypitym ubiegłego wieczoru czy wspomnieniem atmosfery nad brzegiem kanału. Zmiana u tych, którzy nie znali prawdy o Moloneyu, zaczęła być widoczna z chwilą, gdy wiadomość zatoczyła coraz szersze kręgi. Głosy stały się cichsze, ruchy wewnątrz i wokół jaguara nieco delikatniejsze. Zwłoki zawsze zasługiwały na szacunek, ale było z tym różnie. Martwy gangster był traktowany przez stróżów prawa inaczej niż policjant.

Thorne nie cierpiał nonsensów w rodzaju „to jeden z nas”, ale je rozumiał. Życie funkcjonariusza policji z całą pewnością nie było cenniejsze niż lekarza, nauczyciela czy sklepikarza. Jednak to nie lekarze, nauczyciele ani sklepikarze musieli zabierać ciała, informować rodziny ofiar i chwycić tych, którzy byli za to odpowiedzialni. Niekiedy słuszny

gniew wywołany śmiercią policjanta sprawiał, że cierpła mu skóra, a mowy starszych rangą funkcjonariuszy brzmiały przeraźliwie sztucznie, ale Thorne tłumaczył sobie, że po prostu potrafi postrzegać wszystko takie, jakie było naprawdę. Nie widział nic sztucznego w uczuciu ulgi czy strachu, a także gniewu wywołanego przez oba te doznania.

Nie widział też nic sztucznego w słowach „Bóg daje i Bóg zabiera.

Choć pora była wczesna, Thorne wiedział, że Carol Chamberlain na pewno już wstała. Musiała wiedzieć, że wszystko się zmieniło. Zadzwoił do niej, gdy dotarł do North Circular, i opowiedział jej o Marasie Moloneyu.

- Co tu dużo mówić, ja dałam się nabrać - powiedziała.

- Ja też - przyznał Thorne. A żadne z nich nie było w ciemną bitę Moloney najwyraźniej był oddanym, zagorzałym i błyskotliwym

tajniakiem, ale Thorne i tak czuł się nieswojo, że nie udało mu się go przejrzeć. Przecież powinien był coś wyczuć. Cokolwiek. Sporo się mówiło na temat intuicji, ale jeśli Thorne był czegoś pewien, to tylko jednego: że na intuicji nie wolno polegać. On sam miał dość dobrą intuicję, ale ta pojawiała się nieregularnie, a w dodatku zawodziła w najtrudniejszych chwilach, nieprzewidywalnie jak nagłe załamanie formy piłkarskiej u króla strzelców czy kryzys twórczy u literata. Nieraz miał z tego powodu nieliczne kłopoty...

Od czas do czasu Thorne odnosił wrażenie, że potrafi spojrzeć zabójcy w oczy i wejrzeć do jego umysłu. Spozrzec te wszystkie mroczne wizje, o których mówił wczoraj wieczorem Hendricks. Niekiedy Thorne owi wydawało się, że umie rozpoznać przestępcę po sposobie, w jaki ten pali papierosa. Kiedy indziej nie zorientowałyby się, że ma do czynienia z



bandziorem, nawet gdyby ten nosił kominiarkę i trzymał w dłoniach obrzyna.

- Jak to możliwe, że się nie zorientowałeś? - spytała Chamberlain.

- Chodzi mi o Moloneya...

Thorne nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie i zanim się rozłączył, by zatrzymać wóz na parkingu przy Becke House, był z tego powodu nieźle wkurzony. Czemu Tughan mu tego nie powiedział? To dobre pytanie.

Odpowiedź nie była zbyt satysfakcjonująca.

- To nie wydawało się konieczne ani właściwe...

- Mów jaśniej - rzekł Thorne. Odwrócił się do Brigstocke a. On i Tughan wstali, kiedy Thorne wszedł bez pukania do gabinetu. - Russell, wiedziałeś o tym?

Brigstocke skinął głową.

- Ta informacja nie wyszła poza rangę nadinspektora - oznajmił -

- Taką podjęto decyzję.

Tughan usiadł. Thorne ujrzał na biurku przed nim egzemplarz Podręcznika dochodzeń w sprawach zabójstw.

O tym, że Moloney był naszą wtyczką, wiedzieli jedynie upo ważnieni do tego rodzaju informacji oficerowie - rzekł, jakby cytował fragment skryptu.

Thorne westchnął i oparł się plecami o drzwi.

- Miał żonę? Dzieci?

Brigstocke skinął głową. Jeden raz.

- Czy powiedziano im, że został porżnięty nożem, a potem strzelono mu w głowę? A może to też informacja do wiadomości osób upoważnionych?

- Zamknij za sobą drzwi, wychodząc - rzekł Tughan, odwracając wzrok.

- Kilka rzeczy zaczęło nagle nabierać całkiem innego znaczenia - rzekł Thorne. - Zastanawiałem się, skąd mieliście pewność, że zabójstwo Izzigilów to robota Ryana. Skąd wiedzieliście, kto był autorem tego listu z pogrózkami. To oczywiste, że musieliście mieć gorącą linię...

Tughan z impetem cisnął na biurko trzymaną w dłoni kartkę papieru.

- Dlaczego zawsze wszystko sprowadza się do ciebie, Thorne? Zginął funkcjonariusz policji. A ty mówisz po prostu, że „został porżnięty nożem, a potem strzelono mu w głowę”. To, że nie poinformowano cię, że był funkcjonariuszem policji, jest w tym wypadku mało istotne, prawda?

Brigstocke także nie przepadał za Tughanem, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że tym razem zgadzał się z nadinspektorem...

Kiedy Thorne nieco ochłonął, też to sobie uświadomił. Zrobiło mu SI? głupio, że dał się ponieść nerwom i nie stronił od sarkazmu. Pod szedł do wolnego krzesła, przystawił je obok biurka i usiadł. Z niejaką ulgą

stwierdził, że Tughan nie próbował zaoponować.

Od jak dawna Moloney tam siedział?

Dwa lata, mniej więcej - odparł Tughan.

Thorne zdziwił się, że tak krótko.

Cholernie szybko wspiął się dość wysoko w hierarchii tej rodziny.

Tughan pokiwał głową.

- Był bystry, a Billy Ryan go lubił. Stephen Ryan traktował go jak starszego brata...

- Robił całkiem niezłą robotę - dodał Brigstocke.

Tughan go poprawił.

- Robił bardzo dobrą robotę, ale teraz, kiedy nie żyje, na nic się to nam nie przyda.

- Chwileczkę - wtrącił Thorne. - Przez dwa lata musiał zgromadzić sporo materiałów dowodowych przeciwko Ryanowi.

- Więcej niż „sporo”, ale Moloney był naszym głównym świadkiem. Aby te dowody były cokolwiek warte, musiałby osobiście zeznawać w tej sprawie. Wszystkie dowody opierały się na rozmowach, w których uczestniczył, na tym, co widział lub o czym mu mówiono. Bez niego zostaliśmy na lodzie.

- A co z zabójstwem Izzigilów? Wiedział o tym, zgadza się? Musi istnieć coś...

Tughan skubnął się w podbródek. Był świeżo ogolony, na skórze miał jeszcze ślady żyletki, ale Thorne zauważył na lewo od jabłka Adama kilka blond włosków, które najwyraźniej przeoczył.

- Dowiedział się o tym po fakcie. Wiedział, że coś się szykuje na kilka dni przed akcją, ale nie mógł ustalić, kto jest celem ani kto przyjął kontrakt.

- To prawda, że Ryan lubił mieć przy sobie Moloneya - rzekł Brigstocke. - Jednak za mokrą robotę odpowiedzialni byli inni jego zaufani ludzie.

- Stephen? - podsunął Thorne.

- Owszem, Stephen - odparł Tughan. - I inni.

Thorne pomyślał, jak ciężkie to musiało być zadanie dla detektywa sierżanta Marcusa Moloneya. Kiedy zaczęły się te zabójstwa, znalazł się między młotem a kowadłem. Na pewno starał się poznać nazwiska ludzi, których zamierzał zabić Ryan, aby móc je przekazać kolegom z S07. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że gdyby przyłapano go na próbie zdobycia informacji, których nie powinien był znać, ryzykował dekonspirację i zawalenie całej operacji.

Czy później - kiedy Muslum i Hanya Izzigilowie zostali zamordowani - czuł się za to odpowiedzialny?

I tak dopadniemy Ryana - rzekł Thorne.

Pozostali dwaj mężczyźni obecni w gabinecie spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Thorne skrywał aż do teraz pewne fakty ale oto nadszedł idealny moment, by je ujawnić. Po drodze wyjaśnił Chamberlain, że zamierza opowiedzieć przełożonym o swoich poczynaniach. Nie zdawał sobie sprawy, że to będzie aż tak ważne.

- Jak? - spytał Tughan.

- Mam świadka.

Tughan uśmiechnął się. Dla niego to także był idealny moment.

- Czy teraz łaskawie opowiesz mi o Gordonie Rookerze?

Thorne owi prawie opadła szczęka.

- Co?

- Chyba masz mnie za idiotę, Thorne. Te głupie teksty, kiedy spotkaliśmy się z Billym Ryanem, że niby gdzieś dzwoni, ale nie w tym kościele... Musiałbym być kretyńcem, żeby nie zorientować się, że coś tu śmierdzi...

- Chwileczkę...

- Poszperałem tu i tam, choć niespecjalnie się wysiłałem. Wiem wszystko o twoich wyprawach do Park Royal, zarówno w pojedynkę, jak i z eksnadinspektorem Chamberlainem.

Thorne spojrzał na Brigstocke a i spojrzenie, jakie pochwycił, uświadomiło mu, że tamten też o tym wiedział.

- To nie miało nic wspólnego z tą sprawą - rzekł Thorne. - Nie było żadnych związków.

- Ale teraz są, zgadza się?

- Właśnie to staram się powiedzieć...

I dlatego nękałeś ostatnio Billy'ego Ryana przed salonem gier? -'ughana wyraźnie bawił wyraz zakłopotania malujący się coraz wyraźniej na twarzy Thorne'a. - Dowiedziałem się o tym na bieżąco.

Thorne sięgnął pamięcią do ubiegłego wieczoru. Przypomniał sobie, jak Moloney odszedł na stronę i gniewnie zaczął wybierać jakiś numer na klawiaturze komórki. Thorne sądził, że tamten dzwoni po samochód...

- No to posłuchajmy, co masz do powiedzenia...

Thorne opowiedział im całą historię, tę starą i tę nową. Opowiedział o telefonach do Carol Chamberlain i o swoich wizytach u Gordona Roolcera. O Jessice Ciarkę i o rewelacjach Rookera na temat osoby, która miała być prawdziwym podpalaczem... Opowiedział im o ofercie Rookera..

- Dlaczego czekał aż dwadzieścia lat? - spytał Brigstocke.

To było pierwsze spośród wielu oczywistych pytań, jakie Thorne zadawał sam sobie i Gordonowi Rookerowi. Podał odpowiedzi, których mu udzielono - próbował wyjaśnić, dlaczego Rooker przyznał się do tak okrutnego przestępstwa, dlaczego właśnie ktoś taki jak on miał mieć

większe szanse na przetrwanie w więziennych murach, a nie poza nimi i dlatego postanowił dopilnować, by Billy Ryan nie czekał na niego na zewnątrz.

- A więc mamy go wyciągnąć z pudła, załatwić ochronę dla świadków, a wtedy zezna, że to Billy Ryan jest odpowiedzialny za usiłowanie zabójstwa Jessiki Ciarke?

- Rooker zna wiele takich historii - rzekł Thorne. - Opowie o wszystkim przed sądem.

Zaczęło padać. Deszcz jednak nie zmienił się w ulewę. Przez kilka chwil w gabinecie było słychać tylko uderzenia kropel o szyby.

- Kto wydzwania do eksnadinspektor Chamberlain i bawi się ogniem w ogródku przed jej domem? - Tughan wydawał się nastawiony do tego sceptycznie. - Zakładamy, że to facet, który podpalił tę dziewczynkę, zgadza się?

- Nie wiem - przyznał Thorne.

- To dość dziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

- Rooker twierdzi, że nic o tym nie wie.

- To zaskakujące. - Tughan spojrzał na Brigstocke a. - Russell?

- Jakiś kumpel Rookera? Były więzień? Ktoś, z kim się kontaktował..

Thorne starał się nie zdradzać zniecierpliwienia.

- Mamy czas, aby to wszystko sprawdzić - powiedział. - Posłuchajcie, Billy Ryan praktycznie zabił tę dziewczynkę i mamy okazję go za to przygwoździć. Co prawda ma też na sumieniu masę innych rzeczy, ale przynajmniej przyspiliśmy go za to. Moim zdaniem warto spróbować, i Thorne nie dodał: „Powinniśmy to zrobić dla Marcusa Moloneya”.  
powstrzymał się w ostatniej chwili...

Deszcz przybrał na sile, krople niesione wiatrem tłukły o szyby.

Muszą to rozważyć ludzie na wyższych stanowiskach niż moje rzekł Tughan. - Wyższych nawet niż Jesmond... - Wziął głęboki oddech i sięgnął po telefon.

Kiedy on i Brigstocke wstali i ruszyli w stronę drzwi, Thorne pomyślał o tym, co Brigstocke wiedział, ale czym się z nim nie podzielił. Zastanawiał się, czy powinien zamienić z nim słówko o tym, po której powinni być stronie. Uznał jednak, że nie jest to odpowiednia chwila na tego typu pogawędki.

W porze lunchu w Royal Oak nastroje zespołu nieco się poprawiły, a może była to zasługa piwa.

Oak był pubem, gdzie zespół zjawiał się regularnie, ale tylko dlatego, że znajdował się on blisko ich głównej siedziby. Nikt nie pamiętał dnia, żeby nie roilo się w nim od gliniarzy, nikt zatem nie mógł powiedzieć, że chodziło tu o specyficzną atmosferę lub jej brak. Choć trzeba przyznać, że chudy jak nieboszczyk właściciel lokalu, niejaki Trevor, bardzo się starał. Nad kontuarem wisiał cały rząd polaroidowych zdjęć przedstawiających tutejsze bywalczyńie, z zadartymi podkoszulkami odsłaniającymi nagie piersi lub biustonosze. Któregoś razu postawił na tematy latynoskie, z dużą ilością gadżetów stylizowanych na kute żelazo i paroma sombrero zbierającymi kurz ponad barem, a dwa razy w tygodniu w menu pojawiło się tapas i krojone w kostkę kawałki wieprzowiny z jajkami po szkocku.

W pubie zabrakło Tughana, Kitson czy Brigstocke a, ale większość innych się pojawiła. Wzniesli toast za Marcusa Moloneya. Jego śmierć rozładowała nieco napięcie pomiędzy Grupą do Spraw Przepstw Szczególnych a ich partnerami z S07. Zjednoczyło ich pragnienie

Postawienia osób odpowiedzialnych za jego śmierć przed obliczem sprawiedliwości. A także za śmierć innych, którzy zginęli w ostatnim czasie.

Thorne popierał tę inicjatywę, choć nie bardzo wierzył w jej powodzenie. Miał nadzieję, że w najbliższych dniach nie dojdzie do nowych zgrzytów Odsunął od siebie talerz z niedojedzoną porcją kurczaka z frytkami kiedy Holland usiadł obok niego i postawił na stoliku tacę z napojami. Teraz wszyscy pili już tylko colę, wodę mineralną albo sok pomarańczowy Thorne, który zaczął tracić wigor, opróżnił puszkę red bulla. Spojrzał na Hollanda i przypomniał sobie propozycję, z której nie skorzystał.

- I co, poszedłeś wczoraj wieczorem na piwo? Wyglądało na to, że masz ochotę ostro zabalować.

- Wypiłem tu parę kufelków z Andym. - Holland skinął głową w stronę drugiego końca sali, gdzie Andy Stone, Sam Karim i policjantka z S07 prowadzili ożywioną rozmowę.

- Ale może to i lepiej, że się nie wstawiłem. Zaważywszy na to, o której musieliśmy być wiadomo gdzie.

- Dziś o czwartej rano ja też nie byłem całkiem trzeźwy - przyznał Thorne. - Choć biorąc pod uwagę to, co zobaczyłem nad kanałem, może to i lepiej...

- Na szczęście dowiedziałem się tu wczoraj czegoś naprawdę ciekawego. - Holland uśmiechnął się i przysunął krzesło nieco bliżej Thornea. - Wie pan, że Andy Stone uważa, że ma spore powodzenie u kobiet...?



Thorne powiódł za spojrzeniem Hollanda; wyglądało na to, że Stone i policjantka są w doskonałej komitywie.

- Tak...? - rzucił przeciągle Thorne.

- Zdradził mi jedną ze swoich sztuczek. Wypił trochę więcej ode mnie...

- Zamieniam się w słuch - rzekł Thorne.

- Wozi w swoim aucie książkę z filozofii. - Holland zaśmiał się. gdy Thorne zrobił zdziwioną minę. - Serio. Na fotelu pasażera, przy pudełku z kasetami czy jakoś tak. - Dziewczyna wsiada... „A co to takiego?”. Bierze do ręki, ogląda i nabiera przekonania, że Stone to filozof. - Zapadła chwila ciszy, a Thorne omal nie zakrztusił się red bul-lem. - Najgorsze, że to działa - dodał Holland.

Thorne zaśmiał się jeszcze głośniejsze, ocierając krople napoju z kurtki. Uniósł wzrok, kiedy usłyszał znajomy manchesterski akcent. Hendricks wskazał ręką na puszkę red bulla.

To cię nie rozbudzi, jeżeli będziesz aplikował to sobie zewnętrznie powiedział.

- Co ty tu robisz? Sądziłem, że masz do przeprowadzenia autopsję Moloneya.

Hendricks spojrzał na zegarek.

- Zaczynam za parę godzin. W kostnicy westminsterskiej zrobiła się cała kolejka nieboszczyków czekających na sekcję.

Holland wstał, żeby zrobić miejsce dla Hendricka, i udał się do toalety.

- Tughan chciał się ze mną zobaczyć. - Hendricks zajął miejsce zwolnione przez Hollanda. - Aby poznać wyniki wstępnego raportu.

- No i co? Dowiem się czegoś?

Hendricks wyraźnie się zdziwił.

- Jak sądzisz, po co tu przyszedłem?

- No to mów...

- Moloney zmarł wskutek ran postrzałowych czaszki. Prawie na pewno od broni kalibru 9 mm. W aucie nie znaleziono kul, więc będę musiał je wydobyć z czaszki denata, żeby mieć pewność.

- Ten sam wzorzec, jeżeli chodzi o rany cięte?

- Tak...

Thorne owi zdarzało się słyszeć większą pewność w głosie Hendricksa.

- Nie jesteś pewien?

- Wciąż nie wiem, jakiego ostrza użył zabójca. To mógł być nóż do filetowania. Poza tym cięcia nie były tak równe jak w wypadku Clay-tona i innych.

- Może miał mniej czasu.

- Kto wie. A może Moloney stawiał większy opór niż inne ofiary.

- Pamiętaj, że pierwszy raz zrobił to w samochodzie. Miał mniej dolnej przestrzeni do działania niż w pozostałych wypadkach.

Hendricks pokiwał głową. To brzmiało sensownie.

- Uważasz jednak, że to ten sam zabójca - ciągnął Thorne. - Nas? X-Manii

Po kilku sekundach Hendricks pokiwał głową, co miało oznaczać: zapewne. To wystarczyło Thorne owi, aby zaczął się zastanawiać, czy nie robiono ich w konia. Sądził, że to Zarifowie znów wzięli Ryanów na cel i

zabili Marcusa Moloneya, nie wiedząc, iż był funkcjonariuszem policji. Istniała jednak jeszcze inna możliwość...

- A jeśli zabójca wiedział, że Moloney to tajniak?

- Panie inspektorze? - Holland właśnie wrócił z toalety.

Im bardziej Thorne się nad tym zastanawiał, tym bardziej przekonywał się do tej teorii. Sięgnął myślami do ubiegłego wieczoru na ulicy, przed salonem gier: Moloney z komórką przy uchu dzwoniący jednak nie do kierowcy limuzyny Billyego Ryana, jak przypuszczał Thorne, lecz do Nicka Tughana. To był ostatni telefon w jego życiu. Nie mógł wiedzieć, że został zdekonspirowany...

- Myślę, że dowiedzieli się, że był gliniarzem - rzekł Thorne. - Biorąc pod uwagę to, co się dzieje, co spotkało tamtych, mieli doskonały sposób, aby się go pozbyć, czyż nie? Myślę, że to Billy Ryan zabił Moloneya. 1

Thorne sięgnął po komórkę, aby skontaktować się z Tughanem. Zanim jednak wybrał numer, telefon zadzwonił.

To był Russell Brigstocke.

- Tom? Właśnie otrzymaliśmy informację ze szpitala Central Middlesex...

Thorne nie do końca zrozumiał. Usłyszał słowo klucz i pomyślał: ojciec.

- Przy zakładzie karnym Park Royal.

Chwilowa ulga ustąpiła miejsca łagodnej panice.

- Co się stało?

Thorne domyślił się wszystkiego, zanim jeszcze Brigstocke odpowiedział:

- Ktoś próbował zabić Gordona Rookera.

W słoneczny poranek Thorne wolałby się znaleźć w innych, ciekawszych miejscach. Nie cierpiał szpitali z oczywistych powodów oraz z kilku innych, mniej jasnych, związanych z jego pracą, a konkretnie ze sprawami, które prowadził.

Przysunął się z krzesłem bliżej łóżka. Holland usiadł tuż przy nim. Po drugiej stronie w podniszczonym brązowym fotelu rozsiadł się strażnik więzienny.

- Farciarz z ciebie, Gordonie - rzekł Thorne.

Rooker został zaatakowany przed dwoma dniami, mniej więcej godzinę po tym, jak Thorne i Chamberlain spotkali się na ulicy z Ryanem, i na cztery godziny przed zabójstwem Moloneya. Thorne uznał, że to konfrontacja z Ryanem skłoniła Billyego, aby podjął zdecydowane kroki w związku z Rookerem, teraz jednak stwierdził, że przygotowania musiały być znacznie bardziej czasochłonne. Musiało o tym zdecydować wcześniejsze spotkanie Thorne a z Ryanem w jego biurze, kiedy po raz pierwszy wymienił nazwisko Rookera. Dotknął czulej struny, to pewne...

Thorne próbował wyobrazić sobie Ryana stojącego na ulicy przed salonem gier, z twarzą smaganą wiatrem. Ryan stał tam i uśmiechał się, gdy Thorne przekazał pozdrowienia od Rookera, najwyraźniej świadomy, że sam zorganizował już przekazanie więźniowi pozdrowień innego rodzaju. Rooker wieczorem, Moloney nocą. Dwa problemy rozwiązane w ciągu zaledwie paru godzin.

Co powiedział Rooker? Billy Ryan to zimny drań...

Rooker próbował nieznacznie podnieść się na łóżku. Skrzywił się z bólu.

- Zdefiniuj słowo „farciarz” - wycedził.

Prymitywna „kosa”, zaostrzony trzonek pędzla, który Alun Fisher wbił mu w brzuch podczas zajęć malarskich, jakimś cudem ominął wszystkie najważniejsze organy w jego ciele. Stracił wiele krwi, ale chirurg miał raczej za zadanie go połatać, niż ocalić mu życie.

Rooker ponownie osunął się na poduszki.

- Mam szczęście, że żyję, ale trudno uznać za łut szczęścia, że pewne osoby dowiedziały się o pewnych sprawach, zgadza się?

Thorne uznał, że Rookerowi nic nie da wyjaśnianie, kto podał jego nazwisko Billy emu Ryanowi.

- Mówiłem, że będę naznaczony śmiercią, prawda? - ciągnął Rooker. - Teraz mam jeszcze jeden powód, aby chcieć posłać tego skurwiela za kratki.

Rooker miał przetłuszczone włosy i skórę koloru sińca sprzed tygodnia. Złoty ząb wciąż tkwił w jego ustach, ale brakowało mu połowy górnej szczęki, mostek spoczywał w szklance na nocnym stoliku. Do lewego ramienia miał podłączoną kroplówkę, a do palca wskazującego prawej ręki czujnik pomiaru tętna. Na prawym nadgarstku tkwiła jedna obręcz kajdanek, a druga łączyła go, niezbyt delikatnie, ze strażnikiem więziennym, jednym z dwóch zmieniających się co kilka godzin przy jego łóżku. Strażnik, łysy i gładko ogolony, pogrążył się w lekturze powieści w broszurowej oprawie.

Rooker uniósł dłoń zakutą w kajdanki, zmuszając także strażnika do podniesienia ręki.

- To jakiś absurd. - Strażnik nawet nie spojrzał. - Jakbym mógł stąd dać nogę. Albo jakby ktoś miał mnie stąd odbić. Niby kto?

Holland uśmiechnął się.

- Nie masz przyjaciół, Gordonie?
- Widzi pan tu jakieś kwiaty?
- Przyjaciele, znajomi... będziemy musieli to sprawdzić - rzekł Thorne.
- Parę osób jest wciąż nagabywanych przez faceta, który pojawił się znikąd, biorąc na siebie to, co spotkało Jessicę Ciarke.

- Niech pan sobie sprawdza, co chce - rzekł Rooker. - Nie mogę wam pomóc. Ale powiem jedno: jeżeli to faktycznie facet, który tego dokonał, który naprawdę to zrobił, obaj wiemy, kto może wam podać jego nazwisko.

Mały pokój był dziwnie oświetlony. Zasłony zaciągnięto, aby ograniczyć dostęp promieni słonecznych, które przesączały się przez cienki brązowopomarańczowy nylon. Brudne bursztynowe światło pełzało po jasnych ścianach, łagodząc metaliczne lśnienie parawanu i stojaka do kroplówki.

- Opowiedz mi o Ałunie Fisherze - rzekł Thorne.

Paroma zębami, jakie zostały mu w górnej szczęce, Rooker przygryzł dolną wargę.

- To zero. Pieprzony śmieć...

Thorne usłyszał, jak strażnik więzienny chichocze pod nosem, odwracając wzrok. Trudno określić, czy rozbawiły go słowa Rookera, czy coś, co akurat przeczytał...

- Mały gnój uzależniony od prochów...

Thorne domyślał się, do czego to wszystko zmierzało.

- I mający długi za prochy?

- Jeszcze jakie! Niech pan strzela, komu wisi szmal, no, do trzech razy sztuka...

- Fisher tak po prostu podszedł do ciebie w trakcie zajęć? - wtrącił Holland. - I dźgnął, kiedy akurat byłeś zajęty malowaniem?

- Sądziłem, że byłeś przygotowany na coś takiego - powiedział Thorne. - Tak przynajmniej twierdziłeś ostatnim razem. Jeżeli ktoś spróbuje cię dopaść, będziesz na to przygotowany...

Rooker pociągnął nosem i spojrzał w prawo.

- Cóż, ktoś po prostu odwrócił wzrok. Udał, że tego nie widzi. Wykładowcy na kursach malarskich nie zarabiają kokosów, mam rację? A może pacykarz chciał mieć forszę na nowe auto czy wakacje z żoną i dziećmiakami...

Jeżeli strażnik więzienny się zdenerwował, nie okazywał tego. W zakładzie karnym przeprowadzono już dochodzenie, by ustalić, kto Ponosi winę za to, co się stało, podczas gdy Alun Fisher siedział w izolatce, czekając na to, co się z nim stanie. Jako że zawalił sprawę, a Gordon Rooker wciąż żył, zapewne martwił się raczej o to, co może z nim zrobić Billy Ryan. Mogło się nagle okazać, że jego dług urósł do niebotycznych rozmiarów.

- Zamierzasz wnieść oskarżenie? - spytał Holland.

- Niby po co? Przeniosą Fishera do innego więzienia. Może spróbuję odsiedzieć resztę kary w nadziei, że nic mi się nie stanie.

- Jak tam chcesz - mruknął Thorne.

Rooker opuścił rękę i zaczął się drapać po nodze. Strażnik uniósł głowę, odczekał chwilę i szarpnięciem zmusił go, by położył dłoń z powrotem na materacu.

- A to sprawdzenie moich przyjaciół, o których pan mówił - rzekł Rooker. - Ile to potrwa? Wie pan, im szybciej się z tym uporają, tym

szybciej będziemy mogli zacząć rozmawiać. Prawda? Za długo już się to wlecze...

Thorne rozumiał, o co chodziło Rookerowi i dlaczego w pokoju przebywał strażnik więzienny.

- To nie będzie szybka decyzja - odparł Thorne. - Rozważają to na serio dopiero od kilku dni.

Rooker pokręcił głową.

- Jasne. To typowe. Może gdyby zastanowili się nad tym wcześniej, nie miałbym w brzuchu cholernego pędzla...

Thorne wiedział, że najprawdopodobniej on ponosił za to winę. Spojrzał na przepełnione oburzeniem pożółkłe oblicze Rookera. Bywały jednak sytuacje, kiedy dręczyło go silniejsze poczucie winy. Kątem oka dostrzegł, jak strażnik unosi wzrok, gdy rozległ się sygnał komórki Hollanda. Konstabl sprawdził, kto dzwoni, i oddalił się, by odebrać.

- W miejscach takich jak to należy wyłączać komórki - rzekł Rooker. - Przecież one mogą zakłócać pracę niektórych urządzeń. Spowodować awarię jakichś maszyn...

Strażnik dopiero teraz odezwał się po raz pierwszy:

- Szkoda, że nie jesteś do żadnej podłączony. Mógłbyś wyświadczyć nam wszystkim przysługę...

Thorne uśmiechnął się mimowolnie.

- Jak długo tu pozostanie?

- Jak dobrze pójdzie, już jutro przeniesiemy go na oddział pooperacyjny. Znajduje się na trzecim piętrze. Mają tam cały sprzęt i leki na wypadek infekcji czy czego tam jeszcze...



Rooker nie wydawał się zachwycony, ale to brzmiało sensownie. Będą chcieli, aby możliwie jak najszybciej wrócił do więzienia. Strażnicy byli potrzebni gdzie indziej, a szpital chętnie pozbedzie się pacjenta wymagającego stałego nadzoru.

Thorne usłyszał charakterystyczny sygnał zakończonej rozmowy. Odwrócił się do Hollanda, by spytać:

- Co jest?

- To nadinspektor Tughan. Mam panu przekazać wiadomość. Nie spodoba się panu...

- Kurwa...

Thorne mógł się domyślić, o co chodziło. Musieli odrzucić ofertę Rookera. Nie było dość czasu, żeby poszli z tym tak wysoko, jak należało. Ktoś utracił sprawę na niższym szczeblu. Ciekawe kto... Thorne wstał i włożył kurtkę.

- Nie wygląda to obiecująco, Gordonie...

Zauważył, że strażnik więzienny uśmiechnął się drwiąco, po czym wrócił do przerwanej lektury.

Thorne zdołał jakoś przetrwać resztę dnia bez konfrontacji z Nickiem Tughanem. Zatracił się w stercie nieprzejranych okólników policyjnych i ulotek, wewnętrznej poczty służbowej i uaktualnień wcześniejszych śledstw.

Wieczór spędził przed telewizorem, nie zadzwoniwszy do Tughana do domu. W piątek w porze lunchu, kiedy już miał sobie odpuścić, zastał Tughana w sali odpraw, jakby tamten czekał na okazję do kolejnego starcia. Sam Karim, który rozmawiał z nadinspektorem, zanim pojawił się Thorne, natychmiast się zmył. Tughan oparł się o biurko, przeglądając

Podręcznik dochodzenia w sprawach zabójstw, który najwyraźniej stał się jego biblią.

- Odpowiedź kryje się w środku? - spytał Thorne.

Tughan uniósł wzrok.

- Czego chcesz, Tom?

Thorne nie był pewien na sto procent.

- Czemu na to nie poszli?

- Z oczywistych powodów.

- Czyli?

- Och, daj spokój. Russell i ja rozpatrzyliśmy tę sprawę najdokładniej, jak się dało, kiedy nam o niej wspomniałeś. Kiedy w końcu raczyłeś o niej wspomnieć.

Thorne zorientował się, że Tughan także był tym mocno zdenerwowany.

- Mieliśmy wyjątkową okazję, aby dopaść Ryana i wsadzić go za kratki.

- Owszem. Dzięki zeznaniom faceta, który przyznał się do tego czynu przed dwudziestu laty i który nagle postanowił zmienić zdanie w tej kwestii...

- Ryan wpadł w panikę. Jest naprawdę nielecho wstrząśnięty. Niby czemu miałby próbować usunąć Gordona Rookera po tylu latach?

Tughan wrócił do wertowania skryptu. Oblizał palec i zaczął przewracać kolejne strony. Próbował zwolnić tempo, przejąć inicjatywę.

- Zwolnienie potencjalnie niebezpiecznego więźnia nie jest wskazane, jeżeli istnieją uzasadnione wątpliwości, czy należałoby to zrobić.

- Byłby cały czas pod naszym nadzorem, na miłość boską. Trafiliby do aresztu.

- Ostatnią rzeczą, jakiej moglibyśmy sobie życzyć, jest wytoczenie procesu o bezprawne aresztowanie.

- Jak Rooker mógłby wytoczyć nam taki proces? Przecież się przyznał. Tughan spojrział na niego jak na idiotę.

- Gdyby sprytny prawnik wyniuchał, co się dzieje, mogłoby się nagle okazać, że to przyznanie się do winy zostało wymuszone, dajmy na to, biciem...

- To zwykle wykręty...

Tughan przewrócił kolejną stronę.

Wkurzasz się, bo to ja wpadłem na pomysł, jak dopaść Billy ego Ryana.

Chyba powinieneś wrócić do pracy...

Tak samo jest z teorią, że to Ryan zabił Moloneya. Czy ktoś próbuje potwierdzić te doniesienia?

Na szyi Tughana nad kołnierzykiem pojawiły się czerwone plamy.

- Co to niby ma znaczyć?

- Ryan miał idealną przykrywkę. Wiedział doskonale, co X-Man robił swoim ofiarom. Przecież to jego ludzie znaleźli ciała dwóch z nich.

- Wiem o tym.

- Wystarczyło, aby dopilnował, żeby ten, kto zabił Moloneya, użył broni tego samego kalibru i wyciął na ciele znak X. To była bułka z masłem...

- Sprawdzamy to.

Thorne parsknął.

- Jasne, ale bez zbytniego entuzjazmu. Bo ja na to wpadłem.

Tughan z trzaskiem zamknął skrypt. Sprawiał wrażenie, jakby z trudem zachowywał spokojny, cichy ton głosu.

- Znowu „ja”. Nad tą sprawą pracuje ponad pięćdziesięciu funkcjonariuszy...

- Nie wciskaj mi znów kitu o grze zespołowej. - Thorne wychylił się do przodu i zacisnął dłoń na krawędzi biurka. - Wszystko jest pięknie i cacy, dopóki ty pozostajesz kapitanem drużyny. Taka jest prawda.

- Nie zamierzam tego dłużej wysłuchiwać. - Tughan gniewnie zamachnął się podręcznikiem na Thornea. - Myślisz, że z kim ty rozmawiasz?

Thorne cofnął się od biurka i zaśmiał mimo gniewu, jaki w nim pałał.

- Co to ma być? Chcesz we mnie rzucić tym skryptem?

Przez kilka sekund Tughan patrzył na niego z wściekłością. W końcu puścił wzrok i pozwolił sobie na lekki uśmiezek. Znowu otworzył podręcznik i kartkował go, dopóki nie znalazł poszukiwanego fragmentu.

- To wydaje się jak najbardziej odpowiednie - powiedział.

Tughan sięgnął po pióro i przeciągnawszy nim po kartce, wyrwał

Ją. Zawahał się tylko przez chwilę, zanim postąpił naprzód i przycisnął natocno kartkę do piersi Thorne'a.

- Masz. I dobrze się nad tym zastanów.

Thorne ścisnął w dłoni wyrwaną kartkę, podczas gdy Tughan wyszedł z sali. Nadinspektor podkreślił jeden z fragmentów w skrypcie tak mocno, że przebił kartkę na wylot.

Współczesne dochodzenie charakteryzuje się tym, że nie ma w nim miejsca na «działającego w pojedynkę» niezależnego oficera śledczego".

Hendricks pracował do późna. Drugą noc z rzędu Thorne siedział samotnie przed telewizorem, próbując odzyskać jaką taką równowagę. Wkurzało go to, że Tughan odrzucał całkiem przekonujące teorie, ale jeszcze bardziej to, że Ryanowi znów mogło się upiec. Owszem, może kiedyś Tughan przygwoździ Billyego za narkotyki, przekręty czy oszustwa podatkowe. Kto wie, może nawet załatwią go Zarifowie?

Ale nie zapłaciłby za Jessicę Ciarke...

Thorne zamartwiał się tym przez cały wieczór, po czym zaczął pokrzykiwać na kucharza z programu kulinarnego i poczuł się w końcu nieco lepiej. Chrzanić to, luty miał się ku końcowi, wiosna była tuż-tuż. Zastanawiał się, czy nie zabrać ojca i nie pojechać na weekend do Eileen, do Brighton, kiedy zadzwonił telefon.

- Oglądasz ITV? - zapytała Chamberlain.

- Właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Sprawa Rookera nie przejdzie...

- Włącz ITV - zażądała.

Thorne sięgnął po pilota, zmienił kanał i podkręcił głoś. Reporterka mówiła coś prosto do kamery. Thorne patrzył, nie wiedząc właściwie na co, dopóki kamera nie zmieniła ujęcia i nie zaprezentowała całej serii połączonych ze sobą obrazów...

Puste boisko. Grupka dziewczynek na przystanku autobusowym-  
Puszka po benzynie do zapalniczek...

Thorne poczuł nagły nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Znów próbował to zrobić - rzekła Carol Chamberlain. - Próbował podpalić kolejną dziewczynkę.

Thorne zatrzymał wóz przed domem i siedział w nim przez pięć minut. Miał wrażenie, że to najdłuższa przerwa na odsapnięcie, jaką sobie urządził od bardzo dawna. Czas płynął w niekończącym się chaosie działań bardziej lub mniej bezmyślnych: siedem dni od usiłowania zabójstwa młodej dziewczyny i obecną wizytą u ojca innej, która zabiła się prawie dwadzieścia lat wcześniej.

Siedem dni, podczas których jego przełożeni zmienili zdanie w kwestii oferty Gordona Rookera...

Thorne czekał, aż silnik przestanie pykać i ucichnie, a w aucie zacznie robić się chłodno, i dopiero wtedy wysiadł, by ruszyć w stronę domu. Znajdował się on w samym centrum prostego rzędu wiktoriańskich budynków wzniesionych tarasowato na spadzistej ulicy po południowej stronie Wandsworth Common, niedaleko więzienia. Thorne nacisnął dzwonek i cofnął się kilka kroków. W większości domów paliło się światło: ludzie zasiadali do posiłku albo przygotowywali się do wyjścia w ten piątkowy wieczór. Dom tutaj musiał kosztować jakieś Pół miliona. Na pewno znacznie więcej niż przed piętnastoma laty, kiedy Ciarkowie sprowadzili się tu z Amersham, gdzie chodziła do szkoły Jessica.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, pokiwał głową znacząco, podczas gdy Thorne sięgnął do kieszeni po legitymację.

- Nie trzeba - rzekł, odsuwając się od drzwi. Głos miał cienki, jakby nosowy. - Kim innym mógłby pan być?

Ciarke zadzwonił w ciągu godziny od pierwszej informacji w wiadomościach. Wydawał się wściekły i zakłopotany. Zażądał wprowadzenia w szczegóły i wyjaśnienia, co uczyniono. Thorne uznał, że Przez tydzień, jaki upłynął od tamtej pory, mężczyzna trochę się uspokoił.

- Dziękuję, że się pan zjawiał. Może miałby pan ochotę na herbatę?
- Z przyjemnością...
- Ale chyba mamy tylko earl greya...
- Może być maczana.

Przyniósłszy herbatę, pani Ciarke oznajmiła, że ma sporo pracy. Uśmiechnęła się nerwowo, opuszczając pokój. Thorne uznał, że miała taki wyraz twarzy jak bliscy, którzy odwiedziwszy śmiertelnie chorą bliską osobę, wychodzą z sali na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Emma zajmuje się cateringiem - rzekł Ciarke. Wskazał na sufit. - Ma niewielkie biuro na piętrze.

- Rozumiem. A państwa córka?

Po krótkiej nerwowej pauzie Ciarke zapytał:

- Isobel?

Thorne pokiwał głową. Chodziło mu o ich drugą córkę.

- Och, gdzieś się tu kręci.

Ciarke rozstał się z pierwszą żoną w 1989 roku, trzy lata po śmierci Jessiki, tuż po ich przeprowadzce z Buckinghamshire do Londynu.

Thorne nieraz spotykał się z podobnymi reakcjami u pograżonych w rozpacz rodziców. Często nie potrafili oni uporać się z poczuciem winy, gniewem i wyrzutami sumienia. Nie umieli spojrzeć w oczy mężowi lub żonie, aby nie ujrzeć twarzy utraconego dziecka.

- A zatem brak jakichś nowych wieści, hę? - zapytał Ciarke.

Przesunął dłonią po czaszce. Stracił sporo włosów, a te, które zostały, mocno posiwiały, miał obcięte na zapałkę. To podkreślało jego ostre rysy i żywe niebieskie oczy, dziwnie młode jak na jego wiek. Thorne wiedział,

że tamten jest już po pięćdziesiątce, ale wyglądał dobrych dziesięć lat młodziej.

Thorne pokiwał głową.

- Wciąż te same odgrzewane kawałki mające zwiększyć sprzedaż gazet. Nic z tego nie pochodzi od nas.

- Świadkowie? Rysopisy? To była zatłoczona ulica, na miłość boską-

- Nic się nie zmieniło, odkąd ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon.

Przykro mi.

Wiem, że nie przysługuje mi dostęp do tych informacji. Jestem wdzięczny...

Thorne zbył jego podziękowanie i przeprosiny zdawkowym machnięciem ręki. Przez kilka sekund pili herbatę i patrzyli na płomyki gazowe imitujące ogień w kominku. Na obramowaniu kominka Thorne ujrzał pocztówki, pudełka papierosów i zaproszenie na przyjęcie napisane dziecięcym charakterem pisma. W dużym lustrze z drewnianą ramą powyżej odbijała się wisząca za nim akwarela.

Ciarękę zauważył, że Thorne przygląda się obrazowi.

- Należał do matki Jessiki - powiedział. - To jedna z niewielu rzeczy, jakie zatrzymałem.

Ciarękę usadowił się w miękkim skórzanym fotelu, Thorne obok niego na stylizowanej sofie. Obaj siedzieli wychyleni lekko do przodu, trzymając kubki z herbatą na kolanach.

- Jak w tym starym dowcipie, co? - rzucił nagle Ciarękę, zmieniając temat. - O tym, że policji pokradli sedesy.

Thorne uśmiechnął się.

- Jasne.



Mimo że Thorne najwyraźniej zrozumiał, Ciarke nie mógł powstrzymać się od zacytowania puenty.

- No i jak tu mają cokolwiek robić?

- Potrzebujemy łutu szczęścia - rzekł Thorne. - Jak zawsze.

Ciarke odłożył swój kubek i wstał.

- Czy można nazwać szczęśliwym trafem to, że tamten próbował zrobić to samo z kolejną dziewczynką? - Uśmiechnął się i minął Thorne a, by podejść do okna i zaciągnąć zasłony.

Thorne ponownie zdumiał się tym, jak dobrze Ciarke wygląda na swój wiek, choć może złudzenie to potęgowała luźna polarowa bluza °d dresu. Ucieszył się, że znalazł temat, który pomógłby przerwać nie-Zr?czną ciszę.

Widzę, że utrzymuje pan formę. - Poklepał się po brzuchu. - Ja to mogłbym się obyć bez dźwigania tego brzuszyska.

Ciarke obszedł sofę i wrócił na fotel.

- Prowadzę ośrodek rekreacji - wyjaśnił.

Thorne pokiwał głową, ale w duchu uznał, że to o niczym nu świadczyło. Większość fryzjerek miała fatalne fryzury, a on znał wielu nieuczciwych gliniarzy.

- Proszę posłuchać - rzekł. - Mamy pewne przypuszczenia. Uważamy, że ten niedawny incydent może mieć związek z atakiem na pańską córkę.

Clarke kciukiem i palcem wskazującym pociągnął za dolną wargę.

- Jasne. To ten sam... rodzaj ataku. Kimkolwiek jest ten szaleniec, musi wiedzieć, co stało się z Jess. Musiał o tym czytać, prawda?

- Tak. Choć może też chodzi o związek innego rodzaju.

- Czyli jaki?

- Mówiłem, że mamy pewne przypuszczenia.
- Inne związki, tak. - I natychmiast dodał: - Ale jakie?

Clarke miał rację, mówiąc, że nie przysługiwały mu informacje na ten temat, ale Thorne zdawał sobie sprawę, że właśnie dlatego siedział teraz w salonie domu tego mężczyzny. Przyszedł tu po to, aby mu o wszystkim powiedzieć.

- Całkiem możliwe, że człowiek, który przyznał się do usiłowania zabójstwa pana córki w 1984 nie był faktycznym sprawcą tego czynu.

Clarke zarechotał ochryple.

- Co takiego? Sądzicie tak tylko dlatego, że jakiś świr poszedł i ku pił puszkę płynu do zapalniczek?

- Nie...

- To jakiś absurd.

- Chwileczkę, panie Clarke.

- Wobec tego, jeśli jutro wieczorem w Leeds zostanie pocięta kolejna prostytutka, będzie to oznaczało, że Peter Sutcliffe jest niewinny, tak?

- Mieliliśmy uzasadnione powody, by wierzyć w niewinność Goi" dona Rookera jeszcze przed atakiem z ubiegłego tygodnia.

Na dźwięk nazwiska Rookera Clarke mocniej zacisnął szczęki.

- „Uzasadnione powody" to taki wasz policyjny eufemizm? „można się było tego spodziewać" z ust lekarza, kiedy ktoś znajdzie się na łożu śmierci. Tak? Mam rację? Bo nie zapominajmy, że mówimy o człowieku, który przyznał się do podpalenia mojej córki.

Tak, wiem. On się przyznał. Wycofał się z tego.

Trochę późno, nie uważa pan? - Ciarękę uderzył dłońmi o uda i uśmiechnął się, jakby to go rozbawiło, ale jego głos wręcz ociekał jadem.

Sięgnął za fotel. - Chwileczkę - powiedział. Znalazł przełącznik i włączył górne oświetlenie. - Trzeba trochę rozproszyć tę ciemność.

Thorne uniósł wzrok na krąg łagodnego światła na suficie.

- Ma pan rację. Oczywiście, że tak. To cholernie późno...

- Uważa pan, że mężczyzna, który zaatakował tę dziewczynkę w zeszłym tygodniu, to ten sam sprawca, który podpalił Jess?

- Rozważamy tę ewentualność.

- Wobec tego gdzie się podziewał przez dwadzieścia lat? Pytanie było oczywiste, a Thorne mógł udzielić na nie jedynie oczywistych odpowiedzi.

- Może wyjechał. Albo siedział w więzieniu za jakieś inne przestępstwa...

- A czemu akurat teraz znowu miałby to zrobić?

- Może martwi się, że Rooker ma wyjść z więzienia. Próbuje zrobić z nas głupców, dać do zrozumienia, że się pomyliliśmy. Albo próbuje przypisać sobie zasługi za to, co było jego „dziełem”. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, panie Ciarke.

Znów ten żart klozetowy... Właściwie tak.

Tako że nie miał więcej do powiedzenia, Thorne uniósł kubek do ust i odchylił głowę, choć wiedział, że nie było już w nim herbaty.

Nie wiemy, kim jest ten mężczyzna ani czy to ten sam sprawca, który próbował zabić pańską córkę. Nawiasem mówiąc, Gordon Rooker też tego nie wie.

Zatem nie wierzy pan we wszystko, co on mówi?

- On mówi tylko, że wie, kto jest odpowiedzialny za to, co spotkało Jessicę. Wie, kto wyłożył pieniądze, i zamierza nam to wyjawić.

- To był jakiś gangster - rzekł Ciarke, jakby cytował przeczytany gdzieś tekst. - Tak mi mówiono, rzecz jasna, nieoficjalnie, nikt nie miał pewności, o kogo konkretnie chodziło, ale prawdopodobnie został za bity wkrótce po tym, co zrobił Jess. Zgadza się?

Thorne zauważył, że oblicze Clarkea spochmurniało, kiedy nie odpowiedział od razu. Zrozumiał, że trafił na głęboką wodę i nie powinien brnąć dalej.

- Przykro mi, ale nie mogę...

Ciarke uniósł dłonie. Zrozumiał.

- Chciałem tylko, aby wiedział pan jedno - ciągnął Thorne. - Jeżeli Rooker wyjdzie z więzienia, to tylko po to, aby na jego miejsce trafił ten, kto naprawdę jest odpowiedzialny za to, co się stało z pana córką.

Ciarke zamyślił się przez chwilę. Odwrócił fotel w stronę kominka i wyciągnął ręce, aby je ogrzać. Thorne uznał, że nagle zrobiło się Siv chłodniej.

Jak on w ogóle może wpatrywać się w płomień? - pomyślał. Co widzi, patrząc w ogień?

- Powinien pan mieć zdjęcie Jess - powiedział nagle Ciarke.

Po karku Thorne'a przeszedł dreszcz. Miał wrażenie, jakby mężczyzna naprzeciwko niego znał jego myśli. Ciarke wstał i podszedł do skrzyni z sosnowego drewna stojącej w kącie salonu. Widniało na nim kilkanaście fotografii oprawionych w ramki.

- Oczywiście.

- Dla przypomnienia...

Ciarke sięgnął po nieduże zdjęcie i zaczął wyjmować je z ramek.

- To będzie dobre. - Odłożył przeszkloną ramkę, wyjąwszy z niej fotografię. Pomachał nią w stronę inspektora.

Thorne wstał i podszedł, by wziąć od Clarke'a zdjęcie. Mężczyzna podał mu je i postąpił krok w stronę drzwi.

- To zdjęcie „sprzed”. Potrzebuje pan także drugiego, już „po”. Tych tu nie trzymam, żeby Isobel się nie denerwowała. To jedyny powód.

Wyszedł z pokoju. Thorne usłyszał kroki na schodach, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Powinien pan mieć zdjęcie Jess...

Thorne pomyślał o sposobie, w jaki Ciarke to powiedział, jakby udzielał mu dobrej rady mającej zapewnić lepszą przyszłość.

Powinieneś zbadać poziom cholesterolu. Powinieneś pamiętać o składkach emerytalnych. Powinieneś mieć zdjęcie mojej nieżyjącej córki.

Thorne wiedział, że Ciarke zdaje sobie sprawę z tego, iż nie jest to wizyta oficjalna. Nie stanowiła elementu śledztwa, podobnie było z propozycją dotyczącą fotografii. Po prostu Ciarke chciał, aby Thorne ją miał. Bo uznał, że powinien ją mieć...

Usłyszawszy, że na piętrze zamykają się drzwi, Thorne wyszedł do holu i zaczekał przy drzwiach frontowych. Równie dobrze mógł to zrobić teraz, skoro nadarzyła się okazja.

Ciarke zbiegł szybko po schodach i wręczył Thorneowi małą czarną książeczkę.

- Pomyślałem, że może zechce pan zajrzeć do jej pamiętnika. Ale oczywiście nie namawiam do tego. Zrobi pan, co zechce. Odda mi pan jedno i drugie, kiedy już z tym skończycie...

- Ma się rozumieć...

Ciarękę podał mu zdjęcie z lekkim skinieniem głowy. Thorne przyjął je, nawet nie zerknąwszy, bał się na nie spojrzeć. Bał się tego, co mógł zobaczyć. Kiedy przeniósł wzrok na Clarke'a, po wyrazie jego twarzy zorientował się, że z taką reakcją tamten spotykał się już setki razy.

Na jej pogrzebie byli gangsterzy - powiedział. - Mordercy i baronowie narkotykowi oraz mężczyźni biorący pieniądze za krzywdzenie ludzi. Przyszli, by złożyć wyrazy współczucia po tym, jak się zabija.

Mówił ze spokojem, choć gniew był wyraźny jak coś, co porusza się za muślinową firanką. - Miała pogrzeb w naprawdę przepiękny dzień, słoneczny i w ogóle. Wszyscy powtarzaliśmy, że to robota Jess, uwielbiała piękną pogodę, i wtedy pojawili się tamci, w garniturach i ciemnych okularach, jakby zeszli z planu Wściekłych psów i wszystko ze psuli. Kevin Kelly, jego żółtowata żona i ten drugi, co przejął po niej interes... Ryan. Cała banda. Stali tam wszyscy, ociekając potem, z olbrzymimi wieńcami. Na jednym z nich było nawet jej nazwisko. Koszmar. Zjawili się z cholernymi wieńcami dla mojej córeczki, która umarła, bo jej przyjaciółka była, tak się złożyło, córką gangstera...

Thorne owi trudno było na niego patrzeć. Pocierał kciukami o gładką stronę trzymanego w dłoniach zdjęcia. Kiwał głową, gdy uważał to za stosowne.

- Urabialiśmy sobie ręce po łokcie, aby posłać Jess do tej szkoły, aby móc opłacić jej chesne. Co musiał zrobić Kelly? Ilu ludzi musiał za bić albo okraść, aby posłać tę małą... swoją córkę akurat do tej szkoły";

Thorne zobaczył na podeście powyżej jakąś postać, nastolatkę o długich popielatych blond włosach.

Ciarękę odwrócił się, kiedy zauważył, że Thorne uniósł wzrok.

- Isobel...

Thorne nie był pewien, czy Ciarke zwracał się do dziewczynki, czy może ją przedstawiał. Zdziwił się, stwierdziwszy, jak bardzo przypominała przyrodną siostrę. Chciał dla potwierdzenia zerknąć na zdjęcie, ale znajdowało się ono pod tym przedstawiającym Jessicę po ataku, a Thorne nie chciał, nie mógł go teraz przełożyć...

- Witam - powiedział.

Dziewczyna pociągnęła za rąbek swetra i mruknęła coś pod nosem na powitanie. Ciarke tylko wzruszył ramionami.

- Ma trzynaście lat - rzekł gwoli wyjaśnienia. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. - Za parę tygodni skończy czternaście... - Sięgnął ręką za Thornea, aby otworzyć frontowe drzwi.

Thorne już miał rzucić jakiś banał w rodzaju, że dzieciaki rosną zbyt szybko, ale nie zdążył, bo Ciarke podszedł do niego i zniżając głos, rzucił:

- Ten człowiek, kimkolwiek jest, próbował zabić Jess. Tak pan powinien wiedzieć. Wspomniał pan o tym kilka razy.

- Przykro mi, ale...

On nie usiłował jej zabić, panie Thorne. On ją zamordował - mówiąc to, Ciarke spojrzał Thorneowi w oczy

Thorne odruchowo odwrócił wzrok, ale zaraz zawstydzony zmusił by odnaleźć jego spojrzenie.

Potrwało parę lat, nim umarła, ale i tak ją zamordował. Nie pozostało do powiedzenia nic więcej, toteż pożegnali się zdawkowo, pozwalając, by rozdzieliła ich bariera zamykających się drzwi frontowych.

Thorne obejrzał się wstecz. Przez pokryte szronem panele czerwonego, niebieskiego i zielonego szkła w drzwiach frontowych dostrzegł sylwetkę lana Clarke a wspinającego się wolno po schodach w kierunku córki.

Tłum na przystanku autobusowym jest w pierwszej chwili tylko tłumem, zbitą, nierozpoznawalną ludzką masą, nie tylko z powodu jakości filmu. Zwarta grupka ludzi stłoczonych na chodniku, kulących się z zimna lub jak w wypadku dziewczynek trzymających się razem i dyskutujących o tysiącu spraw w oczekiwaniu na przyjazd autobusu.

Dźwięku nie było, ale nietrudno sobie wyobrazić krzyki, gniewne wrzaski wściekłości i przerażenia.

Zwarty tłum rozprasza się w jednej chwili, ludzie odskakują lub rozlegają się na wszystkie strony i wtedy po raz pierwszy widać tego mężczyznę. Stara kobieta wskazuje na niego, ciągnie za rękaw kobietę z wózkiem obok niej. Dziewczynki trzymają się razem, ściskają kurczowo swoje torby i blezery, podczas gdy mężczyzna z twarzą ukrytą pod kapciem ciemnego anoraka odwraca się i truchtem oddala w głąb ulicy... Hendricks wyszedł z kuchni. Za parę minut będzie jedzenie - oznajmił. I Thorne wstał z kanapy i wyjął taśmę z magnetowidu. Przy okazji wyjął też butelkę czerwonego wina z obramowania kominka i napełnił

Ponownie kieliszek Carol.

Nie ma żadnych ujęć pod innym kątem? - spytała. Thorne pokręcił głową i opróżnił swój kieliszek.

- To najlepsze, co udało się nam zdobyć.

Nagrania z kamer przemysłowych pełniły ostatnio istotną funkcję w wielu śledztwach. Zazwyczaj kamery stanowiły jedynie drobną przeszkodę dla przestępców. Dilerzy cracku z Coldharbour Lane i przenoszą, tę



heroinę mrówki z okolic Manor House znali doskonale ich umiejscowienie i traktowali z taką samą pogardą, jaką mogliby okazać kierującemu ruchem stójkowemu. Zazwyczaj prowadzili swoje interesy, nie przejmując się kamerami, bo wiedzieli, jak i kiedy odwrócić głowę lub pochylić ramiona, by uniknąć mogącego stanowić podstawę do oskarżeń zdjęcia, a następnie, już po wszystkim, bezczelnie mrugali do skierowanego w ich stronę obiektywu. Jednakże raz na jakiś czas Thorne miał okazję oglądać o wiele istotniejsze nagrania - ziarniste czarno-białe zdjęcia przestępców dokonujących napadu z bronią w ręku, morderców lub, co bardziej bulwersujące, tych, którzy mieli stać się ich ofiarami.

W tym wypadku zaś potencjalnej ofiary, która miała farta.

- To bez sensu - rzekła Chamberlain. - Jak on mógł myśleć, że u mu się uda? Przecież nie dałby rady uciec. Gdyby nie stało się tak, jak się stało, czyli że został spłoszony. Gdyby ta dziewczynka nie zauważyła, że polewa ją benzyną do zapalniczek, i gdyby zdołał ją podpalić..

- Kto wie, może nawet wtedy zdołałby zbiec - powiedział Thorre. - Ludziom bardziej by zależało na tym, aby pomóc dziewczynce. Wiesz równie dobrze jak ja, że większość ludzi boi się podjąć jakąkolwiek inicjatywę. Nikt nie chce zgrywać bohatera, który za swój heroizm za-robi kulkę albo cios nożem pod żebro.

Chamberlain wlepiła wzrok w swój kieliszek.

- Czemu akurat przystanek autobusowy? Dlaczego zmienił modu5 operandi?

- Szkoły są dziś o wiele lepiej chronione - wtrącił Hendricks.' Musiałby mieć szczęście, aby znaleźć taką szkołę jak ta, do której chodziła Jessica Clarke, gdzie mógłby wejść na boisko.

Pokręciła głową.

- W samym środku Swiss Cottage o czwartej po południu-głupota. Tam jest mnóstwo ludzi.

Najwyraźniej chciał narobić sporego rabanu. - Hendricks znów przystanął w kuchni, aby coś sprawdzić.

- Myślisz, że to ten sam facet? - Thorne spojrział z przejęciem na Chamberlain.

- Tak. Jestem tego pewna. Kurtka była ta sama...

Thorne pokręcił głową.

- Nie to miałem na myśli. Czy sądzisz, że to ten sam facet, który dwadzieścia lat temu podpalił Jessicę Ciarke?

Nie odpowiedziała natychmiast.

- Nie wyglądał... staro - odrzekła. - Wiem, że nie widać jego twarzy. Ale było coś w jego postawie i ruchach, tak mi się zdaje.

- Myślisz o Rookerze albo o kimś takim jak on - rzekł Thorne.

- Wiem...

- A jeśli ten człowiek miał wtedy dwadzieścia parę lat? Teraz byłby zaledwie po czterdziestce.

- Widziałam, jak uciekał. Jak biegł. Coś było w tym nie tak, nie takiego mężczyznę sobie wyobrażałam.

- Uciekł truchtem - wtrącił Thorne. - Przecież tak może biegać nawet pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatek, czyż nie?

Hendricks wszedł ze swoim kieliszkiem do pokoju i napenił go winem.

- To, że tak po prostu oddalił się truchtem, jak gdyby nigdy nic, wydaje się całkiem sensowne. Tak się robi, jeśli nie chcesz zwracać na

siebie Uwagi, jeżeli nie chcesz, by ktoś pomyślał, że przed czymś uciekasz...

Rozległ się sygnał wyłącznika czasowego w kuchence. Hendricks odstawił kieliszek i wrócił do kuchni.

- Nawet jeżeli to on - rzekła Chamberlain - to czy za tym, co roki. stoi Billy Ryan?

Kto wie, ale jeżeli nawet, to nie mam pojęcia dlaczego.

Hendricks zaklął głośno. Albo się poparzył, albo kolacja się przypaliła.

Wszystko gra, Delio? - zawołał Thorne.

Słysząc było tylko kolejne zduszone przekleństwo.

Chamberlain się zaśmiała.

- Pachnie smakowicie, cokolwiek to jest.

Dopiła wino i spojrzała na zegarek.

- Może zostaniesz na noc? - spytał Thorne. - Znajdzie się dla ciebie wolne łóżko...

- Nie, pojedę ostatnim pociągiem. Podaj mi tylko numer do firmy taksówkowej...

- To żaden kłopot, naprawdę. Jestem pewien, że Jack zdoła przygotować dla siebie śniadanie.

Pokręciła głową i postąpiła krok w stronę kuchni.

Thorne położył dłoń na jej ramieniu.

- Kiedy dorwiemy Ryana, powie nam, kto dwadzieścia lat temu wziął od niego pieniądze i podpalił Jessicę. Poda mi to nazwisko. -Wskazał na magnetowid. - Jeżeli to ten gość, dopadnę go. Jeżeli to nie on, ale ten ktoś nadal żyje, odnajdę go. A potem znajdę też tego. Po traktuj to jak obietnicę, Carol...

Kiedy Chamberlain spojrziała na niego z wdzięcznością i rozbawieniem, Thorne zdał sobie sprawę, że zdjął rękę z jej ramienia. Aby ją nieco uspokoić, zaczął delikatnie gładzić ją po plecach. Uniosła brwi w zabawnym geście.

- Jeżeli chodzi o twoją propozycję, abym została na noc - rzekła. - Co konkretnie miałeś na myśli?

Ciarke siedział na sofie, obejmując żonę ramieniem. Patrzył na drugi koniec pokoju w stronę telewizora.

Płakał raz do roku w urodziny swojej pierwszej córki. Ten dzień był także rocznicą jej śmierci. Przez resztę czasu tłumił w sobie wszystko, zupełnie jakby jego żebra były klatką, w której uwięzione zostały jego myśli, odczucia i mroczne pragnienia. Siedział w bezruchu, wspominając szczegóły wizyty Thorne'a, tego, co zostało po niej zrobione, i przez cały czas miał wrażenie, jakby jego żebra łąka chwilami miały popękać i rozlecieć się we wszystkie strony.

Jego żona zaśmiała się cicho rozbawiona czymś, co zobaczyła w telewizji, i oparła głowę na jego piersi. Odruchowo zaczął głaskać palcami jej włosy. Wlepił wzrok w niewielki prostokąt białej ściany mniej więcej pół metra powyżej ekranu. Od czasu do czasu słyszał ciche stuknięcie dochodzące z góry, gdy jego druga córka krzątała się na piętrze.

Thorne leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Zastanawiał się, czy to tylko zwykła niestrawność, czy coś, czego trudniej się pozbyć.

Choć wieczór był przyjemny, ucieszył się, mogąc wezwać taksówkę dla Carol. Ulżyło mu jeszcze bardziej, kiedy później Hendricks postanowił odłożyć zmywanie na rano i położył się wcześniej.

Niepewność towarzysząca wszystkim aspektom sprawy Billy Ryan Jessica Ciarke nie dawała mu spokoju przez cały wieczór jak niepożądany gość, który niespodziewanie zawitał nieproszony na kolację. Teraz czuł, że to doznanie wcisnęło go w materac, kiedy wlepił wzrok w znieawidzoną lampę z Ikei.

Niewiedza była w tym wszystkim najgorsza.

Przez lata pracy dzięki sprawom, które prowadził, Thorne poznał i zrozumiał rzeczy, których, gdyby tylko mógł, wolałby uniknąć. A jednak pomimo wszelkich upiornych prawd, z jakimi się zetknął, wolał wiedzieć, niż nie wiedzieć, choć mroczny ciężar jednego i drugiego był diametralnie różny.

Sięgnął pod kołdrę i dotknął dłonią krocza. Przez kilka minut pobudzał się bez większego entuzjazmu, nie mogąc się odpowiednio skupić.

Zaczął myśleć o zdjęciach Jessiki Ciarke, które zostawił w skórzanej kurtce w holu. Wyobraził sobie jej zniekształcone, oszpecone, zatrzymane w kadrze oblicze dotykające jedwabnej podszewki kieszeni. Pomyślał o jej pamiętniku, który miał w swojej teczce.

Postanowił odłożyć tę lekturę na następny wieczór...

Sięgnął po walkmana, założył słuchawki i włączył The Mountain Steve'a Earlea przy udziale Del McCoury Band z 1999 roku. Przez chwilę rozcierał dłonią mocno ściśniętą klatkę piersiową, by w końcu twierdzić, że to prawie na pewno musiała być niestrawność.

Nie da się wytrzymać dłużej i nie przysnąć, słuchając bluegrassu.

- Wyglądasz trochę lepiej, Gordonie - rzekł Holland.

Rooker stęknął.

- To rzecz względna, no nie?

- No dobrze - mruknął Stone. - Wyglądasz lepiej niż pół dupy zza krzaka, ale nie tak dobrze jak Tom Cruise. Co ty na to?

Strażnik więzienny, który stał za nimi, postąpił krok naprzód i po chylił się lekko.

- Czy możemy trochę to przyspieszyć? - spytał.

Zebrali się przy stoliku w niewielkim kantorku przy sali wizyt. Telewizor i magnetowid były już podłączone. Holland wcisnął guzik, by ustawić taśmę, którą mieli odtworzyć.

Nie patrząc na niego, Stone machnął trzymanym w dłoni świstkiem papieru w stronę strażnika.

- Bez obawy, to nie jest długa lista. - Skinął kartką na Rookera. - Nie jest u was zbyt popularnym gościem, zgadza się?

O sprawdzeniu tej właśnie rzeczy wspomniał Tughanowi Thorne, kiedy pojawiły się pierwsze wątpliwości dotyczące Rookera. Podczas gdy Stone i Holland skierowali się do zakładu karnego Park Royal, reszta zespołu zajęła się tymi, którzy niedawno opuścili to więzienie, a którzy mogli mieć bliższy kontakt z Gordonem Rookerem i kto wie, może chcieliby, znalazłszy się poza murami, wyświadczyć mu drobną przysługę...

Lista, którą wymachiwał Stone, zawierała nazwiska tych wszyst' kich, którzy przyszli do więzienia w ciągu ostatnich sześciu miesięcy' aby zobaczyć się z Rookerem. Jeżeli mężczyzna, który wydzwaniał Carol Chamberlain i prawdopodobnie był odpowiedzialny za atak w Swiss Cottage, dogadał się z Rookerem, całkiem możliwe, że zacz?' li snuć swoje

plany w sali odwiedzin. Pewne rzeczy można było dopracować przez telefon, ale to raczej wątpliwe. Wszystkie telefony do Gordona Rookera, więźnia kategorii B, były przynajmniej wybiórczo monitorowane. Jeśli Rooker miał współnika, Thorne był pewien, że jego nazwisko znajduje się na liście gości.

Łatwo jest sprawdzić nazwiska i adresy - rzekł do Hollanda Thorne ale chcę, abyś przejrzał je w obecności Rookera, może uda ci się wyciągnąć od niego dodatkowe informacje. Zobacz, jak zareaguje, kiedy pokażesz mu zdjęcia. Upewnijmy się, że nie jesteśmy wodzeni za nos...

W więzieniu poproszono o kopie taśm z sali odwiedzin; nagrania przesiano i zmontowano, aż w ręce zespołu trafiła kasetka z filmem trwającym zaledwie kilka minut. To właśnie tę taśmę mieli obejrzeć Holland, Stone i Rooker...

- Zaczynamy - rzekł Holland, odsuwając się od magnetowidu.

Stone poklepał Rookera po ramieniu.

- To bardzo ważne nagranie, Gordonie. Może zechciałbyś opatrzyć je stosownym komentarzem?

Rooker wziął ze stolika okulary i przysunął się wraz z krzesłem bliżej ekranu.

Śnieg na ekranie ustąpił ciągowi niezdarne połączonych ujęć przechodzących gwałtownie z jednego w drugie: pół tuzina osób wchodzących do sali odwiedzin, odkładających torby i płaszcze na krzesła i siadających przy stoliku. Ludzie byli różni, jeśli chodzi o gabaryty, wsuwali się lub osuwali za wąski stolik, ale żadna z tych osób nie wydawała się zbytnio zadowolona, że się tu znalazła...

- Cath, moja najstarsza córka - odezwał się Rooker i wskazał ręką. podczas gdy Holland sporządzał notatki.

Na ekranie ciemnowłosa kobieta po trzydziestce usiadła na krześle, miała na sobie dżinsy i bluzę dresową. Gdyby nosiła kombinezon, można by wziąć ją za osadzoną.

Jej syn trafił do West Ham...

Kolejne cięcie i na ekranie pojawiła się inna kobieta. Po siedemdziesiątce, ubrana w zapięty pod szyję zielony płaszcz. Ścisnęła oburącz leżącą na stoliku torebkę.

- Najmłodsza siostra mojej matki, Iris. Wpada od czasu do czasu aby powiedzieć mi, kto umarł...

Mężczyzna, mniej więcej w wieku Rookera. Mówił, energicznie przy tym gestykułując. Brudny szary garnitur i włosy tej samej barwy,

- Tony Sollinger, stary kumpel od kieliszka. Ni stąd, ni zowąd skontaktował się z Lizzie i powiedział, że chce mnie odwiedzić. Nie wiem czemu postanowił poinformować mnie, że ma raka...

Kobieta między pięćdziesiąt a siedemdziesiąt lat. Włosy zakryte wzorzystą chustką. Mówiła niewiele.

- O wilku mowa. Zona... a raczej ekszona podczas dorocznej wizyty...

Z głębi skrzydła za nimi dał się słyszeć nagle skowyt wściekłości, a może czegoś całkiem innego. Holland i Stone się odwrócili. Strażnik nawet nie uniósł głowy.

- Wiadomo, dlaczego ludzie nie ustawiają się w kolejkach, by odwiedzić to miejsce - rzekł Stone. - Raczej nie jest to Alton Towers.

Strażnik, choć rozbawiony, zachowywał absolutne milczenie.



- Wayne Brookhouse - ciągnął Rooker. - Spotykał się z moją najmłodszą. - Facet był po dwudziestce. Miał ciemne kręcone włosy i okulary. Odpalał jednego papierosa od drugiego. - Moja córka nigdy tu nie zagląda, więc on wpada od czasu do czasu, by powiadomić mnie, co u niej słychać. Rzekomo mechanik samochodowy, ale pewnie raczej z tych niedorobionych. Klepie biedę, choć to przyzwoity chłop...

Czarnoskóry mężczyzna, pod czterdziestkę. Bardzo wysoki, elegancko ubrany. Biała koszula, czerwony krawat.

- Simons, Simmonds czy jakoś tak. Pieprzony inspektor wi?" zień. Oni wszyscy mają jakieś odchyły, ale on jest w zasadzie nie groźny. Lepsze to niż rozmawiać z niektórymi bestiami stąd...

I w końcu ostatni z gości. Krępy, barczysty mężczyzna o wzroście raczej nieco niższym niż przeciętny Z włosami posiwiałymi na skroniach. Siedzi w bezruchu, gapiąc się na czubek pochylonej głowy Got' dona Rookera.

Stone zaśmiał się, odwrócił od ekranu, na którym widać było Toma Thorne'a, i spojrzął na Hollanda.

Chryste, ten tutaj wygląda na naprawdę paskudnego typu.

Biały szum, gdy nagranie dobiegło końca i taśma zaczęła się przewijać.

Holland odłożył notes. Stone odchylił się na krześle do tyłu i odwrócił się do Rookera.

- Zaledwie pięcioro gości w ciągu sześciu miesięcy. Chyba wszyscy o tobie zapomnieli, stary.

Rooker wstał.

- Na to właśnie liczę...

Odwrócił się i wyszedł. Strażnik ze spokojem podniósł się i podążył za nim, wydłubując brud spod paznokci kantem laminowanej legitymacji służbowej.

- Cicho tu - zauważyła Kitson.

Thorne musiał się z nią zgodzić. Wiedział, że nie chodziło jej o to, iż większość zespołu zjadła lunch wcześniej i przeniosła się do Oak.

- Myślę, że od Swiss Cottage jest jeszcze ciszej i spokojniej - zauważył. - Dopóki ktoś nie zdecyduje, co zrobić w sprawie Billy ego Ryana, a wtedy wszystko może się zmienić...

Odkąd zmienili zdanie co do Gordona Rookera, w połączonym zespole doszło do podziału na dwie odrębne, działające niezależnie grupy co rozumiały, większy nacisk kładziono na pochwylenie mężczyzny, który próbował podpalić dziewczynkę w Swiss Cottage, ale w ciągu pierwszej doby dochodzenie nie przyniosło żadnego przełomu. Pomimo pory i miejsca ataku nie udało się uzyskać konkretnego portretu Pamięciowego. Twarz mężczyzny ukryta była pod kapturem, a zeznania świadków, jeżeli chodzi o wzrost czy budowę, diametralnie się różnili. Można było się tego spodziewać, zważywszy na grubą kurtkę i skuloną przygarbioną postawę napastnika.

Dziewczynka wróciła już do szkoły, podczas gdy jej matka kosiła szmal, rozprawiając o szczęśliwej ucieczce córki i bulwersującej nieudolności policji w każdym programie telewizyjnym i radiowy który zechciał ją u siebie gościć. Jak zdołano ustalić, jej córka została wybrana na ofiarę przypadkowo. Kolejna ślepa uliczka. Reszta tropów nie tyle prowadziła donikąd, ile raczej w ogóle ich nie było.

Tymczasem niezależnie od tego, czy był on powiązany z incydem w Swiss Cottage, czy nie, pozostawał jeszcze Billy Ryan. Choć poza mu rami więzienia szykowano się do wszczęcia przeciw niemu procesu, wciąż nie było jasności, co robić z pewnym kłopotliwym osadzonym.

Nick Tughan opowiadał się za delikatnym, zrównoważonym działaniem. Nadal mieli przed sobą rozmowę z braćmi Zarif, a Tughan wątpił, by cokolwiek zyskali, konfrontując Ryana z Rookerem czy sprawą Jessiki Ciarke. Thorne na razie przyglądał się rozwojowi wydarzeń z trybun, odkąd w połowie ubiegłego tygodnia sprawy przybrały nieco dramatyczniejszy obrót.

- Pracujemy z Rookerem - rzekł Tughan. - Wspólnie zbieramy dowody przeciwko Ryanowi, ale nie wolno nam zapominać, że w mieście wciąż trwa wojna gangów. Przede wszystkim muszę zadbać o to, by nie było kolejnych ofiar.

Brigstocke wtrącił swoje trzy grosze:

- Daj spokój, Nick. Przecież nie mówimy tu o ratowaniu niewinnych, prawda?

Tughan zareagował gniewnie:

- Powiedz mi, że Hanya Izzigil nie była niewinna. Albo Marcus Moloney.

Brigstocke spojrział na swoje stopy, po czym zerknął z ukosa na Thorne'a. To nie było dobre wejście...

- Nie wiemy, co teraz robi Ryan. - Tughan podszedł do okna i wyjrzał na North Circular. - Próbował pozbyć się Rookera, ale zawałił sprawę. To już prawie dwa tygodnie... - Odwrócił się i uniósł rękę, zanim Thorne

zdażył cokolwiek powiedzieć. - Nawet jeżeli to on zabił Molneya, głupio by wyglądało, gdyby nie próbował go pomścić, zgadza się?

- Czemu nie przyciśniemy go w sprawie Moloneya? - zapytał stocke. - Czemu nie przyciśniemy go w związku z innymi sprawami?

Nawiasem mówiąc, nie chodzi tylko o Ryana. Cokolwiek się wydarzy, chcę dopaść także Zarifów.

No jasne, ale teraz mówimy o Billym Ryanie. A w ogóle to siedzimy na tyłkach i nic nie robimy. Powinniśmy próbować przerwać jego działania.

Tughan najwyraźniej nie mógł się oprzeć urzekającemu widokowi przejeżdżających aut i betonu poniżej. Po kilku chwilach namysłu lub udawania, że się zastanawia, odwrócił się do okna plecami.

- Zaczekajmy...

Brigstocke westchnął ze znużeniem.

- Rooker może nie wystarczyć, Nick. Potrzeba nam wszystkiego, co zdołamy zebrać.

Thorne nie mógł dłużej tego słuchać.

- To ty powiedziałaś, że Rooker jest niepewny. - Zrobił krok w lewo, aby móc ujrzeć wyraz twarzy Tughana, choćby z profilu. - Nie sądzisz, że ława przysięgłych mogłaby się z tobą zgodzić? Niezależnie od dowodów, jakimi dysponujemy, Rooker mógłby zostać uznany za świadka, którego wiarygodność jest co najmniej wątpliwa. Adwokaci Ryana zrobiliby, co w ich mocy, aby ich klient wywarł na przysięgłych jak najkorzystniejsze wrażenie. Nie zaszkodziłoby poszukać czegoś jeszcze, co mogłoby się nam przydać na poparcie słów Rookera, zgadza się?

Brigstocke uniósł ręce.

- Nie rozumiem, jak moglibyśmy tego dokonać.

- Przypomnijmy Ryanowi, że o nim nie zapomnieliśmy - rzekł I Horne.

- Zamieszajmy trochę...

Teraz, parę dni później, siedząc w swoim gabinecie z Yvonne Kitson, Thorne wciąż się uśmiechał, wspominając, co jeszcze powiedział Tughan.

- W tym jesteś najlepszy, prawda Thorne? W mieszaniu. Jesteś jak chodząca łyżka.

Kitson odwróciła fotel, aby na niego spojrzeć.

Zakładam, że Brigstocke nadal jest górą w tym sporze?

- Russell jest niezły w tym, co robi - rzekł Thorne - ale od czasu do czasu trzeba go trochę zmotywować. Ja uświadamiam mu, że on także był kiedyś inspektorem i trochę zardzewiał za biurkiem. - Kitson zaśmiała się.

- Myślę, że próbuje odegrać się za to na Tughanie...

Thorne spojrział na Kitson i nagle przypomniał sobie, jak siedzieli rok temu w tym samym gabinecie. Patrzył, jak jadła lunch, wyjmując kanapki z plastikowego pojemnika i rozwijając je z folii. Wydawało mu się, że ona nad wszystkim panuje...

Poczuł, że zaburczało mu w brzuchu. Karim przyniósł mu sajgonki z pubu. Tego nie mógł spać nawet geniusz kulinarny z Oak.

- Co zjesz dziś na lunch, Yvonne...?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Holland. Wszedł do środka, a za nim Andy Stone, po czym obaj złożyli Thorne owi raport z porannej sesji w Park Royal.

Thorne spojrział na zdjęcia - klatki z nagrania, które pokazali Rookerowi - rozłożone przed nim na biurku.

- Cóż, myślę, że możemy śmiało wykluczyć żonę, córkę i ciotkę - powiedział.

Holland się skrzywił.

- Czy któraś z nich nie mogła przekazywać wiadomości pomiędzy Rookerem a kimś jeszcze? Mówię serio.

Thorne nigdy nie był aż tak zachowawczy. W tym wypadku jednak uważał, że należało wykazać szczególną ostrożność.

- Jasne, co tam - powiedział. - Oprócz staruszki przesłuchamy wszystkich.

Kiedy on i Holland już mieli wyjść, Stone odwrócił się i zapytał z uśmiechem:

- Jest pan pewien, że powinniśmy wykluczyć tę staruszkę? Wygada mi dość podejrzenie.

Thorne pokiwał głową.

- Jasne. To przez tę lukę między percepcją a rzeczywistością. - Spojrzał niewinnym wzrokiem na Stone'a. - Jestem pewien, że niektórzy wielcy filozofowie mogliby mieć w tej kwestii coś ciekawego do powiedzenia, Andy.

Holland, tłumiąc śmiech, po cichu wyszedł z gabinetu. Stone z kamienną twarzą odwrócił się i podążył za nim, pozostawiając Thorne'a w niepewności, czy próbowano zamydlić mu oczy, czy też nie.

Co to miało znaczyć? - spytała Kitson.

Thorne wciąż się uśmiechał zadowolony z siebie.

- Holland szepnął mi słówko o tym, jakich metod używa Stone, by zdobyć względy płci przeciwnej.

- Jasne. To prawdziwy ogier, prawda?

- Na to wygląda. Nigdy takiej nie spotkałem, ale niektórzy twierdzą, że kobiety zabijają się, aby wskoczyć gliniarzowi do łóżka.

Dopiero po chwili Thorne uświadomił sobie, co powiedział i do kogo. Kiedy przeniósł wzrok na Kitson, zauważył, że się zarumieniła.

- Przepraszam, Yvonne...

- Nie wygłupiaj się.

Pokiwał głową. Faktycznie, wygłupiał się.

- A nawiasem mówiąc, co u ciebie?

- Cóż... lepiej nie mówić. Dno... - Uśmiechnęła się i odwróciła razem z fotelem w stronę biurka.

- A jak dzieciaki?

Fotel znów powoli się odwrócił. Najwyraźniej miała ochotę pogadać.

- Najstarsze zaczęło sprawiać pewne kłopoty w szkole. Trudno powiedzieć, czy ma to związek z tym, co się stało, ale mówię sobie, że tak. Z drugiej strony usiłuję przekonać siebie, abym nie zachowywała S1? jak idiotka i przestała przez cały czas zadrećcać się wyrzutami suknia. Aż tu nagle jedno z nich walnie o coś głową albo skręci kostkę podczas gry w piłkę, a ja odnoszę wrażenie, że to moja wina...

Odezwał się telefon na biurku Thorne a i Kitson w jednej chwili milkła.

Dzwonił strażnik przy bramie wjazdowej. Powiedział Thorne owi, że ktoś właśnie podjechał do szlabanu i chce się widzieć z inspektorem.

Kobieta, jak wyjaśnił mu wartownik, nie przyjechała, aby spotkać się konkretnie z nim. Po prostu tak się składało, że był akurat najwyższy rangą członkiem Zespołu 3. Ot i łut szczęścia, na dobre i na złe, konstatował później to zdarzenie Thorne.

Już czekała w niewielkiej recepcji, kiedy zszedł po schodach. Thor ne skinął na oficera dyżurnego i podszedł do swego gościa. Kobieta była po

trzydziestce, jak uznał, wysoka, dorównywała mu wzrostem Włosy miała koloru tablicy korkowej, która wisiała z tyłu na ścianie, a cerę bladą jak ta ściana. Była ubrana w modne szare spodnie z żakietem pod kolor, a Thorne, nie wiedzieć czemu, pomyślał, że może być inspektorką urzędu podatkowego.

- Znalazła pani miejsce do zaparkowania? - zapytał. Z drugiej strony nie przypuszczał, że cywilni pracownicy fiskusa mogli być tak atrakcyjni...

Skinęła głową i wyciągnęła do niego rękę. Thorne uściskał ją.

- Nazywam się Alison Kelly - rzekła.

Wyraz osłupienia na twarzy Thorne a musiała uznać za dezorientację. Powtórzyła nazwisko i wyjaśniła, kim jest.

- Jessica Ciarkę była moją najlepszą przyjaciółką. To ją wzięto omyłkowo za mnie.

Thorne puścił jej dłoń nieco zażenowany, że tak długo ją trzymał Nie przejęła się tym zbyt.

- Przepraszam, wiem, kim pani jest. Tyle tylko że... nie spodziewałem się pani wizyty... i tego, że zjawi się tu pani ot tak, ni stąd, ni zowąd.

- Zapewne powinnam była wcześniej zadzwonić.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem. Thorne czuł, że im obojgu przygląda się oficer dyżurny.

- No dobrze. - „Czego pani właściwie chce?” zapewne zabrzmiałyby dość opryskliwie, ale Thorne to właśnie chciał teraz powiedzieć. Zamiast zadać to pytanie głośno, rozejrzał się tylko wokoło w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby porozmawiać na osobności.



- Jestem pewien, że znajdę dla nas jakieś ustronne miejsce, gdzie będziemy mogli pogawędzić. - Wskazał w stronę wyjścia - Chyba ze woli pani pójść na spacer?

Pokręciła głową.

- Jest piekielny ziąb.

- Wiosna już za pasem...

- Dzięki Bogu.

Becke House było centralą operacyjną, w przeciwieństwie do w pełni funkcjonalnego posterunku, i nie miało osobnego pokoju przesłuchań. Na prawo od recepcji był jednak nieduży pokój, z którego korzystano w nagłych sytuacjach i gdzie przechowywano alkohol na okoliczność wyprawianych imprez. Stół, krzesła, parę starych kredensów. Thorne otworzył drzwi, sprawdził, czy pokój był pusty, i zaprosił Alison Kelly do środka.

- Zobaczę, czy uda mi się zorganizować herbatę - powiedział.

Minęła go, usiadła i zanim jeszcze zamknął drzwi, zaczęła mówić:

- Oto co wiem. - Głos miała głęboki, pozbawiony akcentu. Naprawdę miała klasę. - Nic pan nie zdziała, próbując odnaleźć mężczyznę, który przed dziesięcioma dniami polał w Swiss Cottage tę dziewczynkę benzyną do zapalniczek. - Przerwała.

Thorne podszedł do stołu i usiadł.

- Nie bardzo wiem, co spodziewa się pani ode mnie usłyszeć w związku z tym...

- Trzy dni przed tym zdarzeniem ktoś usiłował zabić mężczyznę, który siedzi w więzieniu za podpalenie Jess, dźgając go w brzuch zaostrzonym

końcem pędzla. Nie ulega wątpliwości, że te dwa wypadki są ze sobą powiązane. Coś się kroi.

- Mogę spytać, skąd pani to wszystko wie?

Pokręciła przecząco głową. Zupełnie jakby nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie, a nie faktycznie odmawiała odpowiedzi. A potem mówiła dalej, udowadniając, ile naprawdę wiedziała:

- Nawet jeżeli nie wiedział pan, że człowiek, który dźgnął tego więźnia, był winien Billyemu Ryanowi kupę forsy, byłby pan idiotą, nie domyślając się, kto za tym wszystkim stoi. - Odgarnęła za ucho kilka luźnych kosmyków włosów. - Musiał być za to odpowiedzialny Ryan.

- Musiał być - przytaknął Thorne.

- Chciał zabić Rookera z oczywistych powodów.

Z oczywistych powodów. Thorne z ulgą stwierdził, że jednak nie wiedziała absolutnie wszystkiego...

- Choć mogę się tylko domyślać, dlaczego akurat teraz postanowił zemścić się za to, co Rooker zrobił przed laty.

Thorne był podniecony i nieco zakłopotany tą dziwną, niespodziewaną rozmową. Nie wiedząc czemu, zaczął bać się tej kobiety. Jej postawa wkurzała go i fascynowała zarazem.

- Powiedziała pani „mężczyzna, który siedzi w więzieniu za podpalenie Jess”. To dość dziwne sformułowanie. Nie powiedziała pani: „mężczyzna, który podpalił Jess”. Dziwnie to pani ujęła.

Spojrzała na niego tępo.

- Ma pani podstawy, by przypuszczać, że Gordon Rooker tego nie zrobił? - zapytał Thorne.

Nawet nie próbowała ukrywać lekkiego uśmiešku.

- A więc jednak coś się kroi, prawda?

Thorne był pewien, że właśnie wpadł w wymyślną pułapkę werbalną. Nie ulegało wątpliwości, że za zielonymi oczami Alison Kelly działo się więcej, niż przypuszczał.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Wiem także to - powiedziała - że niczego się od pana nie dowiem.

Czas uprzejmości się skończył.

- Czego pani chce, pani Kelly?

Thorne natychmiast zorientował się, do czego zmierzała, ale tylko dlatego, że się zdradziła rozluźnieniem mięśni szczęk i nieznacznym opuszczeniem ramion.

- Nie pan jeden nie spodziewał się, że tu przyjdę - rzekła. - Zanim się zdecydowałam, wypłam naprawdę duży kieliszek wina. Siedziałam w pubie naprzeciwko, otoczona policjantami, zbierając się na odwagę i popijając dla kurażu. - Uśmiech stał się nagle nerwowy. Głos stracił władczość i pewność siebie. - Chcę wiedzieć, co zrobiła ta dziewczynka - powiedziała. - Co zrobili jej przyjaciele na przystanku autobusowym, że ją uratowali. Chcę wiedzieć, co ich zaniepokoiło. Co dostrzegli, czego nam się nie udało zauważyć.

- Nie sądzę, aby to...

- Ja po prostu zobaczyłam, że Jess biegnie w moją stronę, i zesłam jej z drogi. Rozumie pan? Wtedy mogłam jedynie patrzeć - mówiła niemal szeptem, ale i tak jej głos zdawał się odbijać echem od lśniących białych ścian. - Usłyszałam trzaski, kiedy ogień dosięgał jej włosów. A potem to poczułam. Czuł pan kiedyś ten swąd? Czuł pan kiedykolwiek coś takiego? Nie zrobiło mi się niedobrze. Zbierało mi się co prawda na mdłości, ale nie

zwymiotowałam. Nie wtedy. Teraz na samą myśl o tym... kiedy poczuję zapach siarki zapalanej zapalki...

Wydawała się kompletnie zdezorientowana. To było słyszeć w jej głosie. Była jak dorosły na placu zabaw. Jak dziecko na posterunku policji.

- To mogły być moje włosy. To powinny być moje włosy.

Thorne otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć.

- Chcę wiedzieć, dlaczego Jess nie wyszła z tego cała jak tamta dziewczynka. Czemu tak się stało? Chcę, żeby powiedział mi pan, co mogliśmy zrobić, aby jej pomóc.

Thorne podkreślił głośność w telewizji na tyle, by dialogi z Eastenders zagłuszyły wycie śpiewającego pod prysznicem Hendricksa. Posadził sobie Elvis na kolanach i przejrzał dział sportowy „Standarda” leżącego na oparciu kanapy. Nie mógł przestać myśleć o tym, co powiedziała Alison Kelly. Nie tylko on nie radził sobie z niewiedzą...

Chęć wiedzy Alison Kelly brała się z głębszej potrzeby niż w jego wypadku. Było mnóstwo rzeczy, które, gdyby miał po temu szansę, zrobiłby inaczej, ale niewiele złych rzeczy, za które czuł się odpowiedzialny. Ona miała za sobą dwadzieścia lat poczucia winy i wyrzutów sumienia. Jedno w najlepsze karmiło się drugim, aż stały się bliźniaczymi pasożytami, które ją określały.

Thorne zapytywał sam siebie, w jakim stopniu Alison Kelly była lepsza od dziewczyny, którą wzięto omyłkowo za nią.

Elvis zeskoczyła na podłogę, mrucząc, kiedy Thorne wstał i podszedł do frontowych drzwi. Otworzył teczkę i wyjął mały czarny notes, którego nie otworzył ani razu, odkąd otrzymał go od lana Clarke a.

Na szczęście upiorne wycie dochodzące z łazienki ucichło. Thorne wrócił ze starym pamiętnikiem na kanapę. Sięgnął po pilota i zanim usiadł, zupełnie wyciszył telewizor.

Kiedy poczuła świerzbiecie, jakby w jej ciało wbijały się igły i szpilki. Chamberlain przesiadła się z obudowy wanny na sedes. Odwróciła głowę, by nie musieć oglądać swego odbicia w lustrze. Minęło pół godziny, odkąd weszła na górę, i zastanawiała się, ile tu jeszcze posiedzi, zanim przestanie się czuć jak przygłupia staruszka.

Przez cały weekend zajmowała się zamkniętą sprawą bukmachera zasztyletowanego na parkingu przed pubem w 1993 roku. Nieboszczyk i jego rodzina zasługiwali na sprawiedliwość jak wszyscy, ale Chamberlain nie umiała im pomóc.

Nie potrafiła na niczym się skupić... niczym się nie przejmowała... z wyjątkiem jednego.

Jej zadaniem było zamknąć sprawę Jessiki Ciarke. I była tego bliska.

Ale gdzieś popełniła błąd.

Trzy noce wcześniej, jadąc ostatnim pociągiem do domu po wieczornym spotkaniu z Thorneem, zarzucała sobie, że jest idiotką. Co mogła zrobić inaczej? Na miłość boską, przecież Rooker się przyznał. Nie było powodu, aby mieli szukać innego sprawcy...

Kiedy tak siedziała w niemal całkiem pustym pociągu, prawie przekonała samą siebie, ale i tak ta świadomość okazała się bolesna. Czowała ból zawodowej porażki i inny, znacznie gorszy, który bierze się z przeświadczenia, że zawiodło się kogoś bardzo ważnego.

Kolejny pociąg przejechał obok i odwróciła się, by spojrzeć. Jej odbicie zatańczyło na mijających ją szybach. Kiedy skład się oddalił

spojrzała na swoje odbicie unoszące się w ciemnościach po drugiej stronie szkła i stwierdziła, że płacze.

Najbardziej bolesne było poczucie bezużyteczności. Czuła się niepotrzebna. Zbędna. Miała świadomość, że sfuszerowała i nie przyłożyła ręki, aby tę sprawę naprawić.

Usłyszała szelest otwieranych drzwi do przedziału i patrzyła na odbicie w szybie zbliżającego się do niej mężczyzny. Widziała jak, kołysząc się lekko, wracał na swoje miejsce, trzymając w ręku reklamówkę z bufetu. Widziała, jak zatrzymał się przy jej stoliku... Wszystko w porządku, kochanie?

W łazience Chamberlain uniosła głowę na odgłos kroków na schodach. Kroki ucichły i usłyszała, jak Jack woła ją po imieniu.

Jeszcze kilka tygodni temu zaczęła się czuć jak policjantka: kiedy pojechała z Thorneem na spotkanie z Rookerem i kiedy oboje stawili czoło Billyemu Ryanowi przy salonie gier. Kiedy jednak tamci poszli z Rookerem na układ, ona została odsunięta na boczny tor i poczuła się tak źle jak siedem lat temu, kiedy zdawała służbową legitymację. Oczywiście można się było tego spodziewać. Piątkowy wieczór w mieszkaniu w Kentish Town - Thorne, pokazując jej nagranie z kamery przemysłowej, wyświadczył jej przysługę i tyle. Wiedziała, że to koniec...

Powoli osunęła się na kolana i sięgnęła pod zlew po ścierkę i zagęszczony płyn do czyszczenia.

Jeżeli ktokolwiek inny miał uporządkować ten bałagan z Jessicą Ciarke, cieszyłaby się, gdyby tym kimś był Tom Thorne. Nie chciała, by zrobił to ktoś inny...

Kroki na schodach znów się rozległy i zaczęły przybliżać. Przez kilka sekund pottrzymała suchą ścierkę pod kranem i powiedziała sobie, że powinna zacząć się martwić o nieżyjących bukmacherów i przestać zachowywać irracjonalnie.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi, gdy wycisnęła grubą porcję płynu do czyszczenia wokół obrzeża wanny. - Wszystko w porządku, kochanie?

14 MARCA 1986

Przerwy w szkole mogą być przyczyną wielu problemów. Teraz, kiedy Ali, Wanda i reszta przeszły wyżej, ja utknęłam z dziećmiakami młodszymi ode mnie, których w dodatku nie znam. Z dziewczynami w moim wieku umiem rozmawiać na każdy temat. O operacjach, przeszczepach i całej reszcie. Ale widują je tylko na boisku w porze lunchu, a niektóre w ogóle się ode mnie odsunęły, bo są rok wyżej i zachowują się, jakby były o rok starsze czy coś takiego.

Dziewczyny w mojej klasie za bardzo się starają. Chyba na tym polega problem. Wiem doskonale, że powiedziano im, co wolno, a czego nie wolno mówić. Wiem również, że ktoś ze szpitala przyjechał do szkoły w ubiegłym tygodniu, aby spotkać się z nauczycielami tuż przed moim powrotem, i niektórzy z nich zachowują się wobec mnie swobodniej od innych, a może po prostu lepiej udają.

Moja nowa wychowawczyni jest całkiem fajna.

W nowej klasie jest parę dziewczyn, które moim zdaniem są w porządku, ale większości z nich po prostu nie znoszę. Może jestem wobec nich nieuczciwa, bo wiem, że to dość niezręczne. Pamiętam, że czułam się dziwnie w obecności dziewczynki z podstawówki, która miała zajęczą wargę. Pamiętam, że starałam się jej nie ignorować, ale kiedy

zaczynałyśmy rozmawiać, zaraz się jąkałam i robiłam cała czerwona. Właściwie jeżeli chodzi o te dziewczyny, trudno mi określić, czy kieruje nimi strach, czy może nieśmiałość. Jest jednak kilka, które robią, co mogą. By zostać moimi nowymi najlepszymi koleżankami, a niektóre to po prostu wredne suki.

Może z czasem wszystko się ułoży.

#### NAJGORSZA CHWILA PNIA

Kiedy zrobiło się cicho, jak makiem zasiał, gdy zdjęłam bluzkę przed badaniem u lekarza.

#### MAGICZNA CHWILA PNIA

Mamo myślała, że zachowuje się subtelnie, kiedy pojawiła się reklama „Koszmaru z ulicy Wiązów” na wideo, a ona stanęła, zasłaniając ekran telewizora, abym nie zobaczyła twarzy Freddyego Kruegera.

Rząd eleganckich okazałych wiktoriańskich budynków nie byłby niczym szczególnym w Holland Park czy Notting Hill, ale tu, w samym środku Finchley, był. Słońce świeciło jak w sierpniu, lecz temperatura nie przekraczała kilku stopni Celsjusza, a do pierwszego dnia wiosny pozostały dwa tygodnie. Mężczyzna wyprowadzający psa na trawniku w miejskim parku mógł być darem społeczności. Ale nie był.

Podchodząc ku niemu i widząc, jak się uśmiecha, kiedy piesek rasy jack russell terrier biegał, kręcił się i podskakiwał u jego nóg, Thorne nie mógł wierzyć, że Billy ego Ryana szczerze bawi tak nieskomplikowana i ciepła relacja z jakąkolwiek inną żywą istotą.

- Jestem naprawdę zdziwiony - rzekł Thorne. - Stawiałbym raczej na rottweilera albo dobermana. W ostateczności na pitbulla.

Ryan nie przejął się zbyt widokiem inspektora.



- Nie muszę sobie niczego udowadniać. Nie mam kompleksu małego członka, aby coś sobie kompensować. A tak się składa, że lubię małe psy.

Thorne zauważył, jak Ryan kręci głową i macha do kogoś za nim. Odwrócił się, by ujrzeć, jak jego znajomy recepcjonista wsiada z powrotem do dżipa zaparkowanego po drugiej stronie trawnika. Thorne energicznie do niego pomachał, ale nie doczekał się żadnego odzewu.

- Wolne popołudnie?

- To przywilej bycia szefem. - Ryan uśmiechnął się i poprawił nieco na nosie lekko przyciemnione okulary słoneczne. - Chyba na to zasłużyłem.

- Fakt...

Ryan pochylił się, aby odebrać zaślinioną piłeczkę psu, który warczał i mocował się, aż w końcu wypuścił ją z pyska. Ryan udał, że rzuca piłeczkę w jedną stronę, aż w końcu cisnął ją w przeciwną. Kiedy tylko pies po nią pobiegł, jego pan wolno podążył za nim.

Thorne zrównał się z nim i skinieniem głowy wskazał na samochód.

- Ma pan tylko jego?

- Co pan ma na myśli?

- Nie wątpię, że jest odpowiednio przeszkolony, wyposażony i w ogóle. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, Billy, że jesteś teraz celem.

Ryan miał na sobie długi czarny kaszmirowy płaszcz i czerwony wełniany szalik. Otulił szczelniej szyję szalikiem.

- Teraz? - zapytał.

- Po Moloneyu.

Ryan spojrzał na niego z ukosa, ale znowu się odwrócił, zanim Thorne zdołał dostrzec jego oczy.

- To wielka hańba - rzekł.

- Hańba to, w jaki sposób zginął? Hańba, że został zabity? Czy hańba, że był gliniarzem?

- Sam zdecyduj.

- Nie przysłałeś wieńca - rzekł Thorne.

Cichy, skromny pogrzeb Moloneya odbył się w ubiegły weekend. Jego żona nie życzyła sobie policyjnego pogrzebu z honorami, jaki jej zaproponowano.

Ryan wzruszył ramionami, twarz miał bez wyrazu.

- To parszywa śmierć, jeżeli chcesz znać moje zdanie. Na pewno niegodna bohatera. Ale takie było jego zadanie, stanąć na pierwszej linii i przyjąć wystrzeloną kulę.

- Kto ją wystrzelił?

- Nie zamierzam wyręczać was w obowiązkach...

Pies wrócił z piłką. Ryan znów ją odrzucił i pomaszerował dalej.

- To stawia cię w trudnym położeniu - rzekł Thorne. - Nie ulega wątpliwości, że konieczny byłby odwet albo przynajmniej jego nadzorowanie...

- Odwet przeciwko komu?

- ..choć zapewne zakrawałoby to raczej na ironię.

- Może przez chwilę mógłbyś mówić z sensem.

No dobrze.

Czemu miałyby to zakrawać na ironię? - Miękki głos stał się na chwilę surowy i ochryply. Ryan wycodził ostatnie słowo niemal ze złością. zatrzymał się i odwrócił.

W szklach przyciemnionych okularów Ryana Thorne dostrzegł odbicie parku i niewielką sylwetkę psa biegnącego z powrotem w ich stronę.

„Bo to ty kazałeś go zabić, parszywy śmieciu”.

- Ponieważ był funkcjonariuszem policji, rzecz jasna - odparł Thorne.

Tym razem Ryan, odebrawszy psu piłeczkę, włożył ją do kieszeni. Terier zaszczeakał parę razy, po czym oddalił się z nosem przy ziemi. Nie on jeden coś zwęszył.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - powiedział Thorne.

- Które?

- Dotyczące tego, że jesteś celem dla braci Zarif.

- Dla jakich braci?

- Wydajesz się bardzo rozluźniony, co jest dziwne, zważywszy, że jeszcze nie tak dawno błagałeś o ochronę.

- Nigdy nikogo o nic nie błagałem, a mówiłem o mojej rodzinie.

- Musiałem się pomylić...

Ryan zdjął okulary. Ponieważ słońce nie zaszło za chmury, Thorne uznał, że ten gest miał coś oznaczać. Może Ryan chciał, aby Thorne zobaczył jego oczy.

- Nie dociera się na szczyt w biznesie, wycofując się, gdy twoje interesy są zagrożone. Musisz bronić swego albo ktoś ci to zabierze.

- Kevin Kelly się wycofał - zauważył Thorne.

Okulary wróciły na swoje miejsce.

- To było dawno, synu. Zanim tu nastałeś. Nie wiesz, jak było kiedyś...

Thorne uśmiechnął się.

- Znam ludzi, którzy byli tu wtedy.

- Nie wątpię. Nawiasem mówiąc, gdzie jest dziś panna Marple?

Kevin Kelly wycofał się i przekazał ci cały ten majdan. Miałeś forta, zważywszy, że nie zrobiłeś nic, aby na to wszystko zasłużyć. O ile mi

wiadomo, w firmie byli tacy, którzy mieli do tego większe prawo Ludzie, którzy siedzieli w pudle, cieszący się zasłużoną reputacją, no wiesz. A jednak decyzja należy do szefa, a gdy przychodzi co do czego, przekazuje wszystko tobie. Musiałeś być niezłym wazeliniarzem żeby tak się zasłużyć, Billy...

Ryan milczał. Słońce wydobywało połysk lakieru na jego włosach.

- Kevin Kelly wyjeżdża na prowincję wdzięczny, że jego córka nie wygląda jak upiór w operze, a rodzina Kellych staje się rodziną Ryanów.

- Pamięć tej starej musi szwankować - wtrącił Ryan. - Według mnie było inaczej.

- To, co stało się w szkole, choć straszne i... ohydne, w pewnym sensie wyszło ci na korzyść.

Wśród drzew, na skraju zieleni zaszczekał pies, ale Ryan nie odrywał wzroku od Thorne a. Pokiwał głową znacząco.

- Zastanawiałem się, kiedy znów podejmiesz temat Gordona Rookera.

Thorne popatrzył na niego kpiąco.

- Nie ja to zrobiłem - zauważył.

Nie musiał widzieć oczu Ryana, by wiedzieć, że spochmurniały Ryan ruszył szybkim krokiem w stronę drzew.

Thorne pozostał o krok, dwa za nim i podnosząc głos, rzucił:

- Nie wiem, czy słyszałeś o tym, co spotkało pana Rookera. No wiesz, skoro już o nim wspomniałeś. Napadnięto go ostatnio w więzieniu. Został dźgnięty w brzuch. Podczas zajęć z malarstwa. Jego stan już się poprawia, jeżeli chciałbyś wiedzieć. Nie musisz się martwić. Nic mu już nie grozi...

Ryan przystanął. Próbował się uśmiechnąć, ale wargi miał wydęte, nie było widać zębów.

- Czy to rozmowa oficjalna?

Thorne zamyślił się. Zauważył, że Ryan przebiera nogami i przypomniał sobie, jak podobnie przestępował z nogi na nogę przed salonem gier, czekając na limuzynę.

- Cóż, akurat za to mi nie płacą...

Tyle że to wszystko nie ma sensu, zgadza się? Cokolwiek spodziewasz się ode mnie usłyszeć, nawet gdybym to powiedział, i tak nic by ci nie dało. Chyba że nagrywasz tę rozmowę, a powiem ci szczerze, stary, nawet w takim wypadku są ludzie, którym ja płacę i którzy potrafiliby dopilnować, aby ten pieprzony materiał nie ujrzał światła dziennego. Tak więc myślę, że nasza pogawędka dobiegła końca...

- Niczego nie nagrywam - rzekł Thorne. - Interesuje mnie tylko twoje zdanie w kilku kwestiach i staram się je poznać. - Uśmiechnął się, wsuwając dłonie do kieszeni skórzanej kurtki. - Jak to mówią „bujac to my, ale nie nas”. A niektórzy przedstawiciele palestry są pod tym względem lepsi niż najlepszy bujany fotel.

- Ja mówię „nie pakuj palca między drzwi”.

Ryan włożył dwa palce do ust i zagwizdał, zmierzając w stronę samochodu. Thorne nie był pewien, czy tamten gwizdał na szofera, czy na psa.

Tak czy owak, obaj przybiegli w podskokach.

Na dworze było zimno i ciemno, a na North End Road samochody sunęły w żółwym tempie jeden za drugim. Thorne owi siedzącemu w aucie było ciepło i miał względnie dobry nastrój.

Reszta dnia w Becke House minęła mu całkiem nieźle, głównie dlatego, że Tughan i jego zespół operacyjny pozostali w Barkingside.

Thorne zaczął się przekopywać przez całą górę papierów. I zajął się energiczniej paroma sprawami, które w ostatnich tygodniach zepchnął na dalszy plan.

Zainteresował się też śledztwem prowadzonym przez Hollanda i Stonea w związku z gośćmi w zakładzie karnym Park Royal, których Wizyty zarejestrowano na taśmie.

Nie wydaje mi się, abyśmy mieli jakiś trop - rzekł Holland. - Co do żony i córki, jest tak, jak pan przypuszczał. Żadna z nich nie jest atką Teresą, ale obie są w zasadzie niegroźne. Philip Simmonds, inspektor więziennictwa, to dość niepokojący typ, ale oni wszyscy są tacy przynajmniej w moim odczuciu...

Stone pokiwał głową, dorzucając garść swoich spostrzeżeń:

- Wayne Brookhouse, były chłopak najmłodszej córki Rookera, wydaje się dość śliski. Choć po znajomych Rookera nie można się spodziewać niczego innego. Nic więcej na niego nie mamy. Tony Sollinger nie żyje. Rak żołądka, zmarł trzy tygodnie temu. - Uniósł wzrok znad notatek. - A jak poszło z Ryanem, szefie?

Thornea ucieszyła popołudniowa przechadzka do Finchley, podobnie jak Brigstocke a, który w końcu zdołał przekonać Tughana, że przynajmniej powinni dać Billy emu Ryanowi do zrozumienia, że wciąż trwają na posterunku. Można się było spodziewać, że Tughan wymagał nieco bardziej bezpośredniego podejścia, aby go przekonać. Potrzeba było silniejszych nacisków. Jak na ironię, takie właśnie z założenia miało być zadanie zespołu operacyjnego. Pech chciał, że pojęcie działania prewencyjnego nadinspektor pojmował jako coś, co podejmuje się w wypadku uciążliwego zatwardzenia.

Tak się składało, że większość zespołów wchodzących w skład - Grupy do spraw Zwalczenia Przystępczości Zorganizowanej, miała za zadanie również działania prewencyjne. Najbardziej znana była popularna także w telewizji Lotna Brygada Sweeneya. Wykorzystując znane sobie źródła wywiadowcze, zdarzało im się od czasu do czasu zapobiegać napadom z bronią w rękę, a nawet aresztować przestępców chodzących - z bronią - po ulicach, co było największym osiągnięciem.

Dla Thorne a i innych z wydziału zabójstw sytuacja przedstawiała się nieco inaczej. Ci, którzy polowali na zabójców, nigdy nie mogli wyłącznie reagować. Można było się dowiedzieć, gdzie jest planowana kradzież albo napaść na furgonetkę z pieniędzmi, ale nigdy nie było wiadomo, gdzie pojawią się czyjeś zwłoki. Zwykle nie wiadomo nawet, kiedy to się stanie, choć Thorne z doświadczenia wiedział, że stanie się to raczej prędzej niż później...

Przejeżdżał właśnie przez Belsize Park, mijając delikatesy z zawyżonymi cenami i sklep ze zdrową żywnością, gdy nagle postanowił wybrać się na wczesną kolację. Skręcił w lewo tuż przed stacją metra Chalk Farm i przemknął na ukos do Camden, kierując BMW w stron?

Seven Sisters Road. Zbliżając się do Manor House, zadzwonił do Hendjksa i poinformował go, że zje dziś na mieście.

Jedzenie było przepyszne, a wielkość porcji na pewno nie hołdowała zasadom współczesnej kuchni...

Arkan Zarif czuwał przy stoliku, patrząc, jak Thorne kosztuje pierwszy kęs głównego dania. Thorne wybrał coś, czego nigdy wcześniej nie próbował - pikantne klopsiki jagnięce owinięte w plastry ziemniaka.

Zaczął żuć, kiwając entuzjastycznie głową, a Zarif rozpromienił się z radości.

- Sam wybierałem mięso - powiedział. - I oczywiście sam je usmażyłem, ale ważny jest odpowiedni wybór. - Patrzył jeszcze przez chwilę, z rozdziawionymi ustami, uśmiechając się, gdy inspektor przełykał kolejny kęs. - Nie będę panu przeszkadzał w kolacji...

Thorne wskazał na miejsce obok.

- Ależ proszę. Niech pan się przyłączy. Nieczęsto mam okazję jadać z szefem kuchni.

Zarif pokiwał głową.

- Wypiję z panem szklaneczkę szkockiej.

Odwrócił się i odezwał po turecku do córki, która stała z poważną miną za kontuarem. Spojrzała na Thorne'a, który uśmiechnął się do niej ciepło. Zarif zmarszczył brwi, usiadł i znizywszy głos, szepnął:

- Sema jest zawsze w złym humorze. To nie pańska wina.

Thorne widział, jak naląła ojcu szklaneczkę johnnyego walkera i dopełniła mineralną z plastikowej butelki.

- Na pewno? Wiem, że tak działałam na kobiety.

Zarif zaśmiał się ochryple. Raz po raz klepał się wielką dłonią w Piers, aż się uspokoił.

Sema przyniosła ojcu drinka i bez słowa wróciła za ladę.

Serefe. - Zarif uniósł szklaneczkę.

Thorne pił piwo. Uniósł butelkę efesa.

- To znaczy: „za nasz honor”.

- Za nasz honor - powtórzył Thorne, kiedy butelka dotknę szklanki.



W ciszy, jaka potem zapadła, Thorne pochłonął większość tego, Co miał na talerzu. Odgryzał duże kawałki klopsa, nabierał do tego ryżu i popijał chłodnym piwem.

Zarif małymi łydkami sączył szkocką z wodą.

- Lubi pan kobiece udo - powiedział.

Thorne uniósł wzrok, przeżuując. Mruknął coś niezrozumiale zakłopotany.

- To danie nazywa się kadinbudbu. To znaczy „kobiece udo”. Zatem lubi pan kobiece udo. Żartuję sobie, że jeśli ktoś nie lubi kadinbudbu, to może w ogóle nie lubi kobiet. Rozumie pan? - Znowu zaniósł się ochryplym, rżącym śmiechem.

- A co z wegetarianami? - zapytał Thorne.

Zarif wziął do ręki kartę dań i spojrzał na niego w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że jego żarcik bywa jednak prawdziwy.

- Wszystkie nazwy z menu coś znaczą. Tureckie nazwy zawsze coś znaczą. Co pan zamówił na początek?

- Smażonego bakłazana...

Zarif wskazał to danie w karcie.

- Imam bayildi. To oznacza „zemdlony duchowny”. Rozumie pan? Kiedy ten posiłek podano duchownemu, tak mu zasmakował, że aż zemdlał z rozkoszy.

- Przepraszam, że nie zemdlałem - powiedział Thorne - ale to było bardzo smaczne...

- Hunkar begendi. - Zarif znów wskazał danie z menu. - To akurat przyrządzam wyśmienicie. Siekana jagnięcina w białym sosie. To znaczy „rarytas cesarza”.

- Lubił go tak samo jak duchowny?

Zarif nie zrozumiał dowcipu.

- Wszystkie nazwy coś znaczą, ale niekiedy jest kłopot z tłumaczeniem. Bo brzmi śmiesznie, rozumie pan? Mamy angielskich klientów, którzy pytają, czemu nazwy dań są zawsze po turecku. Odpowiadam, że gdyby były po angielsku, w moim menu byłyby takie potrawy, jak „śmieciowy kebab” i „faszerowana prostytutka”.

Thorne zaśmiał się.

To zniechęcałoby klientów...

Tylko niektórych - odparł Thorne. - Inni mogliby przychodzić tu celowo...

Zarif zaśmiał się głośno i znów uderzył się w pierś, rozlewając odrobinę drinka.

Thorne pomyślał nagle o swoim ojcu. O tym, jak bardzo spodobałaby mu się ta rozmowa. Wyobraził go sobie uśmiechniętego i zapisującego nazwy potraw...

- A co z imionami i nazwiskami? - spytał Thorne. - Czy one też coś znaczą?

Zarif pokiwał głową.

- Oczywiście.

Thorne skończył jeść i odsunął od siebie talerz.

- Co znaczy Zarif?

Szef kuchni zamyślił się na chwilę.

- Zarif znaczy... „delikatny”.

Thorne zamrugał i ujrzał rozbryzgi krwi na tapecie. Ciało Mickeya Claytona przewieszane przez kuchenne krzesło. Rany cięte na plecach...

- Delikatny?

Zarif znów pokiwał głową. Machnął ręką, by zwrócić uwagę córki, a gdy mu się to udało, rzucił coś do niej szybko po turecku. Posępny wyraz twarzy jeszcze się pogłębił, gdy podeszła do niewielkiej lady chłodniczej z boku przy kontuarze.

- ' A co się tyczy mego imienia, Arkan, to naprawdę zabawne. Słowo to ma dwa znaczenia, w zależności od tego, gdzie się znajdujesz i jak je wymówisz. Oznacza „szlachetną krew” albo „uczciwą krew”. Brzmi całkiem miło, no nie? Ale oznacza również „zadek”, „tyłek”, Znaczy się.

Thorne zaśmiał się, zakręciwszy resztką piwa na dnie butelki.

- Moje nazwisko także oznacza różne rzeczy dla różnych ludzi.

- Racja. - Zarif machnął dłonią w powietrzu, szukając właściwych słów. - Cierń jest mały, kłujący...

- Drażniący. - Thorne opróżnił butelkę. - I trudno się go pozbyć..

Zjawiała się Sema, by postawić przed Thorne em kolejny talerz. Inspektor spojrzał na Zarifa, oczekując wyjaśnienia.

- To sucuk. Na koszt firmy...

Był to prosty ryżowy pudding, gęsty, kremowy i mocno doprawiony cynamonem.

- Wspaniały - rzekł Thorne.

- Dziękuję...

Thorne zauważył, że wyraz twarzy Zarifa zmienił się, kiedy rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi. Rzut oka na twarz Semy uświadomił mu, że dwaj bracia Zarif - Memet i Tan, których dotąd nie miał okazji poznać - wpadli, by mu się przedstawić.

Arkan Zarif wstał i podszedł do lady, gdzie mężczyźni jeden po drugim nachylali się, by ucałować siostrę. Zaczęli rozmawiać z ojcem po turecku. Thorne obserwował ich, udając, że rozgląda się dokoła. Spojrzał na ozdobne aranżacje z płytek ceramicznych widoczne na ścianach, gdzie w tanich ramkach zawieszono oficjalne państwowe zezwolenia na prowadzenie lokalu gastronomicznego.

Obaj bracia w przeciwieństwie do Hassana i ich ojca mieli niewiele włosów Memet, którego Thorne oszacował na czterdzieści parę lat, miał spore zakola, a to, co zostało mu z włosów, przyciął bardzo krótko. Miał również kozią bródkę, gęściejszą niż Thorne, ale wcale nie lepiej tuszującą drugi podbródek. Tan, młodszy o jakieś piętnaście lat, był niższy i chudy jak tyka. Nie łyślał, ale i tak podgolił włosy, zapewne małpując brata, jak uznał Thorne. On także miał zarost, węższy jednak, jak narysowany ołówkiem, biegnący wzdłuż górnej wargi i krawędzi podbródka, tak jak kiedyś George Michael, dopóki ktoś nie powiedział w końcu piosenkarzowi, że wygląda idiotycznie. Tan najwyraźniej uważał się za twardziela i wpatrywał się w Thorne a, podczas gdy Memet rozmawiał.

Wiedząc, że Thorne nie może ich zrozumieć, Memet Zarif nawet nie próbował zniżyć głosu w rozmowie z ojcem. Często się uśmiechał i poklepywał starego po ramieniu, ale Thorne wychwycił w jego głosie nutę powagi.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Thorne uniósł wzrok. Przypomniawszy sobie, co powiedziała Carol Chamberlain, kiedy mówiła o Billym Rynie. O tym, że ci ludzie wiedzieli na twój temat tyle samo, co ty o nich. A nawet więcej... Thorne przez chwilę odpowiadał na posępne spojrzenie Tana, aż w końcu wrócił do puddingu.

Niepokojąca, a na swój sposób ekscytująca była świadomość, że jeden z tych mężczyzn - Thorne stawiał na Memeta Zarifa - najprawdopodobniej wydał rozkaz egzekucji Mickeya Claytona i innych. Jeżeli on lub jego bracia sądzili, że prawo potraktuje ich łagodniej, ponieważ to nie oni posłużyli się nożem czy bronią palną, najwyraźniej nie zrozumieli przekazu, jaki usiłował im wpoić Thorne. I choć Thorne miał w tej kwestii inne zdanie, powszechnie uważano, że to bracia Zarif są odpowiedzialni za śmierć detektywa sierżanta Marcusa Moloneya. Cokolwiek sądził o Nicku Tughanie, Thorne wiedział, że ten dopilnuje, aby Memet, Hassan i Tan za to zapłacili. Kiedy Thorne znów uniósł wzrok znad swego sucuku, Memet i Tan podeszli do jego stolika.

- Czego pan chce? - zapytał Memet Zarif.

Thorne nabrał kolejną porcję puddingu do ust. Kiedy odpowiedział, mogło się wydawać, że przez chwilę zapomniał, o co go zapytano.

- Miałem ochotę coś zjeść i właśnie jem kolację, więc bądźcie tak uprzejmi i pozwólcie mi w spokoju dokończyć. Jeżeli jednak zamierzacie mnie zdenerwować - a nie radzę, chyba że chcecie rozróbę w restauracji własnego ojca i macie ochotę zobaczyć, jak stoliki fruwać w powietrzu - to zróbcie to jak należy - Odwrócił się do młodszego brata. - Jeżeli wydaje ci się, że twoje spojrzenie wzbudza strach, to musisz jeszcze poćwiczyć, synku. Wyglądasz jak Mongoł... - Thorne odwrócił się, zanim tamci zdążyli zareagować. Wychylił się, by pochwycić spojrzenie ich siostry, i wykonał ręką w powietrzu energiczny gest, jakby pisał, Uznawany powszechnie za prośbę o przyniesienie rachunku.

Memet i Tan podeszli do stolika w rogu, gdzie zaraz dołączył do nich Jeszcze jeden mężczyzna, który wyszedł z zaplecza. Sema postawiła przed

nim im kawę i biszkopty oproszone cukrem pudrem. Zapali) papierosy i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami po angiels i turecku.

Arkan Zarif przyniósł Thorne owi rachunek na talerzyku.

- Zostanie pan na kawę?

Thorne wziął z talerza kawałek tureckiego rarytasu i zerknął na rachunek.

- Dziękuję. Na mnie chyba już czas.

Sięgnął do kieszeni po pieniądze.

Zarif spojrział w stronę stolika w rogu, po czym przeniósł wzrok na Thornea.

- Moi synowie są podejrzliwi wobec policji. Wiem, że są poryw-czy i krewcy, ale trzymają się z dala od kłopotów.

Thorne przeżuwał słodki smakołyk i uznał, że stary Zarif żył w świecie iluzji, podobnie jak jego ojciec. Upuścił na talerzyk dwa banknoty, dziesięcio- i pięciofuntowy.

- Czemu są podejrzliwi wobec policji? - zapytał.

Zarif miał niepewną minę.

- Jeszcze w Turcji były pewne problemy. Nic poważnego. Memei bywał dość gwałtowny...

- To dlatego wyjechaliście stamtąd i przybyliście tutaj?

Zarif machnął energicznie ręką.

- Nie. Przybyliśmy tu z prostych powodów. My, Turcy, pragniemy jedynie chleba i pracy. Przybyliśmy do tego kraju po chleb i pracę.

Thorne wstał i sięgnął po swoją kurtkę. Podziękował Zarifowi, pochwalił pyszny posiłek i ruszył w stronę drzwi, a w głębi duszy

stwierdził, że na chleb można zapracować, ale równie dobrze można odebrać go komuś innemu...

Zdrowy rozsądek nakazał mu nie zatrzymywać się, gdy mijał stolik w rogu, ale inna część jego umysłu wciąż była pochłonięta nazwami i nazwiskami.

Drażniący. Trudno się go pozbyć...

Trzej mężczyźni przy stoliku zamilkli i spojrzeli na niego. Kłęby siwego dymu z ich papierosów snuły się aż pod sufit, wijąc się wokół piszących latarenek niczym bajkowe dżiny.

Thorne wskazał palcem na płożące się pod sufitem smużki dymu, po czym nachylił się i zwrócił do Memeta Zarifa:

Na twoim miejscu zacząłbym wypowiadać życzenia... Wciąż się uśmiechał, wracając do swego auta. Po drodze wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer.

- Tato? To ja. Mam dla ciebie coś ekstra. Właściwie, jeżeli zechcesz, mogę podyktować ci całą listę, ale na początek ciekawostka. Masz pod ręką pióro? Nie, ale coś do pisania...? No to posłuchaj: Gdzie twoim zdaniem mógłbyś zamówić faszerowaną prostytutkę?

Na początku tygodnia przeniesiono Rookera do zakładu karnego Salisbury jednego z nielicznych więzień w kraju mających skrzydło dla chronionych świadków. To posunięcie bardzo mu się spodobało. Teraz miał za całe towarzystwo zaledwie pół tuzina innych więźniów i ani jednego pędzla w zasięgu wzroku.

- Jak w ogóle wspominasz pierwsze spotkanie z Billym Ryanera? - zapytał Thorne. - Skąd wziął się pomysł zabicia Alison Kelly?

Zorganizowany w tym skrzydle specjalny pokój przesłuchań został niedawno odnowiony ściany pomalowano na żółto, ale i tak nie wyglądał imponująco. Ktokolwiek go zaprojektował, nie natrudził się zbytnio - stół, krzesła, sprzęt nagrywający, popielniczka...

Rooker odchrząknął.

- Spotkałem się z Ryanem parę razy...

- Choćby wtedy, kiedy przyjąłeś pierwotne zlecenie na Kevina Kellyego?

- Nie mówię o tym.

- Ale do tego Ryan także cię wynajął, prawda?

- Sądziłem, że mamy to już za sobą...

- To zdumiewające, że przypomniał sobie o tobie po tym, jak spaprałeś sprawę za pierwszym razem.

Rooker rozsiadł się wygodnie na krzesle, zaplatając ręce. Wyglądał jak naburmuszony dzieciak.

- Posłuchaj - rzekł Thorne - ten temat zostanie podjęty w sądzis-Ekipa Ryana weźmie cię w obroty, aby obalić twoje zeznanie. Nie je' steś, bądź co bądź, wzorowym obywatelem, prawda?

Rooker wychylił się wolno do przodu, przesunął po stole pudełko z tytoniem i zaczął robić skręta. Zachowywał się inaczej niż prze miesiącem, kiedy Thorne ujrzał go po raz pierwszy w Park Royal-ulegało wątpliwości, że nadal nie doszedł do siebie po zamachu, ale i nie był tak zadziorny jak wcześniej. Thorne wiedział, że w kwestii przetrwania w więzieniu wszystko opierało się na grze pozorów fja tym, jak się było postrzegany przez innych. Pozory mogły być równie użyteczne, jak karta telefoniczna czy skradzione dłuto.



- Sęk w tym, że byłem idealny - powiedział Rooker. - Plotki głosiły, że to mnie wynajęto rok wcześniej do sprzątnięcia Kevina Kelly'ego.

- Jasne. Plotki.

- Jak już mówiłem, wszyscy tak uważali. I dlatego byłem dla Billy'ego Ryana idealnym kandydatem, kiedy postanowił pozbyć się córki tamtego.

- Doskonały kamuflaż.

- Otóż to.

Rooker zapalił papierosa. Thorne spojrzał na unoszący się dym i przypomniał sobie słowa, jakie wypowiedział do Memeta Zarifa tydzień wcześniej, równie zazdrosny wtedy, jak i teraz. Jak zawsze, gdy przebywał w obecności palących. Niektóre z bardziej prozaicznych snów Thorne'a były wypełnione kólkami dymu, nikotyną i wrażeniami, jakie niesie ze sobą zaciągnięcie się głęboko aż do płuc tytoniowym dymkiem.

- Jak Ryan się z tobą skontaktował? Przecież nie mógł ryzykować, że ktoś go z tobą zobaczy?

- Nie. To było trochę bardziej skomplikowane. Nie obyło się bez udziału osoby trzeciej. Niejakiego Harry'ego Little. On to zaaranżował. Już nie żyje...

- Umarł w podejrzanych okolicznościach?

- O ile mi wiadomo, nie. Był wtedy po pięćdziesiątce.

- Mów dalej...

Spotkaliśmy się w pubie w Camden. Być może w Dublin Castle, nie pamiętam. Harry był bardzo miły. Przyjacielski. Nigdy się zbytnio nie kumpłowaliśmy, wiedziałem więc, że o coś mu chodzi i że musiało to być

coś poważnego, bo koleś miał niezłą reputację, rozumie pan? - zaczął mówić o Billym Ryaniu, ale same ogólniki, nic konkretnego.

Wypiliśmy po parę piw, w końcu facet mówi, że Billy chce się spotkać ze skontaktuje się, żeby podać mi miejsce i czas, a wtedy zrozumiałem, że sprawa była naprawdę grubszego kalibru. - Dostrzegłem zmianę wyrazu twarzy Thorne'a i sprecyzował: - Grubego kalibru znaczy się inna. Od zwykłych spraw.

Thorne pokiwał głową. Inna od zwykłych spraw. Czyli inna niż wpakowanie komuś kulki w głowę, wyrzucenie przez okno albo pobicie na śmierć...

- Gdzie odbyło się to spotkanie?

Rooker zgasił papierosa i odsunął się z krzesłem do tyłu.

- Moglibyśmy zrobić krótką przerwę? Muszę się odlać...

Kiedy Rooker wyszedł, Thorne wstał, aby rozprostować nogi. Podeszedł do przeciwległej ściany, oparł się o nią i zamknął oczy. W jego umyśle pojawił się istny korowód twarzy: Billyego Ryana, Memeta Zarifa, Marcusa Moloneya, Iana Clarke'a, Carol Chamberlain. Martwe oblicza Muszluma i Hani Izzigilów. Twarz ich syna Yusufa.

I dwie twarze Jessiki Ciarke...

Strażnik otworzył drzwi i wprowadził Rookera z powrotem do pokoju. Thorne usiadł naprzeciw niego przy stole.

- Ma pan dzieci, panie Thorne?

- Nie.

Rooker usiadł i wzruszył ramionami, jakby to, co zamierzał powiedzieć, przestało być ważne albo nie miało już sensu. Thorne, choć

zaciekawiony, chciał mieć to już za sobą. Chciał stąd wyjść. Nacisnął przycisk nagrywania w magnetofonie przytwierdzonym do ściany

- Przesłuchanie kontynuowane od... jedenastej czterdzieści pięć.

Spojrzał na Rookera. Tamten znów otworzył pudełko z tytoniem

- Opowiedz mi, co się stało, kiedy spotkałeś się z Billym Ryanem-

- To było przy drodze w Epping Forest, niedaleko Loughton. Któregoś wieczoru dostałem telefon od Harry'ego Little i pojechałem tam...

- Byliście tam tylko we dwóch?

Rooker pokiwał głową.

Siedzieliśmy w aucie Ryana i wtedy powiedział, o co chodzi.

Powiedział ci, że chce, żebyś zabił córkę Kevina Kelly ego, Alison.

Rooker spojrzał Thorneowi prosto w oczy. Wiedział, że to było ważne.

Właśnie tak.

- Co wtedy pomyślałeś?

Rooker wydawał się zbity z tropu. Milczał.

- Cóż, jak sam powiedziałeś, nie chodziło o zwykłą rzecz.

Wszyscy wiedzieli, że Ryan jest trochę szurnięty...

- Ale mimo wszystko dziecko?

- Chciał wojny. Chciał zrobić coś, co zburzy istniejący porządek rzeczy, rozumie pan?

Thorne zamrugał i przypomniał sobie twarz Ryana tuż przy swojej, policzki niemal tak samo czerwone jak szalik. Szklisty wzrok. Delikatne drżenie wokół drobnych ust, kiedy mówił: „Tak więc myślę, że nasza pogawędka dobiegła końca”.

- To był pomysł Ryana? - zapytał. - To podpalenie?

- Na Boga, tak. - Rooker przeczesał dłonią włosy, strzepując deszcz drobinek łupieżu na blat stołu. - Sądził, że skoro już wcześniej robiłem coś takiego, nie powinienem mieć z tym większych problemów. Ze tak mi będzie łatwiej.

- Łatwiej?

- Już mówiłem. Był szurnięty...

- Z tego właśnie byłeś znany, prawda? Z podpaleń? Z tego, że używałeś paliwa do zapalniczek? Czy zatem, kiedy Ryan zaproponował ci właśnie taką metodę realizacji zlecenia, nie wzbudziło to twojego niepokoju?

- Ze co? - Rooker uśmiechnął się. - Ze niby powinien był mi się włączyć alarm przeciwpożarowy?

Twarz Thorne a pozostała beznamiętna.

Spójrz na mnie, Gordonie. Wzruszyła mnie twoja historia.

Przepraszam...

Nie wzbudziło to twoich podejrzeń?

Rooker raz i drugi zaciągnął się dymem ze skręta.

- Daj spokój, przecież to ewidentnie wskazywało na ciebie, zgadza się? Na serio chcesz powiedzieć, że tak się przejmowałeś skrzywię niem psychicznym Ryana, że ani przez chwilę przez myśl ci nie prze szło, że może chceć cię wystawić?

Rooker z głośnym westchnieniem wypuścił dym ustami.

- Później tak. Już po wszystkim uświadomiłem sobie, że zostałem wystawiony. Wtedy to faktycznie wydawało mi się cholernie oczywiste i zrozumiałem, że zachowałem się jak idiota, ale już było za późno. Wrobiono mnie, a Ryan miał wymówkę, żeby się do mnie dobrać. Rzecz

jasna, do tego czasu wiedziałem, że tak naprawdę chce zamknąć mi usta i dlatego chce się mnie pozbyć.

- Co wobec tego pomyślałeś, kiedy zwrócił się do ciebie z tą propozycją?

- Pomyślałem, ni cholery, mowy nie ma.

- Ponieważ to zbyt ryzykowne?

- Ponieważ chodziło o pieprzonego dzieciaka.

Thorne nachylił się do magnetofonu.

- Pan Rooker dla podkreślenia swoich słów uderzył otwartą dłonią w stół.

Posłał Rookerowi przesadnie szeroki uśmiech.

- Powiedziałem to, żeby nikt nie pomyślał, że ten hałas to odgłos towarzyszący temu, jak biję cię krzesłem, czy coś w tym rodzaju...

Rooker stęknął.

- I co się wydarzyło, kiedy splawiłeś Ryana?

- Nie był z tego powodu zadowolony...

- Co powiedział?

- Że znajdzie kogoś innego do wykonania tej roboty. Pamiętam dokładnie, powiedział to, kiedy wysiadłem z jego samochodu, tuż przed tym, jak odjechał: „Zawsze znajdzie się ktoś inny”...

Thorne mógł wyobrazić sobie Ryana mówiącego te słowa. Mógł wyobrazić sobie jego twarz, kiedy to mówił, i poczuł nagły ucisk w żołądku, bo Ryan wiedział, że to prawda. Rzeczywiście, Thorne na postawie gorzkich doświadczeń przekonał się, że to jedna z niewielu rzeczy na jakie można liczyć. Zawsze znajdzie się ktoś inny, kto zechce

wykonać robotę, z której ktoś zrezygnował. Coś mroczniejszego i bardziej zepsutego. Coś niewytłumaczalnego. Niewyobrażalnego...

Thorne na użytek nagrania oznajmił, że formalnie zawiesza przesłuchanie.

A potem wcisnął czerwony guzik. - Ciąg dalszy po lunchu - powiedział.

Thorne dojeżdżał prawie do Newbury, kiedy zjechał z M4 i zaparkował na placu przy Chieveley Services. Wóz błysnął światłami, kiedy Thorne podjechał i zatrzymał przy nim swoje BMW. Holland wysiadł ze służbowego rovera, oparł się o auto i zczekał, aż dołączy do niego Thorne.

Thorne odebrał telefon parę minut po siódmej na M3, kiedy jechał z Salisbury do domu. Skręcił przy następnym przydrożnym barze, aby kupić kanapkę i spojrzeć na mapę drogową. Na autostradzie A był wzmożony ruch, ale dotarł nią do M4, jednak jeszcze gorzej było na innych drogach w kierunku zachodnim.

Holland zaproponował Thorneowi masywną latarkę. Ten tylko rzucił na nią okiem i zdecydował się na potężnego maglitea, którego miał w bagażniku; wyjął stamtąd także rękawiczki. Omiatając promieniami latarek grunt przed sobą, ruszyli w stronę drugiego końca Parkingu.

- Jak to możliwe, że tak szybko się o tym dowiedzieliśmy? - spytał Thorne.

- Dzięki sprawnej współpracy między nami a cudownymi chłopakami z Thames Valley - Holland uśmiechnął się na widok wyrazu niedowierzania na twarzy Thorne'a. - Wiem, trudno w to uwierzyć. Znaleźli tę ciężarówkę dziś rano, sprawdzili tablice rejestracyjne i po

drugiej papierkowej robocie, idąc od jednej firmy przewozowej do drugiej - czyje nazwisko się pojawiło? System alarmowy w komputerach w Thames Valley powiedział im, że to nazwisko, które bardzo nas interesuje, więc może pan zgadywać, do trzech razy sztuka...

- I tak po prostu do nas zadzwonili?

- To zdumiewające, prawda? Taki przykład nienagannej i owocnej współpracy. Jak Mulder i Scully...

Ciężarówka stała w niemal całkowitych ciemnościach. Światło z restauracji i kompleksu handlowego pięćset metrów dalej nie docierało tu, dzięki czemu dwaj nieruchomi gliniarze z Thames Valley wyglądał; jak mroczne, niewyraźne kształty Kiedy Thorne i Holland podeszli bliżej, promienie ich latarek wychwyciły odblaskowe opaski na mundurach i pasma trzepoczącej niebieskiej taśmy zabezpieczającej, którą ogrodzono ciężarówkę.

Wymienili uprzejmości z dwoma funkcjonariuszami, którzy z niekłamaną radością skorzystali z oferty, aby wejść do baru i napić się herbaty. Thorne i Holland wolno obeszli ciężarówkę.

Był to biały mercedes z mierzącą jakieś dziesięć metrów naczepą w kolorze brudnej zieleni. Bez logo czy jakichkolwiek oznaczeń.

Thorne wspiął się do drzwi od strony pasażera i zdecydowanym ruchem sięgnął do klamki.

- Myślę, że chłopcy z Thames Valley zaglądali tam już nie raz -rzekł Holland.

Thorne otworzył drzwi.

- Cóż, mam nadzieję, że zachowali ostrożność. Przydałoby się wezwać tu ekspertów.

- Są już w drodze...

Thorne omiółtł wnętrze szoferki promieniem latarki. Na siedzeniach i dywanikach na podłodze walały się jakieś papiery. Ktokolwiek tu pracował, nie był zbyt ostrożny. Trudno powiedzieć, czy to wina funkcjonariuszy, którzy odkryli porzucony pojazd, czy tych, którzy go porwali, a potem zostawili.

- Co przewoził? - zapytał Thorne, wyskakując z szoferki. - miał przewozić?

- W manifeście ładunkowym było napisane, że odtwarzacze DVD. Spory ładunek, cała naczepa, warto się pokusić, aby go zwinąć.

Cóż, cokolwiek tu było, nie założyłbym się, że Billy Ryan już nie położył na tym łapy. Wygląda na to, że postanowił uderzyć Zarifów tam, gdzie najbardziej ich zaboli. Co z kierowcą?

- Ani śladu. Ale też okolica nie jest najciekawsza...

- Co o tym sądzisz?

- Pańskie zdanie jest równie dobre jak moje - odparł Holland. -Może zabrali go porywacze...

Thorne ukląkł i omiółtł latarką plac pod ciężarówką. Olej, ziemia i nic poza tym.

- A może po prostu dołożyli mu zdrowo i wrócił z płaczem do braci Zarif. Tak czy owak, nie zazdroścę mu.

Paru nastolatków, którzy najwyraźniej zauważyli promienie latarek, nadeszło od strony restauracji, niosąc hamburgery i colę. Thorne poświecił na nich latarką. Krzyknęli i unieśli ręce, by osłonić oczy.

- Idź i powiedz, żeby spadali, dobra, Dave?



Thorne patrzył, jak tamten podchodzi do nich, po czym odwrócił się do ciężarówki z przekonaniem, że w tym wypadku stary frazes „nie ma tu nic do oglądania” sprawdził się wyśmienicie. Tylne drzwi najwyraźniej nie były zamknięte, ale starannie je przymknięto. Bez powodzenia spróbował jedną ręką uchylić skrzydło drzwi, więc odłożył latarkę na ziemię, chwycił oburącz za uchwyt i pociągnął.

Natychmiast uderzyła go w nozdrza woń moczu. Schylił się, żeby podnieść latarkę i poświecił do środka. Kiedy nagle zza ciężarówki wyłonił się Holland, aż drgnął gwałtownie.

- Kurwa...

- Przepraszam - rzekł Holland z uśmiechem. Dołączył ze swoją latarką do Thornea, oświetlając stopniowo wnętrze pustej naczepy - Pięknie pachnie, prawda? Musieli tu nocować włóczędzy albo jakieś dzieciaki...

Thorne podniósł nogę.

Pomóż mi, dobrze?

Holland splótł palce dłoni, aby Thorne mógł na nich postawić stopę. Thorne skorzystał ze wsparcia i wspął się do wnętrza naczepy. We-

Wewnątrz smród był jeszcze gorszy.

- Jezu...

- Może komuś bardzo chciało się lać - podsunął Holland. - pQ myślał, że to nowa przenośna toaleta. To nie to samo, co odlewać się w budce telefonicznej...

Thorne oświetlił latarką porysowaną metalową podłogę, światło wychwyciło wilgotne ślady, które płynął mocz, i całe jego kałuże opodal.

Ujrawszy już dość, odwrócił się gotowy, by zeskoczyć na ziemię, kiedy nagle dostrzegł coś w świetle latarki. W górnej części naczepy, przy szoferce widniały jakieś ślady. Thorne omiótł je promieniem latarki i wolno ruszył w tę stronę.

- Czy ktoś tutaj wchodził? - zawołał. Znał już odpowiedź. Za dnia nikt nie mógłby tego przeoczyć...

- Nie jestem pewien - odrzekł Holland. - Myślę, że tylko otworzyli naczepę, zobaczyli, że jest pusta...

Rysy były świeże, Thorne był tego pewien, odcinały się wyraźnie na tle ciemnego matowego metalu.

Holland zajrzał do ciężarówki i poświecił na Thornea.

- Co jest?

To było jedno słowo. W nieznanym języku. Wryte na ścianie na czepy czymś ostrym. Nożem albo gwoździem.

- To nie włóczędzy ani dzieciaki - odparł Thorne. - A Zarifowie nie szmuglowali trefnych DVD. - Odwrócił się w stronę otwartych drzwi i stojącego w nich Hollanda. - Szmuglowali ludzi.

- Co takiego? Nielegalnych imigrantów?

- Może też chodzić o przerzut kobiet, które mają zajmować się prostytutką, ale raczej wątpię. Sądzę, że ci ludzie robili to dobrowolnie. Oddali oszczędności całego życia, by zaufać słowu znanego gangstera...

Holland powiedział coś, ale Thorne go nie usłyszał. Odwrócił się powoli w miejscu, krąg światła latarki zatańczył leniwie po brudnych ścianach. Powróciły niechciane wspomnienia...

Ta kobieta w metrze tamtego dnia. Dziecko i pusty kubek. Słowa Arkana Zarifa. Chleb i praca...

Było już dobrze po północy zanim Thorne skręcił w Ryland Road i zatrzymał się za granatowym volkswagenem golfem. Czuł się skonany. Mijał właśnie golfa, wracając do swego mieszkania, kiedy dostrzegł mężczyznę śpiącego na fotelu kierowcy. Thorne zwolnił i nachylił się, by lepiej się przyjrzeć. Oddalona o kilka metrów latarnia rzucała nieco światła, ale nie było ono zbyt silne. Mężczyzna w aucie otworzył oczy, uśmiechnął się do Thorne a i znów je zamknął.

Thorne ruszył w stronę swego mieszkania i sięgnął do kieszeni po klucze. Może zdenerwował Billy ego Ryana bardziej, niż przypuszczał...

Hendricks posłał już sobie na kanapie i leżał, czytając jakąś powieść w broszurowym wydaniu i z artystyczną okładką.

Thorne opowiedział mu o wydarzeniach minionego dnia.

Jeżeli chodziło o sprawę, Hendricks praktycznie nie uczestniczył w niej od czasu autopsji Moloneya, ale, co najistotniejsze, pozostał w zespole. Poza tym Thorne był pewien, że jego szczególne zdolności jeszcze się przydadzą, zanim to wszystko się skończy.

- Masz wiadomość na sekretarce - zawołał do niego Hendricks. -Brzmi interesująco...

Thorne wyszedł z kuchni, niosąc fdiżankę herbaty, włączył przy-Clsk i przycupnął na podłokietniku kanapy, by odsłuchać wiadomość. Była od Alison Kelly. Zapytała, czy ma on wolny następny wieczór, i zostawiła numer telefonu.

Hendricks odłożył książkę.

Czy to ta osoba, o której myślę?

Thorne zgasił światło w salonie i poczłapał do sypialni.

Trudno powiedzieć - odrzekł. Otwierając drzwi do sypialni, uśmiechnął się. - Nie wiem, o kim myślisz...

Kilka godzin później Thorne człapał do salonu rozbudzony jak wtedy, gdy przechodził wtedy ostatnio. Powoli podszedł do okna. Kiedy mijał kanapę, zahaczył stopą o metalową poręcz. Hendricks poruszył się i usiadł obudzony nagłym wstrząsem albo stekiem przekleństw.

- Jest czwarta rano...

- Wiem.

Choć w mieszkaniu nie było już nikogo, kogo mogliby obudzić, obaj mówili szeptem.

- Co ty wyprawiasz? - jęknął Hendricks.

Thorne był poirytowany, a pulsujący ból w stopie tylko bardziej go rozsierdził.

- Obecnie myślę sobie, że zrobiło się tu trochę za tłoczno. - Podszedł do okna. - Jak sądzisz, ile jeszcze potrwa usuwanie tych zacieków i grzybów?

Hendricks nie odpowiedział.

Thorne podniósł żaluzje i wyjrzał na ulicę. Golf zniknął.

18 MAJA 1986

Ali i ja pojechałyśmy dziś do miasta. Tak po prostu pokręciłyśmy się trochę to tu. to tam. Ali kupiła torebkę i parę nowych topów, a ja kilka płyt. Potem poszłyśmy na hamburgera i posiedziałyśmy na ławce przed bibliotekę. Było tam dwóch chłopaków i obaj się na nas gapili. Zaczęłam sobie żartować, pytając Ali, która z nas bardziej im się podoba. Nawet wcześniej też tak sobie z nią żartowałam. (Nawiasem mówiąc, chłopcy

zawsze woleli İlil). Wiała niepewną minę i wyrzuciła hamburgera, a ja wiem, że powinnam była odpuścić, choć przecież chciałam ją tylko rozweselić. Powiedziałam, że to najwyraźniej prawda, co mówią, że atrakcyjne dziewczęta zawsze mają brzydkie koleżanki, a wtedy się rozplakała.

Zrobiło mi się głupio, że ją zdenerwowałam, ale byłam też zła, że poczuła się zasmucona, miała wyrzuty sumienia, czy coś równie idiotycznego, jakże trywialnego w porównaniu z tym, co mnie ogarnia, kiedy patrzę w lustro na drzwiach sypialni i widzę, że połowa mojej twarzy nadal wygląda jak mięso w jej hamburgerze.

Wiem, że rano będę inaczej myśleć o tym, co dzisiaj zaszło, a Ali i ja znów będziemy najlepszymi przyjaciółkami przed końcem zajęć w poniedziałek, ale trudno jest mi nie odczuwać przygnębienia, kiedy piszę to wszystko, i wiem, że to przecież moja wina. Zawsze piszą nocami, wyglądając przez okno i słuchając The Smiths lub czegoś równie smętnego. Może kiedy byłam w mieście, powinnam była kupić jakąś weselszą muzykę. Ścieżkę dźwiękową do wejścia w jutro zapewnią Cliff Richard, The Wombles albo coś w tym rodzaju...

#### NAJGORSZA CHWILA PNIA

Ten numer z Ali.

#### MAGICZNA CHWILA PNIA

Występ komika w telewizji, który opowiadał dowcip o ofiarach poparzeń, które poszczepiały się ze sobą.

Na białej tablicy czerwonym flamastrem napisano jedno słowo.

- To znaczy „nadzieja” - rzekł Tughan. - Po turecku...

Przestępowanie z nogi na nogę i wymiana niepewnych spojrzeń

Thorne pomyślał, że jeśli ludzie z ciężarówki trafili w ręce Billy ego Ryana, mogli porzucić wszelką nadzieję.

Była sobota rano, dzień po znalezieniu porzuconej ciężarówki. Zespół S07 wrócił do Becke House, by popracować nad nowym odkryciem. Odkryli jedynie nowe oblicze frustracji...

- Zajął się tym urząd do spraw ceł i akcyzy - rzekł Tughan. - Nie wiadomo, do czego dojdą, ale na pewno ustalą cholernie więcej niż my .

Thorne stał razem z Russellem Brigstockiem i resztą trzonu zespołu: Kitson, Stoneem, Hollandem i ich partnerami z S07, w rogu sali odpraw. Patrzyli, jak Tughan wyciera wąski pasek wykładziny pod jednym z biurek. Weekend czy nie, zawsze byli tacy, którzy nie przejmowali się swoim wyglądem, ale pomimo eleganckiego, nienagannie odprasowanego garnituru, jaki tamten miał na sobie, Thorne odniósł wrażenie, że Tughan zaczyna sprawiać wrażenie zmęczonego. Może nie tak zmęczonego jak Thorne, ale zawsze...

- Masz na myśli braci Zarif? - zapytał Thorne.

Holland uniósł dłonie w geście rozdrażnienia.

- Na pewno musi ich coś z tym łączyć. Coś, co da nam wygoda pretekst, aby utrudnić im życie...

Tughan odstawił kawę i zaczął przeglądać sporządzony pospiesznie raport w sprawie uprowadzenia ciężarówki.

- To jak sześć etapów pieprzonej separacji - powiedział. - Pomędzy tą ciężarówką a Zarifami jest co najmniej kilka firm przewozowych, agencji najmu i kontrahentów frachtowych. Teoretycznie są oni właścicielami pojazdu, ale gdybyśmy poświęcili masę czasu, usiłując powiązać ich z tym, co przewoziła ciężarówka, sami utrudnilibyśmy sobie życie.

Założę się, że się z nas śmieją - rzekł Holland. - Oni i cholerni Ryanowie.

Tughan wzruszył ramionami.

- Bez ciał, bez ludzi, których przewożono tą ciężarówką, nie mamy nic. Za cholereę.

- Aż trudno uwierzyć, że pomyśleli o wszystkim. - Holland rozejrzał się dokoła, poszukując wsparcia ze strony pozostałych; odpowiedzieli cichymi pomrukami i lekkim skinieniem głowy.

- Coś mi przyszło do głowy - rzekł Brigstocke. Spojrzenia wszystkich skupiły się na nim. - Czy ktoś pokwapił się i sprawdził na nalepce na szybie ciężarówki, czy miała opłacony podatek drogowy?

Żart spotkał się z ożywionym i skądinąd oczekiwanym przyjęciem, mimo iż śmiech niektórych zagłuszały zduszone ziewnięcia.

- Czy wiemy, co było w tej ciężarówce? - spytała Kitson. - To znaczy konkretnie. Czy wiemy, ile tam przewożono osób?

Tughan pokręcił głową.

- Od tuzina do... powiedzmy, pięćdziesięciu?

- Tyle ciał znaleziono w ciężarówce w Dover, zgadza się? - rzucił Holland.

- Było ich więcej - wtrącił Thorne.

Przypomniał sobie smród, jaki poczuł, kiedy wszedł wczoraj do tamtej przyczepy. Zastanawiał się, jak musiał się czuć ten, kto kilka lat temu otworzył tylne drzwi naczepy i w promieniach słońca ujrzał stosy wychudzonych, wymizerowanych, sponiewieranych zwłok. Wewnątrz naczepy znajdowało się pięćdziesięciu ośmiu chińskich imigrantów ściśniętych jak sardynki, którzy udusili się w ciasnym Pomieszczeniu. Ich

ubrania były starannie poukładane obok. Zwłoki n'e wyglądały już tak schludnie...

Rzecz jasna, zrobił się wtedy spory szum. Domagano się surowych kontroli i konkretnych działań, które położyłyby kres takim barbarzyńskim praktykom. Thorne wiedział, że można by zrobić więcej gdyby ładunek ciężarówki stanowiły osły, szczenięta lub kocięta...

- Jak to możliwe, że tylu się przedostało? - spytał Stone. - Nikt nie sprawdza tych ciężarówek?

- Czasami - rzekł Tughan. - Nieraz ukrywają ludzi w sekretnych schowkach lub za stertami fałszywego ładunku...

Stone pokręcił głową.

- Można by sądzić, że po aferze w Dover będą skrupulatnie kontrolować ciężarówki.

Thorne wiedział, że aby odnaleźć tych chińskich imigrantów, nie trzeba było wcale przeprowadzać gruntownego przeszukania. Aby ocalić ich życie. Próbowali ukryć się za kilkoma skrzynkami pomidorów...

- Przemysłowcy nie są głupi - rzekł Tughan. - Próbują unikać portów, gdzie są skanery, ale nawet te, gdzie zostały one zamontowane, są przeciążone. Nie da się sprawdzić więcej niż kilka ciężarówek, w przeciwnym razie na wjazd na promy oczekiwałyby kilometrowe kolejki

Thorne wiedział, że Tughan ma rację. Nie mogąc zasnąć ubiegłej nocy, włączył swój rzadko używany komputer i przez kilka godzin surfował po sieci. Wszedł na stronę NCIS i odbył skrócony kurs wiedzy o tureckiej przestępczości zorganizowanej. Dowiedział się, jak działają gangi i rodziny zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i Turcji, a następnie zajrzał na strony NCIS dotyczące przerzutu ludzi. To była ponura lektura.



I wcale nie pomogła mu zasnąć...

Urząd do spraw ceł i akcyzy przejmował się bardziej nielegalnym alkoholem i papierosami niż handlem żywym towarem. Mimo skanerów zamontowanych w kilku newralgicznych punktach można było sprawdzić zaledwie cząstkę spośród ogromnej liczby ciężarówek przejeżdżających przez większość portów. Przez Dover przewijało się dziennie siedem tysięcy, jeśli dzień był dobry, sprawdzano pięć procent z nich. Nic dziwnego, że nie podejmowano większych wysiłków aby ukryć przemycających ludzi. Przemycnicy wiedzieli doskonale, że mogą sobie pozwolić na pewną dozę zuchwałości.

Tughan mówił jeszcze przez chwilę o bezradności w walce z rosnącym w siłę procederem handlu zdesperowanymi ludźmi. Wspominał o heroicznych wysiłkach policji, służb imigracyjnych, NCIS i urzędu celnego. Opowiedział o operacji, nie wdając się jednak w szczegóły, która miała na celu wprowadzenie agentów MI5 i MI6 do struktur organizacji zajmujących się tym procederem...

Thorne słuchał, zastanawiając się, czy powinien zabrać głos. Bądź co bądź, nieczęsto miał okazję być do tego stopnia obeznany z faktami i liczbami. Uznał to jednak za bezcelowe, a pora dla niektórych była jeszcze zbyt wczesna, by mogli poradzić sobie z szokiem, jaki by zapewne przeżyli.

Yvonne Kitson miała ze sobą termos earl greya. Nalała sobie kubek.

- A więc dopóki nie znajdziemy tych ludzi i nie przekonamy się, co z nimi zrobił Ryan, nie będziemy wiedzieli, kim są ani jak się tu dostali.

Brigstocke wskazał na tablicę i napisane czerwonym flamastrem słowo „nadzieja”. Koloru przejrziałych pomidorów...

- Cóż, możemy być pewni, że przynajmniej niektórzy z nich to Turcy - rzekł Brigstocke. - Przypuszczalnie Kurdowie.

Thorne znał najbardziej prawdopodobną trasę.

- Z Turcji i Środkowego Wschodu przez Bałkany. - Zignorował wyraz zdziwienia na twarzy Brigstocke a oraz spojrzenie pełne zgrozy i rozbawienia Tughana i mówił dalej: - A następnie przez Adriatyk do Włoch.

Tughan kontynuował:

- Przemysłowcy mają wiele możliwości. Zmieniają trasy, by zmylić Urząd imigracyjny, ale jest kilka kluczowych miejsc - Moskwa, Budapeszt, Sarajewo - to główne centra tego procederu...

Thorne uśmiechnął się. Centra procederu! Nick Tughan zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Thorne niemal spodziewał się ujrzeć, jak tarniniczym nauczyciel podejdzie, by zapisać słowo na tablicy.

Stambuł to bardzo ważny punkt przelotowy Kluczowy w wypadku większości tras na zachód z większości krajów w tamtym rejonie.

- Zgadza się - przyznał Brigstocke. - I właśnie tam bracia Zarif mają przyjaciół oraz liczne kontakty.

Holland przetarł oczy dłońmi.

- A co z dostaniem się tutaj?

- Już mówiłem - rzekł Tughan. - Przemysłowcy nie są głupi.

Ja również, pomyślał Thorne.

- W tej kwestii też mają kilka możliwości - powiedział. - Mogą zaryzykować któryś z większych portów albo wejście „tylnymi drzwiami”, jak choćby przez Irlandię. Równie popularna jest inna trasa - przez Holandię i Danię, stamtąd na Wyspy Owcze, Szetlandy i do Szkocji.

-Thorne nie był pewien, czy cisza, jaka wówczas nastąpiła, była wyrazem głębokiej zadumy, czy może osłupienia.

W końcu głos zabrała Yvonne Kitson.

- W porządku - rzekła, odwracając się do niego z udawaną złością. - Z jakiej przybyłeś planety i co zrobiłeś z Tomem Thorneem?

Detektyw konstabl Richards, skrupulatny Walijszyk, który z taką lubością opowiadał o koncentrycznych kręgach, stłumił śmiech.

- Co właściwie zamierzamy zrobić w tej sytuacji? Z Zarifami i Billym Ryanem?

Tughan uśmiechnął się pod nosem zadowolony, że jeden z jego ludzi skrzętnie przekazał mu pałeczkę. Znow miał wszystko w garści.

- To niełatwe, bo obie strony na pewno przyczają się na pewien czas. Zarifowie wiedzą, że mamy na oku ich operacje przerzutowe, a Ryan musi pozbyć się większej grupy nielegalnych imigrantów.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Memet Zarif i jego bracia mogli się na dłużej przyczaić - rzekł Thorne. - Będą chcieli wziąć odwet na Ryaniu. I uderzą tam, gdzie najbardziej boli...

Tughan zamyślił się nad tym przez chwilę.

- To możliwe, ale sądzę, że mamy jeszcze trochę czasu. Chcę, abyśmy dobrali im się ostro do skóry. Niech mają kłopoty z prowadzeniem jakichkolwiek interesów; dajmy się im we znaki. - Wskazał na Holla11' da, przypominając mu to, o czym mówił wcześniej. - Utrudnijmy 1111 życie...

Thorne wiedział, że dobranie się do skóry wiązało się zazwyczaj z aresztowaniami lub w najgorszym razie z nękaniami pracowników niższego szczebla obu organizacji - handlarzy narkotyków i windykatorów długów, tych, którzy zdaniem konstabla Richardsa zajmowali miejsca w

zewnątrznych kręgach. Było to czasochłonne, wymagało sporej liczby ludzi i, co najgorsze, według Thornea nie miało praktycznie żadnego wpływu na ludzi, którym chcieli dokopać. Taka praktyka mogła się sprawdzić w pewnych ściśle określonych okolicznościach, ale tym razem w grę wchodziło zbyt wiele ciał. Czuł się wtedy jak nadgorliwy pracownik fiskusa i nie podobało mu się to. Chciał uderzyć Billy'ego Ryana i Zarifów nie tylko po kieszeni...

- Nie przekonuje cię to, Tom? - spytał Tughan.

Najwyraźniej oblicze Thornea zdradzało więcej niż zwykle. Nie cierpiał, gdy inni nazbyt mu się przyglądali, nie znosił zduszonych westchnień tych, którzy mieli za mało ikry albo oleju w głowie, by zabrać głos.

- Chodzi o to, że próbujemy dopaść zabójcę - powiedział - a zachowujemy się tak, jakbyśmy czekając, aż znów zabije, niszczyli jego karty kredytowe. Jakbyśmy chcieli uderzyć go po kieszeni...

Odpowiedź Tughana była zaskakująco spokojna, wręcz łagodna.

- Nie mamy do czynienia ze zwykłymi przestępcami, Tom. Ci ludzie nie są zwyczajnymi mordercami.

Thorne spojrzał na Brigstocke'a, wzruszając ramionami, i rzucił Hollandowi spojrzenie zdające się mówić: A co mi tam! Wiedział, że Tughan ma rację, ale nie czuł się przez to szczęśliwszy ani mniej zagubiony.

Thorne nie spodziewał się, że nadejdzie taki dzień, ale zaczynał już 'ęsknić za zwyczajnym, przeciętnym, szczerym do bólu psychopatą...

Hendricks wysłał Thorne'owi wiadomość na komórkę: zostanie na noc u Brandona. Thorne w odpowiedzi przeprosił go, że wczoraj wieczorni

zachował się jak palant, i wyraził nadzieję, że nie dlatego Hend r'cks nie wraca dziś do domu.

- Co Ryan z nimi robi? - spytała Kitson.

Oboje siedzieli w swoim gabinecie, zajmując się papierkową robotą, podczas gdy w głębi korytarza Tughan i Brigstocke wciąż opracowywali plany „uderzenia”. Thorne odłożył telefon i zanim uniósł wzrok spojrzął na zegarek. Jeszcze kwadrans i pojedzie do domu.

- Pewnie to samo, co zrobiliby Zarifowie - odparł. - Wykorzysta ich. Ci nieszczęśnicy oddali wszystko do ostatniego pensa, a kiedy tu dotarli, dowiedzieli się zapewne, że są winni „biznesmenom” dużo więcej. Do czasu przerzutu kolejnej partii ludzi do Wielkiej Brytanii będą przypuszczalnie pracować dla organizacji przestępczych w dziesiątkach różnych krajów. To może trwać miesiące, nawet lata, a przemytnicy przez cały czas będą mnożyć i zwielokrotniać koszty. Przez całą drogę konieczne będzie dawanie łapówek różnym ludziom, nie mówiąc już o rosnących kosztach załatwienia dla nich miejsc w naczepach ciężarówek.

Kitson pokręciła głową.

- Zatem nawet jeśli dotrą tu w jednym kawałku, będą tonąć po uszy w długach.

- Otóż to. Ale na szczęście ludzie tacy jak pan Zarif oferują możliwość pracy, aby uregulować te długi. Za jednego funta pięćdziesiąt za godzinę zajmie im to najwyżej parę lat...

- A oni nic na to nie mogą poradzić... Nie mogą zrobić szumu...

- Niestety, jeżeli nie chcą boleśnie przekonać się na własnej skórze, z kim mają do czynienia. Bądź co bądź, jest ich tu naprawdę dużo, no nie? Zajmują nasze miejsca pracy lub żyją z zasiłków. Kto by zauważył, gdyby

paru z nich nagle zniknęło? - Thorne zniżył głos. - Albo jeszcze gorzej. Nie zapominaj, że tam, skąd przybyli, przemytnicy mają wielu przyjaciół, którzy wiedzą, gdzie mieszkają ich rodziny.

Kitson westchnęła z rezygnacją.

- To doprawdy cudowne nowe życie...

Thorne pomyślał o tych wszystkich banałach. Trudno mu było my' śleć o nadziei jako o czymś, co się wiecznie odradza. Widział ją raczej jako coś, co jest bezlitośnie palone lub miażdżone w proch. Nadziej! ginęła w brutalny sposób. W ogniu i bólu.

Nadzieja była czymś, co krwawiło.

Wrzucił papiery, do których nawet nie zajrzał, do szuflady i zasunął ją z hukiem. Dzięki temu mógł na chwilę uwolnić się od wspomnienia kobiety z metra. Hałas zagłuszył grzechot dobiegający z dna obgryzionego styropianowego kubka.

Ubiegłej nocy Thorne sporo się dowiedział na temat handlu żywym towarem. O kobietach porywanych, faszerowanych heroiną i zmuszanych do prostytucji. Domyślał się, że Zarifowie byli zamieszani w ten wyjątkowo lukratywny biznes.

Wiedział, że były gorsze rzeczy niż zebranie...

Usłyszał dochodzące zza drzwi podniesione głosy. Holland zapukał i zajrzał do środka.

- Znaleźli kierowcę ciężarówki - powiedział. Uchylił drzwi nieco szerzej i wszedł do gabinetu. - W lesie, za parkingiem przy A7.

- Jak...? - spytał Thorne.

- Strzał w głowę.

- Pięknie.

- Ale wcześniej zmiądzono mu czaszkę kawałkiem masywnej gałęzi.

- A7 - rzekła Kitson. - To główna droga między Edynburgiem a Carlisle. Mieszka tam rodzina mego eks...

Thorne jednak się nie pomylił. Po dotarciu do Szkocji opisaną przez niego trasą ciężarówka została uprowadzona. Ładunek przerzucono do innej ciężarówki, a pusty już pojazd porzucono nieco dalej na południe, w Chieveley.

Holland odnalazł to, czego szukał.

- Racja - powiedział. - Parking znajdował się na północ od Gala-shiels. To szkoccy gliniarze i celnicy odnaleźli ciała.

- Co znaleźli? - spytał Thorne.

- Były jeszcze dwa inne ciała. W sumie trzy. - Holland przeniósł wzrok z Thornea na Kitson. - Bez dokumentów. Zginęli od strzałów w głowę.

Kitson zrobiła wydech, jakby powietrze w płucach zaczęło ją palić. Gwałtownie zaczerpnęła świeżego powietrza.

- Może paru z nich próbowało stawić opór? - Spojrzała na Thorne a pokiwał głową.

- Albo usiłowało uciec.

- Myślę, że skłaniają się właśnie ku tej drugiej teorii - wtrącił Holland.

Thorne natychmiast wyobraził sobie dwóch mężczyzn gnających na łeb na szyję przez ciemny las. Przedzierający się, zdyszani i podrapani przez wilgotne liście i potykający się o butwiejące korzenie. Wiedział, że ostatnim słowem, jakie zaświtało im w głowie, zanim kule wwierciły się w czaszkę, na pewno nie było umit. Nauczono go tureckiego toastu, może powinien wrócić i poznać parę tureckich modlitw.

Drzwi otworzyły się szerzej i Holland odstąpił na bok, by przepuścić Brigstocke a i Tughana.

- Mamy już w sumie dziesięć ciał - rzekł Tughan. - Dwucyfrową liczbę. To się musi skończyć...

Dwucyfrową liczbę? Tughan powiedział to tak, jakby walka o terytorium i wpływy między Ryanem a Zarifami przekroczyła dopuszczalny limit ofiar. Thorne wiedział, że najdziwniejsze rzeczy okazywały się prawdą, ale chyba w świetle tego, co wydarzyło się na północnej granicy, plany dobrania się bandzirom do skóry spaliły na panewce. Tughan sprawiał wrażenie, że ma ochotę na nieco konkretniejsze działanie.

Brigstocke przeczesał dłonią gęste czarne włosy i kłykiem poprawił na nosie okulary.

- Dziesięć ciał, a liczba ofiar cywilnych przewyższa liczbę zabitych „żołnierzy”.

- Wobec tego przestańmy bawić się w podchody - rzekł Thorne. -I zabierzmy się do tych, którzy za tym stoją...

Tughan uniósł dłoń.

- To właśnie zamierzamy zrobić.

- Świetnie - powiedział Thorne i pomyślał: Jestem później umówiony, ale powinienem zdążyć. Nie zajmie mi to dużo czasu. Finchley jest ciekawsze i bardziej wyrafinowane, warto by tam wpaść, ale do Green Lanes także jest mi w sumie po drodze...

Zapuszczujemy Billy ego Ryana - rzekł Tughan. - Załatwimy go dzięki sprawie Rookera i na Zarifów też ostatecznie znajdziemy jakieś dowody.



Obecnie najważniejszą sprawą jest dla nas niedopuszczenie, aby zginęli kolejni ludzie.

Ostatecznie. Thorne nie chciał usłyszeć akurat tego słowa...

Udam się teraz do mego bezpośredniego przełożonego, może przepchnie tę sprawę wyżej. Złożymy Ryanowi oficjalną ofertę, zapewne za pośrednictwem jego adwokata, i to samo zrobimy z rodziną Zarifów za pośrednictwem lidera ich społeczności lub może duchownego. - Tughan kiwał głową, jakby próbował sam siebie o czymś przekonać. - Dotarliśmy do punktu, w którym interwencja może uczynić tyle samo dobrego, co śledztwo, a nawet więcej. Nie co dzień mamy okazję usiąść z tymi ludźmi przy jednym stole, ale jeśli to nam się uda i będziemy mogli położyć kres temu cholernemu chaosowi, chętnie przyłożę do tego rękę.

Thorne rozmyślał przez chwilę, zanim się odezwał. Chyba wcale się nie zdziwił, że Tughan nie miał na myśli wkroczenia do domów Ryanów i Zarifów z grupą antyterrorystyczną wyważającą drzwi specjalnym taranem.

- Czy mamy zamówić kanapki? - zapytał.

- Dokąd pan idzie? - mężczyzna za prostym drewnianym kontuarem zadał to pytanie, prawie nie unosząc wzroku znad gazety. Silny akcent zmienił trzy słowa w jedno: Dokąd pan idzie?

- Ja nigdzie - odrzekł Thorne. - Ale ty pójdziesz na zaplecze i powiesz szefowi, że ktoś chce z nim zamienić słówko.

Thorne spiorunował wzrokiem tamtego, który poświęcił mu już całą swoją uwagę. Wskazał ponad ramieniem mężczyzny na słabo oświetlone wejście na zaplecze. Wiedział, że drugi mężczyzna siedzący na wyświechtanym fotelu w kącie po lewej także mu się uważnie przygląda.

Pokazał swoją legitymację.

- Ale migiem.

Mężczyzna odłożył gazetę na blat, pociągnął nosem i zniknął w Półmroku.

Biuro wynajmu minitaksówek składało się jedynie z poczekalni wielkości garderoby. Niepomalowane drzwi na prawo od wejścia prowadziły do bliżej nieokreślonej liczby pomieszczeń na tyłach. Thorne domyślał się, że kierowcy siedzieli gdzieś w pobliżu w swoich tandetnych vauxhallach i toyotach albo czekali w kafejce Zarifa tuż obok. Odwrócił się i przez chwilę oglądał nieznany mu film na ekranie telewizora przymocowanego nad frontowymi drzwiami. Na innym kanale mogli pokazywać wiadomości albo trzy gole, jakie Spurs strzelili w meczu z Evertonem tego dnia. Przeniósł wzrok na mężczyznę siedzącego w fotelu. Ten uniósł brwi, jakby obaj byli sfrustrowanymi klientami czekającymi na odwiezienie do domu. Wytrzymał spojrzenie Thornea nieco dłużej, niż to było konieczne, po czym wstał i bocznym wyjściem udał się na zaplecze.

Kilka sekund później drzwi znów się otworzyły i do poczekalni wkroczył Memet Zarif. Thorne zauważył, że za kontuar powrócił mężczyzna, z którym przed chwilą rozmawiał. Kilka metrów dalej w ciemnościach stał mężczyzna siedzący wcześniej na fotelu.

- Potrzebuje pan taksówki, panie Thorne? - spytał Memet.

Miał na sobie prostą białą koszulę zapiętą pod szyją, czarne płócienne spodnie i mokasyny z frędzlami.

Thorne uśmiechnął się.

- Dzięki, ale nie. Wolałbym dotrzeć do domu w jednym kawałku. Kierowca ostatniej minitaksówki, którą jechałem, nie wiedział, że czerwone światło oznacza stop...

- Moi kierowcy znają swój fach.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- A umieją wypełniać formularze w sprawach o ubezpieczenie?

Memet zaśmiał się, zerknął na mężczyznę za ladą i skinął głową do

Thorne a. Mężczyzna z fotela postąpił naprzód i stanął obok recepcjonisty. Rzucił coś po turecku pod adresem Thorne a.

Thorne odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- Nawzajem - powiedział.

Wciąż uśmiechając się szeroko, jakby doskonale się bawił, zwrócił się do Memeta:

A więc uważasz, że byłoby stratą czasu, gdybym przysłał tu paru ludzi, aby sprawdzili, czy twoje auta i twoi fantastyczni kierowcy mają odpowiednie ubezpieczenie? - Thorne starał się nie słyszeć kilku wystrzałów dochodzących z telewizora powyżej. Podniósł głos. -Zmarnowałbym tylko czas?

Hałas z telewizora ucichł nagle na tyle, że inspektor usłyszał westchnienie Memeta.

- Ma nas pan za głupców?

Thorne odniósł wrażenie, że wszyscy starają się go upewnić, iż ludzie pokroju Memeta Zarifa i Billyego Ryana nie są wcale w ciemną bici. Nie wątpił, że byli ostrożni, nie potrafił jednak przyjąć do wiadomości, że on i jego zespół mają przeciwko sobie gangsterów o ilorazie inteligencji

godnym członków Mensy. Schwycił już niejednego rzekomo bystrego przestępcę i wiedział, że większość z nich była tępa jak but i dbała wyłącznie o swoje interesy. Zdawał sobie natomiast sprawę, że większość przestępców, którym się udawało zbiec, działała instynktownie, podobnie jak ci, którzy ich ścigali. Jednak instynkt bywał zawodny, o czym Thorne wiedział aż za dobrze.

Ma nas pan za głupców?

Memet z pewnością był na tyle bystry, aby przydać temu pytaniu dodatkowego znaczenia. Nie miał na myśli samej tylko firmy przewozowej...

Thorne minął Memeta i wchodząc przez otwarte drzwi do słabo oświetlonego korytarza, powiedział:

- Podoba mi się, jak tu macie urządzone.

Przez cienką ścianę usłyszał, jak mężczyzna za ladą rzuca się, by go zatrzymać.

Memet szedł za Thorneem po brudnym, zatłuszczonym linoleum. Całe to miejsce z lekka cuchnęło pleśnią. Pod podszwami jego butów Pękała i odpadała płatami farba w kolorze magnolii.

- Sam to zrobiłeś czy zatrudniłeś fachowców?

Czego pan chce, panie Thorne?

Minęli drzwi do recepcji. Dwaj najemni osiłkowie spojrzeli na Thornea, a później na Memeta, oczekując na polecenia. Na końcu korytarza znajdował się nieduży słabo oświetlony pokoik. Siedzący przy stoliku trzech mężczyzn odłożyli karty i unieśli wzrok, kiedy Thorne zbliżył się do nich. Hassan Zarif spróbował wstać, ale zaraz znów usiadł, ujrawszy, że inspektorowi towarzyszy starszy brat.

Thorne szybko rozejrzał się po pokoju. Byli tu jeszcze Tan, najmłodszy z braci, i krępy mężczyzna, którego widział w kafejce z Hassanem!, kiedy był tam z Hollandem. Przez kilka sekund słychać było jedynie stłumione dźwięki z telewizora w poczekalni i bulgot filtra powietrza z dużego akwarium z tropikalnymi rybami, stojącego na drewnianym kredensie.

Thorne wskazał ręką na stół. Sarta pomiętych pięcio- i dziesięciofuntowych banknotów pośrodku niemal wysypywała się na podłogę.

- Mógłbym się przysiąc jako czwarty do brydża, jeżeli nie macie nic przeciw temu - powiedział.

Memet minął go i zajął wolne miejsce przy stole.

- Mów pan, co masz do powiedzenia.

- To zabawne, wspomniałeś o kierowcach. Tak mi się przypomniało, że znaleziono właśnie kierowcę waszej ciężarówki.

Memet wzruszył ramionami, wyglądał na zaskoczonego.

- Naszej ciężarówki?

Hassan nachylił się i powiedział coś do niego po turecku. Memet skinął głową.

- Policja z Thames Valley powiadomiła mnie o tej sprawie wczoraj rano - rzekł Hassan. Mówił do Memeta i Tana, jakby informował ich o drobnym biznesowym zgrzycie. - Ciężarówka nie została uszkodzona, o ile mi wiadomo, a przewoźnikowi zostanie wypłacone odszkodowanie za stracony towar, nie uważałem więc za konieczne kontaktować się z naszą firmą ubezpieczeniową. - Spojrzał na Thorne'a. - Nie miałem dotąd okazji, by pomówić o tym z braćmi, ale sprawa jest w sumie banalna.

- Proszę podziękować w naszym imieniu funkcjonariuszom, którzy ją znaleźli - rzekł Memet.

Thorne musiał przyznać, że świetnie to rozegrali. Dla kierowcy sprawa nie skończyła się banalnie - powiedział. -

Znaleziono go z odstrzeloną połową czaszki.

Krępy mężczyzna nie zdołał ukryć uśmiechu, jaki wykwitł na jego ustach. Spuścił wzrok i zaczął poprawiać banknoty, kiedy zorientował się, że Thorne to zauważył.

Hassan w zamyśleniu wodził dłonią po wydatnym podbródku.

- Cóż, to przynajmniej wyjaśnia jedną sprawę - powiedział. -Możemy przypuszczać, że kierowca nie był w zмовie z porywaczami.

Memet całkiem przekonywająco zgrywał człowieka zasmuconego i wstrząśniętego, choć Thorne wiedział doskonale, że otrzymane właśnie informacje przyjął z ulgą. Martwy kierowca nie mógł niczego powiedzieć policji.

- Zabili go? - rzucił, odwracając się do Hassana. - Ale za co? Co przewoziła ta ciężarówka?

Grał naprawdę koncertowo. Na pewno nie był głupcem...

- Policja uważa, że odtwarzacze CD - rzekł Hassan. Thorne poprawił.

- Odtwarzacze DVD. Dobra wiadomość jest taka, że nie przejęli całego ładunku.

Krępy wciąż prostował pomięte banknoty, teraz jednak trzech bracia patrzyli wprost na Thorne a. Twarz Memeta pozostawała beznamiętna. Hassan aż za bardzo silił się na niewinne zaciekawienie. Tan uporczywie zgrywał twardziela.

- Otóż to - ciągnął Thorne. - Wygląda na to, że parę odtwarzaczy

Próbowało zbiec i zarobiło po kulce.

Tylko Memet Zarif był w stanie wciąż patrzeć Thorne owi prosto w oczy.

- Bez obawy, zostaniecie powiadomieni, gdybyśmy znaleźli coś Jeszcze - rzekł Thorne. - Po prostu pomyślałem, że chcielibyście wiedzieć, ile zdołaliśmy ustalić.

Bulgotanie z akwarium. Głosy z telewizora płynące przez cały korytarz.

Kiedy Thorne odwrócił się, by wyjść, dostrzegł jeszcze jedną po stać siedzącą nieco za nim, po prawej. Patrzył tak długo, aż tamten wychylił się lekko do przodu i jego twarz przemknęła z cienia do światła.

Thorne rozpoznał syna Musluma i Hani Izzigilów...

Thorne postąpił krok w stronę chłopaka.

- Yusuf...

Może to efekt światła, ale wydawało się, że w oczach chłopca coś się zmieniło. W ubiegłym miesiącu, kiedy jego rodzice zostali zamordowani, oczy te były pełne łez, nie była to jednak jedyna różnica, jaką dostrzegł w nich Thorne. Wydawały się nieruchome, wręcz martwe, i kryło się w tym jakieś wyzwanie, podobnie jak w postawie chłopaka, kiedy patrzył na mężczyznę, który nie zdołał doprowadzić zabójcy jego rodziców przed oblicze sprawiedliwości.

Najwyraźniej inni złożyli mu atrakcyjniejszą obietnicę i mieli większe szanse, by dotrzymać słowa.

- Teraz my opiekujemy się Yusufem - rzekł Hassan.

Thorne jeszcze przez chwilę patrzył na chłopaka, szukając jakichkolwiek oznak, że nie stał się jednym z nich. Dostrzegł tylko, że

tamten jest zagubiony. Odwrócił się i ruszył powoli w stronę, skąd przyszedł.

- Nie będę dłużej przerywał wam gry...

- Na pewno nie chce pan, żeby odwieźć go taksówką pod dom? - spytał Memet.

Thorne nie odpowiedział odwrócony do nich plecami.

Tan Zarif odezwał się po raz pierwszy:

- Nie policzymy drogo. Z Green Lanes do Kentish Town za piątka. Co pan na to?

Thorne poczuł nagły ucisk w żołądku, gdy ta prosta informacja zawarła w sobie znaczący podtekst. Odwrócił się i spojrzał Tanowi prosto w oczy, usiłując stłumić panikę i zachować spokój.

- Myślałem, że już zakończyliśmy ten temat - powiedział. - Dorzuć tekst w rodzaju „wiemy, gdzie mieszkasz” albo przestań zgrywać twardziela. - Przeciągnął palcem od ucha do ucha, tuż poniżej zuchwy a tej samej linii, gdzie widniała cienka, jak nakreślona ołówkiem, bródka Tana. - Wygląd a la George Michael nikogo nie przerazi...

Thorne wziął głęboki oddech i wstrzymał go, dopóki nie znalazł się na korytarzu, przeszedł przez pustą recepcję i wyszedł na ulicę. Powoli wypuścił powietrze i odwrócił się, by ujrzeć Arkana Zarifa patrzącego na niego u wejścia do kafejki.

Stary Zarif uniósł rękę, gdy Thorne zbliżył się do niego, zatrzymując dłoń przy ustach.

- Wejdzie pan na kawę? A może na sucuk...?

Thorne zwolnił, ale nie zatrzymał się, tylko szedł dalej w stronę swego auta.



- Nie mogę. Mam coś do załatwienia...

Fakt, miał niecałą godzinę, aby wrócić do domu, wziąć prysznic i przebrać się, ale nie tylko dlatego odmówił staremu. Nawet gdyby miał czas, Thorne wiedział, że dziś kawa miałaby dla niego smak o wiele bardziej gorzki niż zwykle.

Kiedy myślał o podpalonej dziewczynce, często myślał też o innych. O jej koleżankach.

Rzecz jasna, one pierwsze musiały zauważyć ogień. Ta, która stała najbliżej, ta, która rzeczywiście była Alison Kelly, krzyknęła, jakby to ona się paliła. Drgnął nieznacznie, może nawet krzyknął, kiedy jej wrzask przeszył go na wskroś niczym nóż.

Odwrócił głowę w stronę, skąd dochodził hałas, i w oczach dziewczynki spostrzegł odbicie płomieni. Te oczy były ciemnobrązowe i rozszerzone, a płomienie, które przybierały na sile i pięły się coraz wyżej po ciele dziewczynki stojącej w ogniu, wydawały się małe i niegroźne. Tańczyły w oczach jej przyjaciółki przez sekundę, może dwie, zanim się odwróciła i rzuciła do ucieczki. Wciąż pamiętał, jak małe się wydawały, migocząc na tle brązowych tęczęwek. Jak sprawiały wrażenie odległych.

Kiedy potykając się raz po raz, zbiegał po stromym zboczu, aby dotrzeć do swego auta, ten krzyk wciąż za nim podążał. Czuł jego echo na swoich plecach osuwające się po stoku i tak silne, że nieomal zbijało go z nóg. Po chwili rozległy się inne wrzaski, głośniejsze i bardziej histeryczne, które sprawiły, że zaczął zbiegać po zboczu jeszcze szybciej. Przystanął na sekundę lub dwie, zanim wskoczył do auta, i teraz bardzo wyraźnie przypominał sobie całą tę sytuację.

Pamiętał spłycony oddech i obrazy pojawiające pod powiekami, kiedy zamykał oczy. Opuścił powieki i wciąż widział wspomnienie tamtych płomieni, które na nich pozostało. Odcienie złota i czerwieni zdawały się stapiać z czernią.

Zdjęcie płomieni. Obraz jak zatrzymany w kadrze. Odbicie tańczących jęzorów ognia dostrzeżone w oczach dziewczynki, którą polecono mu zabić.

Skąd właściwie ma pani mój numer? - spytał Thorne.

Alison Kelly odstawiła szklaneczkę i odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

- Był na pańskiej wizytówce?

Thorne uśmiechnął się i pokręcił głową. Jak wszyscy w policji, także on miał służbową wizytówkę. Widniał na niej adres Becke House oraz numery telefonu i faksu do biura. Opatrzona mottem „Pracujemy dla lepszego Londynu”, była wydrukowana na niebiesko. Pozostawiono na niej wolne miejsce do wpisania numeru pagera, komórki lub telefonu domowego.

- Nie zapisałem pani swojego numeru domowego - rzekł Thorne. - Z książki telefonicznej też go pani nie wzięła...

Wciąż nie chciała odkryć swoich kart.

- Zdobyła pani mój numer w ten sam sposób jak wszystko inne, zgadza się?

Siedzieli w przytulnym kąciку Spice of Life przy Cambridge Circus. Alison sączyła duży dzin z tonikiem, a Thorne z przyjemnością Popijał guinnessa. W sali zebrano, zdawałoby się, całe hektary czerwonego aksamitu, zdecydowanie za wiele mosiężnych poręczy i nie wiedzieć

czemu sporą grupę wyglądających nazbyt zdrowo skandynawskich turystów.

Thorne otworzył paczuszkę z chrupkami i wziął garść.

- Nie otrzymam prostej, szczerzej odpowiedzi, prawda?

- Do czternastego roku życia byłam córką gangstera - odparła. -Potem wszystko się zmieniło. Wszystko. Tato rzucił to, czym się zajmował, i zabrał nas oraz całą walizkę „nowych” niegustownych pieniędzy ze sobą. Przez resztę życia grał w golfa i rozwiązywał krzyżówki swoim gabinecie. Kilka lat później Billy i ja pobraliśmy się, ale kiedy nasze małżeństwo się rozpadło, odeszłam od tego wszystkiego. Wycofałam się z życia i zrezygnowałam z wielu pragnień. Gangsterka to coś co mama i ja oglądałyśmy tylko w telewizji. Zostałam cichą, spokojną sekretarką w kancelarii prawniczej, z akcentem ze szkoły prywatnej i kucykiem. Teraz jestem nieco lepiej opłacaną sekretarką w kancelarii prawniczej, ze słabszym akcentem i nie mam już kucyka. Ale w dal szym ciągu jestem poza tym wszystkim. Aczkolwiek...

- Aczkolwiek?

Uśmiechnęła się i sięgnęła po drinka.

- Wciąż mam parę przyjaciółek, które w tym siedzą. - Opróżniła szklaneczkę. - Kilka razy do roku spotykamy się na babskie wieczory. Wie pan, jak to jest - rodzinna restauracja, alkohol na koszt firmy, bez ograniczeń. Ja skarżę się na pracę, a one na to, jak długą odsiadkę mają przed sobą ich mężowie i kochankowie.

- Nie ma to jak przyjemny wieczór...

- Jedna czy dwie z nich mogą znać całkiem nieźle paru policjantów, i jeśli grzecznie poproszę, może tamci wyświadczą im drobną przysługę. Zdobyć numeru telefonu policjanta to w sumie nic wielkiego.

- Powinienem być w szoku - rzekł Thorne - ale za bardzo myślę teraz o następnej kolejce.

Zabrała pustą szklaneczkę Thorne a i wstała.

- Jeszcze jeden...?

Przez blisko godzinę rozmawiali o trudnościach, jakie sprawia robienie lub nierobienie tego, czego oczekują inni. Wkrótce stało się jasne, że oboje mają w tej kwestii sporą wiedzę.

Thorne zapewnił ją, że gdyby robił dokładnie to, czego po nim oczekiwano, lub do czego go nakłaniano, nie siedziałby z nią teraz, sącząc drinki-

Alison opowiedziała Thorneowi o swojej niechęci do próżnowania i beztroskiego wydawania pieniędzy ojca. Wspomniała też, jak bardzo zdenerwowała matkę, kiedy odrzuciła propozycję pracy w biznesie.

- Wygląda, jakby próbowała pani zdystansować się do tego wszystkiego - rzekł Thorne. - Do pieniędzy. Do wszystkiego, co przynosi pieniądze. Jakby obwiniła się pani za to, co spotkało Jessicę.

Zaczerwieniła się nieznacznie.

Gdyby mój ojciec nie był tym, kim był, nie doszłoby do tego. Nie uroiłam sobie tego...

Oboje pili przez chwilę, by wypełnić ciszę, jaka nagle zapadła. Teraz przerzuciła się na białe wino. Thorne pozostał przy guinnessie.

Dlaczego wyszła pani za Billyego Ryana? - zapytał.

Zamyśliła się na chwilę. Z sąsiedniego baru dobiegały płynące z szafy grającej dźwięki jednej z piosenek popularnego boysbandu.

- Może się wydawać, że żartuję - odparła - ale wtedy to naprawdę wydawało mi się właściwą decyzją.

- Musiał mieć wtedy... ile? Trzydzieści parę lat?

- Więcej. A ja zaledwie osiemnaście.

- Wobec tego czym zdaniem była to „właściwa decyzja”?

Uśmiechnęła się.

- Na pewno nie mojej mamy. Uważała, że dzieli nas zbyt duża różnica wieku. Syn Billyego był zaledwie o dziesięć lat młodszy ode mnie. Ale tacie ten pomysł się spodobał. Chyba było jeszcze parę osób, które miały podobne zdanie, wie pan, kilku starszych chłopców, którzy się przy mnie kręcili. Mimo iż tato parę lat wcześniej wycofał się z biznesu i wszystkim zajmował się Billy, niektórzy uważali, że to doskonały sposób... budowania mostów, no wie pan. Stara gwardia i młoda gwardia.

- Mówi pani, jakby to małżeństwo zostało zaaranżowane.

Pokręciła głową.

- Chciałabym móc mieć taką wymówkę. Chciałabym powiedzieć, że poślubiłam go, żeby wszyscy byli zadowoleni. I do pewnego stopnia faktycznie tak było. Ale faktem jest, że po prostu go kochałam. - Przerwała, ale sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze. Szukała odpowiednich słów. - Wtedy naprawdę mi imponował.

Thorne pomyślał o Billym Rynie, którego niedawno spotkał. Niektórzy mogliby nadal twierdzić, że wyglądał imponująco, ale nie sprawiał wrażenia osoby, którą można by obdarzyć miłością.

- Co poszło nie tak?

Upiła spory łyk wina.

- Przez pewien czas... było nieźle. Co prawda nigdy nie umiała się dogadać się ze Stephenem, który już wtedy był paskudnym małym gnojkiem, ale nie stanowił większego problemu. Gorzej z jego ojcem Billy miał dwa oblicza.

Thorne pokiwał głową. Nie znał osób, które nie miałyby co najmniej paru...

- Jakaś jego część - ciągnęła - po prostu chciała się bawić. Lu bił zapraszać przyjaciół albo samemu bywać na rozmaitych przyjęciach. Zabierał mnie do klubów. Chciał modnie się ubierać, szpanować, pokazywać się z aktorami i gwiazdami popu. Z pisarzami. Uwielbiał to...

- Założę się, że aktorzy i gwiazdy popu też to lubili.

- Ale kiedy byliśmy tylko we dwoje, zupełnie się zmieniał. Jeśli był tylko on, ja i butelka czegoś mocniejszego, zmieniał się w prawdziwe zwierzę, a ja obrywałam za byle co albo i bez powodu. Może to go bawiło, sama nie wiem...

Thorne zauważył, że jej oczy spochmurniały, i zrozumiał, o co jej chodziło. Przypomniawszy sobie drobne stopy w wypolerowanych na glans trzewikach i potężne bary Ryana opięte przez drogi blezer.

Dwa oblicza. Tancerz i bokser.

- To uzasadniony powód, by od kogoś odejść - zauważył.

- To on odszedł.

- Racja...

- Powiedział, że nie umie zmierzyć się z moimi problemami. Ze sobą z nimi nie radzi. Ze sprawą Jess, która nie dawała mi spokoju.

Thorne owi omal nie opadła szczeka. Problemy? Sprawa? Przecież to wszystko było efektem działań jej męża.

Alison dostrzegła wyraz jego twarzy, przyjmując to za łagodne zdziwienie.

- Miewałam częste i gwałtowne huśtawki nastrojów. Billy zaś bynajmniej nie próbował mi w żaden sposób pomóc. Twierdził, że jestem neurotyczką... że potrzebuję pomocy. Powtarzał, że nienawidzę siebie - nie da się ze mną żyć, że powinnam pogodzić się z tym, co się stało na boisku, i zapomnieć o tym.

Kiedy mężczyzna opłacony przez Billy'ego Ryana przyszedł do szkoły, aby ją zabić. Kiedy płomienie na jej oczach zaczęły pożerać jej najlepszą przyjaciółkę.

Nie - rzekł Thorne. - Nie należy do tych, którzy będą wspierać swoich bliskich.

Zakręciła resztką wina na dnie kieliszka.

- Miał rację, że potrzebowałam pomocy, to oczywiste, ale po paru latach z Billym potrzebowałam jej jeszcze bardziej. Postanowiłam w końcu skorzystać ze wsparcia finansowego, jakie oferowała mi mama. Wydawałam sporo, aby ludzie zechcieli wysłuchać mojej historii. Płaciłam gnojom po pięćdziesiąt funtów za godzinę.

Thorne popatrzył na nią.

Odnalazła jego spojrzenie i jej oczy się rozszerzyły.

- Ale teraz już wszystko ze mną w porządku - zapewniła.

- To dobrze...

Kiedy dopiła wino, zrobiła rozmyślnie kilka zabawnych min i tików. Nie było to szczególnie udane, ale Thorne i tak się roześmiał.

Odstawiła kieliszek i sięgnęła po torebkę.

- Chodźmy coś zjeść...

Rooker wpatrywał się w pająka na suficie, marząc w duchu, aby wokół panował większy hałas. W więzieniu zawsze było głośniejsze. Nawet podczas snu pięciuset mężczyzn robi spory hałas. Za dnia może on być nie do zniesienia. Dudnienie kroków w korytarzach i na schodach, brzęk metalu, kubłów i kluczy, echo głosów rozchodzących się od celi do celi, od jednego poziomu do drugiego. Nawet cichy dźwięk, zgrzyt widelca o talerz czy stęknienie w nocy, zdawał się w jakiś sposób wzmocniony i elektryzujący. Zupełnie jakby aura gniewu otaczająca to miejsce wypełniała powietrze i coś z nim robiła, sprawiając, że dźwięki szybciej i łatwiej się w nim rozchodziły. Zniekształcone, ogłuszające. Do kilku rzeczy trzeba było przywyknąć. Do tego Rooker przywykł.

A tu było cicho jak w cholernym grobowcu.

Nawet względny spokój skrzydła dla niebezpiecznych przestęp przepelniała istna kakofonia w porównaniu z tą grobową ciszą. Taill przejściowo osadzeni wydawali specyficzne dźwięki. Tak samo starzy więźniowie, do których trafiali „pod celę”. W skrzydle dla niebezpiecznych siedziało się z naprawdę starymi piernikami. Ofiarami wylewów niedołącznymi i tymi, co mieli problemy, aby się dopasować. W większości nie sprawiali kłopotów, ale, Chryste Panie, po zgaszeniu światła zaczynało się kasłanie i chrząkanie, a on miał ochotę ponakrywać ich wy szczerzone debilnie gęby poduszkami i przydusić.

Teraz mu tego brakowało. Cisza sprawiała, że nie mógł usnąć.

Pozwolił sobie na uśmiech. Za parę tygodni, gdy już wyjdzie na wolność, hałasom nie będzie końca - kiedy będzie po wszystkim i wróci



do domu, gdziekolwiek miał się on znajdować. Cisza będzie wtedy, gdy on sam tego zechce, a także dźwięki, których od bardzo dawna nie słyszał. Odgłosy ruchu ulicznego, hałas pubu i ryki tłumu kibiców na meczu.

Kiedy będzie po wszystkim...

Sesje z Thorneem i resztą bardzo go wyczerpywały. Zwłaszcza Thorne miał tendencję do grzebania i naciskania, dręczenia go, aż cały ten wysiłek przypominania sobie i powtarzania wszystkiego od nowa kojarzył mu się z syzyfową pracą. Mimo to wiedział, że to konieczne, że ten wysiłek się opłaci, choć poniekąd zapomniał, jak bardzo nienawidził glin. Bądź co bądź, choć miał im pomagać i grać w tej samej drużynie co oni, psy to jednak psy.

Poczuł znajome trzepotanie w żołądku, które pojawiała się zawsze, gdy myślał o życiu na zewnątrz. To było jak narastająca panika. Od tak dawna marzył o wyjściu z pudła, że teraz, gdy był tego bliski, zaczął się śmiertelnie bać. Znał wielu osadzonych, którzy odsiedzieli mniej niż on, a nie potrafili ułożyć sobie życia na zewnątrz. Większość w ciągu roku stoczyła się przez prochy i wódę. Inni wręcz błagali, aby odesłać ich z powrotem za kraty, i w końcu robili coś, aby dopiąć swego.

Wiedział, że to nie będzie łatwe, ale przynajmniej kiedy Ryan zniknął ze sceny, będzie mieć jakąś szansę. I czas, aby się przystosować.

Kiedy miewał chwile zwątpienia i zastanawiał się, czy nie zmienić zdania i nie powiedzieć Thorneowi oraz reszcie, żeby się wypchali, powracał pamięcią do tamtego wieczoru w Epping Forest, kiedy niemal po raz ostatni widział Ryana. Wystarczyło, że przypomniał sobie wyraz jego twarzy.

Wyjście z pudła go przerażało, ale bardziej przerażał go Billy Ryan.

Rooker odwrócił się do ściany, krzywiąc się, gdy znów poczuł ból w brzuchu. Rana wciąż była świeża. Wolał, co prawda, ból niż panikę, ale mimo wszystko postanowił, że kiedy stąd wyjdzie i zniknie, gdy kurz wreszcie osiadzie, zadzwoni do paru osób. Poprosi o wyświadczenie przysługi osobę, która była mu coś winna i sprawi, że ten skurwiel Fisher dostanie to, na co sobie zasłużył.

Thorne zerknął na budzik na stoliku nocnym. 5.10. Minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd spojrział na zegarek po raz ostatni.

Odwrócił się i przez chwilę patrzył na śpiącą Alison Kelly.

Była martwa dla świata i prawie nie drgnęła, odkąd po raz drugi zapadła w sen. Thorne wiedział, że on nie może liczyć na podobne szczęście. Prawie nie zmrużył oka, odkąd prawie trzy godziny temu obudził go szloch.

Patrzył, jak spała, i myślał o tym, co jej powiedział...

Przez chwilę nie był w stanie wydobyć z niej słowa. Głos uwiązał jej w gardle, cała była roztrzęsiona. Tulił ją do siebie, aż się trochę uspokoiła, i słuchał szeptu jej oddechu, podczas gdy na zewnątrz robiło się coraz jaśniej, a na jego ramionach i szyi powoli zasychały łzy i smarki.

Zadała mu parę pytań, które już słyszał, i inne, które dostrzegł w jej oczach, kiedy mówiła o swojej przeszłości. Szepty i szloch przydały jej desperacji, jaką wcześniej słyszał jedynie w głosach osób, które niedawno ftraciły najbliższych, albo rodziców, których dzieci zaginęły bez śladu.

Co mogła zrobić inaczej?

Dlaczego podpalono Jessicę?

Czy kiedykolwiek przestanie się czuć, jakby to ją podpalono? Dlatego Thorne przytulił ją mocno do siebie i koniec końców udzielił jej ostatniej odpowiedzi, jaką mógł jej dać w nadziei, że odpowie ona na wszystkie jej pytania.

Niedługo potem przestała płakać; wydawała się tak zmęczona, że nawet nie była w stanie unieść głowy. Powoli opuściła ją na poduszkę odwracając się do Thornea. Nie wiedział, jak długo leżała, wpatrując się w ścianę jego sypialni. Wiedział, że niestosowne byłoby zapytać ją choćby szeptem, czy śpi...

Teraz, gdy gapił się na tani abażur, nie był pewien, dlaczego powiedział jej to wszystko. Może z powodu tego, co wyznała mu w pubie na temat Ryana. A może po prostu chciał jej coś dać. Może chodziło o wiarę w zwyczajne dobro niezbitych faktów, że są w stanie stłumić płomienie wyrzutów sumienia i poczucia winy. Tak czy owak, stało się. Thorne pojął, że zapuścił się na nieznane, obce terytorium, i nie umiał nazwać swoich emocji.

Wiedząc, że już nie zaśnie, wstał z łóżka i podszedł do drzwi. Stając przy łóżku od strony, gdzie leżała Alison, spojrzał na jej twarz. Zobaczył tylko połowę malującą się blado w mlecznym świetle przez sączającym się przez szparę między zasłonami. Druga połowa tonęła w ciemnościach, a spowijający ją mrok przywodził na myśl wielką bliznę.

6 CZERWCA 1986

Wybraliśmy się dziś wszyscy do pubu na prowincji. Pogoda zrobiła się na tyle dobra, że można było posiedzieć na zewnątrz, co zapewne wydawało się właściwym wyborem. W pubie panował tłok, a ja nie

chciałam, by ktokolwiek stracił przeze mnie suty lunch. Chyba nie przywyknę do obecności większej grupy ludzi w swoim otoczeniu.

Warna i tato pozwolili mi na pół piwa i to jeszcze jeden powód, by posiedzieć nazewnętrz!

Wokół talerzy uganiały się chmary os i wszystkich to wkurzało. Staralam się nie ruszać w nadziei, że może któraś z nich usiądzie na mnie. na bliznach. Chciałam siedzieć, jakie to uczucie i czy w ogóle cokolwiek poczuję. Jednak tato zaczął wymachiwać rękami i kląć; i żadna się do mnie nie zbliżyła.

Tato zabrał nowy aparat fotograficzny i uparł się, żeby zrobić jak najwięcej zdjęć. Oboje uśmiechaliśmy się jak zawsze, jakby wszystko było w porządku, a ja udawałam zadowoloną, żeby nie denerwować taty. Później żartowałam, że kobie-fa w Boots musiała przeżyć szok, kiedy wywołała zdjęcia, a mama przez pewien czas wyglądała na rozbawioną.

Mi zadzwoniła do mnie później, aby powiedzieć, że musi się wystroić i wziąć udział w jakiejś szykownej kolacji, którą wyprawiają jej rodzice. Mówi, że tego nie cierpi. Dodała, że zapewne przyjdzie na nie kilku zatwardziałych kryminalistów, którzy będą siedzieć i prowadzić niezobowiązujące pogawędki, pojadając słone paluszki. Aż wybuchnęłam śmiechem i chciałam o tym komuś powiedzieć, ale mama, a zwłaszcza tato wciąż mają poważny problem z Vi i jej rodziną. Nie mówię im nawet, kiedy spotykamy się z Ali poza szkołą.

## NAJGORSZA CHWILA DNIA

W ogródku piwnym, kilka metrów od nas, przy drewnianym stole, na ławach siedziała rodzina. Był tam chłopak, nastolatek i cztero-, pięcioletnia dziewczynka, która gapiła się na mnie bez przerwy. Zaczęłam

stroić do niej miny. Przewracałam oczami i wystawiałam język. Próbowałam ją rozbawić, ale ona i tak sprawiała wrażenie przerażonej.

### MAGICZNA CHWILA PNIA

Byłam w kuchni, już po wypiciu herbaty, mieliśmy włączone radio. Warna wyszła na fajkę do ogrodu, a tato wycierał naczynia. Puszczono nowy singel The Smiths, a ja zaczęłam śpiewać na cały głos. Wymachiwałam rękami jak Worriskey, wyjąc piskliwie na całe gardło i szalejąc w najlepsze. Kiedy doszłam do fragmentu o tym, że wiem, jak się musiała czuć Joanna d'rc, tato spojrział na mnie, trzymając w dłoni ścierkę. Zapadła chwila ciszy, a potem oboje równocześnie wybuchnęliśmy śmiechem.

Gdyby Thorne miał sporządzić listę miejsc, których nie lubił odwiedzać, na jej czele byłyby miejscowości nadmorskie. Choć brytyjskie kurorty tylko nieznacznie ustępowały słynniejszym i wspanialszym w Australii czy na Florydzie, i tak nie wzbudzały u Thornea większe go entuzjazmu. Morze mogło być cieplejsze, bardziej błękitne i czystsze, ale miało swoje minusy.

Margate czy Miami? Rhyll czy Rio? Zdaniem Thorne a sprowadzało się to do wyboru pomiędzy syfem a rekinami...

To stwierdzenie po tym, co zdołał zobaczyć w Brighton tego ranka, wcale nie było nazbyt krzywdzące. Dziesięciominutowa przejażdżka taksówką z dworca do domu Eileen i pięciominutowy spacer stamtąd do pubu.

Ojciec Thorne a i najlepszy przyjaciel ojca Victor przyjechali tam wspólnie z St Albans dzień wcześniej. Victor zadzwonił, kiedy Thorne szykował się do spotkania z Alison Kelly, i powiedział mu, że dotarli na

miejsce w jednym kawałku. Jego ojciec był bardzo podekscytowany, ale zachowywał się przyzwoicie. Nie mógł się doczekać weekendu na wyjeździe.

Thorne chciał złapać wcześniejszy pociąg, ale pozbieranie się i wyjście z mieszkania dziś rano nie było takie proste. Alison zauważyła, że zerkał na zegarek, kiedy jedli wspólne śniadanie w kuchni, i to wzmogło tylko niezręczną, nieprzyjemną atmosferę, jaka zapanowała między nimi, ciężką niczym woń spalonego tosta.

To, co zostało powiedziane nad ranem...

Z tym trudniej było im się uporać, czy o tym rozmawiać, niż robie to, co robili parę godzin wcześniej. Seks był namiętny i dziki, pełen p<sup>o</sup> tu i zawziętej pasji, oboje potrzebowali tego równie mocno, przy najmniej fizycznie.

Ranek okazał się dla nich bezlitosny, oboje mieli mętlik w głowie byli skonsternowani. Nowy dzień rzucił nowe światło na to, co pozowało teraz niewypowiedziane.

Thorne czknał, czując w ustach smak wypitego wczoraj guinnessa. Victor zaśmiał się. Eileen rzuciła mu spojrzenie pełne dezaprobaty. Jego ojciec udał, że tego nie zauważył.

- Przepraszam - rzekł Thorne. Wiedział, że wygląda na trochę sponiewieranego, i zdawał sobie sprawę, iż Eileen zwróciła na to uwagę.

- Miałem ciężką noc...

Upiła łyk soku pomidorowego.

- To tłumaczy, dlaczego dotarłeś tu tak późno.

Zanim Thorne dojechał do domu ciotki i wlał w siebie filiżankę herbaty, nie pozostawało mu nic innego, jak wyskoczyć na szybkiego drinka przed niedzielnym lunchem.

- Nie będzie łatwo znaleźć miejsce w przyzwoitej restauracji - rzekła Eileen. - Jeśli się nie pospieszymy, wszystkie będą zajęte.

Thorne nie odezwał się słowem. Eileen bardzo mu pomagała, odkąd u jego ojca zdiagnozowano chorobę, ale potrafiła być też uszczypliwa i nieprzyjemna. Miał nadzieję, że dziś nie była w takim właśnie nastroju.

- Piwo czy dzierlatka? - zapytał nagle Jim Thorne.

Tom spojrzał na ojca.

- Co?

Thorne nie był pewien, co ubodło go bardziej, pytanie czy sposób, w jaki je zadano.

- Może jedno i drugie - rzekł Victor. Uśmiechnął się do ojca To-ma i obaj wybuchnęli śmiechem.

Victor był zapewne jedynym przyjacielem, jaki jeszcze pozostał ojcu Ithorne'a. I na pewno jedynym, jakiego widział kiedykolwiek Tom.

Był wyższy i masywniejszy niż jego ojciec, zwłaszcza teraz, kiedy Jim Thorne zaczął tracić na wadze. Miał mniej włosów i kiepsko dopasowaną protezę zębową. Ci dwaj starszycy często przywodzili Thorn'owi na myśl parę podstarzałych, stetryczałych komików.

- Może - odparł Thorne.

Ojciec nachylił się ku niemu.

- Skądinąd uważam, że to całkiem niezły pomysł. Po paru kufelkach nawet te paskudne zaczynają wydawać się nam... jak to się n wi... przeciwieństwo brzydoty?

Victor odpowiedział przyjacielowi właściwe słowa:

- Ładne? Atrakcyjne?

Jim Thorne pokiwał głową.

- Nawet te paskudne wydają się nam atrakcyjne.

Thorne się uśmiechnął. Prawdziwy duet komików: jeden podpowiada drugiemu puenty. Spojrzał na Eileen, która pokręciła głową i przewróciła oczami. Z jej nastrojem nie było tak źle.

Victor uniósł szklaneczkę, jakby wygłaszał toast.

- Piwna lorneta - powiedział.

- Kobiety mają podobnie - wtrąciła Eileen. - Ale w naszym wypadku wchodzi w rachubę raczej winna lorneta. - Wskazała na ojca Thorne'a. - Domyślam się, że Maureen musiała strzelić sobie parę, zanim się z tobą spiknęła.

Thorne obserwował ojca. Nie rozmawiali często o matce, odkąd umarła. I prawie wcale, odkąd wykryto u Jima alzheimera. Zastanawiał się, jak on może zareagować.

Jim Thorne pokiwał głową radośnie.

- Pewnie masz rację, moja droga. I to raczej musiało być coś mocniejszego. - Uniósł szklaneczkę, aż zakryła dolną połowę jego twarzy - Ja byłem trzeźwy jak świnia...

Kiedy wypili i odstawili szklanki, Thorne próbował pochwycić spojrzenie ojca. Ale on wodził wzrokiem w tę i z powrotem.

Pub był staroświecki, w najgorszym tego słowa znaczeniu, zapewne dlatego świecił pustkami. Siedzieli w niewielkiej sali, która kiedyś mogła być całkiem przytulna, przy rozchwianym metalowym stoliku opodal drzwi. Atmosferę psuły najprawdopodobniej zamontowane pod sufitem



światłówki. Brzęczały nad ich głowami, zagłuszając wszystko. Sprawiały, że to miejsce wyglądało jak cuchnąca piwem poczekalnia

Thorne wiedział, dlaczego wybrał ten właśnie pub: jego ojciec lubił mocno oświetlone miejsca. Stale kręcił się po domu, zapalając wszystkie światła, nawet w środku dnia. Może to przez zapomnienie, ale Thorne sądził, że jego ojciec próbował po prostu odegnać od siebie ciemność, która, jak wiedział, zbliżała się ku niemu, i pragnął pozostać w świetle, gdzie mógł cokolwiek zobaczyć. Gdzie można było zobaczyć jego...

- Kto ma ochotę na jeszcze jednego? - spytał Victor.

Eileen pokręciła głową i odsunęła od siebie pustą szklaneczkę.

- Jeżeli chcemy zjeść gdzieś przyzwoity niedzielny lunch...

Zaczęli zbierać swoje rzeczy - torby, płaszcze, kapelusze. Kiedy

Eileen, Victor i jego ojciec ruszyli wolno jedno za drugim w stronę drzwi, Thorne zajrzał pod stół, by upewnić się, że niczego nie zapomnieli.

Chciał być teraz gdzie indziej. Myślał o sprawie; o Rookerze, Rynie i dwóch mężczyznach biegnących przez ciemny las, walczących o życie. Wyobrażał sobie Alison Kelly i Jessicę Clarke; twarze na jego poduszce i w szufladzie obok jego łóżka.

Przy jednym z krzeseł Thorne odnalazł parasolkę Eileen. Zabrał ją i ruszył w stronę drzwi. Choć po namyśle uznał, że dzień odpoczynku raczej dobrze mu zrobi. Czuł się jak młodzik, otoczony przez trójkę dość dziwnych dorosłych, ale może tego właśnie potrzebował.

Pomaszerowali w stronę brzegu morza. Thorne włókł się noga za nogą i gapił na rzeczy, które wcale go nie interesowały, ale nie chciał wyprzedzić ojca i reszty.

Od paru dni była wiosna, on jednak wciąż nie odnalazł jej śladów. Było szaro, zdaniem Thorne a typowy dzień nad morzem. Wrażenie byłoby pełniejsze, gdyby Eileen miała powód, aby rozłożyć parasol. Wiedział, że miał trochę krzywdzącą opinię na temat Brighton. Było drogie i bardzo modne, miało frapującą scenę muzyczną i reputację gejojskiej stolicy Wielkiej Brytanii. Trudno by je uznać za typowy nadmorski kurort. A jednak co uprzedzenie, to uprzedzenie i Thorne wolałby trzymać się od tego miejsca z daleka, choćby ze względu na Preferowaną tutaj muzykę.

Jak na potwierdzenie tej teorii ujrzał ludzi „zażywających kąpeli słonecznej” na plaży. Kilka rodzin koczowało na kamieniach, parawany trzepotały na wietrze wokół nich, gęsia skórka była widoczna z odległości stu metrów. Upór, optymizm, głupota, jak zwał, tak zwał. Zdaniem Thorne'a było to idealne odzwierciedlenie angielskiego ducha, jedno z najciekawszych, z jakim miał okazję się zetknąć.

- Spójrzcie na tych tumanów! - rzekła Eileen. - Przy tej pogodzie!

Thorne się uśmiechnął. Rzecz jasna, były jeszcze inne rzeczy, które wydawały się bardziej angielskie...

- Robi się chłodno. - Eileen szczelniej otuliła się płaszczem. - Będzie z dziesięć, góra dwanaście stopni. W dodatku jest chłodniej przez ten wiatr i czynnik wychłodzenia.

Czynnik wychłodzenia. Uwielbiany ostatnio zwrot większości prezenterów pogody. Thorne zastanawiał się, skąd się wziął i czy faktycznie używano go w miejscach, gdzie wiatr może naprawdę stanowić czynnik dodatkowego wychłodzenia...

„Cóż, tu na Spitzbergenie mamy obecnie minus czterdzieści stopni, ale biorąc pod uwagę czynnik wychłodzenia wiatru, można śmiało powiedzieć, że jest tak zimno, że małpom w zoo poodmarzałyby jajca...

Poszli dalej; Thorne słuchał, jak jego ojciec dywaguje o tym, ile lat, ilu robotników i ile tysięcy galonów złotej farby byłoby trzeba, aby odmalować Royal Pavilion, aż w końcu dotarli do restauracji. Eileen władczy głosem poprosiła kelnera o stolik. Kiedy usiedli, Thorne, który już postanowił, że zapłaci za lunch, sprawdził ceny. Wszyscy zdecydowali się na trzydaniowy niedzielny specjał popołudniowy. To nie powinno go zrujnować finansowo.

- Miło tu - zauważył Victor.

Eileen pokiwała głową.

- Zazwyczaj w niedzielę przyrządzam dla wszystkich suty obiad, ale Trevor z żoną wyjechali, a Bob gra w golfa, więc uznałam, że szkoda fatygi. Poza tym miło jest czasem gdzieś wyjść, prawda?

Thorne burknął coś pod nosem. W jego mniemaniu pojęcie „miło nie oznaczało wydatku rzędu dziesięciu funtów od łebka.

- Szkoda, że nie zobaczymy się z Trevorem i Bobem - powiedział-

Trevor był synem Eileen, a Thome domyślił się, że tamten nigdzie nie wyjechał. Lunch ze znikowanym wujkiem Jimem nie należał do kuszących atrakcji. I niemal na pewno właśnie dlatego małżonek Bob grał właśnie teraz w golfa, umówiwszy się pospiesznie na rozgrywkę, kiedy tylko dowiedział się, że jego szurnięty szwagier i kumpel szurniętego szwagra zwalają się na cały weekend.

- Wiem - rzekła Eileen. - Obaj mówili, że bardzo chcieliby znów się z wami spotkać.

Thorneowi zrobiło się nagle żal Eileen. Dlatego, że musiała kłamać. Z powodu tego, co musiała wysłuchiwać od jego ojca. I dlatego, że robiła, co robiła, nie otrzymując niczego w zamian. Thorne nie pamiętał, czy kiedykolwiek jej za coś podziękował.

- Może następnym razem - powiedział.

Eileen skinęła głową na ojca Thorne'a. Wlepił wzrok w stół, stukając tępym końcem noża o zęby.

- Myślę, że twój tato świetnie się bawi - rzekła.

Victor sięgnął po dzbanek z wodą.

- Na pewno. Zdecydowanie.

- Czy podziękowaliśmy ci, że go przywiozłeś? - zapytała.

Victor się rozpromienił.

- Nie ma za co, naprawdę. To dla nas obu wielka frajda, że mogliśmy wybrać się na ten mały wypad.

- Mimo wszystko dziękuję. Nie poradziłabym sobie z nim sama, a on nie przyjechałby bez ciebie... no wiesz, z kolegą zawsze różniej.

- To żaden kłopot, poważnie.

Thorne wiedział, że oni oboje kochają ojca, wiele dla niego poświęcali, ale mimo to scyzoryk otwierał mu się w kieszeni na myśl, że rozbawiają w taki sposób, jakby go tam w ogóle nie było.

- Potrafi sprawić kłopoty, jeżeli tylko zechce - rzekła Eileen.

Victor zaśmiał się i nalał Jimowi wody do szklanki.

Tom wyłączył się z rozmowy i odwrócił wzrok, rozglądając się za Pierwszym daniem. Wtem ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się, to M jego ojciec.

- Wyglądasz, jakbyś miał wiele na głowie, synu - powiedział.

Thorne przytaknął. Oczyma duszy widział dziewczynkę wymachującą rękami i uganiającą się po boisku, przechodzącą tanecznym krokiem przez kuchnię i lecącą w powietrzu po skoku z dachu naziemnego wielopoziomowego garażu...

Jim Thorne nachylił się ku niemu i wyszeptał:

- Czasami odnoszę wrażenie, że z tobą jest gorzej niż ze mną. -Puknął się palcem wskazującym w skroń. Włosy na skroni miał białe a jego syn poszarzał. - Powinieneś tego spróbować, Tom. Polecam gorąco. Niezależnie od tego, jak marnie się czujesz, jak wielki ból sprawia ci myślenie o czymś, po półgodzinie za cholerę nic już nie pamiętasz. Trzask-prask i po wszystkim. Po prostu. Pamięć złotej rybki...

Thorne patrzył przez kilka sekund na ojca. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Z opresji wyratowała go kelnerka, która pojawiła się przy stoliku z czterema talerzami wodnistej, na pierwszy rzut oka, zupy.

- Cztery i trzy, czterdzieści trzy...

Kiedy Eileen zaproponowała, by wybrali się na bingo, Thorne miał ochotę podciąć sobie żyły szarym mydłem, a entuzjazm Victora i jego ojca bynajmniej nie poprawił mu humoru. Minęli to, co pozostało z West Pier; pirs, choć zrujnowany, nie wiedzieć czemu, z podejrzaną regularnością stawał w płomieniach. Dotarli do Brighton Pier, zwanego niegdyś Pałacem, ale obecnie przemianowanym, bo był jedynym funkcjonującym jeszcze pirem w mieście. Thorne przez całą drogę był w minorowym nastroju.

Bingo. Na jego liście atrakcji tuż obok widniało karaoke i wypalanie oczu rozżarzonymi do czerwoności igłami...

- Dwie małe kaczuszki, dwadzieścia dwa...

Teraz jednak, kiedy sam grał, zaczęła go ogarniać towarzysząca grze euforia. Mimo iż oferowane nagrody - wielki pluszowy misiek i duży gumowy młotek - nie podnosiły mu ciśnienia.

- A teraz siódemka...

- Bingo!

Okrzyk wydała starsza kobieta siedząca kilka metrów dalej. Thorne zaklął pod nosem i opadł ciężko na oparcie krzesła, podobnie jak wszyscy inni. Odsunął od siebie niebieskie plastikowe kwadraciki, które zasłaniały wszystkie cyfry na jego kuponie z wyjątkiem dwóch.

Siedział obok ojca.

Staruszek nachylił się ku Eileen i uśmiechnął.

- Co zrobić, mając setkę kobiet w podeszłym wieku, aby dziewięćdziesiąt dziewięć z nich powiedziało równocześnie „kurwa“?

Thorne pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Kazać jednej z nich, żeby zawołała „bingo“!

Thorne znał już wcześniej ten dowcip, ale jak zawsze i tak się zaśmiał.

- Ilu liczb ci zabrakło? - spytała Eileen.

- Tylko dwóch - odparł Thorne.

- Wyobraź sobie, jak to musi wyglądać w wielkiej sali. Niekiedy gra toczy się o dziesiątki tysięcy funtów. A w ogólnokrajowym wydaniu gra się o znacznie więcej...

Thorne uznał, że lepiej, aby nigdy nie zawędrował do takiego przybytku. Jeżeli podniecenie rosło adekwatnie do stawek, o jakie grano, zapewne już w progu padłby trupem.

Tu, gdzie znajdowali się obecnie, w salonie gier, na końcu pirsu, musiało to wyglądać tak samo jak w jednym z wciąż licznych salonów bingo rozsianych po całym Londynie. W większości były to dawne kina, ale kilka wciąż zachowało dawny splendor wiktoriańskich music-halli, którymi były pierwotnie. Thorne i reszta siedzieli na niewygodnych krzesłach z wytłoczek wokół niewielkiego podium z plastikowymi przegródkami i otworami, do których wsuwało się monety funtowe. Gra była łatwa i szybka. Nie grało się o pieniądze. To było bingo lite.

- Za chwilę następna rozgrywka... - Z tanich głośników dobiegał głos prowadzącego.

Thorne spojrział na niego. Był chudy jak tyka, łysiejący. Wielki mikrofon tuż przy ustach przesłaniał dolną połowę jego twarzy. Resztę skrywały przesadnie wielkie okulary przeciwsłoneczne. Tandetną marynarkę uzupełniała plisowana koszula i obwisła muszka, które zważywszy na marny wystrój salonu, prezentowały się całkiem imponująco.

Thorne wrzucił monetę do otworu na udział w kolejnej grze.

- Śmiało, proszę państwa, zostało już tylko parę miejsc...

Thorne rozejrzał się dokoła. W całym salonie było nie więcej niż pół tuzina osób. Facet uwielbiał przesadę jak całe Brighton.

- A teraz podaję pierwszą liczbę...

Thorne wychylił się do przodu, jego palce zawisły w powietrzu gotowe odwracać plastikowe kwadraciki. Wciąż słyszał, jak siedzący po prawej ojciec śmieje się z żarciku o bingo. Zauważył, jak Eileen nachyla się, szepcze, a potem sięga po monetę i wrzuca za niego do otworu.

- Pięć i sześć, pięćdziesiąt sześć.

Ojciec Thornea zaczął się śmiać jeszcze głośniej. Starsza kobieta, która wygrała wcześniejszą rozgrywkę, uciszyła ich i pokręciła głową z dezaprobatą. Na prawo od Thorne'a słychać było coraz głośniejsze szepty i pomruki. Odwrócił się w tej samej chwili, kiedy Eileen złapała go za rękę, prosząc o pomoc.

- Dwa i cztery - zawołał nagle jego ojciec - Wal się w cymbał, do cholery!

Victor zachichotał, a Thorne zauważył, że Eileen zbladła jak ściana. Ujął ojca za rękę.

- Tato...

- Trzy i sześć, fiuta mego pieść!

Thorne wstał i ominąwszy Eileen, podszedł do ojca. Usłyszał chichot, a potem głos gdzieś z tyłu.

- No dalej, śmiało, bierz się do roboty!

Thorne nachylił się do ojca. Wyraz szczerego rozbawienia był tak rozbijający, że na moment zapało mu dech.

- Dwie grube baby - oznajmił jego ojciec. - Nie bzyknałbym żadnej z nich!

Rozległy się piski z głośnika, gdy prowadzący odłożył mikrofon. Thorne przeżył szok, kiedy stwierdził, że tamten nie ma zębów i jest ze dwadzieścia lat starszy, niż sądził. Kątem oka zauważył mężczyznę w ciemnym garniturze, jak się domyślał, menedżera, zmierzającego w ich stronę z krótkofalówką w dłoni. Thorne wiedział, że powinien zachować spokój, przygotować się na zwyczajowe przeprosiny i wyjaśnienia, ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu.



Kawa, którą kupił na dworcu w Brighton, wystygła. Thorne wyjrzał przez okno wagonu w czerń, gdy pociąg zdecydowanie za wolno sunął z powrotem w stronę Londynu. Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy, zastanawiając się, czemu tak rzadko czuje się równie zmęczony, leżąc w łóżku, kiedy mógł się normalnie przespać.

Wyobrażał sobie ojca i Victora leżących w bliźniaczych łóżkach w gościnnej sypialni domu Eileen i rozmawiających o minionym dniu. Zaśmiewających się na wspomnienie tego, co zdarzyło się na pirsie. Właściwie nie wiedział, czy jego ojciec zdawał sobie w takich chwilach sprawę z tego, co robi. Czy potrafił powrócić myślami do tych wydarzeń i przeżywać je na nowo z radością? Thorne miał nadzieję, że tak, i wyobraził sobie, jak ojciec próbuje zachować wspomnienie wulgarnych odzywek, zanim do reszty mu umkną.

Trzask-prask i po wszystkim. Po prostu. Pamięć złotej rybki...

Wcześniej tego dnia Thorne wyobraził sobie siebie jako dziecko w towarzystwie gromadki ekscentrycznych dorosłych. Rzecz jasna, wiedział, że to tylko chwilowe złudzenie, bo rzeczywistość przedstawiała się dokładnie na odwrót, bo opieka nad ojcem w jego wypadku była najbliższa temu, co kojarzyło mu się z byciem rodzicem, o ile kiedykolwiek będzie mu to dane.

Nawet nie próbował zakryć ust dłonią, by stłumić potężne ziewnięcie. Kiedy skończył, pochwycił spojrzenie kobiety siedzącej naprzeciwko i się uśmiechnął. Wyglądała na równie zmęczoną i odpowiedziała uśmiechem.

Sporo słyszał o rodzicielstwie. Od tak zaprawionych w bojach weteranów, jak Russell Brigstocke czy Yvonne Kitson. Od Dave'a

Hollanda, który miał na klapach marynarki plamy po mleku. Wszystko to wydało mu się nagle odpowiednie do jego sytuacji...

Nikt nie jest w stanie cię na nie przygotować.

Uczysz się przez całe życie.

Nie było dobrych ani złych rozwiązań.

Z rozmów z tymi ludźmi i z tego, co usłyszał, gdy rozmawiali z innymi, Thorne zdołał wywnioskować, że zdarzały się sytuacje, kiedy trzeba było zareagować ostro i zdecydowanie. I chwile, kiedy tak właś nie reagowałeś, by poczuć się później fatalnie, gdy uświadomiłeś sobie, że postąpiłeś niewłaściwie. Teraz Thorne zrozumiał, o co im chodziło. Czasami, choć nie podobało im się to, co robiły ich dzieci, albo to, jaki wpływ ma ich zachowanie na innych ludzi, istotne było, aby zwyczajnie przyjąć, że dziecko po prostu dobrze się bawi. Wyobraził sobie wyraz twarzy ojca, kiedy wykrzykiwał te wulgarne odzywki...

Thorne zastanowił się, czy pora nie jest za późna, aby zadzwonić do Alison Kelly. Uznał, że najprawdopodobniej tak. W końcu jednak sięgnął po telefon i mimo wszystko wybrał jej numer.

- Cześć, mówi Tom. Halo...?

- Cześć...

- Przepraszam, że dzwonię tak późno. Zastanawiałem się, co u ciebie.

- Jestem zmęczona.

- Ja też. To była wyczerpująca noc.

Zaśmiała się.

- Jeszcze jak, no nie?

Thorne wyobraził ją sobie nagą. Wyobraził ją sobie płaczącą. Wyobraził ją sobie odwróconą do niego plecami i usiłującą przyjąć to, co od niego usłyszała.

- Zastanawiałem się, jak sobie radzisz z tym, co ci wyjawilem.

Trzaski na linii. Thorne pomyślał, że połączenie zostało przerwane, i zerknął na wyświetlacz telefonu.

- Świetnie sobie radzę - rzekła w końcu. - Jestem ci za to.--wdzięczna.

- Nie powinienem był nic mówić.

- Powiedziałaś mi prawdę...

Byłaś zdenerwowana...

Potrzebowałam prawdy. Potrzebuję prawdy.

Thorne zauważył, że kobieta naprzeciw niego odwróciła głowę. Zniżył głos.

Z niektórymi prawdami trudno jest nam się pogodzić.

Zapadła cisza.

- Alison...?

- Jestem już dużą dziewczynką. - Znów ten ponury śmiech. -A w każdym razie muszę się zachowywać jak dorosła...

- Chcesz znowu to zrobić? Chciałabyś gdzieś wyjść?

Usłyszał jej cichy oddech.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że starasz się być dla mnie miły?

- Nie, ja wcale...

- Odłóżmy to na parę dni, dobrze...? - poprosiła. - Zobaczymy, jak się ułoży...

Ponieważ za oknem było ciemno, Thorne dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że wjechali do tunelu. Zerknął na telefon. Tym razem

naprawdę stracił sygnał. Przez kilka minut wpatrywał się w przestrzeń, a później sięgnął po pozostawioną na stoliku opodal gazetę. Rozłożył ją i zaczął czytać.

Zasnął, jeszcze zanim przebrnął przez pierwszą stronę.

Kelnerka przesunęła talerzyk z ułożonymi idealnie biszkoptami na środek stołu. Zabrała pustą tacę i wycofała się, przystając przy drzwiach, aby z pewnym zaniepokojeniem spojrzeć na grupę mężczyzn i kobiet zebranych w sali konferencyjnej.

Była to z całą pewnością osobliwa gromadka...

Nadkomisarz Trevor Jesmond głośno odchrząknął i zaczekał, aż zrobi się cicho.

- Czy możemy już zacząć?...

Dokonywał wstępnej prezentacji, a w tym czasie gości poczęstowano kawą i herbatą.

Przy długim prostokątnym stole siedziało siedem osób. Jesmond zajmował miejsce u szczytu, a policjantka - tłumaczka języka tureckiego - siedziała po jego prawej stronie. Nieco dalej po tej samej stronie stołu Memet Zarif siedział obok starszego mężczyzny określanego mianem szanowanego przywódcy tureckiej społeczności. Naprzeciw nich usadowili się Stephen Ryan i elegancko ubrana kobieta nazwiskiem Helen Brimson, pani mecenas reprezentująca interesy firmy Ryan Properties. Ostatnia osoba, którą przedstawiono, siedziała, pocąc się, w skórzanej kurtce, z piórem w ręku i plikiem kartek przed sobą.

- Inspektor Thorne będzie sporządzał notatki. I prowadził zapis niniejszego spotkania...

Helen Brimson wtrąciła:

- Zakładam, że niniejsze spotkanie jest objęte klauzulą poufności-- Jesmond pokiwał głową, a pani mecenas mówiła dalej: - Domagam się potwierdzenia, że wszelkie notatki trafią jedynie do wewnętrznych akt policyjnych i nie zostaną wykorzystane w sądzie, gdyby w przyszłości doszło do jakichkolwiek postępowań procesowych.

Thorne pisał bez zastanowienia, mając nadzieję, że nie będzie musiał wysłuchiwać zbyt wielu prawniczych bzdur.

- Niniejsze spotkanie stanowi element społecznego dwustronnego dialogu - rzekł Jesmond. Wyciągnął ręce przed siebie. - Cieszę się, że wszyscy zgodzili się wziąć w nim udział i zjawili się tu dziś rano.

„Tu” oznaczało nijaki anonimowy hotelik pod Maidenhead. Hotel dla biznesmenów, jakich wiele w okolicach M25. Łatwo było tu dotrzeć, a leżał dostatecznie na uboczu, by przybyli goście nie zwracali niczyjej uwagi.

Właśnie o tym mówił Tughan ponad tydzień temu, że powinno się zebrać ich wszystkich przy jednym stole i spróbować zakończyć sprawę.

Zarif położył rękę na ramieniu mężczyzny, który siedział obok niego - „szanowanego przywódcy społeczności”. Obaj mieli na sobie eleganckie garnitury i uśmiechali się szeroko.

- Moi bracia i ja zostaliśmy poproszeni przez naszego dobrego przyjaciela, aby wspomóc policję, jak tylko potrafimy najlepiej - powiedział. - Chciałbym mieć świadomość, że już teraz uczyniliśmy, co w naszej mocy, by dopomóc w śledztwie, ale jeśli możemy uczynić coś jeszcze, z przyjemnością to zrobimy.

Jesmond pokiwał głową, Thorne pisał dalej. Zapowiadało się niezłe wciskanie kitu.

- Ja ze swej strony uważam tak samo - rzekł Stephen Ryan. Na szyi miał masywny złoty łańcuch. Na rozpiętą pod szyją koszulę włożył modną, pewnie drogą sztruksową marynarkę. - To się tyczy mego ojca i wszystkich, którzy są związani z Ryan Properties. Ważne spotkanie biznesowe sprawiło, że nie ma tu dziś z nami mego ojca, ale wysłał mnie, bym w jego imieniu wyraził oburzenie z powodu tych zabójstw...

Thorne nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pomyślał o Alison Kelly. Minął prawie tydzień od czasu, gdy dzwonił do niej z pociągu. Od tamtej pory się nie kontaktowali...

- ...i pragnienie zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi. - Ryan spojrzął ponad stołem w stronę Thorne'a. - Zapisze pan to?

Thorne pomyślał: Miałbym ochotę wziąć pióro i napisać coś na twojej gębie, ty parszywy mały padalcu.

Napisał: Ryan. Oburzenie. Pragnienie.

Jesmond przełamał biszkopta na pół, starannie strącając okruszki na talerzyk.

- Nie muszę nikomu mówić, że dokładnie to chcemy usłyszeć. Je-żeli jednak cokolwiek ma się zmienić, potrzebujemy działania. O ile wspomniany rozlew krwi faktycznie ma się zakończyć.

- Oczywiście - rzekł Zarif.

Ryan uniósł ręce: „To rozumie się samo przez się”.

Jesmond nałożył okulary, sięgnął po kartki i zaczął odczytywać widniejące tam nazwiska:

- Anthony Wright. John Gildea. Sean Anderson. Michael Clayton. Muslum Izzigil. Hanya Izzigil. Detektyw sierżant Marcus Moloney. - Jesmond przerwał i powiódł wzrokiem wokół stołu. - Oraz ostatnie ofiary:

Francis Cullen, kierowca ciężarówki, i dwie niezidentyfikowane jeszcze osoby znalezione wraz z nim.

Thorne spojrział na Ryana, a potem na Zarifa. Obaj byli poważni, z przejęciem wysłuchali listy ofiar. Listy tych, których stracili, tych, których zamordowali.

- To śmierci, o których wiemy - ciągnął Jesmond. - Zabójstwa, w związku z którymi prowadzimy obecnie śledztwo i które, o ile nam wiadomo, są związane z waszymi rodzinami lub interesami, które prowadzicie...

Adwokatka Ryana próbowała wejść mu w słowo.

Jesmond uniósł prawą dłoń.

- A w każdym razie wywarły one wpływ na wasze rodziny lub interesy, które prowadzicie. Pani Brimson?

- Doradziłam swojemu klientowi, aby na niniejszym spotkaniu nie komentował żadnej konkretnej sprawy, nawet gdyby mógłby zostać o to poproszony.

- Kto tu mówi o konkretach? - wtrącił Thorne.

Posłała mu lodowaty uśmiech.

- Powiedziałam „mógłby”.

- Podkreślę to wężykiem - rzekł Thorne.

Zarif nalał sobie drugą filiżankę kawy.

To wstyd, że ma pan takie nastawienie, panie Ryan. Niebezpieczne jest zwłaszcza to, że ludzie nie chcą mówić o tego typu sprawach, mieszać się w nie. Właśnie to sprawia, że dochodzi do tych wszystkich zabójstw. Dzięki temu są one możliwe.

Staruszek siedzący obok niego pociągnął się za brodę i entuzjastycznie kiwnął głową.

- W mojej społeczności są tacy, co boją się mówić - kontynuował Zarif. Spojrzał w stronę Jesmonda. - Sądziliśmy, że ludzie z... kręgów pana Ryana mogą być nieco mniej bojaźliwi.

Zarif naciskał właściwe guziki. Gniew Ryana, choć pod kontrolą, był wyraźnie widoczny.

Przez długie dziesięć sekund nikt się nie odzywał. Thorne wsłuchiwał się w odgłosy aut na pobliskiej autostradzie i terkot obracającego się wentylatora. W ostatnich dniach pogoda nieco się poprawiła i w pokoju zrobiło się duszno i parno.

- Te zabójstwa, niezależnie od tego, kim mogły być ofiary, są po prostu nie do przyjęcia - powiedział w końcu Jesmond. - Ofiarami są osoby z szerokiego kręgu społeczności. Cierpią na tym ludzie i interesy...

Thorne pisał, a w głębi duszy pomyślał: Cierpi też na tym twoja duma, bo masz coraz mniejsze szanse na awans...

Ryan uśmiechnął się słabo.

- Niekiedy to jedno i to samo.

- Słucham? - rzucił Jesmond.

- Ludzie i interesy. - Ryan wychylił się do przodu i posłał Zari-fowi srogie spojrzenie. - Bywa, że interesy to właśnie ludzie. Wiesz, o czym mówię?

Teraz to Zarif musiał się nieco opanować. Wiedział, że Ryan mówił o przemyśle ludzi oraz porwaniu. Odwrócił się do siedzącego przy nim staruszka i wymamrotał coś po turecku.



Kiedy Zarif skończył, tłumaczka przetłumaczyła jego słowa na użytek Jesmonda.

- Padło kilka przekleństw - zaczęła.

Thorne spojrzał na Zarifa. Wcale go to nie zdziwiło...

- Pan Zarif powiedział, że niektórzy powinni zastanowić się nad słowami, zanim... otworzą usta... zanim otworzą swoje głupie usta.

Thorne przeniósł wzrok z Ryana na Zarifa, łudząc się na próżno, że ci dwaj nagle rzucają się sobie nawzajem do gardeł. No dalej, pomyślał. Zakończmy to tu i teraz...

Jesmond podziękował policjantce. Thorne pochwycił jej spojrzenie. Zapomniał, jak się nazywała. Wiedział, że jej zadaniem było dopilnowanie, aby wszelkie stwierdzenia mogące świadczyć o winie którejkolwiek ze stron, niezależnie, czy zostaną później uznane przez sąd, czy nie, były w należyty sposób odnotowane. Wiedział, że szanse, by którakolwiek ze stron powiedziała cokolwiek naprawdę istotnego, były raczej nikłe. Polityka i tak zwana poprawność. Całe to biznesowe spotkanie było istotne jedynie z uwagi na to, co nie zostało powiedziane.

- Musimy zjednoczyć wysiłki - rzekł Jesmond. Powiódł wzrokiem wokół stołu, dopóki nie upewnił się, że wzburzone nastroje zostały skutecznie opanowane.

- Nie ma sensu tego ciągnąć - rzekła Brimson. - Jeżeli mój klient ma siedzieć tu i być obrażany.

Thorne spojrzał na nią i Ryana. Stykali się ramionami, a inspektor zaczął się zastanawiać, czy tych dwoje sypia ze sobą. Wiedział, że Brimson robiła to, co do niej należało, ale musiał istnieć jakiś inny powód, dla którego nie czuła w ustach smaku żółci.

- Czy pan Ryan wolałby siedzieć tam i być obrażany? - zapytał.

Ryan nawet nie uniósł wzroku.

- Wal się, Thorne.

Thorne odwrócił się i spojrzał niewinnie na Jesmonda.

- Czy mam to zapisać?

- Chcę przekazać dziś wam wszystkim dwie wiadomości - rzekł Jesmond. - Po pierwsze, i żebym był właściwie zrozumiany, jeżeli chodzi o zabójstwa, o których była tu dziś mowa, nie zamierzamy w żaden sposób spowolnić czy zawiesić prowadzonych w związku z nimi dochodzeń-

Mowy nie ma - dodał Thorne.

Jesmond spojrzał na niego i skinął głową.

Niektórzy z was już wiedzą, że inspektor Thorne jest jednym z oficerów aktywnie zaangażowanych w poszukiwanie sprawców tych zbrodni.

Thornea kusiło, aby pomachać energicznie ręką.

- Druga wiadomość jest apelem. - Jesmond zdjął okulary i wsunął je do górnej kieszonki. - Dla dobra wszystkich chcemy, by ten dialog trwał. W imieniu komisarza zwracam się bezpośrednio do was. Chcemy, abyście użyli swoich wpływów. Jako biznesmeni. I ważni członkowie swoich społeczności. Chcemy, abyście uczynili, co w waszej mocy, by zapobiec dalszym tragediom.

Pióro Thorne a śmigało po papierze. Inspektor z trudem nadążał za Jesmondem. Siedział tam z rozpaloną, bolącą głową, powściągając chęć pobazgrolenia na kartce, którą miał przed sobą. Piętnaście minut później kelnerka zapukała i weszła do środka. Spytała, czy przynieść jeszcze

biszkopty, ale spotkanie miało się już ku końcowi. Ryan i Zarif wyszli w odstępie paru minut, rozmawiając z ożywieniem ze swoimi doradcami.

Jesmond pozbiierał papiery.

- I jak się udało, Tom? - Nie czekał na odpowiedź. - Wiem. Tego typu spotkania są bardzo trudne i ciężko jest poprowadzić je tak, by osiągnąć pożądane wyniki. - Zatrzasnął aktówkę. - Miejmy nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

Pocierając bolący przegub, Thorne uznał, że to wszystko może co najwyżej wyjść im bokiem...

Jak zawsze metodyczna we wszystkim, przechodząc od jednej alejki między regałami do drugiej, Carol Chamberlain kontynuowała realizację zakupów z listy i skierowała się w stronę działu ze środkami czystości, ręcznikami papierowymi i papierem toaletowym.

Obok wózka pojawił się uśmiechnięty Jack i włożył do środka całe naręczne zakupów.

- Potrzebujemy karmy dla psa? - zapytał.

Chamberlain skinęła głową i patrzyła, jak jej mąż oddala się w głąb przejścia, by zniknąć za rogiem. Ruszyła wolno przed siebie, zdejmując produkty z półek. Sięgnąć, wrzucić, przesunąć się. Robiła to metodycznie, ale myślami była bardzo daleko...

Kiedy dorwiemy Ryana, powie nam, kto dwadzieścia lat temu wziął od niego pieniądze i podpalił Jessicę. Poda nam to nazwisko.

Thorne złożył jej obietnicę. Powiedział, że znajdzie człowieka odpowiedzialnego za to, co się wydarzyło przed dwudziestu laty. Zapewnił, że naprawi jej błąd.

Powiedział to, co jak sądził, chciała usłyszeć.

To było ponad dwa tygodnie temu w jego mieszkaniu, od tamtej pory go nie widziała. I niemal równie długo nie rozmawiali, choćby przez telefon. Wiedziała, że Thorne jest zajęty i ma ważniejsze sprawy na głowie, niż informować ją na bieżąco o postępach śledztwa.

Sięgnąć, wrzucić, przesunąć się...

Zamknięta sprawa z 1993 roku, którą prowadziła, zabójstwo bukmachera, utknęła w martwym punkcie. Nie była w stanie wzburzyć krwi w jej żyłach. Nie potrafiła na dobre zaprzątnąć jej uwagi.

Oczywiście Jackowi było to na rękę. Cieszył się spokojem pod koniec dnia i był zadowolony, że ona nie przynosi do domu żadnych materiałów do opracowania. Co więcej, był zadowolony, że ostatnio rzadziej wychodziła z domu. Bardzo go kochała, wiedziała, że jego odczucia brały się właśnie z jego miłości do niej. Bez niego całkiem by się zagubiła, bez jego troski, która była dla niej jak kotwica dla okrętu. Jednak coraz częściej odnosiła wrażenie, że odkąd to wszystko się zaczęło, ta kotwica zaczęła ściągać ją w dół.

Chciała mieć to już za sobą.

Sięgnąć, wrzucić, przesunąć się...

Pokładała całą nadzieję w Tomie Thornie. Nie miała wyboru. Choć Chamberlain lubiła go i szanowała, nie znosiła być uzależniona od innych. Nie cierpiała sytuacji, kiedy wszystko wymykało się jej z rąk.

Nienawidziła tego.

Miała ochotę załadować wózek, zapakować go całą górą ciężkich butelek i puszek, po czym pobiec, pchając go przed sobą, wzdłuż alejki. Chciała zobaczyć, jak rodziny i pracownicy supermarketu układający towary na półkach pierzchają na boki, kiedy pędziłaby w ich stronę.

Chciała usłyszeć turkot kół wózka i skrzeczenie krótkofalówek, gdy przedarłaby się przez kordon ochrony i minąwszy kasy, pognałaby z wózkiem ku wielkiej tafli szyby przy obrotowym wejściu...

Jack podbiegł do niej, przyciskając do piersi puszkę z psią karmą. Kiedy tylko spadły z grzechotem na dno wózka, wyciągnęła rękę i delikatnie go objęła. A potem ruszyli ramię w ramię do następnej alejki.

Nowy album The Smiths jest niesamowity. Jest na nim numer „Bigmouth Strikes Again”, a tato, słysząc go, zawsze zagląda do mego pokoju i śmieje się, gdy leci tekst o Joannie d'Arc.

Ali ma chłopaka! Poznała go w jakimś klubie. Nie wiem, kiedy zaczęła tam bywać ani z kim, ale, o ile wiem, ten facet po prostu podszedł do niej i zaproponował drinka. Poznałam go któregoś dnia i wydaje mi się całkiem miły. Kiedy jednak się ze mną witał, choć wszystko z pozoru wyglądało normalnie, przez cały czas patrzył na Ali, aby zobaczyła, jaki jest „wrażliwy”, jakby chciał się przekonać, co o nim myślała.

Nie wiem, czy oni tak naprawdę już to robili.

Jest jeszcze jeden facet, który bardzo jej się podoba. Ali co tydzień zakochuje się w kimś innym. Ten jest od niej dużo starszy i chyba dlatego tak jej na nim zależy, ale to tylko moje zdanie. Facet pracował z jej ojcem, co oznacza, że prawdopodobnie ma ksywkę Ron Rzeźnik. czy jakoś tak. Ali zawsze żartowała, że spróbuje kiedyś szczęścia z jednym z nich, z którymś z przyjaciół swojego ojca. No wiesz, że zaczniesz z którymś flirtować, żartując sobie: masz w kieszeni pistolet czy po prostu cieszysz się na mój widok? Och, to jednak pistolet...

Na płycie jest jeszcze inny kawałek, zatytułowany „I Know It's Over :  
Wiem, że to koniec...

Słuchałam go przez słuchawki, jest tam fragment, kiedy AWrissey śpiewa, że czuje, jak ziemia sypie mu się na głowę. Próbowałam to sobie wyobrazić. Jakbym była z kimś związana i ten ktoś ze mną zerwał. Leżałam z zamkniętymi oczami, słuchając tej piosenki włączonej bardzo głośno, i próbowałam wyobrazić sobie siebie w tej sytuacji. Przez chwilę wydawało mi się to bardzo głębokie i romantyczne, takie poetyckie. Naraz jednak poczułam się wściekła i ogłupiała, nie mogłam znieść tej piosenki dłużej. Od tamtej pory ją omijam. Przerzucam ją na płycie. Słowa i muzyka wyciskają z moich oczu łzy, sprawiają, że chce mi się płakać, ale te odczucia nie są prawdziwe. Emocje ukryte w tej piosence trącą fałszem. Sądziłam, że współczucie ze strony innych było dostatecznie bolesne, ale odkąd sama zaczęłam sobie współczuć, jest jeszcze gorzej.

Prawda jest taka, że wątpię, abym kiedykolwiek się z kimś związała, a gdyby nawet jakimś cudem do tego doszło, nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, dlaczego to nie może się udać. No chyba że związałabym się z innym dziwadłem, takim jak ja. Rozumiem, gdyby w poczekalni u chirurga plastycznego nasze spojrzenia nagle się spotkały. ..

Mowy nie ma. To, że wyglądam, jak wyglądam, nie znaczy jeszcze, że muszą mi się podobać inni, którzy są do mnie podobni, prawda?

Porzucenie nie zasmuciłoby mnie za bardzo. Kle miałabym ochotę zabić każdego, kto by się ze mną związał, za to, że okazał się takim fiutem. Takim tchórzliwym bydlakiem.

Nie chcę się z nikim wiązać.

To, co dotąd napisałam, brzmi tak żałośnie. Jakbym była rozpuszczonym bachorem i udaję, że chcę być sama, bo cholernie mi żal samej siebie. Nic nie poradzę, że tak to brzmi. Wiem, co myślę.

#### NAJGORSZA CHWILA PNIA

Postanowiłam nie zawracać sobie tym głowy, bo to głupie.

#### MAGICZNA CHWILA PNIA

Jak wyżej.

Opowiedz mi o spotkaniu z Ryanem. O tym, co powiedział tamtego wieczoru w Epping Forest...

Rookera spowiła chmura papierosowego dymu. Westchnął, nieco rozpraszając siwe opary.

- Nie ma pan nic innego do roboty? - zapytał. - Wątpię, abym zdołał przypomnieć sobie coś, czego wcześniej bym nie powiedział.

Thorne spojrział na taśmy w dwukasetowym magnetofonie. Patrzył na obracające się czerwone szpule.

- Nie wiem...

- Nie po dwudziestu latach. Nie uważa pan, że to dość czasu, abym coś sobie przypomniał?

- Albo zapomniał.

- Och, na miłość boską...

Od ataku na dziewczynkę w Swiss Cottage minął prawie miesiąc. Blisko miesiąc, odkąd jego przełożeni postanowili przyjąć ofertę Gordona Rookera, który zgodził się wydać im Billyego Ryana. Tughan powiedział wczoraj Thorneowi po spotkaniu w przy okrągłym stole w Maidenhead, że najprawdopodobniej w ciągu tygodnia Ryanowi zostaną postawione konkretne zarzuty.

Sprawę dopracowywano starannie na kilku frontach; odnaleziono • przesłuchano wielu ludzi, którzy w 1984 roku byli powiązani z Rooke-rem i Ryanem. Niektórzy wciąż jeszcze byli w grze. Kilku dawno temu przeniosło się na przedmieścia. Jeszcze inni zwinęli żagle i odfrunęli do krajów z lepszym klimatem i atrakcyjniejszym systemem Podatkowym. Paru zaczęło mówić, zbyt mało jednak, aby Tughan i jego zespół poczuli się pewni swego.

Mafia nazywała to omertą: nakazem milczenia. Obcy język i towarzyszące temu powiązania sprawiały, że słowo to brzmiało honorowo, wręcz dystygowanie, jednak w życiu tych, którzy ukrywali się w wj] lach w stylu hiszpańskim, i innych, którzy ze strachu fajdali w gacie nie było nic honorowego czy dystygowanego. Thorne chętnie spędziłby trochę czasu z paroma spośród tych starych pierników, skurwieli i silnorękich z Braintree i Benidormu. Miał ochotę wytrzaskać ich p() opalonych pod kwarcówką gębach i pokazać im z bliska zdjęcie Jessi ki Ciarke...

- Jak już mówiłem - rzekł Rooker - dostałem telefon od Harry ego Little i pojechałem do Epping Forest na spotkanie z Billym Ryanem. Przy drodze niedaleko Loughton...

W ten czy inny sposób zeznanie Rookera miało być kluczem do sprawy, ale jak to zwykle było z materiałami dowodowymi pozyskanymi od skazanych przestępców, nietrudno będzie je zdyskredytować. Jeżeli w ogóle zostanie uznane za przekonujący dowód.

Tak czy owak, musieli być pewni, że wyciągnęli od niego, co się dało...

- Wsiadłeś do jego samochodu - rzekł Thorne.

- Wsiadłem.



- Jaki to był wóz?

Rooker uniósł wzrok i spojrzał na Thorne a jak na wariata.

- Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Było ciemno. I to było dwadzieścia lat temu.

Thorne rozsiadł się, jakby dotarł do sedna sprawy.

- Gordonie, szczegóły są bardzo istotne. Ekipa prawników Ryana załatwi cię w okamgnieniu, jeśli tylko dasz im choćby cien szansy. Skoro nie pamiętasz samochodu, to może nie pamiętasz, co dokładnie powiedział wtedy Ryan. Może byłeś zdezorientowany. Może sądziłeś, że prosi cię o coś, czego wcale od ciebie nie zażądał. Rozumiesz?

- To mógł być mercedes. Jeden z tych starych modeli z dużą chłodnicą.

- Rozumiesz, o czym mówię? Właśnie dlatego musimy to robić.

Rooker z pewnym wahaniem pokiwał głową.

- Nie byłem zdezorientowany - powiedział.

Drzwi się otworzyły, a Thorne podziękował strażnikowi za przyniesione napoje. Herbata dla niego, a dla Rookera tania cola w puszcze. Strażnik zamknął za sobą drzwi.

Ciepła - poskarżył się Rooker.

- Kiedy wsiadłeś do jego auta, czy Ryan od razu powiedział, czego chce, czy rozmawialiście jeszcze o innych sprawach?

- Nie był z tych, co lubią pogawędzić o pogodzie. Choć mogliśmy przez parę minut pogadać trochę o tym i owym. O ludziach, których obaj znaliśmy...

- O Harrym Little?

- Tak. O nim też. I o innych. Ale nie przypominam sobie, aby długo owijał w bawełnę.

- Tak więc spytał cię, czy byłbyś w stanie zabić córkę Kevina Kelly'ego, Alison?

Rooker wydał policzki, ponownie wymigując się od odpowiedzi. Thorne powtórzył pytanie...

- Tak.

- W zamian miałeś otrzymać pieniądze.

- Tak.

- Ile? Jaką sumę zaproponował ci za zabicie Alison Kelly?

Rooker szybko uniósł wzrok i spojrzał na Thorne a. Zupełnie jakby w powietrzu między nimi przemknęła błyskawica... Thorne uświadomił sobie, że wcześniej o tym nie rozmawiali. Rooker wydawał się równie skonsternowany.

- Myślę, że to miało być jakieś dwadzieścia tysięcy...

- Myślisz? Jakież?

- To było dwadzieścia tysięcy Dokładnie dwadzieścia tysięcy funtów

Powiedział coś jeszcze o tym, ile taka sumka może być warta teraz.

Thorne przestał słuchać. Teraz wiedział już, ile było warte życie

Alison Kelly. Zastanawiał się, czy podałby jej tę konkretną kwotę, gdyby ją znał, tamtej nocy, kiedy w ciemnościach zaczął szeptem mówić Alison to, co wiedział. I uznał, że najprawdopodobniej niczego nie podmień był jej mówić...

- Czy Ryan powiedział, dlaczego chciał, abyś to zrobił?

- Próbował dobrać się do Kevina Kelly ego, jasne? - rzekł Rooker -  
Chciał dobrać się do innych firm. I przejąć je...

- Wszystko to wiem. Nie o tym mówię. Czy powiedział, dla czego próbował dopiąć swego, zabijając dziecko? Sam powiedziałaś, że to ekstremalne rozwiązanie. Niezwykłe i niesłychane.

- Fakt. Dlatego się wycofałem. Ale poza tym, o czym już mówiłem, nie wiem nic więcej. To się tyczy też innych zleceń, które wtedy podejmowałem. Nie obchodziło mnie, dlaczego ktoś chce coś zrobić.

Thorne upił łyk herbaty. Już miał o coś zapytać, ale Rooker wszedł mu w słowo.

- Ile razy jeszcze musimy to robić?

- To już zapewne ostatni - odparł Thorne. - Przynajmniej jeżeli chodzi o nas. Nie twierdzą, że nie będziesz przesłuchiwany przez innych oficerów...

- Niech mi pan powie, co będzie później.

- O procesie?

- Po procesie. Co się ze mną stanie.

Tym razem to Thorne westchnął. Rooker najwyraźniej lubił wracać do tego tematu... stale go drażył...

- Mówiłem już - rzekł Thorne. - Nie mam nic do powiedzenia, jeżeli chodzi o to, co się stanie, gdzie wylądujesz i w ogóle. Zajmuje się tym specjalny wydział.

- Wiem, ale musi pan coś wiedzieć na ten temat. Wywiozą mnie daleko stąd, prawda? Jak pan myśli, dostanę nową tożsamość i całą resztę?

- Są różne... poziomy ochrony świadków. Myślę, że możemy śmiało stwierdzić, że dostaniesz najwyższy. Przynajmniej na początek...

Rooker wydawał się zadowolony z tego, co usłyszał od Thornea -I nagle coś mu przyszło do głowy.

- Czy będę mógł wybrać sobie nazwisko?
- Co?
- Moje nowe nazwisko, nową tożsamość. Czy mogę sam je wybrać?
- Masz coś konkretnego na myśli?

Niezupełnie. - Zaśmiał się i sięgnął do pudełka z tytoniem. -]sje chcę przechodzić przez to wszystko, żeby potem nadali mi jakieś frajerskie nazwisko.

Thorne poczuł ucisk w piersi. Buńczuczność, na którą po raz pierwszy zwrócił uwagę w Park Royal, powróciła. Rooker mówił do niego jak do kumpla, kogoś, kogo lubił i komu ufał. To sprawiło, że Thorne miał ochotę sięgnąć ponad stołem i skrócić tamtemu kark.

Tymczasem spojrział na zegarek i nachylił się nad magnetofonem.

- Rozmowę zakończono o czternastej trzydzieści pięć.

Włączył przycisk „stop”.

- A więc to koniec? - spytał Rooker.

Thorne skinął na magnetofon.

- Skończyliśmy z tym. - Nachylił się lekko. - Jakie to uczucie, Gordonie?

- Słucham?

- Kiedy zabija się kogoś dla pieniędzy, kiedy wykonuje się kontrakt. Chcę, żebyś mi powiedział, jakie to uczucie.

Rooker wciąż lepiał skręta, ale wolniej, poźółkłe od nikotyny palce wydawały się mniej zręczne niż dotychczas.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - zapytał.

- Wiemy już, czemu tego nie zrobiłeś, zastanawia mnie zatem, czemu zrobiłeś inne rzeczy. Czy praca dawała ci satysfakcję? Szczyciłeś się tym, co robisz?

Rooker nie odpowiedział.

- Rajcowało cię to?

Rooker uniósł wzrok i zdecydowanie pokręcił głową.

- Człowieka może rajcować tylko to, że wszystko gładko poszło, i zarobienie dzięki temu szmalu. Jeżeli zaczyna cię rajcować sama robota, jeżeli to cię kręci, to masz przechlapane.

Thorne nie mógł się z nim zgodzić. X-Man wyraźnie lubił to, co robił, a mimo to nie popełnił jak dotąd wielu błędów.

- I co wtedy? - spytał Thorne. - Po prostu się wyłączasz? Jedziesz jak na autopilocie...?

- Skupiasz się. Twój umysł staje się pusty... Nie... niezupełni Wszystko staje się zamglone, ale pośrodku tego pojawia się jakby świetlny punkcik. Jest wyrazisty i ostry. Zimny. Rozluźniasz się, zachowujesz spokój i kierujesz się w jego stronę. To twój cel i nie możesz dopuścić, by cokolwiek cię od niego odwiodło...

- Na przykład poczucie winy lub wyrzuty sumienia?

- Pytał mnie pan, więc odpowiadam - rzekł Rooker. - To po prostu praca...

- Mówisz o niej w czasie teraźniejszym.

Rooker włożył zlepionego, gotowego skręta do pudełka. Zamknął je.

- Bo wciąż z tym żyję.

- Wiele osób musi dalej z tym żyć - rzekł Thorne.

Phil Hendricks miał jakieś wykłady w Royal Free, a Thorne umówił się z nim na spotkanie po pracy. Złapał pociąg do Hampstead i wspólnie zjedli posiłek u Chińczyka o rzut kamieniem od szpitala. Później poszli do pubu naprzeciwko i w ciągu kwadransa wypili po parę kufelków. Ani Thorne, ani Hendricks nie mieli zbyt dużej ochoty do rozmowy na trzeźwo...

- Nie pozwól, by Rooker okręcił cię sobie wokół palca - rzekł Hendricks. - Zachowuje się tak, jakby znał prawdziwe mądrości zen. A po prostu zabijał ludzi. Ot i wszystko.

- Nie miałem nastroju na rozmowę z nim i już. - Thorne uśmiechnął się, unosząc kufelek. - Bywają takie dni...

Takie dni zdarzały się każdego miesiąca. Wówczas Thorne, nie wiadomo czemu, nagle przerywał to, co robił, i zaczynał się nad sobą zastanawiać. Nad tym, co robił, i nad ludźmi, z którymi się stykał. Zupełnie jakby po tygodniach bezmyślnej harówki jego nozdrza porażał nagle smród i plugawość brudu, z jakimi miał do czynienia. Albo jakby budził się na moment, by stwierdzić, że prawdziwe życie jest gorsze od najgorszego koszmaru.

Thorne stwierdził, że pod pewnymi względami w ekstremalnych sytuacjach jego życie przypomina życie jego ojca. Niekiedy słyszał samego siebie mówiącego różnym ludziom - zabójcom i ich ofiarom -tak dziwne i niezwykle rzeczy, jakie nieraz wypływały z ust jego ojca.

- Sześć i dziewięć - rzekł Thorne, uśmiechając się do Hendricksa. Ty dosiadasz czy ja ciebie?

Tego rodzaju żarciki zaczęli wymieniać między sobą, odkąd Thorne opowiedział o tym, co zaszło w Brighton. Przerzucali się sprośnymi

tekstami z bingo w rozmowach telefonicznych i SMS-ach przez cały tydzień.

Hendricks wstał, by pójść po następne piwo. Podrapał się po kroczu, uniósł dłoń i stwierdził.

- Dwójka pobrzdaka, puściłem baka...

Thorne rozejrzył się dokoła. Zważywszy, że był wtorkowy wieczór, pub praktycznie pękał w szwach. Znajdował się w pobliżu szpitala, więc zapewne było tu wielu lekarzy. Thorne zdawał sobie sprawę, że niejeden z nich szukał zapewne pretekstu, aby sobie ulżyć...

Zastanawiał się na próżno nad kolejnym zawołaniem w stylu bingo, kiedy Hendricks energicznie postawił przed nim kolejne piwo.

- Wiesz, że po śmierci ciało traci na wadze? - spytał Hendricks.

- Brzmi ciekawie...

Hendricks usiadł, przysunął się z krzesłem bliżej stolika.

- Serio. Po śmierci twoje ciało waży nieco mniej niż za życia.

Thorne wziął do ręki kufelek.

- To trochę drastyczne, nie uważasz? Wątpię, aby przyjęło się jako dieta...

- Milcz, to może dowiesz się czegoś mądrego. Tracisz przeciętnie od Jednego grama w górę. Zazwyczaj jest to wielkość rzędu szesnastu gramów. - Hendricks pokręcił głową, upijając łyk jasnego pełnego. - Studenci. dla których miałem dziś wykład, byli tym równie zainteresowani jak ty

- Mów dalej. Co może być tego przyczyną?

- Nie ma stuprocentowej pewności. Zapewne to powietrze w płucach. Ale... i to jest najciekawsze...

- Może być jeszcze ciekawiej?
- Ludzie uważają, że tyle właśnie wynosi ciężar duszy.

Te słowa wywarły na Thorne duże wrażenia. Pokiwał głową. Czekał na więcej.

- W osiemnastym wieku skonstruowano bardzo czułą wagę, na której wazono śmiertelnie chorych pacjentów tuż przed zgonem i zaraz po tym, jak nastąpił. - Hendricks odczekał chwilę, aż inspektor przyjmie do siebie te słowa, po czym mówił dalej: - Wtedy była to bardzo ważna kwestia - próba określenia ciężaru duszy opuszczającej ludzkie ciało. Starano się ją wyizolować. Podobne eksperymenty przeprowadzano w Ameryce na początku dwudziestego wieku i w Niemczech zaledwie ćwierć wieku temu...

Thorne był zdumiony. Sto lat temu tego typu teorie kojarzyły się z szaleńcami w fikuśnych strojach i bredniami mylnie pojmowanymi jako nauka. Ale dwadzieścia pięć lat temu?

- Przecież to tylko powietrze w płucach, prawda?

- Tak się powszechnie sądzi - rzekł Hendricks. - Chyba że zgodzisz się z teorią o duszy...

Thorne uśmiechnął się ponad kufelkiem piwa.

- Zacząłeś pić, jeszcze zanim skończyłeś dziś pracę czy jak?

Przez kilka chwil popijali w milczeniu. Thorne owi zaczęło lekko szumieć w głowie. Wypił niewiele, więc musiał to być efekt przemęczenia.

W jego umyśle jak w kalejdoskopie zaczęły pojawiać się i znikać rozmaite obrazy. Ciała i wagi. Mężczyźni w perukach i długich płaszczach ważący na szalach różne ciężary Obserwujący przedśmiertne spazmy



rzeżących, konających ludzi i zapisujący wyniki kolejnych pomiarów w swoich notatnikach. Wybałuszone oczy, odrywające wzrok od stronic z zapiskami i kierujące je w górę, ponad sklepienia ich prymitywnych laboratoriów...

Thorne spojrział na Hendricksa. Sądząc po uśmiezku i nieobecnyemu spojrzeniu, jego przyjaciel powrócił do zastanawiania się nad liczbami, rymami i sprośnymi skojarzeniami.

\* \*\*

Tfampstead Heath znajdowało się zaledwie o parę stacji pociągiem od Centish Town West. Szli w stronę dworca, kiedy zadzwoniła komórka Thorne a...

Tom...?

Thorne spojrział na Hendricksa i uniósł brwi.

- Cholera, Carol, nie za późno trochę jak na ciebie?
- Wiem, przepraszam, nie mogłam zasnąć.
- Nie było kolejnych telefonów, prawda?
- Nie, nic z tych rzeczy...

Opodal przejechała ciężarówka i Thorne nie usłyszał słów Carol. Przez chwilę oboje milczeli, czekając, które odezwie się pierwsze.

- Zadzwoniłam, aby sprawdzić, co u ciebie.
- Wszystko gra, Carol...
- To świetnie.
- Wszystko gra. Sprawa utknęła w miejscu od naszej ostatniej rozmowy, ale jakoś to będzie. - Wiedział instynktownie, że to właśnie

chciała wiedzieć. - Przepraszam - powiedział. - Zamierzałem do ciebie zadzwonić.

- Nie wygłupiaj się. Wiem, że jesteś zajęty. Dobra, nie będę już zawracać ci głowy...

- Co u Jacka...?

- Świetnie, Tom. Naprawdę...

Hendricks wskazał na zegarek - za kilka minut odchodził ostatni Pociąg. Thorne pokiwał głową i przyspieszył kroku.

- Może spotkamy się w przyszłym tygodniu - zaproponował.

-Wybierzemy się na lunch. Wpiszę to sobie w koszty...

- Brzmi wspaniale. No to odezwę się w przyszłym tygodniu...

- Uważaj na siebie, Carol. Pozdrowienia od Phila...

Już się rozłączyła.

Na dworcu usiedli na ławce, by poczekać na pociąg w kierunku zachodnim. Na sąsiednim peronie trzech nastolatków krążyło bez celu tę i z powrotem.

- Mówisz, że przeciętnie to będzie jakieś szesnaście gramów?

Hendricks przez chwilę miał niepewną minę, ale zaraz się zmity. gował.

- O kim konkretnie mówimy? O mężczyźnie przeciętnego wzrostu i wagi?

- Tak. W wypadku kobiety ciężar ten wynosi około dwunastu gramów.

To u dziecka byłoby jeszcze mniej, pomyślał Thorne. Jakieś osiem, dziewięć gramów. Bez sensu, prawda? Thorne owi zakręciło się w głowie. Dusza dziecka musiała przecież ważyć więcej, prawda? Dopiero później, z czasem, kiedy stajemy się zepsuci i bezduszni...

Osiem, dziewięć gramów.

Pociąg z turkotem wjechał na stację. Thorne, podnosząc głos, aby Hendricks mógł go usłyszeć, powiedział:

- Jak garstka ryżu. Chryste... nawet mniej. Jak kilka ziarenek...

- Tak...

3 listopada 1986

Jeżeli ktoś jeszcze uśmiechnie się do mnie znacząco, mrugając albo mówiąc coś równie kretyńskiego w rodzaju: „Już niedługo to będzie legalne”, mogę zrobić coś drastycznego. Zupełnie jakby mówili - jak skończysz 16 lat, będziesz mogła uprawiać seks, no wiesz, to całkiem normalne. Wam ochotę schwycić ich za nadgarstki i powiedzieć: Wielkie dzięki, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wuszę teraz tylko znaleźć kogoś dostatecznie zdesperowanego, z odpowiednio dużą torbą, aby mógł mi ją założyć na głowę.

Dlaczego ludziom wydaje się, że jestem zainteresowana?

Dlaczego ludziom stale coś się wydaje?

Od wielu dni się denerwuję, zastanawiam się, jak powiedzieć A i T, że wolałabym raczej umrzeć, niż iść na to przyjęcie, które zaplanowali na jutro. To pierwsze urodziny od czasu mojej rekonwalescencji, od ostatniej operacji. Wydaje się, że to grubsza sprawa, a ja wiem, że oni chcą, żebym się dobrze bawiła i robiła normalne rzeczy, ale nie potrafię sprawić, aby mnie zrozumieli.

Nie chcę żadnych przyjęć. Nie chcę zwracania na siebie uwagi. I całej tej obłudy.

Kiedy się wściekam, oni tylko się do mnie uśmiechają. Przez cały czas traktują mnie pobłażliwie i to sprawia, że mam ochotę krzyknąć i rozwalić

coś w drobny mak. Podczas gdy Mi i reszta dostałyby szlaban czy coś w tym rodzaju, mnie traktuje się protekcyjnie.

Jakbym cała była w bliznach. Jakby w ogóle nie można mnie było ruszać.

Chcę być rugana i karana. Chcę im powiedzieć, żeby wsadzili sobie całe to przyjęcie w tyłki, tylko po to, by zobaczyć, jak w końcu puszczają im nerwy i mówią mi, że impreza jest odwołana. Kiedy zaczynam się wściekać, oni tylko popatrują na siebie nawzajem, a w ich spojrzeniu jest coś, co mnie zabija, jakby uważali, że moje zachowanie jest do przyjęcia i powinno mi się wybaczyć. Jak to się mówi -czarny ubiór, czarny nastrój - jakby to było zupełnie normalne w wypadku przeciętnej, przeraźliwie zeszpeconej nastoletniej dziewczyny.

Kiedy próbuję powiedzieć im, co czuję, jeżeli chodzi o moje urodziny, wiem, że ich zdaniem przeżywam jakąś traumę, dla nich to zrozumiała reakcja po tym wszystkim, co przeszłam, ale naprawdę wcale tak nie myślą.

A ja naprawdę tak myślę.

Na samą myśl o tym przyjęciu, oblewam się zimnym potem i czuję dojmujący ból. Nikt się nie domyśla. Nawet Ali nie ma pojęcia, o czym mówię. Stale mi powtarza, że to będzie ubaw na sto dwa, że niepotrzebnie tak się wygłupiam, że jestem popieprzona, i pyta, czy na imprezę przyjdą jacyś fajni chłopcy.

Wiem, że MiT wydali zapewne fortunę na wynajęcie sali, muzykę i całą resztę, a ja kocham ich na zabój za to, co zrobili. Gdybym przez chwilę sądziła, że dam radę przez to przejść, nie robiłabym takich ceregieli. Wydaje się całkiem miłe patrzeć, jak moje koleżanki i koledzy

tańczą, piją i świetnie się bawią, ale ja wiem doskonale, co się prędzej czy później wydarzy.

Wiem, że w końcu ktoś zechce coś powiedzieć.

Wyobrażałam to sobie od tygodni, odkąd mi o tym powiedziano. Odkąd wyjawili mi, że chcą urządzić dla mnie przyjęcie, i wyraźnie się zmartwili, że odparłam, iż nieźle mnie w ten sposób urządzili. Czasami wyobrażam sobie, że zaczyna mówić mój tato, a kiedy indziej któraś z koleżanek, zazwyczaj Ali. Muzyka cichnie, słychać pisk głośników, gdy przejmują mikrofon od didżeja. A potem zaczyna się przemowa. Mówią coś o odwadze, dorzucają parę marnych dowcipów, a ludzie udają, że są one zabawne. Później, jak to zwykle po przemowie, zapada chwila niezręcznej, nieprzyjemnej ciszy. Zaraz potem wszyscy zaczynają klaskać i się gapić.

Wszyscy się gapią.

A blada połowa mojej twarzy, ta gładka, czerwienieje, aż rumieniec osiąga barwę blizn. Obie połowy mojej twarzy mają teraz ten sam kolor, a ja znów płonę.

Śpiewają mi „Sto lat”, mama i tato obejmują się z całych sił. kilka moich koleżanek płacze, a oni wszyscy patrzą, jak stoję w kręgu światła, pośrodku sali, patrzą na mnie, jakbym miała sześć lat.

Jakbym była kimś szczególnym...

Thorne zamknął pamiętnik i przycisnął do piersi. Znów go otworzył i wyjął zdjęcie, którego używał jako zakładki. Wyobraził ją sobie odchodzącą w mrok posępnej listopadowej nocy.

Muzyka, piosenka zespołu Wham, cichnie poza nią, gdy ona oddala się od sali, gdzie zorganizowano przyjęcie, zmierzając w stronę świateł centrum miasta.

Wciąż nikt nie zauważył, że odeszła. Jej koleżanki tańczą, pokrzykując do siebie nawzajem, podczas gdy ona powoli się wspina.

Woń spalin i odgłos jej butów odbijający się echem od betonowych ścian garażu.

Głos zatroskania, pierwszych kilka zaniepokojonych spojrzeń ze strony jej koleżanek, podczas gdy ona kilometr dalej wychodzi na zewnątrz. Jest zimno. A potem czuje pęd powietrza. Czerń zbliża się do niej z oszałamiającą prędkością. Noc całuje dziewczynkę w oba policzki, kiedy opada ona w dół...

Thorne drgnął nieznacznie, kiedy zadzwonił telefon; nagłe poruszenie sprawiło, że Elvis zeskoczyła z łóżka. Spojrzał na zegarek: 4.35.

Brigstocke nie tracił czasu na zbędne słowa.

- Mamy zgłoszenie o incydencie pod pewnym adresem w Finchley...

Thorne już zerwał się z łóżka.

- U Ryana? - spytał.

- Tak. Mundurowi już tam są, ale w domu panuje spory chaos.

Przynajmniej jedna osoba jest ranna, ale to wszystko, co wiemy.

- Myślisz, że Zarif nasłał X-Mana na Ryana?

- Wiesz tyle co ja, stary.

Thorne zaczął szybko krzątać się po sypialni, zgarniając slipki, skarpety i koszulę.

- Ty też tam jedziesz?

- Tughan się tym zajmuje - odparł Brigstocke - ale ty mieszkasz bliżej niż on, więc pewnie dotrzesz na miejsce szybciej.

- Dzięki, Russell, zadzwonię, jak tam dojadę...

Thorne wszedł do salonu, by stwierdzić, że Hendricks już siedzi na łóżku. Powiedział mu, co się stało.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą? - spytał Hendricks.

Thorne wrócił do kuchni. Wyszedł stamtąd, kręcąc głową i opróżniając szklaneczkę wody.

- Na pewno? Będę ubrany w minutę...

Thorne wziął kurtkę i sprawdził, czy ma w kieszeni klucze.

- Nie ma sensu. Nie wiemy jeszcze, co się właściwie stało - p0. wiedział. - Ale na twoim miejscu już bym się nie kładł.

Ulice były opustoszałe, kiedy Thorne dotarł do ronda Archway i skręcił na północ. Wiedział, że jedzie z nadmierną prędkością, ale czuł się skupiony i opanowany. Widział wyraźnie przed sobą światła stopu, dostrzegał na czas nieliczne auta, które wyjeżdżały z bocznych uliczek. Myślał perspektywicznie.

Wybrał drogę przez Highgate, omijając inną, biegnącą równolegle, która zmusiłaby go do przejazdu pod Mostem Samobójców. Żelazny most pieszy, który dawno temu zastąpił wiadukt Johna Na-sha, oryginalny „Archway”, był ulubionym miejscem ostatniego skoku wielu londyńskich straceńców i desperatów. Thorne starał się, o ile to możliwe, omijać go, bo nie był w stanie pod nim przejeżdżać, nie przygotowując się w duchu na łoskot ciała uderzającego w dach samochodu.

Dziś spieszyło mu się, ale wciąż, mając przed oczyma ośle uszy dziewczęcego pamiętnika, był gotów niemal na wszystko, aby darować sobie przejazd pod mostem.

Jego komórka znów zadzwoniła, kiedy wóz zignorował czerwone światło i znalazł się na North Circular. Thorne spojrział na wyświetlacz: Holland...

- Wiem - powiedział. - Właśnie jadę do domu Ryanów...

- To tam się spotkamy... - zaśmiał się Holland.

Jeśli Zarifowie uderzyli na Ryana, nie sposób stwierdzić, jakie będą reperkusje. Thorne domyślał się, że stery przejmie Stephen, a on nie należał do tych, którzy zapominają i wybaczą. Choć z tego, co miał okazję widzieć Thorne, tamten równie dobrze mógł się okazać papierowym tygrysem, a synem Billy ego i dziedzicem jedynie z nazwy. Wybuchowy charakter to trochę za mało. Mógł zwyczajnie pęknąć, doprowadzając Ryan Properties na skraj bankructwa, dając Zafl' fom okazję do ekspansji. Cały ten bałagan mógł się zacząć

w odpowiedzi na wejście firmy Ryana na ich terytorium. Thorne nie wierzył jednak, że Memet i jego bracia zadaliby sobie tyle trudu, gdyby nie chcieli jakoś na tym skorzystać. Tak czy owak, zapowiadały się większe zmiany. Krwawe zmiany...

Thorne w niecałe piętnaście minut dotarł do Finchley. Energicznie objechał BMW teren zieleni i przypomniał sobie spotkanie z Billym Ryanem dwa tygodnie temu. Nie wiedział, co zastanie, kiedy dotarł do domu Ryana, ale coś mu mówiło, że przez jakiś czas ktoś inny będzie wyprowadzał psa.



To był trzypiętrowy, stojący na uboczu dom, na skraju zieleni. Parkowały przed nim dwa radiowozy, ale nie było widać karetki. Thorne pokazał swoją legitymację konstablowi przy drzwiach i wszedł do środka. Patrzył na ślad krwi ciągnący się na dywanie w holu, kiedy tuż przed nim pojawił się drugi funkcjonariusz.

- Detektyw inspektor Thorne. Gdzie karetka?

- Przyjechała i odjechała, pusta, panie inspektorze. Ofiara już nie żyła, kiedy zjawił się ambulans. Nie żyła już, kiedy wezwano karetkę, jeśli chodzi o ścisłość...

Thorne zastanawiał się, czy Hendricks się ubrał.

- Gdzie?

Funkcjonariusz wskazał ręką drzwi w głębi korytarza. Thorne ruszył w tę stronę, żałując, że nie zabrał z bagażnika lateksowych rękawiczek.

- Zidentyfikowano ofiarę?

- Tak, panie inspektorze. Zgodnie z tym, co powiedziała pani Ryan, nieboszczyk to jej mąż, William John Ryan.

Thorne ostrożnie ominął plamy krwi, które w miarę jak zbliżał się do drzwi, stawały się coraz większe. Drzwi były uchylone. Szturchnął je butem, aby otworzyły się na całą szerokość.

Ryan leżał na podłodze w kuchni, zwinięty w kąciku w kłębek, jedno owłosione przedramię było upstrzone pasmami czerwieni i dziwnie oparte o kredens. Biała koszula, którą miał na sobie, przesiąkła na dobre szkarłatem, ciemne plamy barwiły jedwab na wysokości ramienia i pod pachą. Z rozległej rany ciętej na szyi wciąż jeszcze sączyła się krew fuga pomiędzy terakotowymi płytkami zrobiła się czerwona.

Nie trzeba było mieć dyplomu z medycyny...

Thorne zdał sobie sprawę, że funkcjonariusz stanął w drzwiach obok niego. Spojrzał na niego, a potem znów na Billy ego Ryana.

- Jak to się stało? - spytał.

- To dziwna historia. Ona po prostu weszła do środka i pchnęła go nożem. Wielokrotnie.

Thorne odwrócił się zdezorientowany.

- Żona go zabiła?

- Nie, panie inspektorze. Nie jego żona. - Funkcjonariusz odwrócił się i skinął w stronę drzwi, zza których wyszedł. - Ta druga kobieta...

Thorne minął go i bez słowa pomaszerował w głąb korytarza. Poczul, że brakuje mu tchu, słyszał pod czaszką dziwny dźwięk. Jak brzęczenie os uwięzionych pod odwróconą filizanką. Wiedział, co zaraz zobaczy...

Kiedy Thorne wszedł do pokoju, dwoje funkcjonariuszy, którzy siedzieli na sofie, wstało; twarze mieli posępne. Kobieta zakuta w kajdanki, których jedna obręcz obejmowała jej nadgarstek, a druga przegub policjanta, nie miała innego wyjścia, jak tylko wstać razem z nim. Stojąca z drugiej strony policjantka spojrzała na Thornea, czekając, jej dłoń zaciskała się mocno na łokciu Alison Kelly.

Thorne otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Nie wiedział, co miałby powiedzieć. Alison patrzyła na niego przez sekundę lub dwie.

Był pewien, że nieznacznie skinęła do niego, zanim opuściła głowę.

KWIECIEŃ

NIEŚMIERTELNA SKÓRA

Kilka lat temu, jadąc któregoś ranka do pracy, Thorne przeżył szok, kiedy ujrzał wyłaniający się spośród oparów mgły konny karawan. Zatrzymał samochód i spojrzął na przejeżdżające obok konie. Para buchająca z ich nozdrzy wyglądała jak dym wijący się w górę i przesuwający przez czarne pióra zdobiące łby zwierząt.

Upiorność tej sceny przypomniła się Thorne owi właśnie teraz, kiedy patrzył, jak karawaniarze wysuwają trumnę z niemal identycznego karawanu o przeszklonych burtach. Jeżeli przez kogoś nie chciał być nawiedzany, to właśnie przez Billyego Ryana.

St Pancras był największym cmentarzem w Londynie. Choć nie tak znany, jak Highgate czy Kensal Green, z mniejszą liczbą wystawnych pomników czy sławnych osób, jakie tam spoczywały, robił wrażenie i miał swoistą atmosferę. Thorne patrzył, jak karawaniarze unieśli trumnę na ramiona i powoli zaczęli się oddalać od głównej alei. Rozległy teren przylegający do cmentarza Islington znajdował się na obrzeżach niesławnego Finchley Common, gdzie niegdyś grasowali słynni rozbójnicy, jak Dick Turpin czy Jack Sheppard. Thorne uznał, że to miejsce było jak najbardziej odpowiednie, aby miały w nim zgnieć doczesne szczątki Billy ego Ryana.

Karawan nie mógł pojechać dalej. Przepięknie utrzymane klomby w pobliżu wejścia na cmentarz szybko ustępowały miejsca krzakom i zaroślom, przez które gdzieniegdzie nie dałoby się przebić. Starannie zadbane rabatki pełne żonkili, tulipanów i bratków zostały zastąpione

Przez pokrzywy, jeżyny i prawdziwą dżunglę bluszczu pełzającego Wzdłuż wejść do krypt i grobowców i płożącego się u stóp kamiennych uśmiechniętych aniołów z rozpostartymi skrzydłami.

- Przepraszam pana...

Thorne zszedł na bok, by przepuścić jednego z przedsiębiorców pogrzebowych. On i trzej inni szli szybkim krokiem, by dołączyć do swoich kolegów. Wszyscy nieśli olbrzymie krzyże, wieńce i aranżacje kwiatowe z napisami „Tacie” albo „Dla Billyego”. Wiele innych wykładano właśnie wzdłuż ścieżki. Wielki dzień dla pobliskiej kwiaciarni...

Thorne zerknął na tablicę informacyjną przy wejściu, kiedy procesja weszła przez główną bramę. Na ten ranek zaplanowano jeszcze pół tuzina innych pogrzebów, w tym trzy niemowląt; przy informacji o nich ktoś odręcznie dopisał: „Bez żałobników”.

Pogrzeb Ryana był z całą pewnością największym wydarzeniem dnia.

Dla rodziny Ryanów i im podobnych czasy się zmieniły. Wciąż można było ciągnąć zyski z hazardu i prostytucji, ale największe pieniądze przynosiły narkotyki. Był to pod każdym względem brudny interes, a stał się jeszcze brudniejszy, odkąd na tutejsze terytorium wkroczyli cudzoziemcy, usiłując uszczknąć coś dla siebie. Wszelkie zasady przestały obowiązywać i choć czasy, kiedy na East Endzie można było zostawić drzwi do mieszkania niezamknięte i kiedy zabijano się „tylko we własnym gronie”, należały już do przeszłości, niektóre rzeczy pozostały niezmienione.

Ci ludzie wciąż kochali swoje matki i staroświeckie wystawne pogrzeby: z kanapkami, ciepłym piwem i dobrze znanymi historyjkami o dawnych czasach, kiedy jadło się owsiankę i z trudem zarabiano na chleb.

Mech pod stopami był wilgotny i sprężysty, kiedy kondukt zmierzał w stronę cmentarza. Przy grobie miała być obecna jedynie najbliższa rodzina, przyjaciele i niektórzy oficerowie policji. Thorne spojrzął na ludzi, z którymi spędził większą część tego dnia, gdy pociągając nosem, wygłaszali kolejne mowy w kościele, wolnym krokiem przechodzili przez Finchley i szeptali między sobą, że Billyemu na pewno spodobałaby się ta uroczystość.

Thorne obserwował to wszystko z wnętrza czarnego nieoznakowanego rovera stojącego na samym końcu rzędu pojazdów. Patrzył, przechodnie pochylali głowy lub uchylali kapelusza, nie wiedząc właściwie, komu oddają w ten sposób szacunek. Thorne a to bawiło. Bądź co bądź, szacunek był bardzo ważny dla niektórych biznesmenów...

Ci, co nieśli ciało Billyego Ryana, szli powoli, z wyraźnym trudem wzdłuż wąskiej ścieżki, usiłując zachować choćby pozory godności, ale i równowagę zarazem, przestępując nad poskręcanyimi korzeniami i omijając przekrzywione nagrobki. Jeden z nich szedł dwa kroki przed pozostałymi, aby odciągnąć gałęzie, które mogłyby zahaczyć o trumnę. Żałobnicy szli za nimi gęsiego.

Thorne nie był jedynym policjantem, który zjawił się na tej ceremonii. Kilka kroków przed nim szedł Tughan i paru agentów z S07, rozsianych to tu, to tam. Thorne rozpoznał wiele spośród obecnych tu osób. Ich twarze były nieco bardziej zajadłe, a oczy bardziej lodowate. Zastanawiał się, ile z nich miało broń i ile czasu upłynie, nim karawaniarze będą dźwigać ich

ciała do kolejnych grobów. Zastanawiał się, czy zabójca Musluma i Hani Izzigilów znajdował się gdzieś obok niego.

Doszedł do wniosku, że poza pastorem i facetami w czarnych kapeluszach prawdopodobnie nie było tu mężczyzny, który nie byłby poszukiwany albo przynajmniej znany policji. Choć, prawdę mówiąc, nawet pastor wyglądał dość podejrzanie...

Skręcili w bok i dotarli do miejsca, gdzie ścieżka, rozszerzając się, wiodła ku świeżo przygotowanej mogile. Dół obłożono zielonym suknem mocno kontrastującym z barwą gliny. Miejsce było całkiem spore, na pewno drogie, można tu było wznieść przyzwoity marmurowy pomnik. Opodal czekały kolejne wieńce i kwiaty. Widać było inne świeże mogiły, a nieco dalej trochę starsze groby z lśniącymi czarnymi nagrobkami, z płytami zmurszałymi i naruszonymi przez deszcz, śnieg oraz wiatr. Złoczone, przesadnie pyszne epitafia rzucały się w oczy w porównaniu z wyblakłymi, niewyraźnymi imionami pochodzącymi z innej epoki: Maud, Florence, Septimus...

Pastor rozpoczął posługę:

- O, Boże...

W tych dwóch słowach podsumował to, co obecnie czuł Thorne. Po drugiej stronie grobu Stephen Ryan trzymał matkę za rękę. Oczy miał przekrwione, choć Thorne nie potrafił stwierdzić, czy była to wina kokainy, czy raczej wylanych łez. Tamten spojrzał na Thorne a z przejęciem, jednak inspektor nie potrafił odczytać, co się w nich kryło.

Dziękuję za przybycie...

Co ja mam teraz robić...?

Co wy tu, kurwa, robicie?

Szykujcie się...

Thorne przesunął wzrok z syna na matkę. Zona Ryana wpatrywała się, nie mrugając, w wieko trumny. Thorne nie miał okazji jej poznać.

O ile dobrze pamiętał to, co usłyszał od Tughana, wielu ogrodników i osobistych trenerów miało tę przyjemność. Botoks i sztuczne cycki z pewnością spełniały swoje zadanie, a teraz będzie mieć o wiele więcej pieniędzy, by nadal pozostawać atrakcyjna. Kiedy uniosła wzrok, by spojrzeć na niego, a potem na drzewa poza nim, Thorne zauważył, że jej oczy były ciemne i suche.

Pastor mówił dalej, od czasu do czasu jego słowa zagłuszało kra kanie wron albo ryk przelatującego samolotu.

Thorne zastanawiał się, czy Billy Ryan nie utracił swych bokserskich umiejętności, bo regularnie ćwiczył na obu żonach. To całkiem prawdopodobne. Tak czy owak, skurwiel w końcu zapłacił za wszystko, co zrobił Alison Kelly.

Ale czy naprawdę zapłacił za Jessicę Ciarke?

Thorne spojrzał na wdowę i dziedzica, gdy trumnę powoli opuszczano do grobu. Zona Ryana wyglądała, jakby chciała się upewnić, że on już nigdy stamtąd nie wyjdzie. Stephen zaczął pochlipywać, a Thorne zrozumiał, że to on trzymał się matki, poszukując w niej wsparcia, a nie na odwrót.

Kiedy kolejni przestępcy zaczęli podchodzić, by rzucić na wieko trumny garść ziemi, Thorne uznał, że już czas, by ruszyć w przeciwną stronę. Odwrócił się i pomaszerował wolno nierówną wąską ścieżką w kierunku głównej alei. Po drodze czytał inskrypcje na nagrobkach, tak jak czasem nie można się oprzeć, by idąc ulicą, nie zajrzeć do wnętrza domu,

gdzie pali się światło. Wiele z osób spoczywających w tej ziemi miało „Zasnąć w Panu”, co wydawało się Thorne owi dość dzieciennym zwrotem. Choć może to całkiem zrozumiałe, że ile ciał, tyle eufemizmów. „Odszedł na zawsze” czy „Przeszedł do lepszego świata” brzmiało o niebo lepiej niż „Został potrącony przez ciężarówkę” albo „wpadł do szybu windy”. A już na pewno lepiej niż „W holu zadano mu kilka ran kłutych i parę następnych w kuchni”.

Thorne wyszedł na szeroką drogę prowadzącą do bramy cmentarza. Zatrzymał się przy karawanie, by pogłaskać jednego z koni po pysku. Zwierzę zadygotało, zarżało, a potem zostawiło na asfalcie parujące odchody...

Jedno złe wspomnienie zostało skutecznie wyegzorcyzmowane...

Przechodząc wzdłuż rzędu aut, Thorne mijał całą gromadę poważnie wyglądających typów w długich czarnych płaszczach. Wielu spośród nich, jak wiedział, mogłoby napisać zajmujące pamiętniki o charakterze kryminalnym, które z miejsca stałyby się bestsellerami. Na pewno było dla nich zaszczytem móc uczestniczyć w pogrzebie Bil-ly ego. Ochrona w połączeniu z gwiazdkami oper mydlanych i pomniejszych sportowych sław stanowiła niezbędny element tradycyjnego gangsterskiego pogrzebu.

Thorne przystanął obok dużego metalowego kosza na śmieci - wysypywały się z niego plastikowe worki, rośliny w doniczkach i zwiędłe kwiaty. O kosz opierał się ktoś, kogo Thorne nie spodziewał się tu ujrzeć.

- Co pana tu sprowadza? - spytał.

Jan Ciarękę ścisnął w dłoniach duży wieniec z białych lilii. Miał na sobie dżinsy i granatową kurtkę nałożoną na brązową koszulkę polo. Najwyraźniej pytanie Thorne a nieźle go rozbawiło.



- Właściwie to nic - odparł. - Ale na pogrzebie Kevina Kelly ego też byłem. Przynajmniej tyle mogłem zrobić...

Thorne zaczął się zastanawiać, czy Ciarke mógł wiedzieć o udziale Ryana w tym, co spotkało jego córkę. Odegnął od siebie tę myśl i zaczął rozważać, czy powinien mu o tym powiedzieć. Tę myśl odegnął od siebie jeszcze szybciej. Gdyby wcześniej trzymał język za zębami, nie musiałby dziś w ogóle przychodzić na cmentarz.

Spojrzał w kierunku bramy. Ogrodnik przechodził wolno wzdłuż krawędzi klombu. Jedną ręką manipulował elektrycznym sekatorem drugą przyciskał do ucha komórkę.

Kiedy łan Ciarke się odezwał, mówił tak cicho i beznamiętnie, że do Thorne a dopiero po chwili dotarło, iż tamten nie mówi do siebie. Choć, kiedy zaczął go słuchać, doszedł do wniosku, że to całkiem możliwe.

- Pierwsze dni po poparzeniu są najgorsze. Nie tylko pod względem. .. emocjonalnym, ale wtedy zachodzą największe szkody. Rozwój obrażeń może być dziesięć razy gorszy niż samo poparzenie. Wiedział pan o tym? To właśnie on powoduje powstawanie blizn...

- Po tym, co się stało, nie mogła otworzyć oczu ani ust. Nie mogła gryźć. Krzyczała przez zęby... nigdy nie słyszałem takiego dźwięku. Jakby przesączała się przez to, co zostało z jej skóry. W pierwszych dniach sporo krzyczała.

- Musiała nosić maskę, taką przezroczystą, aby utrzymywała stały nacisk na uszkodzoną skórę. Chodzi o to, aby zredukować ostateczną wielkość blizn. Aby je nieco ograniczyć. Nosila ten szajs przez ponad rok. Ponad rok miała to na twarzy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. W końcu okazało się, że to wszystko na nic, bo maska nie została

odpowiednio dopasowana i doszło do poważnych uszkodzeń. Nie mogła się poruszyć, rozumie pan? Nie wolno jej było nawet drgnąć, podczas gdy nakładali jej na twarz wazelinę i tę galaretowatą substancję. Nie mogła poruszyć ani jednym mięśniem, aż to cholerstwo stężało...

- Powinienem był kazać im, aby dali jej coś na uśmierzenie bólu. Trzeba było tak zrobić. Ale nie chciałem, by przechodziła kolejną operację. Rozumie pan? Poddano ją do tamtej pory już sześciu przeszczepom skóry i dwudziestu pięciu transfuzjom krwi. Niektórzy z młodych lekarzy zaczęli nawet sobie żartować, wie pan? Mówili, że spędzała w cholernym szpitalu więcej czasu niż oni.

- Ta maska, o której wspomniałem, maseczka naciskowa... Teraz robią takie rzeczy z użyciem lasera. Są w stanie dokonać laserowego skanu całej twarzy i maska zawsze jest dopasowana. Ani lekarze, ani rodzice niczego nie mogą spać. Leczenie oparzeń wygląda dziś inaczej niż kiedyś. Wszystko się zmieniło. Postęp. Dziś używa się hiper-barycznej terapii tlenowej, aby w pierwszych dniach po poparzeniu zminimalizować szkody dla organizmu. Przez cały czas wprowadzane są jakieś innowacje, nowe wynalazki, prawdziwe cuda techniki: mikro-dermabrazja, laserowa odnowa skóry, peeling chemiczny i w ogóle. W internecie zaznaczyłem na zakładkach niektóre strony branżowe. Informacje z dziedziny medycyny, nowości na rynku, grupy dyskusyjne, do których można się przyłączyć. W internecie można znaleźć wszystko na ten temat, jeżeli jest się dostatecznie zdeterminowanym i zainteresowanym danym tematem, wszystko zależy od nastawienia i czasu, jaki można temu poświęcić. Jeżeli chodzi o mnie, jestem praktycznie ekspertem w kwestii nowinek z dziedziny chirurgii i kosmetyki plastycznej.

- Teraz poparzenie to nic wielkiego...

- I przeszczepy są inne, zdumiewające, niesamowite. Skórę przenosi się całymi płatami i na tym właśnie polega różnica. Dawniej robiło się to kawałek po kawałku. Rozumie pan, o czym mówię? Pobierano skórę do przeszczepów z różnych części ciała i praktycznie nie sposób było powstrzymać jej kurczenia się. Mam na myśli ściąganie się skóry i bliznowacenie. Teraz mają sztuczną skórę, której mogą używać do tymczasowych przeszczepów. To zdumiewający materiał, wie pan? Robi się go ze skóry rekina i silikonu. Dawniej... Boże, mówię, jakby to było ze sto lat temu... Dawniej używano skóry nieboszczyków. Człowieka aż przeszywa dreszcz, no nie? Pobierano skórę od zmarłych.

- Skóra ze zwłok. Na szyi mojej córki. I na jej twarzy...

- Dziś umieją nawet hodować skórę w laboratoriach. Potrafią ją hodować. I jest prawie taka sama jak ta, która pokrywa nasze ciała. Jest gruba jak skóra ludzka, to prawdziwy krok naprzód. Nazywają ją „nieśmiertelną skórą”. Nieśmiertelną, bo jej komórki nigdy nie przestają rosnać. Nigdy. Czy wie pan, że w naturze jest tylko jedna komórka ludzka, której nieśmiertelność jest zjawiskiem zgoła normalnym? Domyśla się pan jaka? To komórka rakowa...

- A teraz mają nieśmiertelną skórę...

W końcu przerwał.

Thorne postąpił pół kroku w jego stronę.

- lanie...

- Żli faceci mają blizny. Potwory i zabójcy z filmów i seriali. Dajmy na to, pieprzony upiór w operze, Joker czy Freddie Krueger.

- Może dajmy już temu spokój - rzekł Thorne.

Jeżeli Ciarke usłyszał słowa Thorne a, postanowił je zignorować.

- To jak noszenie maski, której nigdy nie możesz zdjąć - powiedział. - Jess napisała o tym w pamiętniku.

- Przeczytałem go...

Ciarke uniósł wzrok, oczy miał błyszczące, głos mu się łamał.

- A to, co napisała o przyjęciu? Pamięta pan, co napisała ostatniego dnia o przemowie, którą ktoś miał wygłaszać na jej urodzinach? Tak właśnie zamierzałem zrobić. Dokładnie tak. Chciałem nawet okraszyć mowę paroma durnymi żartami...

Thorne owi trudno było znieść spojrzenie mężczyzny, jak tamtego dnia w domu w Wandsworth Common. Powoli opuścił wzrok. Wlepiając go w ziemię, przez moment zobaczył jeszcze dłonie zaciśnięte na ozdobnym wieńcu. Kłykcie były białe jak płatki lilii, które opadły na ziemię u stóp lana Clarkea.

- Myślę, że jesteś idiotą, Tom.

- Zdrówko. Dzięki za to...

- Myślę, że jesteś pieprzonym idiotą...

- Jezu, Carol...

Szok, jaki przeżył, słysząc, że Chamberlain przeklina, co było dość niecodziennym wydarzeniem, nieco złagodził charakter samego komentarza. Równocześnie rozmowa między nimi przestała się kleić i atmosfera zrobiła się dość ciężka. Po pół minucie darcia na kawałki podkładek pod piwo i unikania kontaktu wzrokowego Thorne uniósł pustą szklaneczkę. Nie odrywając wzroku od potylicy nieznanego, Chamberlain pokiwała głową. Przesunęła po blacie pusty kieliszek do wina.

Thorne podszedł do baru i zamówił kufelek guinnessa oraz kieliszek czerwonego wina.

Byli w Angel przy St Giles High Street. Pub, przyjemnie zaciszny i staroświecki, stał w miejscu, które kilkaset lat temu przecinała droga z więzienia Newgate na szafot w Tyburn. Ostatnia droga skazańca wiodła wzdłuż obecnej Oxford Street i zwyczajowo zatrzymywano się w karczmie na ostatniego drinka. Napitek był darmowy, a powszechnie żartowano, że klient zapłaci za niego „w drodze powrotnej”.

Thorne podał barmanowi dziesięciofuntowy banknot, wiedząc, że otrzyma niedużo reszty. Koncepcja darmowych drinków należała do minionej epoki, jak czarna ospa czy ekipy werbowników. W dzisiejszych czasach mogłeś się wczłgać do pubu na czworakach, mając przed sobą dwie minuty życia, i musiałbyś mieć wiele szczęścia, aby natrafić choćby na miseczkę darmowych orzeszków.

Ci, którzy znali historię pubu, wiedzieli również o zwyczaju, dzięki któremu został rozpropagowany zwrot uwielbiany pospółu przez karczmarzy, jak i bywalców ich lokali. Thorne podszedł do stolika i postawił drinki.

- Jednego na drogę - powiedział.

Chamberlain zrozumiała aluzję. Jej uśmiech wyrażał zarazem po-  
błażanie i dezaprobatę.

- Jasne, a oboje dobrze wiemy, kto zadynda, zgadza się?

Twarz Thorne a, jeśli nie liczyć wąsów z piany, była istną maską niewinności.

- Doprawdy? A to dlaczego?

Wiedział doskonale dlaczego, ale mimo to chciał podjąć pojedynek słowny. Nie był już pewien, dlaczego powiedział Carol Chamberlain, co wyjawiał Alison Kelly. Właściwie jeszcze na długo przed tym wieczorem postanowił zwierzyć się Carol. Na długo przed tym, jak Alison zabiła Billyego Ryana. Nie mógł winić za to piwa...

- Co się tyczy seksu, jestem w stanie zrozumieć - rzekła.

- No jasne...

- Bądź co bądź, jesteś facetem.

- Tak, jestem bezmyślnym, tępym prymitywem będącym bezradnym niewolnikiem własnego wacka.

Chamberlain lekko się zaczerwieniła.

- Ty to powiedziałaś.

Rumieniec na jej twarzy sprawił, że Thorne się uśmiechnął.

- Nie powiedziałem jej dlatego, że się z nią przespałem - odparł.

- Wobec tego czemu? - Sama odpowiedziała na to pytanie. - Bo jesteś idiotą...

- Nie zaczynajmy znowu...

Pokręciła głową z rozdrażnieniem i wypła łyk czerwonego wina.

Thorne zastanawiał się, czy to, co widziała lub miała okazję usłyszeć, kiedy jeszcze pracowała w policji, także sprawiało, że się czerwieniła. Może była to po prostu reakcja w pewnych sytuacjach tłumiona, jak współczucie u bukmachera czy odruch wymiotny u dziwki. Na pewno nie była tak światowa, jak mogłoby się wydawać.

Jesteś wściekła, bo to nie byłaś ty - rzekł Thorne. - Bo nie przyłożyłaś do tego ręki.

- Wkurza mnie wiele rzeczy.

Te słowa nie zachęcały do drażenia tego tematu. Thorne nabrał wody w usta, czekając na to, co powie Carol.

- Ale masz rację - ciągnęła. - Wiedziałam, że nigdy nie przyłożę ręki do upadku Ryana. Niezależnie, jak bardzo próbowałeś mnie w to wciągnąć...

- Carol, ja nigdy...

Uciszyła jego protest lekkim uniesieniem dłoni.

- To, że wiedziałam, że się do tego nie przyczynię, nie powstrzymało mnie od wyobrażania sobie pewnych... scenariuszy wydarzeń.

- Masz na myśli śmierć Ryana?

- Nie tylko. Myślałam o tym, żeby osobiście go wykończyć. Często się nad tym zastanawiałam.

Thorne uniósł brwi.

- I jakie to było uczucie?

- Wspaniałe.

- Masz na myśli sposób, w jaki to robiłaś, czy towarzyszące temu uczucie?

- Jedno i drugie.

- A rzeczywistość nie dorównała twojej wyobraźni...

Wyciągnęła z rękawa chustkę i zaczęła wycierać krąg pozostawiony na stoliku przez kieliszek po winie.

- Śmierć Ryana to nie to, o co mi chodziło.

Thorne zastanawiał się nad tym samym, rozpatrując tę kwestię z różnych perspektyw i w różnym świetle.

- Nie uważasz, że zapłacił za to, co zrobił?

Chamberlain milczała.

- Zrozum, prawo mogło się zająć tą sprawą i może Tughanowi lub komuś takiemu jak on by się poszczęściło, i kto wie, możliwe, że za pięć, sześć lat Billy Ryan krążyłby po spacerniaku w Belmarsh czy Parkhurst. Nie twierdzę, że to, co się stało, było właściwe ani że dostał to, na co zasłużył. Skąd, u licha, mogłem wiedzieć... co miałem z tym wspólnego? Jakoś nie poczuwam się do winy za jego śmierć.

Błysk, jaki pojawił się w oczach Chamberlain, kiedy mówiła o zabiciu Billyego Ryana, zniknął. Zastąpiło go coś cieplejszego i bardziej stłumionego.

- Ja też jakoś nie załamuję rąk z tego powodu - rzekła.

Thorne uniósł szklaneczkę.

- Nie zapominajmy o istotnej kwestii, jaką jest zaoszczędzenie pieniędzy podatników. Naszych pieniędzy. Albo to, że przepłacani adwokaci będą musieli poczekać dłużej na ekskluzywne bryki czy luksusowe wakacje...

Chamberlain nie odwzajemniła jego uśmiechu.

- To nie w porządku, bo skoro Ryan nie żyje, już go nie dorwiemy, prawda? Skąd będziemy wiedzieć, komu wtedy zapłacił? Skąd mamy się dowiedzieć, kto podpalił Jessicę?

Piwo w ustach Thorne a stało się nagle gorzkie jak żółć. Przełknął je szybko, choć z trudem przeszło mu przez gardło. Poczuł, że zaległo mu w żołądku, czarne i ciężkie jak powątpiewanie. Jak wyrzuty su mienia.

- Dlaczego jej powiedziałaś, Tom? - spytała Chamberlain. - Skoro nie były to tylko pogaduszki po seksie?

Thorne pokręcił głową.



- Właściwie to nie mam pojęcia. - I naprawdę tak było. - Po prostu uważałem, że powinna to wiedzieć.

- Uważałeś, że powinna to wiedzieć czy że powinienes jej powiedzieć? Wtedy to mogło się wydawać jednym i tym samym.

- Mówiąc jej to, lepiej się poczułem. Nie zamierzam udawać, że było inaczej.

- A teraz?

Teraz od wtedy dzieliła istna przepaść, choć minęły zaledwie trzy tygodnie, odkąd on i Alison przespali się ze sobą. Dziesięć dni, odkąd dźgnęła Billy ego Ryana nożem. Teraz wydawało się nieskończenie niepewne i pogmatwane. Wtedy wszystko wydawało się proste i oczywiste. Wtedy były jedynie światło i cień, prosty wybór między bolesną, okrutną wiedzą a niewiedzą, która nie sprawiała wrażenia błogiej czy spokojnej.

Thorne zamrugął, zanim odpowiedział na pytanie Chamberlain, przypominając sobie inskrypcje na nagrobku, który mijął na cmentarzu podczas pogrzebu Billy ego Ryana parę godzin wcześniej.

„Za życia i w śmierci, w ciemnościach i w świetle. Wszyscy jesteśmy pod opieką Boga.

To powinno być proste. Życie to światło, a śmierć ciemność. Jednak dla niektórych dusz sytuacja zawsze była nieco bardziej złożona. Nie ulegało wątpliwości, że życie Ryana toczyło się w mroku. Poprzez mrok i dla niego. Teraz jednak Thorne nie był pewien, gdzie znajdował się on sam...

- Teraz? Z całego serca żałuję, że nie potrafiłem utrzymać języka za zębami - odparł. - Nie przez wzgląd na Ryana...

- Tylko na nią.
- Czeka ją długa odsiadka.
- Sąd będzie musiał uwzględnić wiele kwestii...

Thorne pokręcił głową.

- Posiedzi długo. A nie jest twarda. Wiesz o tym? Tylko taka się wydaje. Podjęła decyzję i zrobiła to, co zrobiła. Wybrała więzienie.

- Tak jak nasz przyjaciel Gordon Rooker - dodała Chamberlain. -Może nie umiemy sprawić, aby te miejsca budziły dostatecznie silną grozę.

- Taaa. - To była odruchowa, nic nieznacząca odpowiedź. - Alison będzie tam dostatecznie ciężko.

Chamberlain odstawiła kieliszek i wychyliła się do przodu.

- Ona wybrała więzienie. Sam tak powiedziałeś. Nie wcisnąłeś jej broni do ręki, Tom...

- W pewnym sensie to zrobiłem. - Upił łyk guinnessa. Nie smakował ani trochę lepiej. - Nikt ci nie mówił o tym, że wiedza bywa niebezpieczna? - Poczł lekki szumek w głowie. Ciężej mu się oddychało. Myślał: wiedza jest jak nóż...

- Chyba tak - odparła Chamberlain. - Pewnie jakiś mądrała...

Zgorzkniała mina, do której idealnie pasował łagodny akcent z Yorkshire, sprawiła, że Thorne wybuchnął śmiechem. W chmurze mroku nad ich głowami, która wysysała z nich radość, powstała nagle wyrwa.

- A jak twoja zamknięta sprawa? Tego zamordowanego barmana?

- To nie był barman, tyle że zabito go na parkingu przy pubie. Sprawa obrosła soplami. Ale przyznam szczerze, że nie przyłożyłam się do niej za bardzo.

- Może powinnaś.

- Może...

Thorne dotknął szklaneczką jej dłoni.

- Billy Ryan. Jessica Clarke. Musisz sobie to wreszcie odpuścić.

Aż wybałuszyła oczy.

- Odpuścić. No jasne. A nazwiska Bishop, Palmer i Foley nic dla ciebie nie znaczą...

Dłoń Thornea dotknęła jego szorstkiej bródki. Pomyślał o sprawach, o których wspomniała Chamberlain. O śledztwach, które odcisnęły na nim piętno. Rany były głębokie, zawsze świeże, zawsze bolące. Jak to określiła pewna piętnastolatka? Jak maska, której nigdy nie możesz zdjąć.

- Wiesz co? - rzekł po chwili. - Chyba wolałem, kiedy mnie obrażałaś...

Stacja metra przy Tottenham Court Road była im obojgu po drodze. Thorne miał pojechać stamtąd linią północną do Kentish Town. Chamberlain mogła się przesiąść przy Oxford Circus, dwa przystanki od Victoria Station, i złapać ostatni pociąg do Worthing.

Minęli kościół St Giles in the Field. Założono go na początku XII wieku jako szpital dla trędowatych, a archiwa parafii zawierały nazwiska Miliona, Marvella i Garricka. Na cmentarzu za ogrodzeniem z kutego żelaza spoczywało wielu takich, którzy skończyli na szubienicy w Tyburn i których ostatni łyk alkoholu kosztował zdecydowanie mniej niż tego wieczoru Thorne a i Chamberlain.

Przeszli przez jezdnię przy Denmark Street i skręcili w stronę Charing Cross Road. Na północ od nich horyzont zdominowany był przez Centre Point. Biurowiec, niegdyś uznawany za niebrzydki i, co dziwniejsze, wysoki, stał już od jakiegoś czasu kompletnie pusty. Jak na ironię nazwano

go na pamiątkę przytułku dla bezdomnych, który niegdyś się tu znajdował. Budynek wznosił się ponad obszarem, gdzie sto pięćdziesiąt lat wcześniej rozciągały się niesławne zatłoczone londyńskie slamsy. Rookery było labiryntem brudnych, cuchnących zaułków, ciemnych uliczek i placów, gdzie ubodzy żyli w nędzy i ścisku i gdzie zbrodnia była czymś tak nieodłącznym, jak choroby. Rozległa sieć „złodziejskich kuchni” i „melin” sprawiała, że w owych czasach policjanci nawet nie próbowali zapuszczać się w te rejony.

Thorne, idąc kolejnymi ulicami, wspominał historię tego miejsca. Przez ponad wiek było ono w rozkwicie, o ile można w ogóle użyć takiego określenia - ale zostało w połowie XIX wieku wyburzone, by zrobić miejsce temu, co dziś znane jest jako New Oxford Street. Thorne nie pamiętał dokładnej daty.

- Ja i ty często rozmawiamy o historii - rzekła Chamberlain.

- I nie zawsze o przeszłości tak odległej czy mglistej - zaśmiał się Thorne.

- Jak sądzisz dlaczego?

Thorne zamyślił się przez chwilę.

- Może dlatego, że możemy się z niej czegoś nauczyć.

- Możemy?

- Oczywiście. Choć nie jestem pewien, czy faktycznie czegokolwiek się uczymy. Jakoś nie uważam, aby cokolwiek diametralnie się zmieniło.

Chamberlain powiedziała coś, ale jej głos został zagłuszony przez jęk syreny, kiedy policyjny radiowóz minął ich i pomknął w stronę Leicester Square. Thorne pokręcił głową. Chamberlain zaczęła, aż hałas ucichnie, i powtórzyła:

- Może to dobry znak.

Zaglądnąjąc przez szyby wystawowe do kafejek internetowych i sklepów komputerowych, Thorne oczyma duszy widział nieodmiennie rynsztoki, z których wylewały się strugi nieczystości, i rodziny żyjące w ścisku w piwnicach i suterrenach. Widział mężczyzn i kobiety zmuszanych do prostytucji i złodziejskiego fachu, aby mogli zapewnić sobie standard życia, który dziś określić można by jedynie mianem nieludzkiego.

- Czytałaś Olivera Twista? - spytał Thorne. - Dickens opisywał niedole życia właśnie w Rookery i innych miejscach jak to, być może przydając nieco romantycznego szlifów postaciom pokroju Billa Sikesa, Fagina i jego bandy nieletnich złodziejasków...

Chamberlain pokręciła głową.

- Widziałam tylko musical. Szkoda, prawda?

Thorne postąpił parę kroków naprzód, zanim postanowił wyznać:

- Uczestniczyłem w wystawieniu Oliver! w szkole. Byłem Art-fulem Dodgerem...

Chamberlain ujęła go za rękę.

- Zapłaciłabym sownie, aby tylko móc to zobaczyć.

- Przeplaciłabyś...

Thorne nagle odzyskał dobry nastrój. Zrobił zwinny obrót i uklonił się zamaszyście, jakby naśladowując postać z musicalu, nie zważając na to, że prawdziwe postacie, którymi inspirował się autor, miały na sumieniu gorsze rzeczy niż kradzież paru sakiewek z pieniędzmi.

- Pamiętasz jakieś piosenki? - spytała Chamberlain. Zaczęła nucić Consider Yourself, ale Thorne nie przyłączył się do niej.

- Pamiętam, że miałem wyświechtany cylinder, który można było spłaszczyć, uderzając w denko, i wyprostować z powrotem, stukając w niego od środka. Pamiętam, jak niania pomachała do mnie pierwszego wieczoru, gdy wyszedłem na scenę. Pamiętam, że przez cały czas próbowałem zbajerować dziewczynę z szóstej klasy, która grała Nancy

Skręcili w stronę wejścia do metra. Zeszli po schodach i skierowali się w stronę bramek.

- No jasne - rzekła Chamberlain. - Już wtedy byłeś bezwolnym niewolnikiem swojego wacka...

\* \*\*

Po powrocie do mieszkania Thorne usiadł przy stole w kuchni, czekając, aż zagotuje się woda. Zadzwoił do ojca, ale numer był ciągle zajęty...

Wciąż przyzwyczajał się do tego, że znów ma całe mieszkanie tylko dla siebie. W zeszłym tygodniu Hendricks wrócił do siebie i, szczerze mówiąc, Thorne owi trochę brakowało przyjaciela. Dobrze było mieć odrobinę spokoju i ciszy, no i, rzecz jasna, nie tęsknił za widokiem walających się wszędzie ciuchów ani za uszczypliwymi przytykami na temat jego gustu muzycznego i kwestii doboru płyt.

Miło było odzyskać przynajmniej odrobinę prywatności. Choć Hendricks nie miał takich zahamowań, Thorne czuł się cokolwiek niezręcznie, pokazując się przyjacielowi niekompletnie ubrany. Wiedział, że to głupie z jego strony, ale niekiedy przejście z łazienki do sypialni wydawało mu się wyjątkowo uciążliwe.

Wszedł z herbatą do pokoju. Włączył muzykę i zanim usiadł, sięgnął po leżącą na jednej z półek mocno szczytaną encyklopedię Londynu.

Dzielnice ruder w St Giles wyburzono w 1847 roku.

Wypił herbatę i wsłuchał się w głos Laury Cantrell i odgłosy ruchu ulicznego pomiędzy kolejnymi utworami. Siedział i czytał...

Podczas gdy kolejni królowie o imieniu Jerzy przychodzili i odchodzili, podczas gdy rewolucja odmieniała świat nie do poznania, nędza i zbrodnia w najgorszych dzielnicach miasta sięgnęły niebotycznych wyżyn. Ubodzy i chorzy okradali się i mordowali wzajemnie, sprzedawali własne dzieci, aby móc kupić butelkę dżinu, podczas gdy prawo w bardziej lub mniej zawołowany sposób pozostawiło ich na łaskę losu.

Dwa stulecia później pojawiły się inne używki. Pistolet zastąpił drewnianą pałkę i brzytwę do podrzynania gardeł. Dzielnice ruder określono mianem osiedli mieszkaniowych. Thorne przypomniał sobie, co powiedziała Chamberlain, kiedy ucichło wreszcie wycie syreny.

To z pewnością nie był dobry znak.

- To jak - zaczął Rooker. - Jaki poziom ochrony otrzymam?

Przeniósł wzrok z Thorne a na Hollanda i z powrotem, usiłując wyczytać coś z ich twarzy. Dwaj detektywi wymienili spojrzenia, odwołując chwilę prawdy.

Stwierdzenie, że sprawa S07 - a zwłaszcza ta jej część dotycząca zeznania Gordona Rookera - stanęła pod znakiem zapytania, byłoby sporym niedopowiedzeniem. Bądź co bądź, po co komu świadek koronny, kiedy osoba, przed którą miano mu zapewnić ochronę, została zadźgana nożem przez byłą żonę. Jak Thorne wyjaśnił już wcześniej Rookerowi, były różne poziomy ochrony, w zależności od potencjalnego zagrożenia.

Rooker najwyraźniej zrozumiał, o co chodzi, i gdy więzienne tam-tamy zaczęły bębnić jak szalone, zadzwonił do paru osób, zanim jeszcze wieści o śmierci Ryana przedostały się do gazet. Wściekał się i burzył, domagając się, by powiedziano mu, na czym stoi. Na drodze służbowej wyjaśniono mu, że w związku z niedawnym zabójstwem Billy ego Ryana jego spokój ducha znajdował się na samym dole listy priorytetów.

Teraz, stojąc z Thorneem twarzą w twarz po raz pierwszy od śmierci Ryana, Rooker wciąż czekał na odpowiedź.

- No to jak? Jaki poziom ochrony otrzymam?

Thorne pociągnął nosem i pokiwał głową z zamyśleniem.

- Myślę, że w grę wchodzi bardziej konwencjonalne sposoby kamuflażu niż nowa tożsamość i być może środki do wszczynania alarmu w razie nagłego zagrożenia.

- Słucham?

Holland uśmiechnął się drwiąco.

- Peruka i gwizdek.

- Och, nie pieprzcie i bądźcie poważni...

Jeżeli chodzi o kwestie decyzyjne, jak dotąd nikt nie postanowił, co dalej zrobić z Rookerem. Wciąż przebywał w chronionym skrzydle dla świadków zakładu karnego Salisbury, co wydawało się zbędną troską, mógł zostać przewieziony z powrotem do Park Royal lub do zwykłego więzienia, jako że ze strony Billy ego Ryana nic mu już nie groziło. Na samą myśl o tym Rooker wpadł w taką panikę i furję, że adwokat, który przekazał mu tę informację, obawiał się przez chwilę o swoje bezpieczeństwo. Koniec końców, nie umiając podjąć konkretnej decyzji,



postanowiono pozostawić go tam, gdzie był obecnie. Rooker chciał tam być, ale to mu nie wystarczało...

- Nie rozumiem - rzekł Holland. - Sądziłem, że się ucieszysz, że Billy Ryan znalazł się dwa metry pod ziemią.

Rooker cmoknął.

- Bezpieczniej byłoby trzy. Gdybym miał czym, wzniosłbym toast za Alison Kelly, że sprzedała kosę temu skurwielowi. Szkoda, że to nie był zaostrzony pędzel.

- Co my tu właściwie robimy? - spytał Thorne. - Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Skąd wiadomo, że wciąż nie jestem celem?

Thorne udał, że się zastanawia.

- Bo ja wiem? Może dlatego, że Billy Ryan wącha kwiatki od spodu na cmentarzu St Pancras...

- A co ze Stephenem?

- Co z nim? - spytał Holland.

- Nie wiadomo, co może zrobić.

Thorne spojrzał na Hollanda. Musiał przyznać, że Rooker miał rację. Od śmierci Billyego często zastanawiali się, jaka będzie w tej sytuacji reakcja Stephena Ryana.

- Może próbować zgrywać wielkiego szefa - rzekł Rooker. -I przez wzgląd na ojca dobierze się do mnie.

Holland zaczął skubać paznokcie.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć, Gordonie. Stephen nie jest może geniuszem, ale nawet on wie, że to nie ty sprzątnąłeś jego staruszka.

Rooker przymrużył powieki.

- Wiesz, kurwa, doskonale, o czym mówię.

Nastrój Hollanda zmienił się w okamgnieniu.

- Licz się ze słowami.

- Przepraszam. Pomyślałem tylko, że może warto byłoby zamknąć kilka wątków, jasne? A kto wie, może następnym razem skorzystają z kogoś pewniejszego niż Ałun Fisher.

- Nie przypuszczam - rzekł Thorne. - Nie tylko my mamy ważniejsze sprawy na głowie. Stephen Ryan też ma teraz masę innych problemów...

Mężczyzna na motocyklu podjechał do chodnika i czekał. Stał tam, podczas gdy mijaly go inne pojazdy, choć właściwie zrobił to bez żadnego konkretnego powodu. Spłycał oddech.

Dzień był upalny i mężczyzna zaczął się już pocić pod kurtką, w miejscach, gdzie ubiór stykał się z ciałem, dwie skóry ślizgały się dzięki zalegającej między nimi warstewce potu.

Nieznacznie uniósł ciemną owiewkę i zaczerpnął kilka łyków powietrza, o którym można było powiedzieć dużo, tylko nie to, że jest świeże. Było przesycone oparami benzyny i wonią rozgrzanego asfaltu. Poczul aromat niezliczonych potraw płynących z ciągu fast foodów znajdujących się przy tym odcinku Seven Sisters Road.

Motocykl, który miał dopiero od dziś, z łatwością przedzierał się przez korki i na razie zostało mu jeszcze trochę czasu. Zastanawiał się, czy nie zaparkować gdzieś i nie kupić coli, ale wiedział, że byłoby to zbędne ryzyko. Miał butelkę z wodą oraz parę innych rzeczy. Później gdzieś stanie. Może wybierze się na małą przejażdżkę po Finsbury Park, aby zabić czas, zanim pójdzie przekazać wiadomość.

To była grubsza sprawa, jak dotąd jego największa. Kazał żonie spakować rzeczy na wyjazd. Stroje kąpielowe i mnóstwo kremów do opalania z filtrem dla dzieciaków. Powiedział jej, że to niespodzianka wiedząc, że się niesamowicie ucieszy, kiedy dowie się, jakie zarezerwował dla nich kwatery na Malediwach. Cztery tygodnie z pełnym wyżywieniem znacznie uszczuplą jego wynagrodzenie za tę robotę, ale i tak zostanie trochę na inne drobne wydatki. Rozmawiali o wysłaniu ich najstarszej pociechy do prywatnej szkoły. Szkoły średnie w Islington były naprawdę żalosalne, taniej wyjdzie, jeżeli zdecydują się na prywatną placówkę. Mieli dość funduszy, by starczyło na opłacenie trzech, czterech lat nauki, i kto wie, może zostanie jeszcze coś na przebudowę domu. Przydałby się nowy gabinet albo remont poddasza. Znał kilku budowlańców, którzy za przystępną cenę zrobiliby, co trzeba, na tip-top.

No i nie zdarliby z niego ostatniej koszuli. To było najważniejsze. Na tym rzecz polegała. Sądził, że jest w stanie zapewnić sobie reputację, postępując dokładnie tak samo. Wiedział, że byli jeszcze inni, głównie cudzoziemcy, którzy żądali więcej, ale jego zdaniem utrzymywanie się w dolnej strefie stanów średnich gwarantowało dłuższe pozostawanie w tej branży.

Włączył kierunkowskaz i zjechał motocyklem na ulicę.

Nie był najtańszy, ale należał do najlepszych - chciał, aby tak właśnie o nim myślano. Tak naprawdę wszyscy pragnęli wierzyć, że to, co dostają za swoje pieniądze, jest warte tej ceny. Wszyscy lubili się targować?

Ciężarówka zatrąbiła głośno, przejeżdżając tuż obok. Włączył się do ruchu, przyspieszył i parę sekund później wyprzedził ją na pełnym gazie.

Rooker stał. Może sądził, że to przydawało mu autorytetu.

- Mieliśmy umowę - powiedział.

Thorne odchylił się lekko na krześle. Wiedział doskonale, jaki miał autorytet.

- Jestem funkcjonariuszem policji, a ty, jeżeli się nie mylę, skazanym zgodnie z literą prawa przestępcą. To więzienie, a nie klub dżentelmenów, i jedyne, co chciałbym uścisnąć, jeżeli o ciebie chodzi, to twoją chudą szyję. Rozumiemy się?

Rooker zgrzytnął zębami.

- Wszelkie umowy są w obecnej sytuacji warte tyle, co zeszłoroczny śnieg - wtrącił Holland.

Thorne wzruszył ramionami.

- Przykro mi.

Rooker przeszedł przez pokój, przysunął sobie krzesło i ciężko się na nie osunął. Przez chwilę drapał się po siwym kilkudniowym zarostcie, wiotka skóra poniżej jego podbródka lekko zafalowała.

- Wiem o wielu rzeczach - powiedział. - Na temat wielu ludzi Powiedziałem co nieco chłopcom nadinspektora Tughana, ale są jeszcze rzeczy, które zachowałem dla siebie.

- A to dlaczego? - spytał Thorne.

- Bo nie miałem pewności, czy jesteście wobec mnie absolutnie szczerzy...

Holland zaśmiał się.

- Szczerzy wobec ciebie?

- I nie pomyliłem się, prawda? - Rooker uśmiechnął się krzywo. Zlizał językiem warstewkę śliny ze złotego zęba.

Thorne był w stanie uwierzyć, że Rooker nie powiedział im wszystkiego. Mógł też uwierzyć, że Tughan zataił pewne szczegóły przed resztą zespołu. Thorne ani trochę się tym nie przejął.

- To, co powiedziałaś lub nie zespołowi S07, nie ma znaczenia. Umowa była taka, że pomożesz nam wsadzić za kratki Billyego Ryana.

Holland włączył się do rozmowy.

- Teraz, kiedy już go nie ma, przestajesz być dla nas użyteczny.

- Chcę mówić z Tughanem.

- Możesz sobie rozmawiać, z kim chcesz - rzekł Thorne. - Mam już dość, nie chce mi się z tobą gadać... - Sięgnął po skórzaną kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła.

Rooker otwartą dłonią rąbnął w porysowany metalowy blat stołu. To był gest tyleż frustracji, co gniewu.

- Muszę stąd wyjść! Miałem stąd wyjść!

- Niedługo wyjdiesz - powiedział Holland.

Rooker odezwał się, jakby miał w ustach coś kwaśnego, coś pa łącego:

- Nie. Nie dość szybko.

- Źle się wyraziłeś, Holland - mruknął Thorne, wkładając kurtkę.

- Bez waszego wsparcia mój wniosek nie przejdzie przez komisję do spraw zwolnień warunkowych. Te parszywe łajzy zrobią wszystko, abym wyciągnął kopyta za kratkami.

- Prędzej czy później stąd wyjdiesz - ciągnął Holland. - Pomyśl tylko, jakie to będzie radosne wydarzenie. Wszystko zawsze jawi się w żywszych barwach, kiedy czeka się na to przez pewien czas.

Thorne próbował pochwycić spojrzenie Rookera. Zielone tęczęwki malujące się na tle przekrwionych białek zerkały nerwowo to w jedną, to w drugą stronę jak zapędzone w kąt szczury

- Zwłaszcza teraz, kiedy nie musisz już się martwić, że Billy Ryan zapłaci komuś, aby wpackował ci kulkę w plecy.

- No, wy na pewno nie będziecie się o to martwić - mruknął Rooker.

Holland wstał i przysunął krzesło do stołu.

- Myślę, że wciąż jeszcze masz czas, aby zrobić coś użytecznego - powiedział. - Może zrobisz jakiś dyplom czy magisterium? Mógłbyś sobie później wpisywać parę skrótów przed imieniem i nazwiskiem...

Rooker wypowiedział pod nosem parę przekleństw.

Thorne zobaczył, jak tamten unosi wieczko pudełka z tytoniem i sięga do środka.

- Czemu tak bardzo ci zależy, aby stąd wyjść, Rooker? Masz gdzieś ukryte zaskórniaki?

Rooker, nie unosząc głowy, wycedził z przekąsem:

- Już mówiłem.

- Jasne. Przejmująca tania gadka o świeżym powietrzu i chęci ujrzenia, jak twój wnuk gra w piłkę.

- Wal się, Thorne.

- Nigdy nic nie wiadomo, Gordonie. Jeżeli obaj będziecie dbać o zdrowie i unikać kontuzji, może wyjdiesz stąd, aby zobaczyć, jak strzela zwycięskiego gola w finałowym meczu o Puchar Ligi Angielskiej. Choć zważywszy że gra w drużynie West Ham...

Motocyklista siedzący na swej maszynie, z włączonym silnikiem na jałowym biegu, odczekał do ostatniej minuty.

Próbował się skupić. Postanowił ruszyć pół minuty wcześniej, biorąc pod uwagę ewentualną zwłokę wywołaną przez postój w popołudniowym korku. Starał się oczyścić umysł. Trywialne myśli nie dawały mu spokoju, zakłócając jego równowagę wewnętrzną w ostatnich kilku sekundach. Będą musieli odłożyć jeszcze parę groszy na mundurki dla dzieci. Nie były tanie, zwłaszcza jeżeli trzeba kupić po cztery, pięć sztuk wszystkiego. Czy pełen zakres usług na Malediwach oznaczał też darmowy alkohol? Musiał to sprawdzić. To mogło stanowić sporą różnicę...

Przepuścił jeden samochód, potem drugi i rower, zanim ruszył ostro od krawężnika i zawrócił szerokim łukiem przez oba pasy. Zatrzymał maszynę przed pralnią chemiczną, o dwoje drzwi od miejsca, które zamierzał odwiedzić. Potem w ciągu piętnastu sekund miał wykonać czynności, które przez ostatnich parę godzin powtarzał setki, a nawet tysiące razy.

Postawił motocykl na stopce, nie wyłączając silnika.

Podszedł szybko do bagażnika z tyłu motocykla. Wieko nie było zamknięte.

Sięgnął do środka, wyjął rękę, kiedy tylko jego palce zacisnęły się na podgumowanej kolbie broni, i odwrócił się do ulicy.

Trzymając rękę luźno wzdłuż boku, szybkim, ale nie za szybkim krokiem pomaszerował wzdłuż ciągu sklepików. Nie zwalniając, skręcił i wszedł przez otwarte drzwi do biura wynajmu minitaksówek.

Znajdował się niecałe dwa metry od kontuaru, kiedy siedzący za nim mężczyzna uniósł wzrok, a do tego czasu pistolet został wycelowany w jego stronę. Mężczyzna w fotelu w rogu pomieszczenia opuścił gazetę i zanim krzyknął, zdążył jeszcze otaksować intruza wzrokiem. Hassan Zarif

także krzyknął, gdy kula przeszła jego ciało. Rozbryzg krwi, jaki pojawił się na kalendarzu za jego plecami, wydawał się przesadnie dramatyczny w porównaniu z łagodnym sykiem broni, która g° spowodowała.

Motocyklista strzelił raz jeszcze, a Zarif runął w tył i osunął się za drewniany kontuar. Pistolet drgnął w dłoni mężczyzny, ale odrzut nie był zbyt silny. Podobnie mogła zadrzeć ręka, muskając coś zbyt gorącego, by dało się tego dotknąć.

Kiedy cel zniknął mu z oczu, postąpił naprzód i właśnie wtedy drzwi na prawo od kontuaru otworzyły się z hukiem. Motocyklista odwrócił się w chwili, gdy pistolet w dłoni Tana Zarifa plunął ogniem. Kula przebiła plastik przyciemnionej owiewki. Zanim pierwszy przechodzeń upuścił torbę z zakupami, a inni - którzy doskonale wiedzieli, że te odgłosy to nie trzaski z silnika jakiegoś rzęcha - rzucili się do ucieczki, mężczyzna w skórzanym kombinezonie niemal bezgłośnie osunął się na brudne linoleum.

Przez kilka sekund w niewielkim biurze słyhać było jedynie echo wystrzału z pistoletu niezaopatrzonego w tłumik. Ten huk zagłuszył nawet ryk silnika autobusu przejeżdżającego akurat ulicą w stronę Turnpike Lane.

Tan Zarif krzyknął do mężczyzny na fotelu, a ten poderwał się i minawszy go, ruszył w stronę drzwi na zaplecze. Zarif ze spokojem podszedł do trupa. Nie ulegało wątpliwości, że intruz nie żył; strzępiasty otwór w owiewce kasku i krew wypływająca spod niego i rozlewająca się wokół ciała wskazywały wyraźnie, że mężczyzna leżący na podłodze już się więcej nie podniesie.

Ale to nie miało znaczenia...



Mężczyzna, który siedział w fotelu, a który teraz nachylił się nad zakrwawioną postacią Hassana Zarifa, zakrył mocno owłosionymi dłońmi uszy, kiedy młodszy brat Hassana wpakował cały magazynek w pierś martwego mężczyzny w kombinezonie motocyklowym.

Pierwsza część drogi była całkiem przyjemna. Szybko pozostawili za sobą wiejskie krajobrazy Wiltshire i Hampshire, ale mieli dość czasu, by podziwiać widoki i zaśmiać się przy drogowskazach do Barton Stacey czy Nether Wallop. Kiedy jednak znaleźli się na M3, sytuacja znacznie się pogorszyła. Kierowcy nie mieli innego wyjścia, jak po prostu sunąć w żółwym tempie w korku obejmującym wszystkie trzy pasy. Jak zawsze Thorne trzymał się zewnętrznego pasa, klnąc, na czym świat stoi, i złorzecząc na kierowców jadących przed nim, których uważał za egoistycznych kretynów. Ani przez moment nie brał pod uwagę, że sam mógł być jednym z nich.

Wiosna nadeszła zaledwie parę tygodni temu, a pogoda zrobiła się już niemal letnia. Miłośnicy BMW robili, co mogli, by nieco ochłodzić atmosferę, ale nawet w samej koszuli w aucie było potwornie duszno.

Holland napił się wody z butelki.

- Nadal jest pan zadowolony z kupienia tego cuda?

Thorne nucił cicho pod nosem. Wyciągnął rękę i ściszył muzykę z pierwszego albumu Highwaymen.

- Powtórz. Co mówiłeś?

- Pytałem o wóz. - Holland uśmiechnął się sztucznie. - Wciąż uważa go pan za dobry zakup?

Thorne wzruszył ramionami, jakby to, że nieomal przylepiali się do skórzanych siedzeń, nie miało większego znaczenia.

- Kiedy powstał ten wóz, auta nie miały jeszcze klimatyzacji. To cena, jaką płacisz za klasyka.

- Dziwię się, że kiedy powstał ten wóz, auta miały w ogóle koła..

- Brawo, Dave.

- Za pieniądze, jakie wydaje pan przez rok, żeby ten rzęch w ogóle się toczył, mógłby pan kupić wypasioną brykę z klimą.

Thorne zbliżył się do jadącego przed nim transita i zamrugał światłami. Walnął otwartą dłoń w kierownicę i nieco zwolnił, kiedy tamten kompletnie zignorował jego sygnał.

- Rookera trudno polubić, prawda? - spytał Holland.

- Przypuszczalnie to właściwa reakcja, jako że jesteś szanowanym stróżem prawa, a on zajmuje się zawodowo zabijaniem ludzi. Jakoś nie spotkałem w swoim życiu wielu morderców, z którymi miałbym ochotę wypić piwko... i więcej niż paru gliniarzy, których z dziką rozkoszą zatłukłbym gołymi rękami na śmierć.

- To prawda, ale Rooker niezależnie, jak na niego spojrzeć, jest kompletnym dupkiem.

- Wiesz, że ten tekst o szanowanym strózu prawa miał być z założenia ironiczny, prawda?

Holland uchylił okno na parę centymetrów i odwrócił głowę w tę stronę.

- Oczywiście.

- Rooker był nieco sympatyczniejszy, kiedy miałem coś, czego pragnął

- rzekł Thorne. - Prawdopodobnie mówił o mnie dokładnie to samo.

Zjechał na środkowy pas, ale wciąż nie był w stanie wyprzedzić transita. Na tylnym zderzaku tamtego widniała nalepka z napisem „Jak prowadzę?”. Thorne miał ochotę zadzwonić pod podany niżej numer i przez parę chwil obrzucać osobę, która odbierze telefon, stekiem najwymyślniejszych przekleństw...

- Niech pan opowie mi o niektórych z nich - rzekł Holland. - Mam na myśli morderców, z którymi się pan zetknął.

Thorne zerknął w lusterko wsteczne. Ujrzał długi ciąg jadących za nim aut. A w swoim odbiciu, a konkretnie w oczach, dostrzegł napięcie, trudno powiedzieć, prawdziwe czy wyimaginowane.

Pomyślał o mężczyźnie nazwiskiem Martin Palmer, który zabijał, bo bał się tego nie zrobić. Palmer dusił i dźgał swoje ofiary, a za ostatnią nieudaną próbę czegoś, co można by określić mianem odkupienia, przyszło mu zapłacić najwyższą, tragiczną cenę. Na zawsze odmienił sposób myślenia Thorne'a, nie mówiąc o jego twarzy. Thorne nigdy nie polubił Martina Palmera. Gardził nim i jawnie nim pomiatał. Ale ten żaloszny mężczyzna potrafił także wzbudzić w nim smutek i współczucie. Thorne miał umysł zmacony nagromadzonymi przez lata uczuciami - oraz ich brakiem - jakich doświadczał, kiedy siedział w jednym pomieszczeniu, oddychając tym samym powietrzem, co Martin Palmer.

No i sprawa z ubiegłego roku... sprawa Foleyów...

Morderców, których polubiłeś...

- Naprawdę nie wiem, od czego zacząć - rzekł Thorne. - Dennis Nielsen był całkiem w porządku, gdy już go się poznało, a Fred West wydawał się nawet zabawny, aż postanowił ze sobą skończyć. A skoro o

tym mowa, pamiętam, jak któregoś wieczoru grałem w strzałki z Haroldem Shipmanem. Mówiłem mu Harry...

Holland westchnął ciężko, przeciągle.

- Jeżeli usiłuje pan być zabawny, to może jednak podkreśli pan muzykę?

Jechali dalej, wóz z ledwością, nie dłużej niż po parę minut utrzymywał się na najwyższym biegu. Monotonię przerwało na chwilę krótkie dramatyczne zdarzenie, kiedy Thorne, zbyt długo przyglądając się pustulce kołującej nad poboczem, omal nie wpakował się na jadące przed nim audi.

- A jak tam Sophie i dziecko? - zapytał.

- Świetnie.

- Ile mała ma teraz?

- Prawie siedem miesięcy Wygląda na to, że odzyskaliśmy część naszego życia, wie pan?

Thorne pokręcił głową. Nie wiedział.

- Nie ma już takiej paniki - ciągnął Holland. - To znaczy wszystko wciąż jeszcze nas przeraża i stale jesteśmy niewyspani, ale przynajmniej do pewnego stopnia wiemy już, co robimy. - Przerwał i zerknął z ukosa na Thornea. - Sophie zawsze to wiedziała i teraz ja też już wiem, co robię, no, powiedzmy nie do końca, ale już coś tam wiem. Powinien pan wpaść się z nią zobaczyć...

- A więc jesteś ogólnie zadowolony? Z tego, że zostałeś ojcem. Wiem, że trochę się tym martwiłeś.

Thorne przypomniał sobie rozmowę, którą odbyli ubiegłego lata. Może to dziwne, ale stało się to w dniu, kiedy kupił BMW. Holland był pijany i

zwierzył mu się, że bardzo się boi. Powiedział Thor-ne owi, że martwi się, iż może znienawidzić dziecko, kiedy przyjdzie na świat w sytuacji, gdyby Sophie kazała mu wybrać między dzieckiem a pracą.

- Byłem głupi - odparł Holland. Odwrócił się do Thorne a z uśmiechem. - Chloe jest cudowna. Wymaga wielu wyrzeczeń, ale jest naprawdę cudowna.

- Cieszę się, że jakoś wam się układa - rzekł Thorne.

- Prawdę mówiąc, ostatnie tygodnie były naprawdę ekstra. To była okazja, aby podładować baterie. Problem w tym, że Sophie zaczęła przyzwyczajać się, że jestem stale przy niej...

Przez ostatnie dwa tygodnie po śmierci Ryana funkcjonariusze zaangażowani w śledztwo mogli spędzić więcej czasu ze swoimi bliskimi. Praca wymagała teraz więcej roboty papierkowej, nawiasem mówiąc, dotyczącej głównie innych dochodzeń, oraz siedzenia na tyłku w oczekiwaniu, aż ktoś - w domyśle Stephen Ryan - podejmie jakieś działania. Aż coś zrobi. Wykona jakiś ruch. Śledztwo zaczęło się ślimaczyć albo z wolna pogrążało się w chaosie - wszystko zależało od punktu widzenia.

- Sądzi pan, że Stephen Ryan zdecyduje się na jakieś posunięcie? - spytał Holland.

Thorne mruknął, ale z zadowoleniem, kiedy transit włączył wreszcie kierunkowskaz i zjechał na wewnętrzny pas. Thorne powrócił na pas szybkiego ruchu i minął tamtego, zyskując raptem jakieś dziesięć metrów, ale i tak dało mu to olbrzymią satysfakcję.

Nie zdawał sobie sprawy, że trzydzieści kilometrów dalej umundurowani funkcjonariusze odgradzają właśnie taśmami teren wokół

biura wynajmu minitaksówek przy Green Lanes. Inni zbierali świadków i zaczęli spisywać zeznania. Phil Hendricks był już w drodze na miejsce zbrodni, podczas gdy karetka, która okazała się niepotrzebna, wracała tam, skąd przybyła.

Stephen Ryan wykonał ruch.

Środowy poranek w sali odpraw. Dwa dni po feralnej strzelaninie w biurze wynajmu minitaksówek braci Zarif. Zespół stanął już na nogi, ale wciąż czuł odrętwienie w zadkach...

- Dostaliśmy wiadomość z imigracyjnego - rzekł Brigstocke. - Uważają, że mogli wpaść na paru kolejnych nielegalnych z tej ciężarówce. To tylko domysły, bo tamci nie chcą w ogóle gadać.

- Gdzie? - spytał Thorne.

Brigstocke spojrział na trzymaną w dłoni kartkę papieru.

- W myjni samochodowej w Hackney. To jedno z tych miejsc, gdzie autem zajmuje się pół tuzina osób naraz, wiecie, z gąbkami i irchowymi ściereczkami, małymi odkurzaczami do czyszczenia wnętrza samochodu itede...

Stone pokiwał głową.

- Jest taka jedna niedaleko mnie. Czyszczenie od środka i z zewnątrz za dziesiątaka. Plus napiwek...

- Przesłuchaliśmy właściciela - powiedział Brigstocke. - Jak dotąd, cóż za niespodzianka, udaje, że o niczym nie wie. Gdzieś tam musi być coś, co łączy go z Ryanami, ale nie sądzę, aby wyglądało to inaczej niż z innymi...

Mężczyzna i kobieta podejrzani o to, że byli przewożeni w skradzionej ciężarówce, zostali zatrzymani w ubiegłym tygodniu w Tottenham, gdzie namierzono ich jako pracowników restauracji. Kilka dni wcześniej złapano

dwóch mężczyzn, którzy na zapleczu supermarketu układali towary przywożone w kolejnych dostawach. W obu wypadkach zatrzymani wydawali się cierpieć na poważne zaburzenia pa" mięci. Aresztowano ich, ale sprawa nie była rozwojowa - mogła się skończyć na deportacji nielegalnych imigrantów oraz karze grzywny dla ich pracodawców, nic więcej. Trop wskazywał na zaginioną ciężarówkę, ale nie było nic, co mogłoby w związku z nimi pogрузić Ryanów albo Zarifów.

Tughan przejął pałeczkę po Brigstockeu.

- Przejdźmy teraz do strzelaniny w Green Lanes. Co ze świadkami, Sam? Mamy coś?

Karim pokręcił głową.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale wciąż nie możemy znaleźć nikogo, kto widziałby cokolwiek, co byłoby sprzeczne z wersją Memeta Zarifa. Mamy nawet parę, która jak na zawołanie potwierdziła, że widziała faceta w kominiarce z pistoletem w dłoni uciekającego po tym, jak ucichły strzały.

- No jasne - mruknął Thorne.

Holland zachichotał.

- Ciekawe, czy Świętego Mikołaja też widzieli, pewnie tak...

Zgodnie z zeznaniem Memeta Zarifa i innych, którzy byli wówczas w biurze wynajmu minitaksówek, mężczyzna w skórzanym kombinezonie, który postrzelił i zranił Hassana Zarifa, sam został zastrzelony przez tajemniczego drugiego strzelca, który wszedł za nim do środka i uciekł zaraz po oddaniu zabójczego strzału. Policja wiedziała, że to jeden wielki pic. Powszechnie sądzono, że drugim strzelcem był Me-

met albo Tan Zarif, ale z braku broni czy wiarygodnego świadka zdarzenia nic nie można było zrobić, aby udowodnić tę tezę.

- Jesteśmy pewni jednego - rzekł Tughan. Śmiech, jaki rozległ się w sali, przyjął - jak rzadko - pogodnie i z humorem. - Wiem, powiadomiłem już media. Znamy nazwisko ofiary, to znaczy tego zastrzelonego. Nazywał się Donal Jackson, lat trzydzieści trzy. Znany współpracownik Stephena Ryana.

Ta ostatnia informacja nie była dla nikogo zaskoczeniem.

- Czy jest możliwe, że ten sam facet zastrzelił Izzigilów? - zapytał Stone. - Czy użył tej samej broni...?

Tughan otworzył usta, ale Thorne go uprzedził.

- Nic z tego - rzucił. - Broń jest tego samego typu, to wszystko. Ktokolwiek został wynajęty, aby sprzątnąć Izzigilów, musiał być naprawdę dobry. Zrobił to z chirurgiczną precyzją. Ten głupek dał się zabić i nawet nie zabrał nikogo ze sobą... - Nie dokończył, gdyż nagle skupił się na nieudanej próbie zabójstwa czternastoletniej dziewczynki. Teraz, dwadzieścia lat później, syn mężczyzny, który stał za tą próbą morderstwa, sam sfuszerował zamach.

- Inspektor Thorne ma zapewne rację - rzekł Tughan. - Mówi się, że Jackson był żółtodziobem, jeżeli chodzi o zabójstwa kontraktowe. Wziął tę robotę, bo był kumplem Stephena Ryana, a Ryan chciał pokazać, że jest inny niż ojciec. Poza tym, jak twierdzą ludzie, z którymi rozmawiałem, Jackson był względnie tani.

Stone parsknął.

- Zapłać owsem, zgłosi się osioł.



- Można by pomyśleć, że wynajęcie porządnego zabójcy to podstawa - rzekła Kitson.

Inni podchwycili sarkazm, przyznając rację jej słowom.

- Czy ci ludzie nie słyszeli o podstawach ekonomii?

- Nie ma dziś prawdziwych fachowców.

- Koniec końców, zapłacił za to - rzekł Thorne. - To, co zrobił, a raczej to, co zaważył, będzie go drogo kosztować.

- Myśli pan, że teraz się zacznie? - spytał Holland.

- Myślę, że Ryan powinien sięgnąć do portfela i wynająć trzech zabójców. - Thorne tylko po trosze żartował. - Po jednym na każdego brata. Powinien zrobić to jak należy i załatwić całą trójkę.

- Może to właściwy moment, aby ogłosić, że w ramach prowadzonej przez nasze wydziały połączonej operacji zmniejszymy nieco jej skalę i zakres - wtrącił Tughan.

Thorne spojrzał na niego. Tamten nie mógł mówić serio.

- Słucham?

- Osiągnęliśmy pewne rezultaty i to nawet niekiepskie, ale góra nie uważa, abyśmy mogli jeszcze coś z tego wycisnąć. Powoli zamyka-my ten kramik.

Thorne popatrzył na Brigstockea, aż wybałuszając oczy ze zdumienia. Spojrzenie, jakie otrzymał w odpowiedzi, powiedziało mu, że nie ma o co kruszyć kopii. To nie był temat do dyskusji, tylko wiadomość.

- Billy Ryan, jeden z naszych głównych celów, nie stanowi już powodu do niepokoju, chociaż ze smutkiem przyznaję, nie przyłożyliśmy ręki do jego przedwczesnego odejścia. Od tej pory część zadań przejmie od nas imigracyjny oraz urząd do spraw cła i akcyzy. Zostało parę luźnych

wątków do zamknięcia i parę osób trafi jeszcze za kratki, ale dalsze działania nijak się mają do związanych z nimi kosztów...

- Jak możemy się teraz z tego wycofać? - spytał Thorne. - Po tym, co się właśnie wydarzyło?

Tughan chował już papiery do aktówki.

- To był ostatni zryw Stephena Ryana. Spaprał sprawę. Przegra tę wojnę, a wtedy, miejmy nadzieję, sytuacja znów się unormuje...

- Miejmy nadzieję?

- Sytuacja znów się unormuje.

- A tymczasem będziemy udawać, że nic nie widzimy. Zajmiemy się papierkową robotą, zgarniemy paru nieważnych gości i pozwolimy im się nawzajem pozabijać...?

Tughan odwrócił się do Brigstockea.

- Chcę podziękować Russellowi i jego grupie za współpracę i gościnność. Wspólnie dokonaliśmy paru dobrych rzeczy. Naprawdę sporo osiągnęliśmy i nie wątpię, że będę czerpał z tego korzyści w następnych tygodniach, a nawet miesiącach. Tak czy owak, jestem pewien, że nie możecie się już doczekać, aby wrócić do swoich spraw. A przynajmniej że chcecie odzyskać swoje gabinety i mieć je tylko dla siebie.

Rozległ się niezbyt przekonujący, jakby wymuszony śmiech.

- Później, rzecz jasna, wypijemy jeszcze po parę kufelków na pożegnanie. Nie znikniemy tak od razu. Jak powiedziałem, zostało parę luźnych wątków...

Ruszył w stronę drzwi.

Brigstocke odchrząknął, postąpił kilka kroków za Tughanem i odwrócił się. Spojrzał na Thornea, Kitson i resztę funkcjonariuszy

- Później spotkam się z detektywem sierżantem Karimem W sprawie ponownego podziału zadań. - To, co powiedział na odchod-nej, brzmiało jak słowa trzeciorzędnego trenera próbującego zmotywować zespół, kiedy do przerwy wynik wynosił sześć do zera. - Wciąż jest wielu przestępców nienależących do gangów, których należałoby dopaść...

Przez kilka sekund po wyjściu Brigstockea wszyscy milczeli, trwając w absolutnym bezruchu. To była niezręczna chwila ciszy, jaka zapada po naprawdę wstrząsającej przemowie. Stopniowo gwar zaczął narastać, sylwetki znów się poruszyły i tak, dzięki kilku subtelnym skrętom ciała, półkrokom i zdawkowym uniesieniom ramion, jeden zespół stał się dwoma odrębnymi. Funkcjonariusze obu jednostek zaczęli trzymać się ze swoimi i choć ich rozmowy nie były utrzymane w sekrecie, nie dzielono się już ich treścią z byłymi współpracownikami.

Członkowie Zespołu 3 Grupy do spraw Przepływów Szczególnych (Zachodniej) milczeli nieco dłużej niż ich partnerzy z S07. To Yvonne Kitson zakłóciła ciszę i równocześnie zmieniła nastrój.

- A jak tam twoja filozofia, Andy? W tym tygodniu na tapecie jest Nietzsche czy Jean-Paul Sartre?

Stone próbował zachować pokerowe oblicze, ale zdradził go rumieniec.

- Co?

- Już dobrze, Andy - rzekła. - Wszyscy faceci mają swoje sztuczki. I jeżeli o to chodzi, kobiety również.

Stone wzruszył ramionami, uśmiechając się coraz szerzej.

- To działa...

- Najwyraźniej ty musisz sobie radzić akurat w taki sposób. - Holland przycupnął na skraju biurka. - A niektórzy z nas wolą raczej polegać na staroświeckim uroku osobistym i przystojnym wyglądzie.

- Forsa też bywa w tej kwestii przydatna - wtrącił z uśmiechem Karim.  
- A jeśli to nie skutkuje, zawsze pozostaje błaganie. W moim wypadku to się zwykle sprawdza.

- Błaganie jest wręcz wyborne - uznała Kitson.

Holland spojrzał na Thornea. Stał o jakieś dwa metry od nich z wyrazem kompletnej dezorientacji na twarzy.

- A pan, inspektorze? - spytał Holland. - Chce pan nam zdradzić swoje sekretne sztuczki?

Stone zaczął się śmiać ze swego żarciku, zanim się jeszcze odezwał.

- Założę się, że doktor Hendricks mógłby załatwić parę ampulek rohypnolu, gdyby sytuacja była naprawdę rozpaczliwa...

Ale Thorne maszerował już w stronę drzwi.

- Nie mógłbyś choć raz w życiu być przewidywalny? - spytał Tughan.  
-Sądziłem, że ucieszysz się, widząc moje plecy.

Thorne stał w drzwiach jego gabinetu. Brigstocke a nigdzie nie było widać.

- Posłuchaj, nie znosimy się nawzajem - rzekł Thorne. - Sprawa jest jasna. Żaden z nas nie ma w związku z tym większych problemów i przyznaję, raz czy dwa przygadałem specjalnie, żeby ci w pięty poszło. Ale to - skinął w stronę sali odpraw, gdzie Tughan wygłosił swoją mowę - jest kompletna głupota. Wiem, że nie jesteś odpowiedzialny za podjęcie tej decyzji ...

- Nie. Ale w pełni ją popieram.

- Nie nam pytać dlaczego? O to chodzi?

- Nie, jeżeli chcemy do czegoś dojść.

- Masz na myśli dalszą karierę? Czy może znów mówimy o rezultatach?

- Sam zdecyduj.

Thorne oparł się o framugę. On i Tughan stali po dwóch stronach wejścia, patrząc na ścianę naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza. Wisiała tam korkowa tablica z przypiętymi okólnikami, ulotkami służbowymi i wyświechtanymi kserokopiami bliżej nieokreślonych wykresów. Do tego ulotka przestrzegająca przed AIDS, lista zawodników zakwalifikowanych na ten sezon do policyjnej drużyny rugby, wyrwany nagłówek ze „Standarda”: „Eskalacja zbrodni w stolicy”, oraz pocztówki reklamujące rozmaite rzeczy na sprzedaż: garnitur od Paula Smitha, skuter, używane PlayStation...

- Jakoś nie mogę zrozumieć, czemu właśnie teraz - rzekł Thorne - Skoro nie tak dawno...

- Myślę, że ta decyzja zapadła przed strzelaniną w biurze minitaksówek.

- I nikt nie zastanowił się, że może warto by ją zmienić?

- Najwyraźniej nie.

Richards, specjalista od koncentrycznych kręgów, pojawił się w korytarzu, niosąc wyjątkowo ważne akta. Tughan odebrał je od niego prawie bez słowa. Thorne odczekał, aż Walińczyk się oddali.

- Kiedy znaleźliśmy ciało tego kierowcy ciężarówki i dwóch innych w lesie, którzy zginęli od strzałów w tył głowy, byłeś wściekły „To się musi

skończyć", powiedziałeś. Byłeś wściekły z powodu tego, co spotkało Izzigilów i Marcusa Moloneya. Chciałeś odwetu. Nie udawaj, że nie...

Tughan milczał, przyciskając kartonową teczkę do piersi.

- Na jakiej zasadzie ci ludzie podejmują decyzje, co mamy robić, a czego nie? - spytał Thorne. - Kogo mamy wziąć pod lupę, a kogo zignorować? Komu dopisze szczęście i schwytemy ludzi odpowiedzialnych za śmierć czyjegoś męża lub ojca, a kto ma pecha i równie dobrze mógłby domagać się sprawiedliwości od kontrolera ruchu na ulicy? W jaki sposób ci ludzie określają priorytety? Czy każdego ranka rzucają kostką? Wybierają kartę z talii?

Tughan patrzył na korkową tablicę i drapał paznokciem mały ślad na klapie brązowego garnituru.

- Dysponują zasobami ludzkimi i funduszami, jak im się żywnie podoba. Kierują je tam, gdzie ich zdaniem są najbardziej potrzebne i skąd mogą zyskać coś w zamian. To żadna filozofia, Thorne...

- A jaki wygodny powód znaleźli tym razem?

- Zmieniamy nieco ukierunkowanie, zajmiemy się prostytutką i narkotykami. Góra chce rozbić cudzoziemskie gangi, które weszły do gry: Rosjan, Albańczyków, Litwinów. Robi się coraz paskudniej, a kiedy któryś z tych gangów chce uderzyć w interesy konkurencji, biorą na cel najsłabszych. Zabijają dziewczęta...

Thorne wzruszył ramionami.

- A więc Memet Zarif i Stephen Ryan będą dalej prowadzić swój proceder?

- Nikt nie dał im kart „wyjdiesz z więzienia”...

- Skoro już o tym mowa...

- Gordon Rooker zostanie zwolniony na początku przyszłego tygodnia.

Thorne mógł się tego domyślać.

- Jasne. To jeden z tych luźnych wątków, o których wspomniałeś.

- Rooker może podać nam nazwiska, w tym kilka naprawdę ciekawych, przystaniemy na to.

- Zdefiniuj zwrot „naprawdę ciekawe”.

- Zrozum, raz się coś udaje, a innym razem nie. W tej sytuacji postawiliśmy akurat na to. - Nawet sarkastyczne burknięcie Thorne a nie zdołało wytrącić Tughana z równowagi. Przez całą tę rozmowę zachowywał stoicki spokój. - Jesteś miłośnikiem futbolu, zgadza się? Jak byś się poczuł, gdyby twoja drużyna przez cały sezon grała jak złoto, a na koniec nie wygrała nic?

Gdyby Thorne chciał nieco rozładować atmosferę, mógłby spytać Tughana, czy widział kiedykolwiek, jak grają Spurs. Ale nie zrobił tego.

- Mam nadzieję, że nie będziesz mi miał za złe, jeżeli powstrzymam się od serdecznego pożegnania? - zapytał.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej...

Thorne cofnął się do drzwi i skierował do wyjścia.

- Jestem taki sam jak ty - rzekł Tughan. - Naprawdę. Chcę dopaść ich wszystkich, ale czasami... nie, przez większość czasu muszę zadowolić się tylko niektórymi. Nie zawsze tymi, o których mi chodziło, bywa, że nawet nikim ważnym, ale... cóż począć?

Thorne wydłużył krok i ruszył przed siebie. A w głębi duszy pomyślał: Nie jesteś taki jak ja. Ani trochę.

\*\*

Nie znalazł nic odpowiedniego w Kentish Town i nie lepiej poszło mu w Highgate Village, gdzie było całe mnóstwo małych sklepików z antykami i niewiele więcej. Później pojechał do Hampstead i przez pół godziny na próżno szukał miejsca, by zaparkować samochód. Teraz próbował szczęścia w Archway, gdzie parkowanie nie sprawiało problemu, ale za to możliwości wyboru w innych kwestiach były znacznie ograniczone.

Nie wiedząc, co można by kupić innego dla siedmiomiesięcznego dziecka, postawił na ubranka, toteż nie potrafił właściwie wyjaśnić, dlaczego błąkał się bez celu po drogerii. Nie była to zwyczajna drogeria i stała się ulubionym sklepikiem Thorne a, odkąd odkrył ją parę miesięcy wcześniej. Owszem, można tu było kupić szampon i zrealizować receptę, ale nie wiedzieć czemu, sprzedawano tu także wielkie paczki orzeszków ziemnych, nawiasem mówiąc, po terminie przydatności do spożycia, oleje silnikowe, chrupki i inne rzeczy, których zwykle nie uświadczysz w miejscu, gdzie normalnie kupuje się tabletki i maść na hemoroidy. Było tu też śmiesznie tanio, jakby właściciel starał się szybko upłynnić towar, który przysłano mu przez pomyłkę. Thorne mógłby się zastanowić, czy w jakimś pobliskim spożywczym nie stoi kilka niechcianych pudeł prezerwatyw i plastrów na odciski, gdyby w tej okolicy nie było więcej takich wielobranżowych sklepików. Może małe placówki nie mogły już pozwolić sobie na specjalizację. A może sklepikarze w ten sposób uprzyjemniali sobie życie. Tak czy siak, Thorne znał kilka miejsc, gdzie wytrawny i bystry klient mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, nawet jeżeli wcześniej nie miał tego w planach.



Jednym z jego ulubionych był sklepik, gdzie oferowano owoce, warzywa... i wełnę. Inny z dumą zapraszał do kantoru wymiany walut i delikatesów. Thorne nie wyobrażał sobie, że ktoś mógł poprosić o euro za pięćdziesiąt funtów i kawałek ciasta marchewkowego, toteż był pewien, że to miejsce stanowi przykrywkę dla jakichś podejrzanych machlojek. Przypomniawszy sobie mały sklepik przy Nags Head, gdzie w dość dziwnych porach otwarcia praktycznie nigdy nic nie sprzedawano. Właściciele, paru wesołych Irlandczyków, najwyraźniej nie interesowali się „asortymentem” i nikt nie był specjalnie zdziwiony, kiedy sklepik zamknięto z dniem ogłoszenia przez IRA zawieszenia broni.

Thorne nie miał większych problemów z wyobrażeniem sobie takich miejsc inaczej, niż postrzegali je wszyscy. Taką już miał robotę, a do tego także spore doświadczenie. Taką miał pracę, na dobre i na złe.

W drogerii Thorne uświadomił sobie w końcu, że pampersy, choć przydatne, raczej nie były odpowiednie na prezent. Spojrzał na zegarek: niedługo zaczną zamykać sklepy. Zamieniwszy parę słów z kobietą za kontuarem, która coraz bardziej zaczynała mu się podobać, Thorne wyszedł na ulicę.

Stał tam przez minutę, może dwie, pozwalając, by ludzie mijali go, w miarę jak dzień chylił się ku końcowi. Nie chodziło o to, że czuł silną moralną potrzebę służenia tym ludziom. Ani przez chwilę nie łudził się, że on czy tysiące jemu podobnych są w stanie ich chronić.

Ale musiał opowiedzieć się po stronie tych, którzy wyznaczyli sobie granicę...

Z bolesnego doświadczenia wiedział, że być może któregoś dnia będzie musiał ścigać kogoś spośród nich. Niektórzy nie mieli oporów

przed skrzywdzeniem dziecka. Niektórzy, czując taką czy inną potrzebę, byli gotowi okaleczać, gwałcić czy zabijać.

Taka była prawda, prosta i brutalna.

Większość na szczęście wiedziała, w którym momencie należy się zatrzymać. Wytoczyli sobie granicę mniej więcej w tym samym punkcie co on. Większość nie decydowała się na oszustwa podatkowe czy jazdę do domu po pijanemu. Większość tak jak on miała określony próg dopuszczalnych zachowań, bólu oraz gniewu, a także awersji do okrucieństwa.

Po stronie takich właśnie ludzi opowiadał się Thorne. Na życie tych ludzi, w większym lub mniejszym stopniu, każdego dnia, niemal w każdej chwili mieli wpływ Zarifowie i Ryanowie tego świata. Ci, którzy przekraczali granice dla zysku. Niektórzy nigdy nie zdawali sobie sprawy, płacąc za kurs czy hamburgera, czyją kiesę w ten sposób napychają. Czyją egzekucję nieświadomie finansują. Niektórzy mogli ucieść bezpośrednio lub za pośrednictwem najbliższych, a ich losy zbaczały z wytyczonego toru wraz z utratą dziecka z powodu narkotyków. Ich życie wypaczało się przez kilka sekund, jakie zajęło im podpisanie umowy kredytowej. Albo w ogóle odchodzili w niebyt, znalazłszy się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Pracowali w bankach, biurach, prowadzili autobusy. Mieli dzieci, chorowali na raka, wierzyli w Boga lub telewizję. Byli cudowni i beznadziejni, ale nie zasługiwali na to, by ich życie stało się jeszcze gorsze, kiedy Thorne owi i innym, takim jak on, nakazywano odgórnie, aby się wycofali.

Thorne pomyślał o tej miłej sprzedawczyni w drogerii, facecie, który mieszkał piętro wyżej, i innym, który właśnie teraz go mijał, ciągnąc na smyczy psa. Przypomniawszy sobie religijną oszołomkę i pełnego wahania ochroniarza, który wyprowadzał ją z supermarketu.

Przypuszczam, że są gorsze przestępstwa.

Zycie tych ludzi było naznaczone w zbyt wielu miejscach śladami brudnych palców...

Odwrócił się, gdy właściciel drogerii wyszedł ze swego sklepu i nacisnął guzik. Obaj patrzyli, jak wzmocnione kraty opadają z hałasem w drzwiach i oknie sklepiku. Thorne znów spojrzawszy na zegarek i przypomniał sobie, że u Woolwortha, po drugiej stronie ulicy, sprzedawano dziecięce ciuszki. Nie pamiętał, czy ten sklep zamykano o szóstej, czy o piątej trzydzięci.

Chamberlain stała w drzwiach, obserwując Jacka przy kuchni. Uwielbiała męża za dbałość o szczegóły i rutynę. Czy robił zapiekankę, czy ścierał ser na tosty, zawsze nosił ten sam fartuch w paski. Ruchy miał precyzyjne, drewniana łyżka wybijała rytm o dno rondelka.

Pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się.

- Około dwudziestu minut. Dobra, kochanie?

Pokiwała głową i wolno wróciła do pokoju.

Tapeta na ścianach pochodziła z English Heritage, była reprodukcją georgiańskiego wzoru i musieli sporo oszczędzać, aby sobie na nią pozwolić. Dywan, gruby i nieskazitelny, miał barwę czerwonego wina. Opadła na miękkie, idealne poduszki kanapy i w duchu upomniała samą siebie, że o takim właśnie pokoju zawsze marzyła - taki sobie wyobrażała,

siedząc w brudnych, wypełnionych dymem klinkach, usiłując wyciągnąć prawdę od morderców.

Spojrzała na akwarelę nad kominkiem; przesadnie zdobiona rama była odpowiednio postarzona. Wyobrażała sobie obraz - ten albo bardzo podobny - wiele lat temu, wpatrując się w zdjęcia ofiary; części ciała ukazane pod różnym kątem. Podkuliła przyobleczone w rajstopy nogi i zapewniła samą siebie, że te ściany, o które tak kiedyś walczyła, już jej się tak nie podobają jak kiedyś. Nie zamykały się wokół niej dostatecznie szybko.

Co powiedział Thorne?

Billy Ryan. Jessica Oarke. Musisz wreszcie odpuścić.

Próbowała, ale dłonie miała tak lepkie...

Wiedziała, że Ryan już wkrótce pozostanie dla niej jedynie nazwiskiem na nagrobku.

Mogła próbować, ale Jessica już zawsze pozostanie przy niej.

A mężczyzna, który stał, wpatrując się w okno jej sypialni - z płomieniami tańczącymi pośród mroków jego twarzy - zastanie, jeśli nie tym, który naprawdę podpalił Jessicę, to w każdym razie kimś, kogo nigdy nie zdołają schwytać. W jej myślach to właśnie on przytknął zapalniczkę do niebieskiej bawełnianej spódniczki wiele lat temu.

Z braku niezbitych dowodów i faktów wszelkie luki wypełniała wyobraźnia. I tworzyła własne prawdy.

Jack zawołał z kuchni:

- Otworzymy butelkę wina, kochanie?

Chrzanić to, pomyślała Chamberlain.

- A co tam - odparła. - Zaszalejmy...

Thorne wpatrywał się w ekran oczyma bolącymi po godzinie bezsensownego surfowania w sieci. Zapisał nazwisko aktora, o którym nigdy nie słyszał, i sięgnął po kawę...

Jego ojciec zadzwonił, podczas gdy Thorne wciąż był u Wool-wortha, nie mogąc się zdecydować, co kupić.

- Mam kłopot - rzekł Jim Thorne.

- Co?

Thorne musiał wydawać się zmartwiony. Zniecierpliwienie na twarzy dziewczyny przy kasie na kilka chwil zastąpiło zaciekawienie.

- Szukam pewnych drobiazgów do listy, żeby potem zrobić... Coś. Cholera. Chodzi o tę rzecz, co ludzie czytają albo wypożyczają z biblioteki. O książkę. Inne rzeczy, krzyżówki doprowadzają mnie do szału...

- Tato, czy moglibyśmy porozmawiać o tym za parę...?

- Nie mogłem zasnąć do trzeciej nad ranem, próbując przypomnieć sobie pewne nazwiska. Trzymam przy łóżku pióro, no wiesz, żeby zapisywać różne rzeczy. Widziałeś, kiedy tu byłeś. Pamiętasz?

Thorne zauważył, że dziewczyna przy kasie zerka na zegarek. Było już pięć minut po czasie zamknięcia, a prócz niego w sklepie nie było nikogo. Wciąż trzymał w rękach dwa różne zestawy śpioszków, nie mogąc się zdecydować, który wybrać.

Uśmiechnął się do dziewczyny.

- Przepraszam...

- Pamiętasz, że widziałeś to pióro czy nie? - jego ojciec zaczął krzyczeć.

Dziewczyna lekko skinęła głową na śpioszki trzymane przez Thor-ne'a. Powiodła wzrokiem w stronę wyraźnie zagniewanego typa stojącego przy drzwiach i czekającego, by zamknąć sklep.

- Wezmę oba - rzekł Thorne. Podał śpioszki kobiecie przy kasie i wrócił do rozmowy z ojcem. - Tak, pamiętam to pióro. Jest bardzo ładne...

Jego ojciec rzucił do słuchawki:

- Wczorajszej nocy pióro przestało działać. Potrzebuję... nowego. Tego, co się umieszcza w środku... jak zabraknie tuszu... kiedy się skończy...

- Wkładu...

- Muszę pójść do sklepu papierniczego. W mieście jest jeden Rymań.

Dziewczyna wyciągnęła rękę. Thorne podał jej dwudziestofunto-wy banknot.

- Tato, zadzwonię, jak wrócę do domu, dobrze? Potem wejdę do internetu i wszystko sprawdzę.

- Gdzie teraz jesteś?

- U Woolwortha...

- Jak ten zabójca... - rzekł jego ojciec.

- Co?

- To Zabójca z Woolwortha załatwił Sutcliffea w Broadmoor. Zabił kierownika jednego ze sklepów Woolwortha, stąd ten przydomek, a potem, kiedy on i Rozpruwacz znaleźli się w jednym więzieniu, dźgnął tego wrednego skurwiela w oko. Piórem, wyobraź sobie! Pieprzonym piórem!

- Tato...

- W 1973 kupiliśmy ci u Woolwortha rowerek. Nie pamiętam, kto występował w tym roku w świątecznej reklamie. Zawsze były to znane i

uznane gwiazdy, aktorzy telewizyjni, komicy i tacy tam. Zawsze ten sam slogan. „Ot i cuda od Woolwortha!”. Do tego jeszcze wkurzająca melodyjka. Założę się, że cholerny Peter Sutcliffe nie nucił jej kiedy wbito mu pióro w oko. - I wtedy jego ojciec zaczął nucić: - „Ot i cuda od Woolwortha”...

Dziewczyna przy kasie nieomal rzuciła resztę w Thorne a. Ochroniarz przy drzwiach łypnął na niego spode łba.

- „... ot i cuda, cudeńka...”

Thorne słuchał cierpliwie...

W ubiegłym roku nabył, skądinąd tanio, komputer i postawił na stoliku przy oknie w pokoju. Jeden ze starszych modeli iMaca, śnieżnobiały, kiedy go kupował, a teraz szary i zakurzony. Thorne, wsłuchując się w cichy szum monitora, pomyślał o tym, co działo się w głowie jego ojca.

Czy słowa gubiły się gdzieś pomiędzy mózgiem a ustami? A może, opuszczając mózg, skręcały gdzieś, gdzie nie powinny? Jeżeli jego ojciec słyszał żądane słowo i nieomal je widział oczyma duszy, musiał być naprawdę nielicho sfrustrowany. Wyobrażał sobie ojca jako drobną, nieporadną postać wściekającą się wewnątrz czaszki. Wyobraził go sobie stojącego obok dwóch wielkich głośników, z których płynęły słowa, jakich nie potrafił wypowiedzieć. Górowały nad nim jasno oświetlone, wysokie na piętnaście metrów litery.

Klął i pokrzykiwał w przypiływie zażenowania, co, zważywszy na okoliczności, było całkiem zrozumiałe. Jezu, Thorne dziwił się, że ojciec jak dotąd nie rozwalił sobie głowy o ścianę. Potem pewnie tylko by się pochylił, rozmazując palcem ściekającą po murze szarą materię mózgu, aby wyłuskać z niej ulotne, zapomniane słowa...

Załadowywała się nowa strona. Thorne zaczekał, aż na ekranie pojawi się lista, po czym zapisał nazwy dziesięciu najwyższych budynków świata. Rano zadzwoni do ojca, aby przekazać mu te bezużyteczne informacje, o które tamten go prosił.

Więcej nie uda nam się już z tego wycisnąć...

Thorne odchylił się w fotelu, sięgnął po filiżankę kawy i pomyślał o zespole świętującym tego wieczoru w Oak. Tughan wygłosi mowę, o wiele pochlebniejszą niż ta w biurze. Wzniosą toast za niezłe wyniki śledztwa. Będą poklepywać się wzajemnie po plecach, sącząc jasne pełne, ciemne gorzkie i słodową whisky, pijąc za kłamstwa. Za to, na co kazano im przystać.

Wyobraził sobie inne miejsce i inne uniesione szklaneczki. W rękach tych, którzy naprawdę mieli co świętować. Tych, którzy byliby naprawdę szczęśliwi, gdyby wiedzieli - a najprawdopodobniej wiedzieli - że na pewien czas policję mają z głowy.

Thorne miał tylko kubek z letnią kawą, ale i tak wznosił toast.

Za niektórych policjantów...

Sięgnął ręką, by wyłączyć komputer, i nagle znieruchomiał. Wpisał do wyszukiwarki hasło „nieśmiertelna skóra” i czekał. W końcu pojawiła się strona, dzięki której poznał wszystkie szczegóły, o których mówił mu Ian Ciarke. Było tu mnóstwo informacji drobnym drukiem, miał trudności z ich odczytywaniem.

Thorne zamknął oczy i przez kilka minut śnił o ranach w ciele, które się goiły O bliznach znikających jak słowa wyryte na piasku i o cięciach na skórze, po których nie pozostawał żaden ślad, o znakach X zastąpionych przez gładkie, nieskazitelne ciało pachnące jak niemowlęta...



Kiedy obudził się gwałtownie, okazało się, że komputer się zawiesił. Przez chwilę klął, a potem stanowczym ruchem wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

I poszedł spać.

Samochód wiozący Memeta i Hassana Zarifów ruszył spod świateł przy dworcu Stoke Newington i przyspieszył, by przemknąć przez Stamford Hill Road.

Podążający trzy auta za nim Thorne wciąż nie miał pewności, dokąd zmierzają bracia. Jechali w kierunku restauracji i biura wynajmu minitaksówek, ale nie była to trasa, jaką on by wybrał. Znaleźli się nieco za bardzo na południe.

Thorne śmignął przez światła, mając jeszcze kilka sekund w zapasie. Podkreślił płytę z muzyką z filmu *Bracie, gdzie jesteś?* i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Dokądkolwiek zmierzali Zarifowie, on także się tam wybierał.

Najpierw spróbował szczęścia w biurze przewozowym, ale nie zastał tam żadnego z braci. Ten sam ponury typ, którego spotkał tu za pierwszym razem, pokręcił głową i zaprosił Thornea, aby przeszukał lokal. Mężczyzna wzruszył ramionami i przełknął ślinę, kiedy Thorne odwrócił się do wyjścia.

Na ulicy Thorne przystanął na chwilę, zastanawiając się, dokąd ma się teraz udać. Smukła czarna omega podjechała do krawężnika, a jeden z kierowców Zarifa zapytał, czy go dokądś podwieźć. Thorne pokręcił głową, prawie nie spoglądając na kierowcę. Kiedy podjął decyzję, pomaszerował do swego auta. Zaglądając przez okno do restauracji, którą

mijał, Thorne spostrzegł Arkana Zarifa z żoną krzątających się w przyćmionym świetle i zastawiających stoły do lunchu.

Auta przecięły Seven Sisters Road na wysokości dolnego krańca Finsbury Park, kierując się dalej na północ.

BMW Memeta Zarifa było nieco nowsze niż Thorne a i teraz, siedząc nie dalej jak piętnaście metrów za nim, zastanawiał się, czy jego pasażerowie zdają sobie sprawę, że są śledzeni. Jego wóz trochę się wyróżniał, zarówno kształtem, jak i kolorem, a skoro wiedzieli, gdzie mieszkał, to zapewne wiedzieli też, czym jeździł.

Thorne uznał, że to bez różnicy. W końcu gdzieś staną, a on chciał zamienić tylko parę słów...

Opuściwszy biuro wynajmu minitaksówek, przejechał kilometr czy dwa na wschód i zajrzał pod domowy adres Memeta Zarifa. Był to z wyglądu zwyczajny bliźniak w Clapton z widokiem na drugi brzeg rzeki Lea i rozciągające się tam mokradła Walthamstow. W okolicy było wiele atrakcyjnych miejsc, ale Thorne domyślał się, że Zarif dysponował także innymi nieruchomościami, o których dotąd nie wiedzieli.

Thorne spędził czterdzieści minut z gazetą w dłoni, aż w końcu zobaczył, jak drzwi frontowe powoli się otwierają i wyłonił się z nich Hassan Zarif. Miał rękę na temblaku, jedyny widoczny ślad po kuli, która strzaskała mu obojczyk. Kiedy Hassan czekał na podjeździe przy aucie, pojawił się jego starszy brat. W progu stanęła także jego żona i dziecko. Memet ucałował swoją rodzinę na pożegnanie, a Thorne wrócił szybkim krokiem do jednej z bocznych uliczek, gdzie zaparkował.

Kiedy granatowe BMW minęło go parę minut później, Thorne powoli wyprowadził samochód i włączył się do ruchu, podążając za braćmi.

Przebili się przez spory korek do Stroud Green i tamtędy dotarli do nieco luźniejszego Crouch End. Była to okolica popularna wśród artystów, którzy nie przepadali za Hampstead i Highgate. Pomimo braku stacji metra w ubiegłym roku ceny lokali osiągnęły tu zawrotny pułap i jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się modne bary oraz restauracje. Większość tutejszych klientów, zarabiających grubo powyżej średniej krajowej, ignorowało z natury mniej wystawne przybytki w rodzaju kiosków ze świerszczykami, kafejek pracowniczych czy salonów masażu.

Główna ulica rozwidlała się po obu stronach wieży zegarowej, a Thorne patrzył, jak Zarif skręca w prawo, po czym ostro hamuje i staje na podwójnej żółtej. Thorne przejechał obok, gdy bracia wysiedli z auta, i wjechał w boczną uliczkę, kiedy ruszyli chodnikiem w kierunku jednego z wejść.

Neon w oknie wystawowym po zmroku świecił na czerwono. O wpół do jedenastej rano brudne litery układały się w napis „sauna”. Dziewczyna w recepcji też zapewne wyglądała lepiej po zmierzchu, miała mniej ziemistą cerę i była mniej wkurzona. Uśmiech, jaki przykleiła sobie do ust, kiedy Thorne przestąpił próg, zmienił się w złowieszczy grymas, kiedy pokazał jej legitymację.

- Ożeż kurwa - syknęła.

- Nikogo takiego tu nie uświadczę, prawda? - Thorne podszedł do drzwi na drugim końcu holu i przechylił głowę z boku na bok. - Trochę boli mnie szyja - powiedział. - Czy jest tu ktoś, kto mógłby zaradzić coś na sztywny kark?

- Przykro mi, że nie mam mokro z tej radości.

Thorne sięgnął dłonią do klamki. Dziewczyna była zbyt leniwa albo zbyt pochłonięta lekturą pisma, aby próbować go zatrzymać.

Za drzwiami znajdował się salon, który nie był urządzone zbyt wytwornie. Thorne domyślał się, że większość klientów ani trochę się tym nie przejmowała, gdyż wzrok w jednej chwili kierował się od wielobarwnego dywanu w stronę wielkiego telewizora, na którego ekranie można było podziwiać pary oddające się rozmaitym wyuzdanym igraszkom. Obecnie cycata blondyna w podkolanówkach była zajęta entuzjastycznym fellatio. Jurny ogier, którego obsługiwała, miał zamknięte oczy i ogólnie wyglądał na zadowolonego...

Hassan Zarif siedział przy drzwiach w welurowym fotelu. Czerwony szlafrok frotte miał rozchełstany na piersiach, a zdrową ręką wertował strony „Daily Mirror”. Wydał z siebie ni to jęk, ni to stęknienie, kiedy uniósł wzrok i stwierdził, że ma towarzystwo.

- Jaka szkoda - rzekł Thorne, wskazując na temblak. - Gdybyś nie dał się postrzelić, mógłbyś swobodnie trzepać kapucyna i czytać gazetę.

Hassan poruszył się niespokojnie w fotelu, pragnąc wstać i równocześnie ukryć fakt, że miał erekcję.

- Nie wstawaj - rzucił Thorne.

Już po chwili Hassan odzyskał rezon. Założył nogę na nogę i poprawił szlafrok.

- Jeżeli przyszedł pan tu po darmowy numer, zobaczę, co da się zrobić - powiedział. - Jestem pewien, że wielu funkcjonariuszy policji jest tu przyjmowanych jak VIP-y.

Thorne wolno krążył po pokoju. Sięgnął po leżącego na przeszklonym stoliku pilota i wyłączył telewizor.

- Wybacz, ale przez to siorbanie trudno mi się skupić.
- Zakładam, że czegoś pan chce...
- To wasze, prawda?
- Słucham?

Thorne rozłożył ręce.

- To miejsce należy do imperium braci Zarif?

Hassan uśmiechnął się.

- Nie. Ten lokal jest własnością znajomego, ale zastanawiamy się nad możliwością zainwestowania w tego typu interes.

- Jasne. Więc... co to ma być? Rozpoznanie?

- To dokładnie to, na co wygląda. Nie jestem pewien, czy może mnie pan za to aresztować, ale jeżeli pan chce, proszę bardzo. Chętnie popatrzę, jak robi pan z siebie błazna.

Thorne pokiwał głową.

- A wiesz, że ja równie chętnie podszedłbym i złamał ci drugą rękę? Ciekawe, jak chętnie ktoś musiałby ci w tej sytuacji podcierać tyłek...?

Hassan wysunął do przodu sterczący podbródek i wskazał ręką na sufit. Thorne spojrzał w górę na maleńką kamerę zamontowaną wysoko ponad fragmentami odlepiającej się tapety.

- Zdziwiłbyś się, jak łatwo z pomieszczenia z dowodami rzeczowymi może zniknąć zwykła kaseta - powiedział Thorne.

Nachylił się w stronę łukowatego przejścia po drugiej stronie pokoju, oparł się o plastikowy filar i zajrzał do środka. Po lewej stronie wzdłuż wyłożonego dywanem korytarza widniał ciąg pokoi - apartamentów, jak je reklamowano na plakacie w recepcji.

Thorne wrócił do salonu i spojrzał na Hassana. Uznał, że całkiem nieźle rozszyfrował całą trójkę braci: Tan, najmłodszy, był twardzielem i miał „krótki lont”. Hassan opracowywał plany biznesowe i kombinował, gdzie ukryć pieniądze. Żaden z nich nie był tym, z którym chciał mówić Thorne.

Wskazał ręką w stronę łukowatego przejścia.

- Wielki Brat jest gdzieś tam, mam rację?

- Przypuszczam, że śledził pan nas aż tutaj, więc wie pan doskonale, że tak.

- A ty tak tu sobie siedzisz, czekając na nagły wytrysk energii?

Hassan nie odpowiedział, ale jego broda drgnęła nieznacznie pod napiętą mocno skórą wokół zaciśniętych szczęk.

- Przypuszczasz? - zapytał Thorne. - Nie zauważyłeś mnie? To dobra nowina. Upłynęło sporo czasu, odkąd ostatni raz miałem okazję kogoś śledzić, i pomyślałem, że mogłem wyjść z wprawy.

Zanim przeszedł przez łukowato sklepione wejście, Thorne podniósł pilota i ponownie włączył film. Blondyna wróciła do przerwanej czynności.

- To prawdziwy klasyk - rzekł Thorne. - Bez obawy, nie powiem ci, jak się to skończy, na wypadek, gdybyś wcześniej tego nie widział...

Rooker obracał w dłoni kartę telefoniczną, czekając na swoją kolejkę do aparatu. Zostało mu sporo kredytu, którego aż do teraz nie miał okazji wykorzystać. W więzieniu karty telefoniczne zawsze były pożądanym towarem, jak twarda waluta, dla tych, co mieli do kogo zadzwonić. Zanim wyjdzie na wolność, opchnie ją za fajki.

W ciągu ostatnich paru miesięcy wykorzystywał kartę częściej niż wcześniej, jednak nie znał zbyt wielu osób, z którymi chciałby pomówić. I jeszcze mniej takich, które chciałyby z nim rozmawiać.

Mężczyzna przed nim zaklął i cisnął słuchawkę na widełki. Rooker, unikając wzroku tamtego, podszedł do aparatu. Włożył kartę do otworu i wybrał numer.

Kiedy w końcu odebrano, odpowiedź była krótka, konkretna, jak to w biznesie.

- To ja - rzekł Rooker.
- Jestem zajęty. Streszczaj się.
- Wiesz, że wychodzę za kilka dni...?

Mężczyzna na drugim końcu łącza nic nie powiedział, czekając, aż Rooker rozwinię to zdanie.

- Tak tylko sprawdzam, no wiesz, chciałem potwierdzić, że wciąż mamy umowę...

Rozległ się chrapliwy śmiech.

- Sytuacja nieco się zmieniła.
- Jasne, a komu w związku z tym lepiej się powodzi? Teraz nic, tylko kosić szmal...

- Miejmy nadzieję.

- Oczywiście, że tak będzie. Bądź co bądź, zabrakło wam konkurencji, co nie? - Rooker odchrząknął, usiłując zachować spokojny, przyjacielski ton głosu. - Posłuchaj, zostanę przeniesiony. Nie wiem jeszcze dokąd, ale jak tylko się dowiem, dam ci znać.

Zapadła długa cisza. Rooker usłyszał głosy w tle. Mężczyzna, z którym rozmawiał, mówił coś do kogoś, po czym znów wrócił do telefonu.

- To dobrze. Miejmy nadzieję, że się uda, że wszystko będzie dobrze, tak?

- Zaczekaj, chcę wiedzieć, że gwarantujesz mi ochronę.

- Przed kim?

- Przed tymi, co... - Rooker próbował opanować narastający w nim gniew. Taką samą rozmowę odbył niedawno z Thorne'em. To niewiarygodne...

- Bez obawy. Jak powiedziałeś, mamy umowę...

- Świetnie. Doskonale. - Rooker ujrzał swój uśmiech, odwrócone odbicie w kawałku powgniatanego metalu nad telefonem. - A więc tak tylko żartowałeś...?

- Tak. Tylko żartowałem...

- Bo przecież, no wiesz, wszystko może się zdarzyć, prawda? Umówiliśmy się, że będziesz nade mną czuwał. Ze podejmiesz niezbędne kroki...

- Masz to zagwarantowane.

W głosie Rookera pojawił się lodowaty chłód.

- Jeżeli coś mi się stanie...

Podobny chłód pojawił się także w głosie jego rozmówcy. W słowach, które powtórzył, zanim przerwał połączenie.

- Masz to zagwarantowane.

To, co w recepcji określono mianem apartamentu dla VIP-ów, było jedynie dużą łazienką z sofą stojącą w rogu. Ściany wyłożono lśniącą jasną sosnową boazerią, która aż ociekała wilgocią. Na wieszakach wisiały czerwone szlafroki, a większość wolnego miejsca zajmowało różowe plastikowe jacuzzi. Zawieszony na ścianie telewizor, prawdopodobnie



nastawiony na odbiór tego samego filmu co w recepcji, był wyłączony. Memet Zarif nie potrzebował stymulacji obrazami. Zaspokajała go, i to z ożywieniem, kobieta, która była razem z nim w kąpieli, ale z uwagi na brak akwalungu zapewniała mu rozkosze manualnej, a nie oralnej natury. Kobieta, której powiększone piersi unosiły się na wodzie jak boje, przerwała wykonywanie czynności, gdy tylko zauważyła Thornea.

Memet schwycił ją za nadgarstek i wciągnął jej rękę pod wodę. Odezwał się do niej, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Thorne a:

- Nie przerywaj.

Przez kilka długich sekund niewiele się działo, aż w końcu kobieta z głośnym piskiem wyszarpnęła rękę i wyszła z jacuzzi. Ociekając wodą, podeszła i wzięła jeden z wiszących za Memetem szlafroków; jej brak nieśmiałości rzucał się w oczy równie mocno, jak blizny i rozstępy. Wsunęła stopy w sandały i odwróciła się do Zarifa.

- Mam kogoś przyprowadzić?

Memet pokręcił głową; nie był ani trochę zaniepokojony. Kobieta otaksowała Thorne a wzrokiem, jakby oceniała jak dużego patyka potrzebowała, by zdrapać go z podeszwy sandała.

- Czy jestem gliną, czy najemnym zbirem? - spytał ją Thorne. -A może jednym i drugim? Wiem, że trudno ci to określić. - Skinął na Memeta. - Twój przyjaciel pomaga mi w śledztwie, więc może idź i umyj ręce...

Kobieta wyjęła z włosów spinkę i rozpuściła je, przechodząc przez pokój. Przystanąła na moment, by zasyczeć na Thornea, zanim zniknęła w korytarzu.

- Palant...

- I kto to mówi - wycedził.

Kiedy Thorne odwrócił się do Memeta, tamten zniknął pod wodą. Thorne zaczekał i patrzył, jak mężczyzna wynurza łysiejącą głowę i otrząsa się z wody jak pies.

- Przepraszam, że przeszkadzam...

- Ona miała rację - rzekł Memet. - Palant z pana. - Akcent sprawił, że to słowo zabrzmiało dobitniej niż wcześniej w ustach kobiety.

- Pomyślałem, że może chciałbyś wiedzieć, że znaleźliśmy kilka kolejnych waszych zaginionych odtwarzaczy DVD - rzekł Thorne.

Memet uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem.

- Brawo.

- Pojawiły się w kilku punktach miasta. Te konkretne myły samochody i pracowały w kuchni. Może któregoś dnia dowiemy się, skąd przybyły. Co ty na to?

- Powodzenia...

- Nawiasem mówiąc, gdzie jest Tan?

Memet otarł wodę z oczu i mruknął coś niezrozumiale.

- Cóż, Hassan jest tam, na zewnątrz, i czeka grzecznie na swoją kolej, a ja wiem doskonale, że wy trzej trzymacie się raczej dość blisko, więc zacząłem się zastanawiać, co się stało z najmłodszym członkiem waszej rodziny.

- Brat jest na wakacjach...

- Ach, tak. - Zatem to niemal na pewno Tan wpakował sześć kul w Donalę Jacksona. Thorne'a zbytnio to nie zdziwiło. - Poczul nagłą chęć udania się w podróż? Jak dobrze poszukać, można znaleźć całkiem ciekawe oferty wyjazdów last minutę.

- Po tym, co się stało, był naprawdę wstrząśnięty. Po całej tej strzelaninie...

- Jestem pewien, że to bardzo traumatyczne przeżycie dla was wszystkich...

Oblicze Memeta nagle spochmurniało.

- Hassan omal nie zginął. W biały dzień facet wchodzi do biura z bronią.

- Wiem. To niesportowe, prawda? Dzięki Bogu, że pojawił się ten tajemniczy drugi strzelec. Jesteś pewien, że to był strzelec, a nie, dajmy na to, Batman albo Wonder Woman?

Memet milczał. Wodził palcami w tę i z powrotem, mącąc powierzchnię wody. Żarty się skończyły.

Plastikowe płytki zapiszczały pod podszwami butów Thornea, kiedy postąpił krok w stronę jacuzzi.

- Posłuchaj, co teraz powiem. Uważam, że Stephen Ryan to dupek, ale za tobą też nie przepadam. Gdyby Ryan był teraz w jacuzzi razem z tobą, stanąłbym na samym początku kolejki chętnych do wrzucenia wam do wody włączonej suszarki czy czegoś takiego.

- Mam się bać?

- Masz posłuchać. Nie będzie żadnego odwetu za to, co się stało w biurze wynajmu minitaksówek, rozumiemy się? Macie, chłopcy, wszyscy co do jednego odłożyć broń.

- Nie wiesz, o czym mówisz...

- Nie obchodzi mnie wasza polityka. Mam gdzieś, że nasze zasoby ludzkie zostaną skierowane gdzie indziej, że czekają nas inne, może nawet ważniejsze zadania i że w sumie wyświadczyliście nam, gnoje, przysługę,

zabijając się nawzajem. Chcę, żebyś wiedział jedno - jeżeli pojawią się kolejne ciała, jeśli szwagier przyjaciółki ciotki kuzyna Stephena Ryana skreśli choćby nogę w kostce, zacznę wam bruździć. I to niekoniecznie oficjalnie...

W głosie Memeta pojawiło się rozbawienie, ale także szczere zakłopotanie i zaciekawieni.

- Czemu traktuje pan to wszystko tak... osobiście?

Thome poczuł się nagle bezradny jak maleńka beztroska postać; tak zawsze wyobrażał sobie ojca. Słowa, które chciał wymówić, były potężne i grzmiące. Powinny zostać wykrzyczane na całe gardło. Powinno się je wchłonąć i wypluć niczym silną truciznę. Zamiast tego Thorne usłyszał, jak wypływają z jego ust prawie jak szept, bez większego przekonania i emocji.

- Bo wy nie zatrzymujecie się tam, gdzie inni - powiedział. Mówiąc to, wlepił wzrok w podłogę, a słony pot spływał mu do oczu. Patrzył na pasek mastyksu w miejscu, gdzie płytki łączyły się z podstawą jacuzzi. - Bo nie znacie granic...

Zapadła długa chwila ciszy i bezruchu, zanim Memet podźwignął się z kąpieli. Na jego krągłych ramionach zebrały się duże krople wody. Spływały strużkami pośród jego ciemnych włosów, przez otłuszczone pierś i masywny brzuch.

- Pomówię z tymi, którzy mają wpływy w naszej społeczności...

- Nie wciskaj mi kitu o „filarach społeczności” - Thorne podniósł głos.

- Dość się tego nasłuchałem w hotelu.

- Moja rodzina uczyniła wszystko, o co nas poproszono...

- Nawiasem mówiąc, czy pani Zarif wie o ręcznej robocie, na jaką sobie pozwalasz w porze lunchu?

- To już brzmi nieomal rozpaczliwie.

- Nieważne...

Memet usiadł, ociekając wodą.

- Opowiedz mi o tym, co robisz - rzekł Thorne. - Tu i teraz, zrób to. Opowiedz o zabijaniu i o tym, co cię kręci, a co zyskujesz, kontrolując życie innych. Nie może przecież chodzić tylko o pieniądze... -Przerwał, kiedy Memet wstał i spojrzał na niego, w jego postawie kryła się buńczuczna śmiałość, a w nagości jakieś osobliwe wyzwanie. -Tu nie ma przecież potrzeby niczego ukrywać, prawda? - rzekł Thorne.

Woda stygła, ale w pokoju z każdą chwilą robiło się coraz goręcej.

- Jest nas tu tylko dwóch. Ty i ja. Niczego nie będę zapisywał, pamięć zaczyna mi już nieco szwankować, a nie mam w kieszeni magnetofonu, więc wszystko pozostanie w tym pomieszczeniu. Bądź co bądź, dyskrecja to tutaj podstawa. Tak jak we wszystkim innym, co się tu dzieje. Opowiedz mi o tym wszystkim, ale szczerze. Jeden, jedyny raz...

Memet sięgnął powoli po ręcznik przerzucony przez oparcie sofy i zaczął się wycierać.

- Tamtego dnia w kafejce mego ojca - zaczął - powiedział pan, żebym pomyślał życzenie. Pamięta pan?

Thorne przypomniał sobie wiszące pod sufitem latarenki i wijące się wokół nich jak dżiny wstęgi tytoniowego dymu. Przypomniał sobie, co powiedział na odchodne.

- I jak, pomyślałeś sobie jakieś?

- Owszem, ale się nie spełniło...

Thorne dokończył puentę za Memeta. Uśmiechnął się, ale poczuł na karku kropelki lodowatego potu, gdy powiedział:

- Ponieważ nadal żyję.
- Wiedziałem, że powinienem być kupić zabawkę czy coś takiego.
- Nie ma sprawy. Na pewno da się je wymienić.
- Oby. Wyrzuciłem rachunek...

Mówili cicho, wiedząc, że dziecko spało w wiklinowym koszu pod oknem.

- Może po prostu je zatrzymamy. Nigdy nic nie wiadomo... Thorne, kiedy tylko ujrział dziecko Hollanda, zorientował się, że

śpioszki, które kupił, są za małe. Holland wziął ubranka do ręki; usiłował powiedzieć na ich temat coś dobrego.

- Co, zamierzacie mieć drugie dziecko? - spytał Thorne.

- No cóż... - Holland zaśmiał się i upił łyk piwa. Thorne, wściekły na siebie, w końcu zrobił to samo.

- Sophie musiała wyjść, umówiła się z koleżanką - rzekł Holland.

- Na pewno żałuje, że nie mogła się z panem zobaczyć. Mam pana od niej pozdrowić...

Thorne po prostu pokiwał głową i nieznacznie się zaczerwienił. Wiedział, że Holland kłamie, a jego dziewczyna na wieść o wizycie Thornea, po prostu zmyła się z domu. A może zamknęła się w sypialni, czekając, aż on sobie pójdzie.

Siedzieli na sofie w salonie Hollanda. Mieszkanko na pierwszym piętrze było tak zagracone, że wydawało się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości. Thorne rozejrzał się dokoła, by stwierdzić, że jeśli reszta

mieszkania jest równie zavalona rzeczami, Sophie nie miałyby się gdzie ukryć...

Holland jakby czytał w jego myślach.

- Sophie uważa, że powinniśmy poszukać większego mieszkania.
- A co ty na to?
- Ma rację, powinniśmy. To, czy nas na nie stać, to inna sprawa...
- Musisz brać więcej nadgodzin, stary.
- Brałem. Ale nie wiem, czy teraz będzie jeszcze po temu okazja.

Choć Thorne uniósł piwo w dłoni, nie miał na nie ochoty. Nachylił się i odstawił puszkę na podłogę.

- Nie przejmuj się tym, Dave. Może nie współpracujemy już z S07, ale prędzej czy później pojawi się jakiś świr, którego trzeba będzie złapać.

Holland pokiwał głową.

- Boże. Mam nadzieję, że to będzie prawdziwy psychol. Przydałyby się nam trzy sypialnie...

Ten żarcik był zabawny tylko z powodu mrocznej prawdy, jaką zawierał. Thorne wiedział aż za dobrze, że w świecie pełnym niepewności, w mieście szokujących kontrastów i zmiennych idei pewne rzeczy były przeraźliwie niezmiennie. Ceny domów rosły albo spadały. Spurs mieli kiepski lub przeciętny sezon, burmistrz był wizjonerem bądź idiotą.

A liczba zabójstw rosła coraz bardziej...

- Co pan sądzi o tak nagłym przerwaniu całej operacji? - spytał Holland. - Wiem, że pan i nadinspektor nie przepadaliście za sobą, ale...

Thorne nie miał ochoty wracać do wczorajszej rozmowy z Tugha-nem. Opowiedział za to Hollandowi, jak spędził ranek.

- Domyślam się, że zamówili cały salon masażu dla siebie.

- Jak wtedy, kiedy zamknęli Harrodsa, żeby jakaś gwiazda filmowa mogła tam zrobić zakupy - rzekł Holland. - Tylko że z prostytutkami...

Thorne opowiadał o konfrontacjach w pokoju rekreacyjnym i apartamencie dla VIP-ów, przydając komicznej przesady relacjonowanym rozmowom z Hassanem i Memetem Zarifem. Z podobną przesadą ukazał to, co jego zdaniem było drobnym zwycięstwem, i podkoloryzował te, które wydawały się nie dość wyraziste. Strach całkowicie pominął. ••

- Sądzi pan, że to coś da? - spytał Holland.

- Zapewne nie. - Thorne spojrzał na dziecko, patrzył przez kilka sekund, odliczając oddechy wyznaczane unoszeniem się i opadaniem drobnych pleców dziewczynki. - Ale nie możemy pozwolić, aby tym skurwielom po prostu się... upiekło, prawda? Wiem, że przez cały czas są gdzieś niedaleko i robią swoje, ale powinniśmy czasem dać im mocniej w kość, aby o nas nie zapomnieli...

Thorne uniósł wzrok ku oknu, by stwierdzić, że na zewnątrz zaczęło się szybko ściemniać.

- Myślałem, że mnie to coś da.

Dziecko zaczęło się wiercić, zapłakało cichutko i zaczęło wierzgać drobnymi nóżkami. Holland podszedł i przykucnął obok koszyka. Thorne patrzył, jak sierżant wyjmuje smoczek z ust córeczki, wkłada go z powrotem i powtarza tę czynność kilka razy, dopóki mała się nie uspokoiła.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł Thorne.

Holland wrócił na sofę. Wziął swoje piwo.

- Mogę mieć prośbę?

- O ile nie chodzi o zmianę pieluch...



- O szczerą odpowiedź. Krążą pewne plotki...

Thorne nawet nie zdjął kurtki. W mieszkaniu było ciepło, ale nie miał pewności, jak długo zabawi. Nagle jednak zrobiło mu się duszno, jak parę godzin wcześniej, kiedy stał obok jacuzzi.

- Jasne - rzekł.

- Miał pan romans z Alison Kelly?

Cała gama obrazów pospiesznie skleconych zaprzeczeń i oczywistych kłamstw przemknęła przez umysł Thorne'a, zanim odpowiedział. Skąd się wzięły te plotki? To nie miało teraz znaczenia. Od przejmowania się tym nabawiłby się jedynie bólu głowy, a i tak nic by to nie dało...

Thorne nie chciał oszukiwać Dave'a Hollanda. Nie chciał mu spojrzeć w twarz i skłamać w żywe oczy. Koniec końców postanowił powiedzieć prawdę, bo nie potrafił zniżyć się do kłamstwa.

- Owszem, spałem z nią.

Wyraz twarzy Hollanda w jednej chwili zmienił się z konsternacji w rozbawienie. A potem przerodził się w coś jeszcze innego, w coś szpetnego, i właśnie wtedy Thorne postanowił powiedzieć mu o całej reszcie. Nie zniósłby, gdyby Holland choć przez chwilę dłużej patrzył na niego z przejęciem. Wyglądało, jakby był pod wrażeniem.

Kiedy Thorne skończył swoją opowieść, kiedy słowa opisujące proste powtarzalne czynności i wypowiedziane przy stoliku w pubie zmieniły się w te, które najlepiej opisywały ociekające krwią ciało Billy'ego Ryana na podłodze w kuchni, siedzieli i przez minutę lub dwie wpatrywali się w śpiącą Chloe.

Holland dopił piwo, po czym bardzo powoli zgniótł puszkę.

- To tylko taka luźna pogawędka, tak? Nic oficjalnego?

- Jeśli pytasz o to, czy możemy zapomnieć o stopniach służbowych, to powiem, tak.

- Dokładnie tak...

Nieprzyjemne odczucie towarzyszące świadomości, że nie powinien był nic mówić, wydało się Thorne owi przeraźliwie znajome.

- Ale nie zapominaj, że to obowiązuje tylko tu i teraz oraz że dość szybko wpadam w złość, jasne? - Mówiąc te słowa, uśmiechał się, ale miał nadzieję, że tamten wychwycił zawartą w nich powagę. Wiedział, że Holland miał go za pieprzonego idiotę, podobnie jak Carol Chamberlain, ale nie chciał znów tego usłyszeć...

Holland zastanowił się przez chwilę i zrobił to, czego Thorne wielokrotnie nie potrafił uczynić. Nie odezwał się już ani słowem.

Thorne w drodze powrotnej z Elephant and Castle myślał o Alison Kelly. Choć wcześniej nie zastanawiał się nad tym, teraz zaczął się martwić, czy ona opowie komukolwiek, co się wydarzyło. Zaczął pytać sam siebie, co mogłoby się stać, gdyby to zrobiła...

Gdyby wspomniała adwokatowi o rozmowie z pewnym inspektorem, z całą pewnością ten poradziłby jej, aby upubliczniła tę informację. Bądź co bądź, to mogłoby stanowić znaczący element na poparcie tezy o ograniczonej poczytalności. Czyż to nie oczywiste, że równowaga psychiczna kobiety zaburzyła się, gdy powiedziano jej, że były mąż usiłował ją podpalić, kiedy miała czternaście lat? I że to on jest odpowiedzialny za podpalenie jej najlepszej przyjaciółki? Czy takie słowa nie pchnęłyby większości ludzi ku granicy szaleństwa?

Szmery z galerii i potakujące ruchy głową przysięgłych.

Ale dlaczego oskarżona miałaby uwierzyć w tak irracjonalną historię?

Cóż, Wysoki Sądzie, dowiedziała się tego od oficera policji prowadzącego śledztwo w sprawie jej eksmęża. Powiedział jej o tym, nawiasem mówiąc, kiedy wylądowała w jego łóżku...

W całej sali ludzie wstrzymują oddech ze zdumienia...

Thorne nie bardzo wiedział, co by się z nim stało, gdyby prawda została ujawniona. Instynkt podpowiadał mu, że podjęto by przeciw niemu pewne działania i najprawdopodobniej musiałby odejść ze służby. Inna jego część nie była pewna, jaką właściwie złamał zasadę. Może pisano o tym w skrypcie, do którego jak dotąd nie miał okazji zajrzeć. Nie mógł przecież pójść i zapytać o to Russella Brigstocke a.

Im dłużej o tym myślał, tym prostsza stawała się ta sprawa. Czy ona mogła komukolwiek powiedzieć? Czy Alison Kelly, sama lub za radą innych, poświęciłaby go w zamian za niższy wyrok albo miłą, przytulną izolatkę w szpitalu?

Przejeżdżając przez most Waterloo, uznał, że to całkiem możliwe.

Objężdżając Russell Square, stwierdził, że raczej tego nie zrobi.

Zanim zatrzymał wóz przed swoim domem, Thorne wiedział już tylko, że nawet gdyby to zrobiła, nie mógłby mieć jej tego za złe.

Myśli o Alison Kelly prysły z jego głowy, kiedy podszedł do drzwi frontowych i znieruchomiał z kluczami w dłoniach. Wlepił wzrok w porysowaną farbę i wyobraził sobie twarz Memeta Zarifa z wodą ściekającą powoli z gęstych ciemnych brwi. Spojrzał na rysy na drzwiach, wgłębienia i sterczące drzazgi widoczne wyraźnie w świetle pobliskiej latarni. Lodowate ciarki przeszły mu po plecach i zrozumiał, że Memet podjął decyzję. Kiedy nie wystarczają życzenia, należy działać.

Thorne patrzył osłupiały na drzwi frontowe swego mieszkania i wyryty na nich bardzo głęboko znak X.

Thorne w ciągu minuty zakręcił i zawrócił w stronę głównej ulicy, klnąc na czym świat stoi. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe, oddech miał przyspieszony jak niemowlę, na które patrzył zaledwie przed godziną.

Istotne było, aby zachował spokój i dotarł na miejsce w jednym kawałku. Musiał pohamować gniew, aby go zachować i wykorzystać przeciwko Memetowi Zarifowi, kiedy w końcu dorwie skurwiela...

Ryknął z wściekłości i ostro dał po hamulcach, a jego głos utonął w pisku blokowanych kół, kiedy BMW, zakołysawszy się gwałtownie, zatrzymało się na czerwonym świetle. Widział, jak kłykcie jego palców zaciśniętych na kierownicy bieleją, kiedy czekał, aż czerwone zmieni się na zielone.

Patrzył na przejeżdżającą taksówkę. Czuł, jak jego klatka piersiowa napiera na pas bezpieczeństwa, jakby chciała go rozerwać. Wsłuchiwał się w szelest skóry o nylon i spazmatyczne łomotanie serca...

Oświecenie przyszło nagle i niespodziewanie jak siarczysty policzek, a Thorne nieomal poczuł na twarzy piekący ból i rozlewające się powoli ciepło. Wychylił się lekko do przodu i włączył światła postojowe, nie zważając na auta, które go mijały, i gniewne spojrzenia kierowców.

Taksówka... Minitaksówka...

Przypomniał sobie twarz, którą dostrzegł dziś rano za kierownicą omegi - kierowcę przed domem Zarifa przy Green Lanes, który zapytał go, czy nie potrzebuje taksówki. Przypomniał sobie, gdzie widział tę twarz wcześniej.

Thorne zaczekał, aż światła znowu się zmieniają, zawrócił wóz i niespiesznie wrócił do swego domu.

Dlaczego ten człowiek prowadził taksówkę dla Memeta Zarifa? Czy wciąż był jeszcze w pracy? Warto to sprawdzić...

Umysł Thorne'a pracował gorączkowo jak wcześniej, adrenalina wypełniała jego krwiobieg, ale teraz czuł także spokój, którego tak bardzo potrzebował.

Spokój świadczący o zdecydowaniu i celowości działania.

Wybrał numer, zanim jeszcze BMW zatrzymało się przed jego domem. Wysiadając z auta, wsłuchiwał się w sygnał oczekiwania na połączenie.

Plujący flegmą typ, który odebrał, nie był przez telefon ani odrobinę bardziej uprzejmy niż przy bezpośrednim spotkaniu.

- Firma przewozowa...

- Potrzebuję taksówki, możliwie jak najszybciej, adres w Kentish Town - rzekł Thorne.

- Jaki adres?

- Potrzeba mi niezłej, wypasionej bryki. Chcę zrobić na kimś wrażenie. Macie mercedesy lub coś w tym guście?

- Niestety, nie.

Thorne oparł się plecami o swój wóz.

- Musicie mieć jakąś niezłą brykę. Może scorpiona lub omegę. Dobrze zapłacę...

- Mamy omegi. - Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby wypluwał z siebie każde słowo ze skrajną niechęcią.

- To świetnie. Może być. Kto jest kierowcą?

- Co to za różnica?

Czy w pytaniu pojawiła się nuta podejrzliwości? Thorne uznał, że była to raczej naturalna zgorzkniałość.

- Jechałem z takim jednym parę tygodni temu i gęba mu się ani na chwilę nie zamykała...

Thorne usłyszał nazwisko kierowcy i poczuł, że ogarnia go euforia.

- Doskonale - oznajmił.

- Pański adres?

Thorne spojrzał na znak X wryty na drzwiach frontowych. Nie mógł podać im adresu, który z oczywistych względów znali. Nie chciał przecież, by kierowca zorientował się, po kogo jedzie. Podał adres sklepu przy Kentish Town Road i powiedział dyspozytorowi, że będzie czekał na zewnątrz.

- Za kwadrans, stary...

Thorne był już w drodze.

Z kwadransa zrobiło się dwadzieścia pięć minut, ale czas płynął szybko. Thorne miał wiele do przemyślenia. Nie miał pewności, czy kierowca, który odezwał się do niego dziś rano przed firmą przewozową, nie wiedział, z kim naprawdę ma do czynienia. Thorneowi pozostało mieć nadzieję, że człowiek, na którego teraz czekał, szukał po prostu klienta i za takiego go właśnie uznał.

Kiedy podjechała omega, spojrzał uważnie na kierowcę. Niby wszystko się zgadzało...

Thorne wsiadł do samochodu z tyłu, mając pełną świadomość, że wcześniej w wielu kwestiach zwyczajnie się pomylił.

- Dokąd? - spytał kierowca.

Nad tym akurat Thorne się nie zastanawiał.

- Przedmieścia Hampstead Garden - powiedział.

Było to dobrych parę kilometrów stąd. Za Highgate. Thorne miał nadzieję, że dostatecznie daleko i że zanim dojadą na miejsce, dowie się tego, o co mu chodziło...

Kierowca stęknął ciężko i włączył wóz do ruchu, kierując się na północ Kentish Town Road.

Jechali przez blisko pięć minut w kompletnej ciszy. Może dyspozytor napomknął, że klient nie lubi pogawędek. Tak czy owak, Thorneowi to odpowiadało. Miał czas, aby pozbierać myśli. Rozpoznał Wayne'a Brookhouse'a, w końcu przypomniał sobie jego twarz widzianą na nagraniu z kamery przemysłowej, która zarejestrowała gości Gordona Rookera. Przypomniał sobie, jak Stone i Holland rozłożyli na biurku jego czarnobiałe zdjęcia. Brookhouse, jeżeli faktycznie tak się nazywał, nie nosił już okularów, a włosy miał dłuższe niż podczas ostatniej wizyty u Rookera. Miał być chłopakiem córki, tak? Albo raczej byłym chłopakiem...

Co Stone powiedział o Brookhousie po tym, jak go przesłuchał? Trochę śliski? Thorne miał powody przypuszczać, że kierowca, który go wiozł, był bardziej śliski, niż się komukolwiek zdawało.

Miękkie skórzane siedzenie zaskrzypiało, kiedy Thorne rozsiadł się wygodnie.

- Pracowity dzień, prawda, Wayne?

Brookhouse obejrzał się przez ramię na krótką chwilę, aby nie stracić kontroli nad pojazdem.

- Czy my się znamy?

- Jestem kumplem kumpla - odparł Thorne.

- Aha...

Thorne widział, jak tamten wodzi wzrokiem, popatrując to na drogę, to w lusterko wsteczne. Nieomal słyszał zgrzyt trybików obracających się w głowie tamtego, gdy Brookhouse usiłował się zorientować, kogo, u licha, wiezie. Thorne postanowił trochę mu pomóc...

- Jak twoje życie uczuciowe, Wayne? Wciąż dogadzasz córce Gordona Rookera? Jak ona ma na imię, bo zapomniałem?

Thorne zauważył, że mężczyzna zeszywniał, zapewne zastanawiał się, jaka odpowiedź byłaby „właściwa”, zważywszy na okoliczności. Thorne zaczął wątpić, czy Brookhouse kiedykolwiek poznał córkę Gordona Rookera.

- Kim ty jesteś, u diabła? - rzucił Brookhouse. Najwyraźniej uznał, że agresja będzie najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

- Jak się będziesz tak zachowywał, to zapomnij o napiwku...

- Dobra, dość tego - mruknął Brookhouse i zaczął zjeżdżać w stronę krawężnika.

- Nie zatrzymuj się - rzekł Thorne. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że na agresję reagował w nie najlepszy sposób.

Brookhouse wjechał na środkowy pas, mijając korty tenisowe przy Parliament Hill.

- Kto cię wynajął? - spytał Thorne. - Nie potrafię zgadnąć, czy byłeś jednym z chłopaków Memeta i to on podesłał cię Rookerowi, czy może miałeś z nim jakieś układy i to on znalazł ci pracę w firmie przewozowej.

Czekał na odpowiedź. Bezskutecznie.

- To mało ważna informacja - rzekł Thorne. - Jestem po prostu ciekaw. Tak czy owak, nie ulega wątpliwości, że przekazywałeś informacje w



jedną i drugą stronę. Wpadłeś na widzenie z Rookerem, udając niegroźnego cwaniaka, co bzyka jego córkę, a przy okazji przekazywałeś mu wiadomości od Memeta...

Wiele pytań wciąż wymagało odpowiedzi, ale Thorne jednego był już pewien - niezależnie od tego, jaki układ pragnął zawrzeć z nim Rooker, równocześnie starał się dobić targu z Memetem Zarifem. Jeżeli zamierzał pozbyć się Billy ego Ryana, Rooker postanowił rozegrać to możliwie jak najbezpieczniej.

- Rooker mówił nam, że jesteś mechanikiem samochodowym. Kłamał? Potrafiłbyś odróżnić rurę wydechową od gazurki? Mojego konstabla, który cię przesłuchiwał, udało ci się przekonać.

- Ty jesteś Thorne...

- Brawo. Strzał w dziesiątkę. A ty jesteś udupiony...

Przez szparę między siedzeniami Thorne zobaczył, jak dłoń Brookhouse'a sięga po coś, co leżało na fotelu pasażera. Wychylił się do przodu, schwycił Brookhouse'a za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu.

- Jezu!

Thorne spojrzał i zobaczył, że Brookhouse sięgał po komórkę.

- Owszem, udawałem gościa - powiedział. Jego głos podniósł się o oktawę lub dwie. - Jak pan powiedział, przekazywałem tylko informacje, nic wielkiego, przysięgam. W sumie to ja nic nie wiem. Naprawdę.

Thorne spojrzał na małą błyszczącą komórkę leżącą na granatowej kurtce złożonej na przednim fotelu. Wayne Brookhouse udawał mechanika i byłego chłopaka córki Gordona Rookera. Thorne zaczął nagle się zastanawiać, czy nie odgrywał jeszcze jednej roli.

- Teraz musisz zatrzymać wóz - rzekł Thorne - gdziekolwiek...

- Po co?

Thorne prawie nie usłyszał krzyku, odciągając głowę Wayne a Brookhouse a nieco bardziej do tyłu.

- Muszę zadzwonić...

\* \*\*

Chamberlain sięgnęła po telefon, nie odrywając oczu od ekranu telewizora i programu, w którym usiłowała się zatracić.

Głos Thorne a sprawił, że w jednej chwili się otrząsnęła.

- Witaj, Tom...

Thorne mówił szybko, cicho, a jej nastawienie zmieniło się, gdy usłyszała szorstką surowość w jego tonie głosu. Siedzący w fotelu Jack machnął do niej z wyrazem zatroskania na twarzy. Skierował pilota na telewizor i ściszył głos.

Thorne kazał jej słuchać.

Chamberlain uśmiechnęła się do męża i pokręciła głową. To nic wielkiego...

Thorne przycisnął telefon do ucha Brookhouse a tak mocno, że ten aż jęknął z bólu.

- A teraz powtórz - rzekł Thorne. - Tylko z przekonaniem.

Brookhouse skrzywił się i wziął głęboki oddech.

- To ja ją podpaliłem ...

Thorne cofnął dłoń z telefonem, między palcami wciąż miał włosy Brookhouse a. W ciszy, jaka zapadła na linii, było coś tak potwornego, co uświadomiło mu, że Carol rozpoznała ten głos.

- Carol...?

- Za niecały kwadrans mam pociąg - rzekła. - Będę za półtorej godziny...

Thorne tylko przez sekundę lub dwie miał jakiegokolwiek wątpliwości. Był prawie pewien, że Chamberlain tak zareaguje, kiedy tylko zdecydował się do niej zadzwonić.

- Daj znać, jak już dojedziesz do Londynu - rzucił krótko. A potem energicznym ruchem nadgarstka w bok sprawił, że Brookhouse rąbnął głową o szybę. - Będzie czekać na ciebie taksówka.

Oblicze Wayne a Brookhousea, otwarte i atrakcyjne, co podkreślała gęsta czupryna ciemnych włosów, rozjaśnił szeroki uśmiech. Wydawał się rozluźniony i szczęśliwy. Tylko zaczerwienienie przy prawym uchu i wyraz twarzy dwojga ludzi siedzących naprzeciw niego wskazywały, że działo się tu coś niezwykłego.

- Jak długo jeszcze mamy to ciągnąć? - spytał Brookhouse.

Dochodziła północ i w ciągu dwóch godzin, odkąd Thorne przeprowadził z nim pierwszą poważną rozmowę, czekając na przyjazd Ca-rol Chamberlain i w drodze powrotnej do jego domu, Brookhouse odzyskał pewność siebie.

- Właściwie nie zastanawiałem się nad tym - odparł Thorne.

- To akurat widać...

Chamberlain spojrzała na Thorne a. Siedzieli obok siebie na kuchennych krzesłach. Brookhouse znajdował się o dwa metry od nich, zajmując miejsce pośrodku kanapy.

- Chyba nie mamy ograniczeń czasowych, prawda? - zapytała.

Thorne pokręcił głową.

- Powiedz nam, jak to było między tobą, Rookerem i Zarifem.

Uśmiech tamtego nie przygasł ani trochę.

- Nie płacą wam najlepiej, co widać - rzekł, rozglądając się dokoła. -  
Cóż to za chlew.

- Dlaczego udawałeś, że to ty jesteś odpowiedzialny za atak na Jessicę  
Ciarke?

Thorne wiedział, że to nie będzie łatwe. Podczas gdy Brookhouse  
zgrywał twardziela, odnalazł i włożył na miejsce kilka elementów tej  
układanki. Szykował się do zadania naprawdę ważnych pytań,  
poprzedzając je kilkoma, na które znał już odpowiedź.

- I jak tu cuchnie - ciągnął Brookhouse - śmierdzi curry...

Ktokolwiek opracował ten plan - a obecnie Thorne był gotów się  
założyć, że tym kimś był Gordon Rooker - postanowił narobić niezłego  
bałaganu. I zwrócić uwagę policji. To mu się udało. Gliny dały się nabrać  
jak muchy na lep. Brookhouse nękał Carol Chamberlain telefonami,  
przysyłał jej listy, aż w końcu jakiś idiota postanowił pomówić z  
Gordonem Rookerem i gra się rozpoczęła. Naciskali na Rookera, aż w  
końcu przyznał się, że jest niewinny, i powiedział im o Billym Rynie. A  
potem już jedli mu z ręki...

Jakiś idiota...

- A więc Rooker postanowił pójść z nami na układ, a równocześnie  
zapewnić sobie ochronę Memeta Zarifa, zgadza się? Czy tak właśnie było,  
Wayne?

- Przyszedłeś pod mój dom. - Chamberlain założyła nogę na nogę i  
wygładziła spódnicę.

Thorne spojrział na nią i przez chwilę miał wrażenie, jakby oboje  
przeprowadzali z Brookhouseem wywiad w sprawie pracy.

- Stałeś w ogrodzie przed moim domem i patrzyłeś na mnie, zgadza się?

Brookhouse wyprostował nogi i stuknął trampkami o siebie.

- Ale to wszystko popieprzone - powiedział. Skinął na Chamberlain. - Spójrz na nią. Ona nie jest policjantką. Wygląda jak moja ciotka kretyńska czy ktoś taki...

- Ja jestem policjantem - warknął Thorne.

- I co z tego? Nie byłbyś tu z nią, gdyby chodziło o oficjalną sprawę służbową. To oczywiste, że mnie nie aresztujesz. To sprawa... osobista. Tak?

Thorne wzruszył ramionami.

- Zamierzasz coś z tym zrobić, Wayne? Może wezwiesz policję?

Brookhouse wychylił się do przodu, opierając się przedramionami o kolana.

- Może wezwę adwokata, kto wie.

- Telefon jest przy drzwiach frontowych...

Mężczyzna na kanapie przez chwilę patrzył Thorne owo prosto w oczy i z wolna uśmiech powrócił na jego usta.

- Nic mi nie możecie zrobić. - Zaśmiał się półgłosem, a Thorne zorientował się, że rozbawienie tamtego nie było wcale udawane. Ta sytuacja naprawdę bawiła tego gnojka. Naprawdę wierzył, że jest nietykalny, że jest pod ochroną.

- Masz rację, Wayne. To sprawa osobista, co oznacza, że nie wylecę z roboty, jeśli do ciebie podejść i wkopię ci jaja do gardła.

Pogróżka Thornea, a może wyraz jego twarzy, kiedy to mówił, sprawiły, że tamten zamilkł, ale nic poza tym.

- Dobra - mruknął Brookhouse. - Przypuszczalnie to jedyny sposób, aby zakończyć cały ten cyrk, tak?

- To zależy od ciebie...

Brookhouse wyprostował się.

- Jestem za, tylko miejmy to już za sobą. Mogę dostać łomot, jeśli trzeba, ale obiecuję, stary, że i ty oberwiesz. - Znowu skinął głową do Chamberlain. - Ona też będzie mi chciała dołożyć? Bo szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciw temu, aby i jej trochę przylać.

Pewność siebie prysła na moment, kiedy Chamberlain poderwała się z miejsca i podeszła do niego, krzycząc:

- Próba podpalenia dziewczynki na przystanku autobusowym to dla ciebie też jak splunąć, prawda?

- Nie mam pojęcia, o czym...

Thorne wiedział już, że atak w Swiss Cottage przeprowadzono dla zaostrzenia sytuacji, to było jedyne rozwiązanie po tym, jak oferta Rookera została odrzucona przez przełożonych Thorne a. Sztuczka spełniła swoje zadanie, a policji nie pozostało nic innego, jak przystać na warunki Rookera.

- To też byłeś ty, prawda, Wayne? Ten numer na przystanku autobusowym? - Chamberlain stała nad nim poczerwieniała na twarzy. - To usiłowanie morderstwa i czeka cię taki sam wyrok, jaki dostał Rooker...

Brookhouse spojrzał na nią i spokojnie uniósł dłoń, by otrzeć z twarzy kropelki jej śliny.

- Prawdziwa z ciebie złota rączka - rzucił Thorne. - Jesteś dla Me-meta człowiekiem do wszystkiego? A może rodzina wydała całą forszę na dziwki i drogich zabójców na zlecenie?

Brookhouse milczał.

Thorne wychylił się do przodu. To było ważne.

- Kto wyciął X na moich drzwiach, Wayne?

- Wal się... - odpowiedział tamten, tłumiąc ziewnięcie.

Thorne zacisnął dłonie w pięści i w tej samej chwili Chamberlain odwróciła się do niego znów spokojna i opanowana.

- Masz tu może kajdanki? - spytała.

Gordon Rooker robił zakupy.

Wydał kupę forsy na nowe modne ciuchy i kilka par markowych butów. Wypił parę drinków w barze z nieznanymi, którzy byli teraz jego najlepszymi przyjaciółmi. Kupił najnowszy model komórki, fajne radio i wielki telewizor plazmowy, który widział kiedyś w reklamie, a który zamierzał postawić w kącie swego nowego salonu. Nie wiedział jeszcze, gdzie będzie się znajdował ten salon ani ile będzie potrzebował pieniędzy, gdyby naprawdę chciał to wszystko nabyć, kiedy już będzie miał po temu okazję, ale snucie planów sprawiało mu olbrzymią frajdę. Sycił się marzeniami o posiadaniu i radością wydawania pieniędzy.

Leżąc na pryczy w ciemnościach, próbował wyobrazić sobie przyszłość. Naturalnie robił to już wcześniej nieskończenie wiele razy, kiedy miał choć cień nadziei na wyjście stąd, ale teraz było inaczej. Czuł smak i zapach wolności, nieomal mógł jej dotknąć... a od wolności dzieliło go zaledwie kilka dni.

Zjadł obfity posiłek - trzy dania popite butelką drogiego wina w restauracji, która zapewne już nie istniała. Zostawił suty napiwek i wyszedł stamtąd z odczuciem, że teraz nawet jego gówno będzie miało słodki smak...

O pieniądzech była mowa jakiś czas temu, kiedy jeszcze żył Ryan. Stanowiły element umowy, mimo iż nie ustalono ostatecznie konkretnej kwoty. Teraz będzie musiał nieco spuścić z ceny, ale i tak na pewno coś mu jednak zapłacą. Nie mogli go tak po prostu wypuścić i pozostawić w jakimś obcym mieście czy miasteczku, wskazując drogę do najbliższego pośredniaka i zmuszając do życia z zasiłku, prawda?

Próbował wycisnąć choć parę konkretnych odpowiedzi od tego skurwiela Thorne a, ale równie dobrze mógł próbować poznać je z fusów. Wiele rzeczy pozostało niezgodnionych i po dwudziestu latach rutynowych działań piekielnie go to denerwowało, choć postanowił, że jakoś to wytrzyma. Data zwolnienia z zakładu karnego, konkretny dzień czarno na białym, to jedyne, czego naprawdę potrzebował. Tylko to chciał wiedzieć.

Kupował książki, dziesiątki książek: powieści szpiegowskie i biografie. Nauczył się w nich zatracać i nie mógł już się doczekać, by móc wybierać je samemu.

Kupił bilet na cały sezon rozgrywek w Upton Park. Postanowił zaglądać tam, kiedy tylko będzie mógł, by popatrzeć, jak gra jego wnuk.

Kupił też sobie kobietę. Za murami wyrobił sobie mocne nadgarstki, ale gotówka wyłożona na stół, aby jakaś cizia położyła się na wznak albo pomęczyła się za niego, to naprawdę dobrze wydane pieniądze.

Rooker zaczął przysypiać w swojej celi, rozmyślając o wielkich miękkich łóżkach i o dotykany ciele, które nie było jego.

Thorne nie znał Waynea Brookhousea długo, to oczywiste, ale nigdy dotąd nie widział na jego twarzy takiego wyrazu. Oczy wychodziły mu z orbit. Skóra wydawała się sztywna i pożółkła jak stara gazeta.



Thorne lepiej znał oblicze Chamberlain, lecz także jej wykrzywione rysy były obcym mu dotąd, dziwnym grymasem.

- To nie jest... kurwa... w porządku - powiedział Brookhouse. Wyrzucił z siebie te słowa, sapiąc z głową przekrzywioną w bok, a całe łóżko się trzęsło, gdy mocował się z więzami.

Jeden przegub dłoni miał przykuty kajdankami do metalowego wezglowia łóżka, drugi był do niego przywiązany czarnym krawatem, który Thorne zakładał wyłącznie na pogrzeby. Thorne siedział na nogach uwięzionego, mocno trzymając się metalowego oparcia, aby nie zostać zrzuconym, kiedy Brookhouse miotał się i rzucał zawzięcie.

Chamberlain skończyła rozpinąć koszulę Brookhouse a i sięgnęła w stronę nocnego stolika. Urządzenie, które podniosła, było podłączone do czerwonego przedłużacza, a ten z kolei do gniazdka w kącie pokoju. Odłączyła przewód i zbliżyła się do łóżka.

- To zabawne - rzekła - bo ja w zasadzie nie lubię prasowania...

Brookhouse wyrzucił z siebie potok inwektyw. Robił, co mógł, by udawać, że się nie boi, usiłował przydawać przerażeniu pozorów wściekłości i w sumie wychodziło mu to całkiem nieźle. Może spisywałby się gorzej, gdyby to Thorne trzymał żelazko w dłoni. Może, kiedy tak się miotał, widok kobiety po pięćdziesiątce udającej kata amatora wydał mu się irracjonalny.

Dla Thorne a irracjonalne było tylko to, że Brookhouse nie wyglądał na bardziej przerażonego. Dostrzegł bowiem w oczach Carol Chamberlain coś, czego wcześniej nigdy nie widział. A może coś, czego tam zwykle brakowało...

- Opowiedz nam o X-Manie - rzekł Thorne.

Brookhouse zacisnął powieki.

- Nie mogę...

Chamberlain opuściła rękę. Spód żelazka znajdował się dwadzieścia centymetrów nad klatką piersiową Brookhouse a.

- Ale ciężkie - rzekła.

Thorne spojrział na Chamberlain. Improwizowali. Nie mógł być pewien, czy mówiła serio, więc i Brookhouse tego nie wiedział.

- No dalej, Wayne...

Brookhouse skrzywił się. Nie ulegało wątpliwości, że choć żelazko nie dotykało jeszcze jego ciała, czuł jego ciepło.

- On wyjechał, nie ma go już - zaczął krzyczeć, wyrzucając z siebie bełkotliwe, niewyraźne słowa. - Wyjechał z kraju. Jasne?

- Dokąd? - spytał Thorne.

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Przysięgam, że nie wiem. Może do Serbii. Chyba był Serbem...

- Jak się nazywał?

- Nie wiem. Nigdy go nie poznałem... - Naprężył mięśnie, gdy żelazko opadło o kolejny centymetr. - Widziałem go tylko raz, w knajpie, to wszystko. Siedział samotnie przy stoliku w kącie i się uśmiechał. Ciemne włosy i, no wiecie, to cholerne spojrzenie. Uśmiech jak u gwiazdy filmowej, garnitur śnieżnobiałych zębów... tylko to pamiętam...

Thorne przypomniał sobie mężczyznę w aucie przed swoim domem. Przypomniał sobie ten uśmiech. Zastanawiał się, ile dzieliło go od tego, by poczuł ostrze noża rozcinające mu plecy i palący ból rozkrojonego ciała, poprzedzający ostateczną ciemność przyniesioną przez wystrzelony z bliska pocisk...

- Kiedy wyjechał?

- Jakiś czas temu. Parę tygodni po tym, jak załatwił ostatniego. Po tym gliniarzu.

Moloneyu...

A więc Thorne mylił się, sądząc, że to Billy Ryan kazał zabić Marcusa Maloneya. To Memet Zarif zlecił zabójstwo, nie wiedząc, że obiera za cel tajniaka. W przekonaniu Thornea śmierć Moloneya była jeszcze jedną zbrodnią, za którą Billy Ryan zapłacił własnym życiem. Jeszcze jedną rzeczą, która usprawiedliwiała to, co Thorne powiedział Alison Kelly. Teraz Thorne musiał skreślić zabójstwo Moloneya z tej listy, ale to niewiele zmieniło. Billy Ryan miał jeszcze wiele na sumieniu...

- Skoro on wyjechał - rzekł Thorne - to kto wyciął X na moich drzwiach?

- To mógł być ktokolwiek. - Na pościeli Thornea pojawiła się plama potu, kiedy Brookhouse odwrócił głowę. - Chodziło o to, żeby napędzić panu stracha, to wszystko.

- Kto zlecił zabójstwo? - spytała Chamberlain. - Memet?

Brookhouse pokręcił głową.

- To ma znaczyć „nie”? - Chamberlain przełożyła żelazko do lewej ręki, potrząsnęła prawą przez chwilę, po czym na powrót ujęła gorący przedmiot prawą ręką. - Czy może „bez komentarza”?

Thorne naprężył się, kiedy Brookhouse wierzgnął kolanami, trafiając go w pośladki. Mimo to trzymał go mocno, myśląc o umarłych i o tych, którzy brali pieniądze, by doprowadzić do ich śmierci. O tych, dla których noże i pistolety były narzędziami pracy: o rzeźniku, który zamordował Mickeya Claytona, Marcusa Moloneya i innych; o człowieku, który

zastrzelił Musluma i Hanyę Izzigilów, a także tym, który zastrzelił Francisa Cullena i dwóch jak dotąd niezidentyfikowanych imigrantów, których wywleczono z ciężarówki i którzy próbowali uciekać, aby ocalić życie.

O ludziach, którym to wszystko się upiekło.

Tak jak mężczyźnie, którego narzędziem pracy był ogień i benzyna do zapalniczek.

Thorne spojrział na Brookhousea, zastanawiając się, jak bliska mogła go łączyć zażyłość z Gordonem Rookerem. Zapewne Rooker ufał mu bardziej, niż kiedykolwiek mógłby zaufać policjantowi. Thorne zapytywał sam siebie, ile Rooker mógł jeszcze ujawnić, ile był gotów zdradzić, zanim sfinalizowałby swoją umowę z Memetem Zarifem. Nie zaszkodziło zapytać.

- Wayne, kto podpalił Jessicę Ciarke?

Thorne zauważył jakąś iskierkę w oczach Brookhousea. To trwało tylko przez moment. Iskierkę czegoś, co tamten natychmiast postanowił ukryć jak mały chłopak przyłapany na kradzieży i chowaniu fantów do kieszeni. Thorne zerknął na Chamberlain i od razu zrozumiał, że ona też to dostrzegła.

- Ty to wiesz, prawda? - spytała.

Thorne patrzył, jak Chamberlain pozwala żelazku opaść nieco niżej. Widział ścięgna naprężające się po wewnętrznej stronie jej przedramienia, kiedy mocowała się z ciężarem, opuszczając go w pełnym skupieniu możliwie jak najwolniej.

- Nigdy się nie dowiesz... - rzekł Brookhouse.

Thorne patrzył w osłupieniu, jak Chamberlain ustawia tarczę żelazka na największą moc. Kropelka wody z żelazka skapnęła na pierś Brookhouse'a. Mężczyzna drgnął jak oparzony.

- Wyobrażasz sobie ból jako coś krótkotrwałego - rzekła Chamberlain.  
- Chwilę cierpienia, kiedy przytknę żelazko do twojej skóry i podniosę je. Sekunda lub dwie skwierczenia i po krzyku, tak? Wobec tego zastanów się, co będzie, jeśli po prostu je puszcze. I zostawię je na twojej klatce piersiowej. Skwierzące, Wayne. Jak sądzisz, ile potrwa, zanim zaczniesz wtapiać się w ciało...?

Kiedy Brookhouse przeniósł wzrok z żelazka na twarz Chamberlain, zaczął mówić.

- Jezu, co z was za tępaki? Zrozumcie. Nie było nikogo innego. Byłem tylko ja udający jego.

- Udawałeś człowieka, który naprawdę podpalił Jessicę Ciarke?

- Jego. Rookera. To on ją podpalił.

I wtedy Thorne wszystko zrozumiał, olśnienie przyszło jasne jak płomień i wyraziście jak stara blizna. To było widać w chodzie tamtego, w jego porozumiewawczych spojrzeniach i gestach, kiedy przesuwiał palcami po tłustych żółtych włosach. W ruchach języka, kiedy muskał nim złoty ząb, w drwiącym uśmiešku, kiedy Gordon Rooker nachylał się, by zamknąć pokrywkę pudełka z tytoniem...

Od chwili, kiedy rozpoznał Brookhouse'a, Thorne wiedział, że Rooker kłamał. Ale nie w tej sprawie. Nie ulegało wątpliwości, że Brookhouse nie mógł podpalić Jessiki, Thorne nie przypuszczał jednak, że to również on wydzwaniał do byłej pani inspektor i stał na trawniku przed jej domem,

myślał, że to był rzeczywiście prawdziwy podpalacz. Zawsze sądził, że był ktoś jeszcze, a Rooker wie, kto to taki...

- Tom...?

Wszystko opierało się na tej wierze, na jego przekonaniu, że Rooker jest niewinny. Czy to nie on sam naciskał na Rookera i zmusił go, by tamten przyznał, że nie był prawdziwym podpalaczem?

Chamberlain uniosła żelazko i stała, patrząc na niego, jakby na coś czekała. Może na jakąś radę.

Thorne uznał, że gdyby głupota miała skrzydła, uleciałby teraz ku niebu jak gołębica. Rozmiary tej głupoty równały się świadomości, że został okpiony. Poczuł się wydrażony i nadęty jak balon, wystrychnięto go na dudka...

Niemal wszystko, co powiedział im Rooker, było prawdą. Tamten zmienił tylko jeden drobny szczegół. Kiedy Billy Ryan zwrócił się do niego z propozycją, aby zabił Alison Kelly, zgodził się.

- Był doskonały...

Chamberlain wciąż nie rozumiała.

- Co takiego?

Rooker niemal na pewno maczał palce we wcześniejszym zamachu na Kevina Kellyego. Billy Ryan jako drugi w hierarchii po Kellym miał oczywisty powód, by chcieć pozbyć się Rookera. To czyniło go idealnym kandydatem na wykonawcę kontraktu na córkę Kellyego.

- Może Ryan zaproponował, że skasuje kontrakt na Rookera -rzekł Thorne. - W zamian za co Rooker miał mu wyświadczyć drobną przysługę.

Chamberlain nie wyglądała na przekonaną, ale to nie miało znaczenia. Niepodważalny był strach Rookera przed Billym Ryanem, strach oparty na świadomości, że Ryan nie wybaczał fuszerki. To właśnie skłoniło Rookera, by się przyznał, poszedł do więzienia i przez kolejne lata żył w ciągłym lęku. Ten strach nim kierował. To on nadał ostatecznie kształt planowi, który mógł go ochronić, kiedy w końcu rozpocząłby życie poza murami więzienia...

A to już za kilka dni...

Thorne uznał, że Brookhouse może wierzgać, ile wlezie. Opuścił nogi i wstał z łóżka.

- Na czym polega układ między Rookerem a Memetem Zarifem?

W oczach Brookhouse a znów coś rozbłysło. Tym razem przerażenie było aż nazbyt wyraźne.

- Boi się Memeta znacznie bardziej niż nas - rzekła Chamberlain.

Thorne widział, jak Brookhouse próbuje odnaleźć jego spojrzenie.

Zobaczył w jego oczach łzy. I nadzieję, że ich sens nie zostanie właściwie zrozumiany. Thorne zaczął podejrzewać, że mógł się pomylić co do tego, który z braci Zarif pociągał za sznurki.

- Nie Memet? - spytał Thorne.

Rozległ się jęk, który zdawał się płynąć z brzucha Brookhousea, kiedy mężczyzna zaczął szamotać się na łóżku.

- Hassan...?

Thorne powtórzył to imię, nieco głośniej, by Brookhouse zdołał je usłyszeć. Wciąż bez odpowiedzi. Thorne skinął na Chamberlain, która opuściła żelazko jeszcze niżej.

- Kto za tym stoi, Wayne?

Kiedy żelazko znów zaczęło opadać ku jego piersi, Brookhouse błyskawicznie znieruchomiał. Szloch ucichł, ciało zeszywniało, oczy się zamknęły. Nie ulegało wątpliwości, że czekał, aż pojawi się ból, i przygotowywał się na to.

Coś... lub ktoś przerażał go o wiele bardziej.

Chamberlain zatrzymała żelazko o dwa centymetry nad jego torse. Thorne widział, jak skóra czerwienieje i pojawiają się na niej pierwsze bąble.

- Wygląda, że chcesz, abyśmy to kontynuowali, Wayne - rzekł Thorne.

- Może powinniśmy zabrać cię na komendę. Nie byłbyś chyba zachwycony, mając w perspektywie oskarżenie o usiłowanie zabójstwa...

Brookhouse wyszeptał pomiędzy kolejnymi urywanymi oddechami:

- Dziewczynka na przystanku to było tylko tak dla picu. Aby doszło do zawarcia układu. Nie zamierzałem jej wcale podpalić...

- Kiepska ta twoja obrona...

- To nieistotne, prawda? - Brookhouse otworzył oczy. Miał szklisty wzrok, kiedy spojrzał najpierw na krawędź żelazka, a potem na Thorne'a. - Nie pojedziemy na posterunek, prawda?

Thorne popatrzył na niego. Choć przerażony, Brookhouse wiedział, że jego nazwisko może co najwyżej stanowić podstawę do papierkowej roboty.

- Rzeczywiście, nie pojedziemy. - Thorne odwrócił się do Chamberlain. - Przypał go...

Choć Thorne wypowiedział te słowa jakby od niechcienia, wewnątrz był cały spięty. Miał wrażenie, że lada chwila krew wytryśnie mu przez



wszystkie pory w skórze. Ściągną w szyi miał tak napięte, że wydawało mu się, iż zaraz popękają, a żołądek zaczął podchodzić mu do gardła.

Przypał go...

We dwoje obezwładnili Brookhousea, zawlekli go do sypialni i tam związali. Od tamtej pory Thorne jakby wyszedł ze swego ciała i obserwował bezradnie, jak podąża za Carol Chamberlain coraz dalej w mrok. Patrzył, jak rozważała cele i środki w chwili niepohamowanej wściekłości, i dał się temu ponieść. Dołączył do niej, pełen rozbawienia i konsternacji, ulegając czemuś znacznie ważniejszemu niż stopień służbowy, który odebrano jej dawno temu. Patrzył na parę buchającą spod żelazka jak oddechy koni ciągnących karawan. Wsłuchiwał się w zgrzyt kajdanek o metalową ramę łóżka, kiedy Brookhouse rozpaczliwie próbował się uwolnić.

- Podłóż pod niego ręcznik - rzekła Chamberlain - kiedy dojdzie do kontaktu, na pewno się zleje...

Thorne nie był pewien, czy chodziło o zwykłe rozwiązanie natury praktycznej, czy była to ostatnia próba nakłonienia Brookhousea do mówienia. Spojrzał Carol w oczy i zrozumiał jedno - jeśli tamten nie zacznie mówić, ona naprawdę przypiecze go żelazkiem.

Brookhouse uparcie milczał.

Żelazko powoli zaczęło opadać w stronę poczerwieniałej skóry...

Chamberlain najwyraźniej dotarła do granicy, po której przejściu nie miała już nic do stracenia. Thorne patrzył na nią, jak szykowałą się do rozpoczęcia tortur, i zastanawiał się, czy to, co tamten wiedział i ukrywał, było tego warte.

Pomiędzy metalem i ciałem prawie nie było już wolnej przestrzeni...

Thorne wiedział, że za chwilę usłyszy odgłos, a potem poczuje towarzyszącą temu woń. Chciał coś powiedzieć, ale na chwilę stał się podobny do swego ojca. Słowa w rodzaju „Nie!”, „Przestań!” nie chciały przejść mu przez gardło. Usłyszał, jak skwierczą włoski na torsie Brookhousea. Wyciągnął rękę.

- Carol...

Brookhouse głośno krzyknął i wciągnął powietrze, a potem wrzasnął na całe gardło, gdy materac wypchnął go na powrót ku górze na spotkanie z gorącą podstawą żelazka.

Chamberlain drgnęła, jakby to jej skórę pocałował gorący metal, a kiedy ona i Thorne przestali w końcu krzyczeć, mogli już tylko stać pobladli i sztywni jak nieboszczycy, odwracając wzrok, podczas gdy Brookhouse szlochał i bełkotał coś bez ładu i składu.

- Ba... ba...

Thorne wsłuchał się w bełkot Brookhouse a. Zobaczył, jak tamten wierzgnął nogą powoli jak dziecko Hollanda.

- Ba... ba... ba...

Thorne przeniósł wzrok na Chamberlain. Nie potrafił stwierdzić, czy zgrozę na jej twarzy wywołała świadomość tego, co przed chwilą zrobiła z żelazkiem, czy może coś, co ujrzała przyklepionego do jego gorącej metalowej powierzchni od spodu.

\*

Minęła mniej więcej godzina, odkąd Wayne Brookhouse odszedł. Oboje siedzieli w ciemnościach, nie mogąc pić dostatecznie szybko, kiedy w umyśle Thorne a pojawiło się nagle pewne słowo.

- Co zrobimy z Rookerem? - spytała Chamberlain. - Z tym, co ten skurwiel zrobił Jessice? Nie możemy pozwolić, aby go wypuścili...

Thorne prawie jej nie słyszał. Skupił się na tym słowie, przypominając sobie, kiedy konkretnie je widział i gdzie, na której stronie. Nie, na ekranie...

Brookhouse wcale nie bredził.

Thorne zobaczył to słowo jakiś miesiąc temu na stronie internetowej NCIS. Tamtej nocy, kiedy nie mógł zasnąć i usiadł przy komputerze, by zająć się zgłębianiem rozmaitych ludzkich niegodziwości. Tej samej nocy przejrzał strony dotyczące zorganizowanej przestępczości w Wielkiej Brytanii i Turcji. W ekspresowym tempie pochłaniał całe kolumny zwartego tekstu o strukturach tureckich gangów, zwyczajach i hierarchii najpotężniejszych rodzin z Ankary i Sztambułu...

Słowo, które Anglosasowi mogło kojarzyć się z dzieckiem, oznaczało kogoś dokładnie przeciwnego.

- Tom? Co z Rookerem...?

Baba...

Thorne poczuł lodowaty dreszcz na karku. Nagle zrozumiał, że Gordon Rooker nie był jedyną osobą, co do której się pomylił.

Thorne odczekał prawie tydzień, zanim wrócił na Green Lanes.

Spędził te dni w pracy, wykonując rutynowe czynności, przerzucając papiery i zapoznając się z jedną nową sprawą po drugiej. Przez cały czas rozważał wszystko, czego się dowiedział o tym, co się stało, kto powinien za to zapłacić, i próżno czekał na coś, co mogło odmienić najbardziej przygnębiającą prawdę ze wszystkich. Nic nie mógł zrobić...

Było po wpół do dwunastej w nocy we czwartek. Niedługo po zamknięciu kafejki. Thorne zajrzał do środka przez szybę w drzwiach. Dostrzegł Arkana Zarifa siedzącego samotnie w łoży w głębi lokalu. Córka Zarifa, Sema, krzątała się za ladą.

Thorne walnął pięścią w szybę.

Zarif uniósł wzrok, by zobaczyć, kto to. Z zewnątrz Thorne nie potrafił dostrzec wyrazu malującego się na twarzy starego, kiedy rozpoznał nocnego gościa. Zarif skinął na córkę, dziewczyna wyszła zza kontuaru, otworzyła drzwi, przekręcając zasuwkę, i bez słowa przytrzymała je dla Thornea.

Główne oświetlenie w lokalu zostało wygaszone, ale wciąż świeciło się wiele latarenek powyżej: pomarańczowy i czerwony blask przesączał się przez barwne szkło i szczeliny w metalu. Słychać było cichą muzykę, jakaś kobieta śpiewała po turecku. Thorne nie wiedział, czy była zakochana, czy może zrozpaczona.

Zarif wziął w dłonie kieliszek i krzyknął coś do córki, kiedy Thorne zbliżył się do jego stolika. Thorne odwrócił się do dziewczyny i pokręcił głową. Wróciła za kontuar, między szklanki i kieliszki.

- Nie chce pan wina? - spytał Zarif. - To może kawy...?

Thorne, nie odpowiedziawszy, usadowił się w łoży.

Przez kilka chwil patrzyli na siebie nawzajem, aż w końcu Zarif opróżnił swój kieliszek. Jego dłoń zaciśnięta wokół szklanej nóżki wydawała się olbrzymia. Sięgnął po butelkę - nalał sobie kolejny.

- Merhaba, Baba. - rzekł Thorne., Witaj"...

Zarif uśmiechnął się i uniósł kieliszek.

- Merhaba...

- Siedzieliśmy tu kiedyś i rozmawialiśmy o znaczeniu słów, pamiętasz?

Zarif nie odpowiedział.

- Żartowaliśmy, że mogą mieć wiele znaczeń. Tak jak baba...

- Znaczenie tego słowa jest proste - rzekł Zarif.

- Wiem, co ono znaczy, i wiem, jak się go używa. Wiem, jaki wzbudza szacunek u was, w Turcji. Szacunek i strach.

- Baba znaczy „ojciec”, to wszystko.

- Ojciec, tak jak „głowa rodziny”, zgadza się? Ojciec dla twoich dzieci, dla twoich przyjaciół i dla tych, którzy zarabiają dla ciebie pieniądze. Ojciec dla tych, którzy dla ciebie zabijają, i dla tych, którzy bez zastanowienia daliby się dla ciebie zabić, gdybyś tego zażądał.

- Dbam o moją żonę i dzieci...

- Oczywiście. Ty prowadzisz tylko niewielki rodzinny interes, podczas gdy inni używają noży i pistoletów, które wciskasz im do ręki. Jak to działa, Baba? Prowadzisz wszystko, dopóki się nie przekręcisz, czy w pewnym momencie wymiękasz i przekazujesz spuściznę swoim chłopcom?

Zarif przez chwilę trzymał wino w ustach, po czym przełknął.

- Kiedy prowadzenie interesów mnie znudzi, przejdę na emeryturę. Ale jak na razie wciąż mam z tego frajdę. To dobry układ...

- Doskonały. Memet i jego bracia stanowią niezłą przykrywkę, ściągając na siebie uwagę takich jak ja, podczas gdy ty, jako niegroźny staruszek, siedzisz sobie w kuchni, smażąc mięso na ruszcie.

Zarif złączył dłonie na brzuchu. Miał na sobie ten sam pasiasty fartuch, co podczas pierwszej wizyty Thorne a w kafejce.

- Obecnie praca w kuchni sprawia mi o wiele większą przyjemność niż... inne rzeczy związane z tym biznesem. Tu łatwo jest być w samym sercu wszystkiego. Gdy jestem w kuchni, ludzie wiedzą, gdzie mnie znaleźć.

Thorne uświadomił sobie nagle, że akcent tamtego nie wydawał się już tak wyraźny jak wcześniej. Prawie nie robił już przerw, aby znaleźć właściwe słowo. Tym razem nie grał.

Sema Zarif wyszła zza lady i minęła ich. Spojrzała na Thornea, kierując się ku schodom, i po raz pierwszy Thorne wychwycił cień uśmiechu. Jakby nie trzeba się już było nim przejmować...

- Chyba masz mnie za kompletnego idiotę - rzekł. - Siedziałem razem z tobą przy stole, jadłem z tobą...

- Bynajmniej. Może poczuje się pan lepiej, gdy powiem, że dalece różni się pan od mego pierwotnego wyobrażenia o panu...

Białe kosmyki wąsów Zarifa poczerwieniały od wina. Gdy Thorne na nie patrzył, pomyślał, że tamten wygląda, jakby jadł coś krwistego; żałował, że podziękował za poczęstunek, i chciał dowiedzieć się, o czym właściwie mówił teraz Zarif.

- Człowiek, który torturami jest gotów wymusić informacje, na jakich mu zależy - rzekł Zarif. - Ten numer z żelazkiem był... imponujący

Thorne poczuł dziwny ucisk poniżej mostka.

- Kiedy rozmawiałeś z Wayneem Brookhouse'em? - zapytał.

Zarif uniósł kieliszek do ust i odpowiedział ponad jego krawędzią:

- Jakies kilka dni temu...

Kiedy Brookhouse opuścił mieszkanie Thorne'a, nad ranem, w ubiegły piątek, pożegnanie było mniej niż zdawkowe. Chamberlain nie

powiedziała ani słowa, kiedy Thorne go rozwiązywał. Oboje stali i patrzyli w milczeniu, jak tamten, potykając się i klnąc, zmierza w stronę drzwi. W ostatniej chwili Thorne złapał Brookhouse'a i przycisnąwszy do drzwi, dał mu dobrą radę.

- Nie wracaj tu nigdy - powiedział. Czasem ciężko przemówić ludziom do rozsądku, nie zawsze inni chcą wziąć sobie pewne słowa do serca, ale Thorne bardzo się starał. - Słuchasz mnie, Wayne? Jedź do domu, spakuj się i znikaj stąd...

Thorne patrzył, jak Zarif upił kolejny łyk wina.

Wayne Brookhouse wcale nie był tak bystry, jak sądził. Postanowił wrócić do Zarifa i opowiedzieć mu, co zaszło, a Thorne był niemal pewien, że nie spotkał się ze współczuciem ani szacunkiem na jaki, jego zdaniem, zasługiwał. Thorne wyobrażał sobie, że Brookhouse pokazał Zarifowi oparzenie na piersi, przeklinając tych, którzy byli za to odpowiedzialni, i zapewniając szefa, że uczynił to, czego się po nim spodziewano, i nie pisnął ani słowa.

Thorne mógł sobie wyobrazić wystudiowany wyraz udawanego zatroskania na twarzy Baby i zimną jak lód stanowczy z jaką podjął jedyną możliwą w tej sytuacji decyzję.

- Gdzie jest teraz? - spytał Thorne.

- Nie widziałem Wayne'a od dobrych dwóch dni. Może wyjechał.

- Jeżeli odnajdzie się jego ciało, wrócę tu.

- Nie odnajdzie się. - Zarif nawet nie próbował ukrywać uśmiechu ani jego dwuznaczności.

Wiedział, że mu nic nie grozi, a grymas tej pewności siebie malujący się na nalanej twarzy był niczym ostrze noża przesuwające się w tę i z

powrotem po klatce piersiowej Thornea. Nic nie powiedział i raz jeszcze usiłował przekonać sam siebie, że postąpił słusznie, a w każdym razie, że zrobił jedyną rzecz możliwą w tej sytuacji.

Był pewien, że nawet gdyby w ubiegłym tygodniu poprosił Waynea Brookhousea, aby pojechał z nim taksówką na najbliższy posterunek policji, niczego by to nie zmieniło. Brookhouse nic by im nie powiedział. Prawnicy Zarifa wyciągnęliby go stamtąd w parę godzin. Policja zostałaby z niczym, jeśli nie liczyć kilku niewygodnych pytań, o Gordona Rookera, a o jego związkach z rodziną Zarifów nie było co wyciągać.

Nawet gdyby Thorne był teraz czysty - gdyby poszedł do Brigstockea, Tughana czy Jesmonda i powiedział im, co wie skąd ma te informacje, niewiele by zyskał. Mógłby przyznać do torturowania świadka i równocześnie wyznać, że wspomniany świadek zniknął najprawdopodobniej nie żyje, a jego ciało pogrzebano gdzieś głęboko. Jedyną osobą zmuszoną w tej sytuacji do odpowiedzi na trudne pytania byłby sam Thorne.

A on sam zadawał sobie dostatecznie dużo takich pytań.

- Jak rozumiem, pan Rooker został wczoraj wypuszczony na wolność

- Wiesz, że tak...

- Cóż za niespodzianka. - Zarif uniósł gęste siwe brwi. - Wiedząc, że wcisnął panu tyle kłamstw, pozwolił pan na to, by wyszedł z więzienia.

Thorne czuł nieprzyjemną suchość w ustach.

- Postanowiłem nie podejmować kroków, które mogłyby go tam zatrzymać...

Postanowiłem nie ujawniać tego, co odkryłem. Postanowiłem nie mówić nikomu, że uprowadziłem podejrzanego, przetrzymywałem wbrew



jego woli i przy użyciu przemocy wydobyłem z niego te informacje, a mimo to nie zrobiłem absolutnie nic. Postanowiłem nie ujawniać ogromu brutalności Gordona Rookera ani mojej.

Wolałem zachować prawdę dla siebie, dla własnego dobra...

- Ciekawe, co słyhać u Rookera? - snuł Zarif.

- Jeżeli ma choć trochę oleju w głowie, powinien mieć się na baczności. Nie lubisz zostawiać pewnych spraw niedokończonych, zgadza się?

Zarif wyglądał na szczerze urażonego.

- Nie rozumie pan. Rooker nie ma powodu, aby obawiać się czegokolwiek z mojej strony. Mieliśmy umowę, łączyły nas wspólne interesy.

- Zgadza się. On pomógł ci uporać się z Billym Ryanem, a w zamian ty weźmiesz go pod swoje skrzydła, kiedy już wyjdzie z więzienia. O czym właściwie mówimy? O pieniądzach, jak przypuszczam. O ochronie? O czymś wychodzącym poza to, co mogliśmy mu zaoferować...

- O umowie, której zamierzam skwapliwie dotrzymać.

Thorne przesunął ręką po blacie stolika, zgarniając grudki soli na dłoń.

- Honor, tak? To ważne, prawda? Pamiętam, jak stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy za to. Ile było honoru w tym, co spotkało Marcusa Moloneya? Został pocięty i zastrzelony w swoim aucie. - Strzepnął sól na podłogę. - Czy twoim zdaniem to honorowa śmierć?

- Czy zachowywał się honorowo? - spytał Zarif. - Robiąc to, co robił?

- Skrobnął paznokciem o kieliszek. - A pan?

Jeszcze jedno pytanie, jakie zadawał sobie Thorne i na które udzielał odpowiedzi po tysiącokroć w ciągu ostatnich kilku dni.

- Jeżeli musiałem zniżyć się do twojego poziomu, to nie.

Zarif uniósł wzrok, kiedy córka zawołała do niego od szczytu schodów. Odpowiedział, przez chwilę patrzył, jak znika na zapleczu, i znów przeniósł wzrok na Thorne'a. Wlał reszkę wina do kieliszka.

- Czas na pana...

Thorne sięgnął nad stolikiem, złapał kieliszek i wbił go w twarz starego. Poczł, jak szkło pęka i przebija się przez miękkie wąsy Zarifa, a na ciele pojawia się krew, kiedy Thorne wbił kieliszek głębiej w ciało i przekręcił w ranie.

- Musimy już zamknąć lokal.

Thorne zamrugł, aby odegnąć od siebie tę wizję, i wstał. Podeszedł do lady i oparł się o nią plecami.

- Otrzymałeś wiadomość, jaką przekazałem Memetowi na temat odwetu za te zabójstwa? - Zanim Zarif zdążył odpowiedzieć, Thorne poszedł za ciosem. - Oczywiście, że tak. Stąd wiadomość od ciebie, jaką zostawiono na drzwiach frontowych mego domu.

Zarif rozłożył szeroko ręce. Na jego nylonowej koszuli pojawiły się ciemne plamy potu.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. To robota Hassana.

Te słowa zdumiały inspektora.

- Hassana?

- Zazwyczaj to najbardziej ostrożny z moich synów, ale pan go zdenerwował.

- Teraz to on zdenerwował mnie.

- Powiem mu to.

- Mam nadzieję.

Zarif stęknął i zaczął przesuwać swe opasłe cielsko po siedzeniu, aby wyjść z łoży.

- Wymienił pan drzwi?

Thorne pokręcił głową.

- Proszę. - Zarif szerokim gestem skinął w stronę łoży. - Niech pan weźmie z kasy tyle, ile potrzeba.

Podniósł się i spojrzał na Thornea z tą samą mieszaniną najszczerzego rozbawienia, jakie widniało niedawno na twarzy jego córki.

- No dalej, śmiało, proszę wziąć...

Thorne zastanawiał się, czy oferta dotyczyła więcej niż kilku dych za nowe drzwi. Zarif przyznał przecież, że Thorne okazał się innym człowiekiem, niż przypuszczał. Czy próbował trochę naciskać, by dowiedzieć się, jakim człowiekiem jest naprawdę Thorne?

Uśmiech Zarifa powrócił z nową mocą.

- Chyba jednak pozostanę przy tym, że będziesz mi to winien - rzekł Thorne.

Zarif wzruszył ramionami i ruszył w kierunku drzwi. Wyciągnął rękę, gestem zapraszając Thorne'a do wyjścia. Inspektor oderwał się od lady i wolno ruszył w stronę drzwi. Czuł, że rozpiera go duma, ale z drugiej strony wiedział, iż oszukuje sam siebie. Domyślał się, że to uczucie pryśnie, gdy tylko wyjdzie na ulicę.

- Krew i szmal - rzekł Thorne.

- Co takiego?

- Mówiłeś, że przybyłeś do tego kraju po chleb i pracę. Ja sądzę, że raczej po krew i szmal...

Zarif ominął Thorne'a i otworzył drzwi. Delikatny podmuch wiatru zakołysał latarenkami nad ich głowami. Diamenty i kolorowe gwiazdki zatańczyły z gracją na ścianach.

- Wtedy, za pierwszym razem, kiedy rozmawialiśmy o słowach i nazwiskach, o ich znaczeniu, mówiliśmy także o pańskim - rzekł Zarif. - Thorne. Jak cierń. Mały, kłujący i trudno się go pozbyć.

Thorne przypomniał to sobie.

- To zależy, na ile poważnie traktujesz tego typu sprawy.

- Swoje interesy traktuję bardzo poważnie...

- To dobrze, bo nie chciałbym więcej oglądać twojej facjaty, chyba że na sali sądowej. I nie chcę tu wracać, niezależnie od tego, jak pyszne serwuje się tu potrawy.

Zarif pokiwał głową.

- Rozumiemy się nawzajem.

- Gówno się rozumiemy - rzekł Thorne. Pochwycił spojrzenie Arkana Zarifa i przez chwilę wzajemnie mierzyli się wzrokiem. - Nigdy.

Thorne wyszedł na ulicę i zaczerpnął olbrzymi haust świeżego powietrza. Kilka sekund później usłyszał za sobą cichy trzask zamykających się drzwi.

Miał rację, że uczucie dumy nie przetrwało w nim długo. Noc była ciepła, ale wracając do swego auta, Thorne dygotał jak liść osiki.

Wyobraził to sobie... a nawet poczuł, jakby gdzieś głęboko w jego wnętrzu zaciskały się zwoje metalowego drutu. Za każdym razem, kiedy udawało mu się nieco go rozluźnić, szarpiąc z desperacją, sploty drutu

zaciskały się jeszcze bardziej, sprawiając, że tym trudniej go było rozsypać...

Thorne włączył muzykę, ale zaraz ją ściszył. Otworzył butelkę wina, pozostawił ją jednak nietkniętą. Nic nie było w stanie go uspokoić. Nic nie mogło mu pomóc w zrozumieniu całego tego bajzlu ani własnej roli w wywołaniu go. Tyle trupów, tyle smutku i tak niewiele emocji, które by się z tym łączyły.

Pytał sam siebie, czego jeszcze mógł oczekiwać. Czyż nigdy nie zdawał sobie sprawy, że ludzie pokroju Baby Arkana Zarifa są nietykalni? Chroniły ich różnego rodzaju mechanizmy i systemy obronne, żołnierze gotowi poświęcić dla nich życie oraz cała armia mężczyzn i kobiet stojących po właściwej stronie prawa, którzy pilnowali, by nie zostali w żaden sposób zbrukani czy skrzywdzeni. Mimo to świadomość, że nie było osoby odpowiedzialnej za to wszystko i że nikt nie zapłaci za przelaną krew, bywała naprawdę bolesna.

Kilku ludzi Ryana zginęło, podobnie jak paru od Zarifa. Interesy obu stron trochę ucierpiały. Życie toczyło się dalej, ale nie dla Yusufa

Izzigila, który stracił oboje rodziców. Podobnie jak dla rodziny Francisa Cullena czy wdowy po Marcusie Moloneyu, której imienia nie miał okazji poznać... Były też inne śmierci, za które odpowiedzialność ponosił sam Thorne.

Billy Ryan i Wayne Brookhouse.

Thorne poczuł, że supły w jego wnętrzu zaciskają się jeszcze bardziej. Pomyślał o wytyczonych granicach. Zastanawiał się, czy jego została przesunięta jeszcze głębiej, czy może przekroczył ją i zwyczajnie poszedł

dalej. Zmierzając ku mroczniejszemu miejscu, gdzie ludzie nie mogli zobaczyć jego twarzy, a wszelkie granice się zacierały...

Spojrzał na telefon...

Zamknął oczy i ujrzał twarz Gordona Rookera. Zaczęła już odzyskiwać kolory, świeże powietrze za murami sprawiło, że poróżowiała. Thorne ujrzał złoty ząb błyskający w słońcu, kiedy Rooker kupował owoce na ulicznym straganie. Widział go, jak siedzi z innymi mężczyznami przy stoliku w pubie. Jak uśmiecha się rozbawiony czymś, co przeczytał w jakimś piśmie.

No i zawsze była jeszcze ta podpalona dziewczynka wywijająca rękami, kiedy spadała przez ciemność nocy ku ulicy niżej.

Jej twarz na zdjęciu, które dał mu jej ojciec, zniekształcone rysy, gładka skóra poprzecinana przebarwionymi bliznami.

Jej słowa w pamiętniku. Zabawne i wściekłe. Zaslужujące na wysłuchanie...

Podniósł się z kanapy i podszedł do stolika przy drzwiach frontowych... Wybrał numer w Wandsworth i wymienił kilka zdawkowych uprzejmości z mężczyzną na drugim końcu łącza. Umówił się na zwrot pamiętnika i dwóch fotografii. A potem poprosił mężczyznę, aby sięgnął po kartkę i długopis.

I podał mu adres.

Dopiero wtedy Thorne podkręcił muzykę i nalał sobie wina. Potem usiadł na kanapie, podkulił nogi i zaczął się zastanawiać nad ciężarem swojej duszy. Czy można ją jakoś wzmocnić, podreperować, podbudować poprzez gruntowny rozwój duchowy. A skoro tak, to złe uczynki najprawdopodobniej odbierały część tego ciężaru. Ci, którzy byli

naprawdę źli i plugawi, mieli zapewne dusze ważące tyle co nic. Sięgnął po butelkę wina.

Po ostatniej rozmowie telefonicznej zaczął się zastanawiać, czy jego dusza przybrała choć trochę na wadze. A może właśnie straciła.

Było to na dzień przed finałem Pucharu, nieco ponad miesiąc po tym, jak mężczyzna znany jako Gordon Rooker został zamordowany we własnym domu przez nieznanego sprawcę. Właśnie wtedy Thorne odebrał telefon...

Trzeci tydzień maja, padała lekka mżawka. Wszystko inne było równie przewidywalne.

Podczas gdy śledztwa w sprawie Zarifa i Ryana zostały sprowadzone do zawartości ponad tuzina pudeł zgromadzonych na metalowych regałach Głównego Archiwum, pojawiły się kolejne dochodzenia wypełniające pustkę. Inne ofiary domagały się uwagi i działania. Gniewu, namiętności czy chciwości nigdy nie brakowało. Podobnie jak zwłok, kiedy zwykła chemia, kontrolująca na co dzień tego rodzaju emocje, zmieniała je w zabójcze żądze.

Wypaczała je.

Tom Thorne przeczytał Podręcznik dochodzenia w sprawach zabójstw w godzinę i niemal równie szybko wyrzucił jego treść z pamięci. Miał wprawę w zapominaniu tego, co nieistotne, na co nie było miejsca w jego umyśle. Każdego dnia pojawiały się tysiące nowych informacji, które musiał sobie przyswoić w nadziei, że kiedyś, gdzieś, przy odrobinie szczęścia te drobne fragmenty połączą się w spójną całość i zaiskrzą, by podsunąć mu pomysł lub choćby tylko cień pomysłu na schwywanie jakiegoś zabójcy.

Ale wiele innych rzeczy nie chciało odejść w zapomnienie. Tylko się przemieszczały, wciskając się w coraz głębsze zakamarki umysłu i serca Thorne'a. Oraz tego innego miejsca, które w zasadzie nie miało odrębnej nazwy, ale gdzie sprężyna nakręcała się coraz mocniej i ciaśniej...

Kilka razy spotkał się z Carol Chamberlain albo z nią rozmawiał, gawędzili, skądinąd całkiem przyjemnie, o innych prowadzonych przez siebie sprawach, jego - bieżących i jej - od dawna nierozwiązanych. Oboje wiedzieli, że jedynym tematem, którego nie powinni podejmować, były niedawne wydarzenia.

W pojedynkę, samotnie trudniej było przed tym uciec.

Któregoś popołudnia zadzwoniła Alison Kelly i rozmawiali przez kilka minut. Thorne spytał, co u niej. Rozmowa była tak zdawkowa i tak żałośnie prozaiczna, że nieomal zapytał ją, gdzie teraz jest. W miarę upływu czasu coraz rzadziej myślał o jej twarzy i ciele niż o nożu w jej dłoni, ale za każdym razem, gdy ją wspominał, nasuwała mu się inskrypcja u wejścia do zakładu karnego Holloway, gdzie czekała na proces mający rozpocząć się za kilka tygodni.

„Oby Bóg uczynił to miejsce domem trwogi dla wszelkich złoczyńców”.

Thorne wiedział, że Bóg nie miał powodu, by przepęniać serce Alison Kelly trwogą...

Pora wracać do domu. Chowając się pod betonowym nawisem na parkingu przy Becke House, Thorne wdychał dym z papierosa Hollanda i patrzył, jak deszcz rujnuje całą jego robotę po tym, jak rano umył samochód.



- Może wpadniesz jutro? - spytał Thorne. - Obejrzałbyś mecz ze mną i Philem...

Pomimo wyteżonych wysiłków Thorne a entuzjazm Hollanda wobec piłki nożnej był, delikatnie mówiąc, umiarkowany.

- Jakoś mnie to nie kręci - odparł.

- Nie kręci cię? Przecież to finał Pucharu... - Thorne już zamierzał podjąć pełną sarkazmu tyradę, gdy nagle zadzwoniła komórka. Coś w głosie Eileen sprawiło, że uśmiech zniknął z jego twarzy. I odpłynęła z niej cała krew.

- Tom...?

- Co się stało?

Thorne zaczął iść w stronę swego auta, przyspieszając kroku z każdą sekundą przedłużającego się milczenia Eileen. W końcu znów się odezwała.

- Był pożar...

- O Jezuu, znowu? - Thorne barkiem przycisnął komórkę do ucha i przytrzymał, równocześnie gorączkowo szukając po kieszeniach kluczyka do auta. - Nic mu nie jest?

Za nim Holland zaczął coś do niego wołać. Thorne uniósł rękę, nie odwracając się.

- Eileen? Czy nic mu nie jest?

- Przykro mi, Tom. - Rozpłakała się. - Znaleźli go w sypialni. - Miała głos jak mała dziewczynka.

Thorne oparł się mocno o samochód. Jęknął z bólu, ale stłumił w sobie ten dźwięk, nim przerodził się on w krzyk. Będzie miał na to mnóstwo czasu później. Teraz musiał jakoś pocieszyć Eileen.

Szarpięciem otworzył drzwiczki i wszedł do środka.

- Eileen, uspokój się. - Wcisnął kluczyk do stacyjki.

Pożar...

Pomyślał o kuchence, której nie usunął z domu ojca. A wystarczyłby jeden telefon. Pięć minut jego czasu. Victor ucieszyłby się z takiego obrotu sprawy. Eileen znalazłaby kogoś, kto zabrałby kuchenkę, zajęłby się tym, ale Thorne uparł się, że sam to załatwi.

Nawet nie zamontował zamka przy kuchennych drzwiach.

To wszystko jego wina.

- Gdzie on jest, Eileen? Dokąd go zabrali? - Thorne słuchał uważnie, ale słowa jego ciotki tłumił szloch. - Dobrze, Eileen. Już jadę...

Wtem pewna myśl poraziła go jak grom z jasnego nieba. Usiadł sztywno jakby połknął kij i przez chwilę siedział w bezruchu z drżącymi dłońmi zaciśniętymi na kierownicy.

Wyobraził sobie Arkana Zarifa siedzącego naprzeciw niego przy stole i przypomniał sobie słowa, jakie padły, gdy rozmawiali o umowie w związku z ochroną dla Gordona Rookera. Umowie, której zamierzał w pełni dotrzymać...

Umowie, w której chodziło o ochronę konkretnej osoby. I o potencjalny odwet w wypadku, gdyby Rookerowi coś się stało.

Thorne był pewien, że tylko mocno ściśnięta klatka piersiowa powstrzymała zawartość jego żołądka przed podejściem mu do gardła.

Czy to był wypadek, czy może zaplanowany zamach? Czy kiedykolwiek zdołają to stwierdzić? Czy Thorne kiedykolwiek pozna prawdę? Tak czy owak, on ponosił winę za to, co się stało... Spojrzał w

prawo i w strugach deszczu ujrzał postać zbliżającą się szybkim krokiem do jego auta. Holland uniósł ręce, pytając: - Wszystko w porządku?

Thorne miał wrażenie, że zapomniał, jak się oddycha. A potem wolno pokiwał głową i uruchomił silnik samochodu.